REPORTAŻ

Tomasz Grzywaczewski

# GRANICE MARZEŃ

## O państwach nieuznawanych



W serii ukazały się ostatnio:

Linda Polman Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej (wyd. 2)

Scott Carney Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci (wyd. 2)

Misha Glenny Nemezis. O człowieku z faweli i bitwie o Rio

Adam Hochschild Lustro o północy. Śladami Wielkiego Treku

Kate Brown Plutopia. Atomowe miasta i nieznane katastrofy nuklearne

Drauzio Varella Klawisze

Piotr Lipiński Cyrankiewicz. Wieczny premier

Mariusz Szczygieł Gottland (wyd. 3 zmienione)

Maciej Czarnecki Dzieci Norwegii. O państwie (nad)opiekuńczym

Zbigniew Parafianowicz, Michał Potocki Kryształowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki

Paweł Smoleński Wieje szarkijja. Beduini z pustyni Negew

Albert Jawłowski Milczący lama. Buriacja na pograniczu światów

Lidia Pańków Bloki w słońcu. Mała historia Ursynowa Północnego (wyd. 2)

Mariusz Szczygieł Niedziela, która zdarzyła się w środę (wyd. 3)

Aneta Prymaka-Oniszk Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy (wyd. 2)

Wojciech Górecki Toast za przodków (wyd. 2)

Jonathan Schell Prawdziwa wojna. Wietnam w ogniu

Wojciech Górecki Planeta Kaukaz (wyd. 3)

Janine di Giovanni Tamtego ranka, kiedy po nas przyszli. Depesze z Syrii

Wolfgang Bauer Porwane. Boko Haram i terror w sercu Afryki

Wojciech Górecki Abchazja (wyd. 2)

Bartek Sabela Afronauci. Z Zambii na Księżyc

Anna Pamuła Polacos. Chajka płynie do Kostaryki

Paweł Smoleński Pochówek dla rezuna (wyd. 3)

Cezary Łazarewicz Tu mówi Polska. Reportaże z Pomorza

Ilona Wiśniewska Białe. Zimna wyspa Spitsbergen (wyd. 2)

Filip Springer Miedzianka. Historia znikania (wyd. 4)

William Dalrymple Dziewięć żywotów. Na tropie świętości we współczesnych Indiach (wyd. 2)

Barbara Demick Światu nie mamy czego zazdrościć. Zwyczajne losy mieszkańców Korei Północnej (wyd. 2)

Jacek Hugo-Bader Dzienniki kołymskie (wyd. 2)

Ben Rawlence Miasto cierni. Największy obóz dla uchodźców
Dariusz Rosiak Biało-czerwony. Tajemnica Sat-Okha
Jean Hatzfeld Więzy krwi
Aleksandra Boćkowska Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL
Barbara Seidler Pamiętajcie, że byłem przeciw. Reportaże sądowe
Ewa Winnicka Był sobie chłopczyk
Cezary Łazarewicz Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka (wyd. 3)
Paweł Smoleński Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”
Marcin Kącki Poznań. Miasto grzechu
Piotr Lipiński Bierut. Kiedy partia była bogiem

W serii ukaże się m.in.:
Cezary Łazarewicz Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej

**Tomasz Grzywaczewski**

# Granice marzeń

## O państwach nieuznawanych




Wołowiec 2018

# Spis treści

Profesorowi Piotrowi Daranowskiemu, który zainspirował mnie do odkrywania państw nieuznawanych

* * *

Książka ta jest owocem moich podróży po postsowieckich państwach nieuznawanych, które odbyłem w latach 2015–2016. Każda taka wyprawa to nie tylko określone miejsce, ale również konkretny moment historyczny, w którym widziałem i opisywałem te widmowe republiki. Państwa nieuznawane nie są czymś stałym i niezmiennym. Wprost przeciwnie. Te maleńkie twory podlegają gwałtownym, często brutalnym, przemianom. Wyjeżdżając do Górskiego Karabachu w 2015 roku, nie sądziłem, że już w rok później dojdzie tam do niespotykanej od dwóch dekad eskalacji konfliktu. Będąc zimą 2015 roku na froncie pod Donieckiem, nie wiedziałem, że obserwuję pierwszy akord długotrwałej uśpionej wojny obliczonej na wycieńczenie Ukrainy. W momencie, kiedy książka ta trafi do rąk Czytelników, być może sytuacja w tych regionach ulegnie kolejnym zmianom. Jednak bez względu na kontekst polityczny jest to przede wszystkim opowieść o ludziach, którzy w ćwierć wieku po upadku sowieckiego imperium podzielili się ze mną granicami swoich marzeń.

# Narodziny

– Pokój Pański niech zawsze będzie z wami – mówi ksiądz o kanciastej, porośniętej szczeciną szczęce i unosi książeczkę do nabożeństwa.

– I z duchem twoim – odpowiadają wierni, ale ich słowa zagłuszają eksplozje pocisków wystrzelonych z automatycznego granatnika AGS-17 i terkot karabinów maszynowych.

– Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.

Mimo strzałów kapłan nie przerywa liturgii. Jego koloratkę opina wysoki kołnierz wojskowej kurtki. Haftowaną stułę zarzucił na kamizelkę kuloodporną. Przy pasku nosi bagnet. Drewniany różaniec wisi obok załadowanego magazynku do pistoletu i naszywki z jaskrawozielonym koprem włoskim i napisem „Ukrop". Po rosyjsku ukrop oznacza po prostu koperek, ale w języku kremlowskiej propagandy tak pogardliwie nazywa się Ukraińców, którzy sprytnie wykorzystali ten motyw, łącząc pierwsze litery zwrotu ukrajinśkyj opir – „ukraiński opór" – w zgrabny „ukrop". Natomiast prorosyjscy separatyści z pomarańczowo-czarną wstążką gieorgijewską na sztandarach zostali ochrzczeni „stonką". W ten sposób role się odwróciły. Teraz to koperek zabija szkodnika usiłującego pożreć jego kraj.

Żołnierze opuszczają głowy. Szeptem powtarzają słowa modlitwy.

– Baranku Boży, Baranku Boży… – wypełnia betonową piwnicę, której ściany oklejono listami wysyłanymi na front przez ukraińskie dzieciaki. Żółto-niebieskie serca, dwa białe gołąbki przytulające tryzub, a nad nim napisane „my za myr". „Jesteśmy za pokojem". Na zewnątrz słychać melodię „russkiego mira". Tego najpiękniejszego na świecie pokoju w wydaniu rosyjskim. Kilka dni wcześniej, 12 lutego 2015 roku, podpisano w Mińsku rozejm pomiędzy donbaskimi

separatystami a rządem w Kijowie. Jego gwarantem została między innymi Rosja. Rozejm najmocniej daje się tu we znaki po południu.

– …obdarz nas pokojem.

Ostatni wers modlitwy wypowiedziany przez księdza ginie w wybuchu pocisku moździerzowego. Gwałtowny podmuch szarpie metalowymi drzwiami broniącymi wejścia do sztabu batalionu ochotniczego w Piskach na przedmieściach Doniecka. Z sufitu sypią się drobinki tynku. Żarówka migocze i gaśnie. Piwnica pogrąża się w ciemnościach rozświetlanych tylko płomieniem świecy i zimnym snopem światła z ledowej latarki. Ksiądz podnosi kielich, wszyscy klękają, przyjmując Ciało Chrystusa. Po krótkiej modlitwie żołnierze sięgają po karabiny, a kapłan bierze do rąk kropidło.

– Waszym dziadom święcono szable, ja wam poświęcę kałasznikowy – mówi, kropiąc broń wodą święconą.

Gnom, przysadzisty ochotnik z zachodniej Ukrainy, mocuje się z AGS, próbując prawidłowo zamocować zasobnik z pociskami. Robi dobrą minę do złej gry, ale widać, że jest zdenerwowany. Ręce lekko mu drżą. Jego kolega został ranny i on otrzymał rozkaz zastąpienia go. Ale Gnom nigdy wcześniej nie obsługiwał granatnika. Dowódca robi kilkuminutowy trening. Tak ustawić dalmierz, tak przeładowywać, dobrze się zaprzeć. Nie ma czasu. Trwa ostrzał.

Piwniczne wrota otwierają się z impetem i do środka wpada młodziutki chłopak. Kurczowo trzyma się za szyję. W oczach ma przerażenie. Paniczny, zwierzęcy strach przed śmiercią.

– Dostałem. Trafili mnie. Skurwysyny – wyrzuca z siebie pojedyncze słowa, chrapliwie wciągając w płuca powietrze. Jeden z żołnierzy, Johnny, podbiega do niego i pomaga mu ściągnąć mundur. Kevlarowy kołnierz jest rozerwany, ale nigdzie nie ma śladów krwi.

– Spokojnie. Oddychaj. Miałeś, chłopie, szczęście. Wszystko poszło w kamizelkę. – Johnny wyciąga z kuloodpornego materiału plastikowe

odłamki. – To nowy wynalazek Ruskich. Zastąpili metalowe granaty plastikowymi, żeby nie było ich widać na rentgenie.

– Życie mi uratowała. – Chłopak z niedowierzaniem ogląda swoją kamizelkę. Parę centymetrów wyżej i byłoby po nim.

– Kamizelka to jedno, ale najważniejszy jest ten gość na górze. – Johnny podnosi palec, a potem zdejmuje kurtkę. Zamiast wojskowej koszuli ma na sobie haftowaną czerwono-czarną nicią wyszywankę. – Uszyła mi ją mama. Chroni lepiej niż najtwardszy kevlar.

Gnom wreszcie poprawnie montuje magazynek. Z celowania będzie musiał przeszkolić się już w ogniu walki. Patrzy ciężko na swoich kolegów, bierze granatnik i wychodzi na zewnątrz. Przez uchylone drzwi słychać kanonadę wybuchów.

– Dzisiaj chyba nie pośpimy – śmieje się Johnny, klepiąc Gnoma po plecach. Kilka minut później ze stojącej na stole krótkofalówki dochodzą nerwowe krzyki.

– Jesteśmy pod ogniem, zróbcie coś, przyślijcie lekarza! – Przerażony głos przebija się przez radiowe trzaski.

Cisza.

– Jeden 200, jeden 300. – Żołnierz próbuje opanować nerwy i zdać raport z sytuacji na pierwszej linii frontu.

– Jak ciężko? Przeżyje? – pyta zastępca dowódcy batalionu. Nie wiadomo. Napływają sprzeczne komunikaty. W wojskowym slangu 200 to trup, a 300 – ranny. Liczbami łatwiej opisać pogrążony w chaosie świat.

W Piskach wydarzyła się mała apokalipsa. Budynki są rozprute, drogi poorane lejami po bombach, samochody podziurawione kulami. Wszędzie widać spalone dachy, wyrwy w ścianach, resztki szyb w powybijanych oknach. Z domu obok sztabu pozostał tylko czarny szkielet.

– Próbują nas trafić, ale na razie jeszcze im się nie udało – mruczy Johnny. Na centrum dowodzenia wybrano dom o najbardziej wytrzymałej konstrukcji, choć to i tak iluzoryczna ochrona. Pocisk

dużego kalibru bez problemu przebije strop i zamieni piwnicę w grobowiec. Pociski nie ominęły nawet prokuratorskiej willi.

– Patrz, jak się za Janukowycza dobrze żyło na Ukrainie!

Jeden z żołnierzy bierze kij bilardowy i pochylając się nad stołem, wbija do łuzy kawałek cegły. Zielone sukno pokrywa gruby kożuch pyłu. W połączonym z salonem basenie leżą odłupane z sufitu płaty tynku. W sypialni w bezładzie wala się kolekcja afrykańskich pamiątek.

– Nie tylko prokurator, ale też zapalony etnograf i kolekcjoner. Musiał szybko uciekać, skoro nie zabrał swoich eksponatów – śmieje się mój towarzysz. – Pewnie teraz siedzi po drugiej stronie – pokazuje ręką w stronę, z której nadlatują tutaj kilogramy zabójczego żelastwa wszystkich kalibrów i rodzajów. Naboje karabinowe, granaty, pociski moździerzowe 80 mm, 120 mm, rakiety z wyrzutni Grad. W nocy rozświetlają niebo migoczącymi świetlistymi punktami. Przypominają spadające gwiazdy. Czasami pojedyncze, a czasami poruszające się całymi rojami jak sierpniowe Perseidy.

Okutana kwiecistą chustą staruszka taszczy wiadro z wodą. Byle jak najszybciej zejść z ulicy, schować się w piwnicy i modlić, żeby dzisiaj to nie na jej dom spadały separatystyczne gwiazdy. Mały chłopiec uchyla okno zaklejone plastikową folią. Szyb w Piskach od dawna już nie ma. Jego ojciec na chwilę wychodzi na podwórze i natychmiast każe malcowi schować się do środka. To jedni z ostatnich mieszkańców miasteczka. Wszyscy inni uciekli, zginęli albo zostali ewakuowani przez ukraińską armię. W zachodzącym słońcu wraki bojowych wozów piechoty BMP przybierają pomarańczową barwę. Nad którymś z nich powiewa rozdarta ukraińska flaga. Na jednej z pozycji bojowych panuje wyjątkowo nerwowa atmosfera. Pochyleni nad mapą topograficzną mężczyźni przerzucają się przekleństwami. „Separy” zaczęli prowadzić ostrzał z głębi osiedla mieszkalnego. Separatyści to określenie zbiorcze, bo obecnie w Donieckiej Republice Ludowej i Ługańskiej Republice Ludowej obok separatystów – czyli ukraińskich mieszkańców tych terenów – walczą regularne siły rosyjskie (w sile

ponad dziesięciu tysięcy), a także ochotnicy z różnych stron Rosji, i nawet tak odległych rejonów świata jak Ameryka Południowa.

– Gnoje jedne, chcą wykorzystać cywilów jako żywe tarcze – warczy dowódca. Chwilę wcześniej z piwnicy wyszedł żołnierz ukrywający twarz pod ciemnozieloną arafatką. Nikt nie zna jego prawdziwego imienia. Tylko pseudonim. Mężczyzna odpowiada za naprowadzanie ostrzału. Pochodzi z Doniecka i zna tutejsze tereny jak własną kieszeń. Po drugiej stronie została jego rodzina. W wypadku zdekonspirowania znalazłaby się w śmiertelnym zagrożeniu.

– Wychowałem się w miejscach, które teraz ostrzeliwujemy. Bandyci zajęli mój dom i teraz muszę zrobić wszystko, żeby ich stamtąd wykurzyć – mówi przez fałdy materiału.

W Piskach panuje wojenny ekumenizm. Ramię w ramię walczą ochotnicy z zachodniej Ukrainy, Żydzi, Gruzini, rodowici mieszkańcy Donbasu. Intelektualiści wespół z wytatuowanymi chłopakami z blokowisk, biznesmeni ze studentami, narodowcy z liberałami. Władimir przyjechał do nich aż z Syberii. W portfelu trzyma paszport Federacji. Wcześniej był związany z rosyjską opozycją demokratyczną. Dlaczego to zrobił?

– Bo Rosja Putina to nie jest moja ojczyzna. Tam jest tak, jakby ktoś ci brzytwą duszę rzezał – mówi bez wahania.

Po zapadnięciu zmroku toczą się najcięższe walki. W nocy wszystko dudni. Ziemia się trzęsie, trzaskają drzwi prowadzące do sztabu. Bladym świtem ze snu wyrywa nas płynący z krótkofalówek hymn Związku Radzieckiego. Obie strony wzajemnie się podsłuchują i tym razem „separy" postanowili z samego rana sprowokować Ukraińców. Kolejny dzień. Kolejny ostrzał. Rosyjski pokój trwa w najlepsze. Dowódca jednego ze schronów zaprasza na obiad. Gorący barszcz dodaje sił. Żołnierz wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki pomiętą fotografię. Na jego ramieniu opiera się śliczna dziewczyna. Długie blond włosy, duże oczy, zgrabne nogi. Mężczyzna czule ją obejmuje. Para uśmiecha się do obiektywu.

– Oboje mieszkaliśmy w Doniecku – mówi. – Pracowała jako nauczycielka, a ja miałem niewielką firmę. Całkiem dobrze nam się układało. Planowaliśmy wspólną przyszłość. Chciałem się oświadczyć, ale nie zdążyłem. Wybuchła wojna i ona też została żołnierzem.

– Służy w Piskach?

– Tak, podejrzewam, że w Piskach. Ale po drugiej stronie…

Milknie na krótką chwilę. Wychodzimy na powierzchnię. W oddali nad pokrytą burą trawą łąką unosi się słup czarnego dymu, powoli spowijając podziurawioną wieżę kopalnianego szybu. Podobno jeszcze kilka tygodni wcześniej można było stąd dojrzeć zburzoną w trakcie walk wieżę kontroli lotów donieckiego lotniska. Słychać terkot karabinu maszynowego, a potem silne eksplozje.

– Spokojnie, to daleko od nas. – Żołnierz daje znak ręką, że nie musimy uciekać do podziemi. – Ona gdzieś tam jest. I teraz strzela do mnie albo ja do niej. – Zapala papierosa, wbijając wzrok w linię frontu. – Moja ukochana uwierzyła w nowe dziecko Moskwy. Wspaniałą rusko-donbaską ojczyznę. Potem nigdy więcej z nią nie rozmawiałem. Jej świat przestał być moim światem.

Ten świat za okopami Pisków dopiero się przepoczwarzał. Z gruzów starej Ukrainy wyłaniały się Doniecka i Ługańska Republika Ludowa. Nowe niby-państwa. Widmowe twory Donbasu dołączały do swoich starszych braci rozrzuconych po rubieżach dawnego sowieckiego imperium. Państw nieuznawanych.

# Akcelerator

Śpiewajmy chwałę Naddniestrza,
Gdzie mocne jest ludzkie braterstwo.
Wielką synowską miłością
Jesteśmy z nim złączeni na wieki.

Rozsławiamy ogrody i fabryki,
Wioski, pola, miasta –
Tam przez długie chwalebne lata
Pracujemy dla pomyślności naszej Ojczyzny.

Niesiemy przez lata
Imię dumnego kraju,
I Republice wolności
Jak prawdzie wierni będziemy.

Śpiewamy chwałę Naddniestrza,
hymn Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej

– Miałam dwóch starszych braci. Młodszy z nich, Igor, zawsze był żartownisiem i miał w życiu szczęście – mówi Luda. – W Sowietach poborowych wysyłali za koło podbiegunowe, na Syberię, do Kazachstanu, a on trafił na Kubę. To było spełnienie marzeń człowieka radzieckiego. Plaże, palmy, ciepłe owoce. Hulaj dusza. Służbę skończył przed terminem, bo ZSRR właśnie przestawał istnieć. Ale gałgan jeden nic nam nie powiedział, że wraca wcześniej. Któregoś wieczoru usłyszałam, że ktoś chodzi dookoła domu. Wyglądam przez okno i widzę twarz mojego brata! Miałam kilkanaście lat, więc przerażona pobiegłam do rodziców. Tata powiedział, żebym spała i nie robiła zamieszania. Kładę się do łóżka, a tu nagle ktoś wali do drzwi. Ojciec wściekły jak sto pięćdziesiąt otwiera, a tam w progu stoi Igor. Postanowił nam zrobić niespodziankę. Przywiózł mnóstwo egzotycznych owoców. Wtedy pierwszy raz w życiu jadłam ananasa. Do dzisiaj pamiętam, jaki był słodki. Coś cudownego.

Luda uśmiecha się ciepło. Jej córeczka pokazuje namalowany tego dnia w szkole obrazek. Ma talent. Chciałaby pójść na studia plastyczne do Kiszyniowa. Wyrwać się z położonego na krańcach Mołdawii przy granicy z Ukrainą miasteczka Oknica, gdzie od jakiegoś czasu nawet pociągi rzadko docierają.

– Tak się cieszyliśmy z jego powrotu. Ale po kilku miesiącach gruchnęła wieść, że Naddniestrze się zbuntowało i będzie wojna. Drugi brat, ten starszy od Igora, miał już wtedy swoją rodzinę i mieszkał na tamtym brzegu Dniestru. Z miejsca wcielili go do nowej gwardii naddniestrzańskiej. Zadzwonił do ojca, żeby mu o tym opowiedzieć, a ojciec drżącym głosem odpowiedział, że Igora też właśnie zabrali, tyle że do armii mołdawskiej. Że będą po dwóch stronach frontu. Starszy brat miał dobę na stawienie się w jednostce. Zamiast tego spakował żonę z dzieckiem do samochodu, zabrał najcenniejsze rzeczy i przyjechał do nas. Zostawił po tamtej stronie nie tylko dom, ale całe swoje wcześniejsze życie. Powiedział, że nigdy nie będzie strzelał do własnego brata. Gdyby więcej ludzi tak myślało, to nie byłoby całej tej wojny. – Luda wzdycha i bierze na kolana córeczkę, która z dumą prezentuje kolejny rysunek.

Był początek lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku i na gruzach ZSRR rodziła się niepodległa Mołdawia. Ale jej wschodnia, leżąca na lewym brzegu Dniestru część, nazywana Naddniestrzem, miała na ten temat inne zdanie. Silnie zrusyfikowany, zorientowany na Moskwę region postanowił pójść własną drogą. Impulsem stały się krążące nad młodym mołdawskim państwem pomysły unifikacji z Rumunią oraz ustawa uznająca mołdawski za jedyny oficjalny język państwowy, podczas gdy rosyjskiemu nadano podrzędny status „języka komunikacji międzyetnicznej”. W listopadzie 1990 roku ogłoszono powstanie niezależnej Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, przemianowanej rok później na Naddniestrzańską Republikę Mołdawską. We wrześniu 1991 roku rezydujące w Tyraspolu naddniestrzańskie władze powołały własne siły zbrojne, czyli

Dniestrzańską Gwardię Republikańską. Po kilku miesiącach politycznych napięć i zbrojnych incydentów, 1 marca 1992 roku, władze w Kiszyniowie podjęły decyzję o zbrojnym odzyskaniu kontroli nad zbuntowaną prowincją. Wybuchła „wojna pięciomiesięczna”. Główne uderzenie skierowano na kluczowy odcinek Tyraspol–Bendery. Do walk po stronie słabo uzbrojonej i zdezorganizowanej naddniestrzańskiej Gwardii Republikańskiej włączyły się jednostki rosyjskiej 14 Armii dowodzonej najpierw przez generała Jurija Nietkaczewa, a później przez generała Aleksandra Lebiedzia. Kiedy 27 czerwca rozpoczął się mołdawski atak na Bendery, generał Lebiedź podjął decyzję o przejściu od działań defensywnych do kontruderzenia. Nazywając politykę ówczesnego prezydenta Mołdawii Mircei Snegura „ludobójstwem”, a jego rząd „faszystowskim”, rozpoczął ostrzał artyleryjski wojsk mołdawskich zakończony klęską tych ostatnich. Dopiero formujące się siły zbrojne nowo niepodległej Mołdawii nie miały szans w starciu z doświadczonymi i dobrze uzbrojonymi rosyjskimi żołnierzami. Ofensywa mołdawska uległa załamaniu, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła. Kiszyniów został zmuszony do podpisania niekorzystnego zawieszenia broni. Nadeszła trwająca już ponad ćwierć wieku epoka zamrożonego konfliktu.

Słoneczniki są wszędzie. Z lewej, z prawej, z przodu i z tyłu. Okrążają wioski i osaczają drogi. Wpełzają na przystanki i w wersji oleistej rozpychają się na sklepowych półkach. Kwiaty na twardych łodygach wycięły lasy i skosiły łąki. Czasami ustępują miejsca kukurydzy, która korzystając z okazji, wpycha się na pola i włazi na talerze pod postacią mamałygi. Słoneczniki do spółki z kukurydzą zamieniły całą Besarabię w jedną kołyszącą się na wietrze żółtą plamę. Gdyby tak jakiś wirus wybił je wszystkie, to zostałaby tu tylko czarna ziemia. Ale na razie trzymają się w najlepsze, zapełniając sobą horyzont.

I nagle z tej żółtości wyłania się stolica słonecznikowo-kukurydzianej krainy zwanej dzisiaj Mołdawią. Kiszyniów jest ufortyfikowany, bo przecież od ćwierć wieku pozostaje w stanie

uśpionej wojny ze swoją zbuntowaną prowincją Naddniestrzem. Każda forteca musi mieć mury, solidne wrota, a najlepiej jeszcze fosę i most zwodzony. Kiszyniowskie wały składają się z setek wielkopłytowych bloków zwanych potocznie chruszczowkami, zamykających miasto w betonowym uścisku i tworzących rozgałęziający się w stronę centrum szary, duszny labirynt. Wjazdu od strony Naddniestrza strzeże monumentalna „brama". Perła w koronie tej komunistycznej fortyfikacji. Władcy Mołdawii spoglądają na swojego czającego się na wschodzie nieprzyjaciela znad dwudziestu pięciu pięter wielkiej płyty układających się w piramidę przedzieloną dwupasmową arterią. Jezdnia wrzyna się głęboko w trzewia miasta, którego każda kolejna dzielnica wygląda przygnębiająco podobnie. Koniec jednego blokowiska jest początkiem kolejnego minikrólestwa sypiącej się ze starości szarzyzny. Twierdza Kiszyniów wygląda na umęczoną trwającą od ćwierć wieku bezczynnością. Mołdawia zdobyła się na niepodległość, stoczyła krótką wojnę i zastygła w oczekiwaniu na jakieś lepsze jutro, które nie chce nadejść.

Oazu Nantoi próbuje wyrwać swoją ojczyznę z tego marazmu. Ma werwę, gesty i charyzmę trybuna ludowego. Mówi szybko i stanowczo. Zaczyna odpowiadać, zanim jeszcze w powietrzu wybrzmią ostatnie dźwięki zadanego pytania. Siedzi za długim stołem konferencyjnym w klimatyzowanym pokoju niezależnego think-tanku Institutul de Politici Publice, ale przemawia jak ze sceny ustawionej przed wielotysięcznym tłumem spragnionym rewolucji. Oazu lubi przywalić przeciwnikom politycznym maczugą, a w mediach zrobić kontrowersyjne show. Jest analitykiem, publicystą, politykiem, enfant terrible mołdawskiego życia publicznego. W 2014 roku w prowadzonym przez siebie programie telewizyjnym pojawił się w kominiarce, trzymając kałasznikowa i kij bejsbolowy przewiązane wstążką gieorgijewską – symbolem powszechnie wykorzystywanym przez prorosyjskich separatystów.

– W ten sposób chciałem pokazać realność zagrożenia ze strony moskiewskich „zielonych ludzików" – tłumaczy.

Nantoi jest wkurzony. Jego ojczyzna doprowadza go do szału. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko idzie nie tak, jak powinno. Wskaźniki gospodarcze? Proszę bardzo. Mołdawia jest najbiedniejszym państwem w Europie. Poparcie dla integracji z Unią Europejską? Spada na łeb na szyję, bo rządząca proeuropejska koalicja zamiast modernizować kraj, zajmuje się jego zawłaszczaniem. Korupcja i złodziejstwo?

– W tym jesteśmy mistrzami Europy, jeśli nie świata – zżyma się. – W 2015 roku z naszego systemu bankowego wyprowadzono miliard dolarów. I nikt nie wie, gdzie te pieniądze się podziały. To się przecież w głowie nie mieści. Na jednym szwindlu straciliśmy 15 procent PKB. Po co rozjeżdżać nas czołgami, jeśli można zwyczajnie okraść.

W kolejnym roku władze wpadną na genialny pomysł zasypania powstałej w wyniku rabunku dziury w finansach publicznych. Wybiorą sposób najprostszy, choć niekoniecznie najtańszy, czyli emisję obligacji o wartości siedmiuset pięćdziesięciu milionów dolarów na dwadzieścia pięć lat i oprocentowanych na 5 procent w skali roku. Ta operacja będzie kosztowała mołdawskiego podatnika spłacającego w istocie tę pożyczkę dokładnie dwa razy tyle – półtora miliarda dolarów. Biednych Mołdawian uda się więc w ciągu roku obrobić dwukrotnie na w sumie dwa i pół miliarda dolarów.

Na to wszystko smutnym wzrokiem spogląda hospodar Stefan III Wielki stojący na pomniku z mieczem i wzniesionym krzyżem. Tymi atrybutami daje odpór najeźdźcom próbującym podbić jego ojczyznę. Stefan III Wielki, po mołdawsku Ştefan cel Mare, na przełomie XV i XVI wieku zbudował silne i niezależne państwo mołdawskie. Wygrał wiele bitew i zręcznie przeciwstawił się zakusom ościennych mocarstw. Spuścił łupnia Węgrom, pokonał dowodzonych przez Jana Olbrachta Polaków i wreszcie dał odpór imperium osmańskiemu. Klingą i wiarą powstrzymał muzułmanów próbujących wedrzeć się do serca Europy. Władcą zachwycał się kronikarz Jan Długosz: „Mąż zaprawdę podziwienia godny, i od największych wodzów, których bohaterstwo wysławiamy, nie pośledniejszy. On bowiem między książętami

naszego wieku pierwszy tak wielkie i chwalebne nad Turkami odniósł zwycięstwo. On zdaniem moim najgodniejszy jest, aby mu wszelkie ludy chrześcijańskie zgodną wolą i chęcią powierzyły ster i władzę, a zwłaszcza dowództwo powszechnej wyprawy przeciwko Turkom, gdy inni królowie i książęta chrześcijańscy radzi oddają się gnuśności i rozkoszom, albo niecą pożogi wojen domowych".

Stefan miejsce do obserwacji tego, co pozostało po jego wspaniałym Hospodarstwie, ma wyborne. Przed nim ciągnie się najważniejsza ulica Kiszyniowa. Bulwar Stefana III Wielkiego z wybudowanym przez Rosjan potężnym łukiem triumfalnym wieńczącym zadrzewiony kompleks Soboru Narodzenia Pańskiego. Za plecami rozłożył się park również nazwany jego imieniem. Po prawicy zaś wznosi się toporny żelbetowy moloch siedziby mołdawskiej Rady Ministrów. Jego akurat nie ochrzczono imieniem wybitnego władcy. Może ministrom już za dużo tych Stefanów osaczających ich ze wszystkich stron. Zresztą nie tylko w stolicy, ale w całym kraju roi się od hospodara. Jest w nazwach najważniejszych ulic w prowincjonalnych miasteczkach, okupuje place i skwery, czai się na sklepowych witrynach. W rumuńskiej Suczawie, gdzie mieściła się stolica jego hospodarstwa, w 1990 roku założono „stefanowy" uniwersytet, a niedaleko Botoszan destyluje się elegancką wódkę Ştefan cel Mare. Producent opiewa nią średniowiecznego wodza: „Z szacunku dla niezwykle ważnej roli, jaką w historii Rumunii odegrał Stefan III Wielki, w pięćset lat po jego śmierci dedykujemy mu najczystszą i najwyższej jakości wódkę".

Ale zaraz, to w końcu Stefan był władcą rumuńskim czy mołdawskim? Jan Długosz też pisał o księciu Wołochów, przodków dzisiejszych Rumunów. Stefanie, kim to ty w końcu jesteś?

Oazu Nantoi też ma z tym pewien problem.

– Pytasz, czym jest dla Mołdawian Mołdawia? To porozmawiajmy o kwestiach lingwistycznych. Na paranoję zakrawa fakt, że my sami nie wiemy, jakim językiem mówimy… – opowiada. – Wielu moich rodaków wciąż twierdzi, że Mołdawia to sztuczne państwo, wytwór

stalinowskiej inżynierii etniczno-społecznej. Możesz w to uwierzyć? Tak jakby Polacy uważali, że nie są żadnymi Polakami, tylko dajmy na to Czechami, a to Rosjanie dorobili im polską gębę. Niestety, w naszym wypadku jest w tym sporo prawdy. Do dziś, dwadzieścia pięć lat po uzyskaniu niepodległości, w parlamencie mołdawskim prowadzone jest symultaniczne tłumaczenie na język rosyjski. Dzieje się tak po prostu dlatego, że część deputowanych nie zna języka mołdawskiego. Zresztą język ten to też wytwór reżimu Stalina, żeby uzasadnić istnienie Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Tak naprawdę to język rumuński z pewną liczbą odmiennych słów. Do 1989 roku był zapisywany cyrylicą. Niektórzy mówią wręcz, że to język rumuński, ale z naukowego punktu widzenia, z politycznego zaś to mołdawski – śmieje się. – W konstytucji Republiki, w artykule 13, czytamy, że oficjalnym językiem Mołdawii jest mołdawski, zapisywany łacinką, w deklaracji niepodległości z 1991 roku zaś, że jest nim rumuński. Wielce rozbawił mnie wyrok naszego Trybunału Konstytucyjnego z 2013 roku, który stwierdził, że językiem urzędowym kraju jest język rumuński. Sami nie wiemy, po jakiemu mówimy. Schizofrenia udzielająca się nie tylko zwykłym obywatelom, ale również tak zwanym elitom. Jeśli u rządów są komuniści, to rozmawiamy po mołdawsku. Kiedy władzę sprawują inne opcje, posługujemy się wówczas rumuńskim. To oczywiście brzmi zabawnie, ale tak naprawdę jest konsekwencją, nie bójmy się tych słów, politycznej prostytucji mołdawskich polityków. Wykorzystują jak chcą naszą historię, tradycję. Nie są w stanie stworzyć silnego państwa. Ja nie jestem pewien, czy Mołdawię powinno się nazywać demokratycznym państwem prawa.

Nantoi, podobnie jak wielu mołdawskich intelektualistów i polityków, próbuje rozwiązać mołdawsko-rumuński węzeł gordyjski. Wychodzące z żelaznego uścisku Kremla mołdawskie elity stanęły przed historycznym dylematem. Iść ku niepodległości samemu czy ramię w ramię z Bukaresztem. Wielu ówczesnych polityków nie wyobrażało sobie wariantu całkowitej niezależności. Ich celem była nie

jakaś tam tyleż wolna, co efemeryczna Mołdawia, ale România Mare – Wielka Rumunia jednocząca wszystkie ziemie zamieszkane przez ludność mówiącą po rumuńsku. To marzenie podsycał fakt, że w dwudziestoleciu międzywojennym Królestwo Rumunii sięgało aż do Dniestru, obejmując prawie całe terytorium leżącego pomiędzy tą rzeką a Karpatami dawnego Hospodarstwa Mołdawskiego.

Sęk w tym, że w 1812 roku car Aleksander I przyłączył jego część – Besarabię – do Imperium Rosyjskiego. A Moskwa o swoich zdobyczach łatwo nie zapomina. ZSRR od początku nie uznawał powtórnego połączenia tych ziem z Rumunią w 1918 roku i już w latach dwudziestych rozpoczął przymiarki do odzyskania utraconych terytoriów. Patentem na ich odbicie stało się właśnie Naddniestrze. Nikomu przed komunistami do głowy by nie przyszło, że ten liczący sobie 202 kilometry długości i kilkanaście kilometrów szerokości skrawek pól słonecznikowych jest oddzielną krainą historyczną, a tym bardziej tworem państwowym, ale dziejowa konieczność nakazywała go wymyślić. Tak narodziła się Mołdawska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka ze stolicą w Tyraspolu, obejmująca poza Naddniestrzem również fragmenty Podola i ziem odeskich. Administracyjne roszady były jednak tylko wstępem do szerszej akcji ideologicznej. Bolszewicy postanowili też wymyślić zupełnie nowy naród: radzieckich Mołdawian niemających nic wspólnego z Rumunami. Teraz pozostawało już tylko czekać na geopolitycznie sprzyjający moment, kiedy będzie można ich wyeksportować na zachód.

Okazja w postaci II wojny światowej przyszła nawet szybciej, niż się spodziewali. Armia Czerwona pod koniec czerwca 1940 roku wkroczyła do Besarabii. Po burzliwym wojennym okresie ostatecznie cały region wcielono do Związku Radzieckiego, łącząc jednocześnie z dzisiejszym Naddniestrzem. Pomysł całkowicie sztuczny, bo te ziemie faktycznie nigdy do mołdawskiej Besarabii nie należały.

Z tego punktu widzenia Mołdawia to po prostu część Rumunii oderwana od macierzy w wyniku II wojny światowej. I taką

perspektywę przyjęło wielu polityków u zarania mołdawskiej niepodległości. Bo zaprojektowani przez Moskwę Mołdawianie nie mogli i ciągle nie mogą poradzić sobie sami ze sobą. Nawet z flagą narodową powiewającą nad siedzibą rządu. Miała być mołdawska, ale wyszła bardzo rumuńska. Do niebiesko-żółto--czerwonych poziomych pasów dołożono herb z głową tura i orłem podkreślającym romańskie korzenie nowego państwa. Niby inaczej, ale do złudzenia podobnie. A jeśli z kolei Besarabia jest rumuńska, to cała mołdawska państwowość traci rację bytu. Przecież Rumunia już istnieje i spora część historycznej Mołdawii leży na jej terytorium, w tym ta nieszczęsna Suczawa, gdzie rezydował Stefan III Wielki. Bo i gdzie miał osiąść ze swoim dworem, skoro Kiszyniów nawet jeszcze wtedy nie istniał. A sznyt wielkomiejskości nadali mu dopiero Rosjanie, mianując stolicą obwodu besarabskiego.

I jakby tego wszystkiego było mało, jest jeszcze to nieszczęsne Naddniestrze, które w obliczu wyzwań dnia codziennego wydaje się przeciętnemu Mołdawianinowi problemem cokolwiek abstrakcyjnym.

– Według ostatnich badań socjologicznych zaledwie 5–8 procent Mołdawian uważa, że rozwiązanie sporu na linii Kiszyniów–Tyraspol jest kluczowym czynnikiem dla zapewnienia bezpieczeństwa wewnętrznego Mołdawii – mówi Oazu akademickim tonem, ale szybko wraca do bardziej dosadnego języka. – Toż to kpina jakaś! Mamy pod bokiem separatystyczny kryminalny reżim sterowany przez chory umysł pana Putina, a moi współobywatele mówią „nic się nie stało!”.

Naddniestrze wyrobiło sobie w Europie niezłą prasę. Autorzy artykułów, blogów podróżniczych, różnej maści internetowych filmików z zamiłowaniem opisują je jako komunistyczny skansen. Że Leniny, że Staliny, że czerwone gwiazdy. Sowiecki full wypas. A poza tym, że trzeba dawać łapówki, że bandyterka, że wschodni mrok jak za żelazną kurtyną. Niby komunizm pełną gębą, a marketing jak w najlepszej kapitalistycznej korporacji.

Tego entuzjazmu nie podzielają podróżni na kiszyniowskim dworcu, z którego odchodzą marszrutki do Tyraspolu. Mimo że formalnie Mołdawia i Naddniestrze pozostają w stanie uśpionej wojny, to w praktyce granica jest otwarta. Wysłużone fordy transity co godzinę, czasami nawet co pół godziny, mkną na drugą stronę Dniestru. Codziennie setki Naddniestrzan przyjeżdżają pracować w Kiszyniowie. Dojazd do roboty jak każdy inny. Minibusy wyruszające z mołdawskiej stolicy przejeżdżają przez „bramę", mijają mołdawskie posterunki policji i zatrzymują się przy naddniestrzańskiej kontroli granicznej. Odrapany szlaban, niechlujna budka pograniczników, połatany asfalt. Oto i żelazna kurtyna między państwem a quasi-państwem. Uznawanym i nieuznawanym. Dwudziestym pierwszym stuleciem smartfonów a ponurymi kazamatami Związku Radzieckiego.

Znudzony celnik zadaje klasyczne pytania: „A gdzie jedziesz? A po co? A do kogo? Aha". Dzwoni gdzieś, obraca w palcach paszport, mierzy mnie wzrokiem. Nie jakoś groźnie, raczej z przyzwyczajenia służbisty oglądającego dziennie dziesiątki twarzy. W końcu podbija pieczątką karteczkę migracyjną robiącą za prowizoryczną wizę i macha ręką, wpuszczając do wnętrza Naddniestrza.

Marszrutka wjeżdża do Benderów, jedynego naddniestrzańskiego miasta po prawej stronie Dniestru. Kilku pasażerów wysiada na rondzie okalającym przypominający księżycowy lądownik posterunek policji drogowej GAI, której funkcjonariuszy zwie się na obszarze postsowieckim pieszczotliwie gaisznikami. I nagle Naddniestrze eksploduje. Kilometr wcześniej go nie było, a teraz już jest. W każdej możliwej formie podkreśla, że jeszcze nie zginęło, wprost przeciwnie – pędzi w przyszłość. Najpierw most kolejowy spinający dwa brzegi rzeki. Jego strzelisto-łukowate przęsła mienią się biało-niebiesko-czerwoną barwą, która przechodzi w czerwień przemieszaną z zielenią. Flaga Federacji Rosyjskiej splata się z flagą Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej. Odwieczna przyjaźń między malutkim ludkiem naddniestrzańskim a wielkim bratem ze wschodu jest solą tej krainy. Intelektualne męczarnie Oazu Nantoiego nad mołdawską tożsamością

jego rodaków z Naddniestrza nie dotyczą, bo w tym miejscu zaczyna się russki mir. I kropka.

Nad tą bazą pojawia się nadbudowa. Rusza korowód monumentów. Najważniejszy to pomnik Chwały Wojennej, wysoka kolumna zwieńczona naddniestrzańskim godłem, na którym kłosy zboża otulają sierp i młot. Wokół niej cztery cokoły opisujące historię miasta. Zaczyna się od upamiętnienia jego założenia w 1408 roku, a potem lecą wojny. Najpierw z Turkami: w 1770, 1789, 1806 roku i wreszcie rok 1812 – włączenie Benderów do rosyjskiej macierzy. Sto lat spokoju i znowu. Rok 1918 – bohaterska, acz nieudana obrona przed Rumunami, rok 1919 – powstanie przeciwko rumuńskim okupantom, rok 1941 – kolejny bohaterski czyn obronny, tym razem przed połączonymi faszystowskimi siłami niemiecko-rumuńskimi, rok 1944 – operacja jasko-kiszyniowska i oswobodzenie przez Armię Czerwoną. Rok 1992 – zwycięska walka z mołdawskim agresorem. Dalej są kolejne postumenty. Tym razem postawiono na autentyczność. Bojowy wóz piechoty BMP z wypisanymi białą farbą inicjałami Naddniestrza zatrzymał się przed zniczem, w którym powinien płonąć wieczny ogień. Pomnik Poległych. Akurat tym razem zgasł, ale mają go uruchomić przy okazji kolejnego święta państwowego. Brązowe popiersie obwieszone od góry do dołu orderami. Generał lejtnant Aleksander Iwanowicz Lebiedź, dowódca stacjonującej nad Dniestrem radzieckiej 14 Armii. Zbawca nie tylko Benderów, ale całego Naddniestrza. I jako wisienka na torcie jeszcze mniejszy monumencik na cześć mirotworców, rosyjskich oddziałów wojsk pokojowych zabezpieczających podpisane ćwierć wieku temu zawieszenie broni. Koniec. Udało się za jednym zamachem opowiedzieć całą historię naddniestrzańskiej państwowości.

Mirotworcy patrzą na tę historię, której już stali się częścią, stojąc przy wjeździe na most obok przykrytego siatką maskującą transportera opancerzonego. Mętnym, znudzonym wzrokiem obserwują przejeżdżające auta. Na ich krótko ostrzyżonych włosach szklą się kropelki potu. Karabiny trzymają od niechcenia. Jeden pluje

na rozgrzany asfalt pestkami słonecznika. Chłopaki nie mają za wiele do roboty. Ani Mołdawianom, ani Naddniestrzanom od dawna nie chce się już strzelać. Od czasu podpisanego w lipcu 1992 roku zawieszenia broni w zdemilitaryzowanej strefie buforowej nie doszło do żadnych poważnych incydentów.

Marszrutka opuszcza rondo i pędzi przez pustawe ulice na dworzec autobusowy. Poczekalnia jest zbyt duża, zbyt seledynowa i zbyt wymarła. Wzbudza niepokój. Nikt nie czeka na busiki rozjeżdżające się do Dubosarów, Rybnicy albo położonej hen na północy Kamionki. Jaskrawa szpitalna farba bije po oczach. Z wewnętrznego balkonu robiącego za drugie piętro roznosi się zapach pieczonego mięsa. „Stołówka ZSRR". Napis ozdobiono sierpem i młotem. Za drzwiami rozciąga się czerwony komunistyczny raj.

W dworcowej jadłodajni jest wszystko, o czym marzy serce prawdziwego rewolucjonisty-proletariusza. Namalowaną na ścianie ogromną mapę Sojuza osłania bordowy proporzec z malutkim Stalinkiem pośrodku, a tuż obok wychyla się sztandar przodownika opiewający wysokie wyniki w socjalistycznym współzawodnictwie pracy. Na wsuwających kotlety, gulasze i mamałygi klientów gapią się Leniny. Jeden z portretu nad bufetem, drugi z mosiężnej tablicy, gdzie występuje jako członek trójcy nieświętej z Marksem i Engelsem, trzeci w 3D jako srebrne popiersie. Są też flagi republik związkowych. Mołdawskiej, która obecnie pełni funkcję flagi Naddniestrza, i ni stąd, ni zowąd estońskiej.

– Podoba ci się? – Uśmiechnięty od ucha do ucha młody mężczyzna patrzy na mnie rozentuzjazmowanym wzrokiem. Siergiej ma na sobie elegancką białą polówkę i modne okulary przeciwsłoneczne. – To moja prywatna kolekcja. Zbieram wszystkie pamiątki po ZSRR! Jest ich coraz mniej, ale co jakiś czas wpadnie mi w ręce ciekawy eksponat.

Podchodzi do półki zastawionej radzieckimi aparatami fotograficznymi. Zorki, smieny, zenity, FED-y. Jakiś stary gramofon i czarny jak smoła telefon pasujący do biurka partyjnego aparatczyka

albo oficera bezpieki. Siergiej delikatnie podnosi słuchawkę i przykłada sobie do ucha.

– Towarzyszu Włodzimierzu Iljiczu, melduję wykonanie mojego rewolucyjnego obowiązku i likwidację wrogów klasowych – mówi z poważnym wyrazem twarzy, jednocześnie puszczając do mnie oko. – Wpadłem na pomysł tej knajpy, bo podobno retro jest teraz w modzie. Jak to wy mówicie na Zachodzie: „hipsterka". Czy jakoś tak – wybucha śmiechem. – I wiecie co, zadziałało! Mam tutaj całkiem sporo turystów z zagranicy. Wszyscy są zachwyceni. No bo to przecież ten straszny Związek Radziecki, a my jesteśmy jego ostatnim bastionem. Dostają to, czego chcą. Sowiecką egzotykę.

Z zadowolenia Siergiej aż pociera ręce o krótkie sportowe spodenki w kolorze, jakżeby inaczej, czerwonym. Ale zamiast godła Kraju Rad jest na nich angielski napis „Choose Your Vocation" – „Weź los w swoje ręce". Wreszcie Siergiej żegna się czule, zapraszając do swojej drugiej knajpy. Tamtą urządził w stylu carskiej Rosji i postawił na bogaty zbiór samowarów. Mówi, że też nieźle się ten pomysł sprzedaje, choć nie tak dobrze jak komunistyczna stylówka. Car nie jest aż tak sexy jak Lenin i Stalin.

– Przyjeżdżaj znowu. I koniecznie zabierz znajomych. Nie dalej jak wczoraj była tutaj jedna Polka. Agnieszka. Zapisałem nawet jej numer! – Uśmiecha się szeroko, a ściskając ręce na pożegnanie, przeprasza, że skończyły mu się wizytówki.

– A ty skąd jesteś? Aaa z Polski! Przywiozłeś nam pokój czy wojnę? – Stojąca na przystanku trolejbusowym obok dworca staruszka na mój widok od razu przechodzi do ofensywy. – Znowu będziecie do nas strzelać? Czego od nas ten Zachód chce? Gadają, że niby wszystkiemu winna Rosja, a sami dla pieniędzy podpalają świat. Amerykańscy imperialiści!

Impet uderzenia zgotowanego mi przez krewką emerytkę wyhamowuje starszy pan, wpychając się do rozmowy z Breżniewem, za którego to się „żyło", a teraz wegetacja. Za Sojuza to było, że ho,

ho! Tak dobrze, że głowa mała. Kobieta lekko skonsternowana wykonuje unik, zasłaniając się byłym naddniestrzańskim prezydentem Igorem Smirnowem. Ten to wypłacał solidne emerytury. Nie to co obecny przywódca Jewgienij Szewczuk. On pieniędzy nie daje, o ludzi nie dba, nędzę na kraj ściągnął. W obliczu takich problemów amerykańscy imperialiści schodzą na dalszy plan.

Trolejbus zatrzymuje się w centrum miasta. Przy głównym pasażu nieopodal kiosku wystylizowanego na wielką paczkę Marlboro znajduje się Muzeum Pamięci Tragedii Benderskiej. W dwóch salach zgromadzono wojenne eksponaty. Jakieś pistolety, karabin, granaty ręczne. Klasyka wojennych wspomnień. Jest też makieta domu mieszkalnego spalonego przez Mołdawian i plakat reklamujący koncert zespołu Czerwona Kalina w czerwcu 1992 roku. Impreza nigdy się nie odbyła, bo zamiast gitarowych riffów mieszkańcy musieli słuchać strzałów i wybuchów. Opisy wojny są oczywiste. Nie ulega żadnej wątpliwości, kto był agresywnym napastnikiem, a kto miłującą wolność ofiarą. Ale twórcy placówki poszli o krok dalej. Mówią już nie tylko o agresji, ale wręcz o ludobójstwie popełnionym przez nacjonalistów mołdawskich (a w zasadzie rumuńskich) na Naddniestrzanach, w tym przede wszystkim na mieszkańcach Benderów. Na ścianach bloków w północno-zachodniej części miasta wciąż widać ślady po odłamkach i kulach karabinowych. Czarna granitowa tablica na ścianie jednego z nich przypomina, że w tym miejscu przy wypełnianiu patriotycznego i służbowego obowiązku zginął kapitan milicji Grigorij Pawłowicz Jeczin. Ale od zniszczeń wojennych bardziej morderczy wydaje się upływ czasu. Tynk pęka, a farba łuszczy się na ramach drewnianych okien. Zabudowane balkony robiące za dodatkowy pokój przypominają jakieś polipy kurczowo uczepione wielkiej płyty, od której mogą się w każdej chwili oderwać i zabić przechodnia.

– To biedna dzielnica – wzdycha Jana, młoda blond dziewczyna oprowadzająca mnie po mieście.

Poznaliśmy się na ulicy Komunizmu w kościele prowadzonym przez polskich misjonarzy. Jana pewnie idzie uliczkami wijącymi się przez blokowisko. Mija ławeczki, skwerki, rozsypujące się place zabaw. Na drugim końcu osiedla zatrzymuje się przy niewielkim pomniku. Prosta postawiona na sztorc płyta opowiada historię „Tragedii 1 kwietnia 1992 r.”. W „ataku terrorystycznym” przeprowadzonym przez, jakżeby inaczej, „mołdawskich nacjonalistów” zginęło siedmiu ludzi, a trzech zostało ciężko rannych. Nieprzyjacielski ostrzał dosięgnął nie tylko żołnierzy ochotników i milicjantów, ale też bezbronnych cywilów zdążających autobusem do pracy. Obok na kolejnym monumencie wyryto nazwiska zabitych funkcjonariuszy. Naprzeciwko pomnika, po drugiej stronie jezdni rozlało się ogromne pole słoneczników. Dorodne kwiaty wypełniają żółcią cały widnokrąg. Tam gdzie zaczyna się Mołdawia i skąd kiedyś wyjechały mołdawskie czołgi.

– Prezydent Szewczuk w zeszłym roku odsłonił ten pomnik, ale mało kto tutaj przychodzi. To daleko od centrum. Zupełnie na uboczu – opowiada Jana. Ma dwadzieścia lat i wojna to dla niej zamknięty rozdział. Jej brat odbywa wprawdzie obowiązkową służbę wojskową, ale nikt z rodziny nie traktuje na poważnie możliwości wybuchu nowego konfliktu. – W ogóle o wojnie z lat dziewięćdziesiątych mówi się niezbyt wiele. Ja tam się Mołdawian nie boję – wybucha śmiechem, zagarniając ręką słoneczniki. – No, może jeden taki troszeczkę mnie przeraża. Młody chłopak. Dzwoni do mnie codziennie, dał mi w prezencie ogromnego pluszowego misia i teraz zastanawiam się, co może chcieć w zamian – dziewczyna chichocze, a jej policzki błyskawicznie się rumienią.

Jana zabiera mnie do Tyraspola, bo Bendery są zbyt prowincjonalne i skoncentrowane na historii. Nic się w nich nie dzieje. W stolicy podobno jest lepiej. Spacerując po tyraspolskich ulicach, próbuję wykrzesać z siebie entuzjazm, ale mimo wysiłków dziewczyny mam wrażenie, że miasto zarasta. Poddaje się naturze. Trawa przebija się przez chodniki i wielkimi kosmatymi plamami wychodzi na trotuary. Ziemia rozrywa asfalt, tworząc ogromne dziury. Drzewa osaczają

blokowiska. Nakrywają je gałęziami, zaglądają do okien, uderzają w betonową wielką płytę. Obskurne szare klocki zapadają się w tę zieloność tak jak miasta Majów dały się splątać lianom tropikalnej dżungli. Przed przyrodą obronił się tylko monumentalnie szeroki, centralny prospekt 25 Października. Porządku strzeże historyczna trójca pomników. Na głównym placu feldmarszałek Aleksander Suworow. Genialny strateg siedzi w siodle i podniesioną w dramatycznym geście dłonią daje sygnał do ataku. Peleryna powiewa na wietrze, koń wydaje się gotowy do natarcia. Jest tak wielki, że aż zapiera dech. Bawiące się przy monumencie dzieciaki ledwo sięgają do kolan wierzchowca. Dalej, wyprostowany jak struna, pręży się granitowy Włodzimierz Iljicz Lenin. Ten akurat ręce trzyma przy sobie. Jest mniej rewolucyjny, bardziej nostalgiczno-dostojny. Choć i jemu podmuchy podnoszą poły płaszcza. Dramatyzm zawsze w cenie. Lenin stoi na straży topornej bryły naddniestrzańskiego parlamentu. Wreszcie na samym końcu czołg T-34 z napisem „Za ojczyznę" wjeżdża na postument, lufą celując w pomnik bohaterów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. A promenada kończy się, miękko przechodząc w zieleń.

Jana opiera się o wycięty z blachy malutki postumencik. Biała litera „Я" łączy się z niebieskim „Тирасполь", oplatając wielkie czerwone serce. Ustawiono go po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko podbijającego świat Suworowa. Międzynarodowy, rozpoznawalny popkulturowy symbol przywiązania do małej ojczyzny. Równie dobrze mógłby stanąć w Nowym Jorku, Londynie albo Warszawie. Obok serca z rozwieszonego na ścianie wielkoformatowego plakatu spoglądają twarze starszych mężczyzn i nielicznych kobiet. Wszyscy w galowych mundurach uginają się pod ciężarem niezliczonych orderów. Niektórzy w oficerskich czapkach z wielkimi otokami. „Oblicza zwycięstwa". Naddniestrze jest wierne radziecko-rosyjskiej tradycji. Jednym z najważniejszych świąt w kalendarzu jest 9 maja, czyli data pokonania hitlerowskich Niemiec.

– Kochasz Tyraspol? – pytam Janę.

– Kocham to może przesada, ale na pewno bardzo lubię. – Jana wybucha śmiechem. – Nowy prezydent Jewgienij Szewczuk wreszcie zrobił coś dla młodych ludzi. Zobacz, jaki ładny skwer. Są ławeczki, huśtawki dla dzieci, oświetlenie, żeby wieczorami można było bezpiecznie spacerować.

Jej opinia jest raczej odosobniona. Rządzący od 2011 roku Naddniestrzem Szewczuk cieszy się powszechną antypatią współobywateli. Taksówkarze, sklepowe, robotnicy, kierowcy marszrutek – wszyscy jak jeden mąż narzekają na swojego przywódcę. Bo drożyzna, bo obniżki pensji, bo pogłębiająca się bieda.

– Co robi dobrze? Dobrze to on kradnie! Na tym on i jego koledzy to się naprawdę znają! – złości się mężczyzna stojący w kolejce do sklepowej kasy. – Jeżdżą limuzynami, a ja na bilet autobusowy nie mam.

Idziemy z Janą na nadrzeczny bulwar. Tłoczno. Dzieciaki biegają, rodzice próbują upilnować swoje pociechy, chłopaki podrywają prezentujące swoje wdzięki dziewczyny. Ktoś je lody, watę cukrową albo gotowaną kukurydzę. Inny po kryjomu sączy piwo ukryte w plastikowej torebce. Na miejskiej plaży wygrzewają się spragnieni słońca plażowicze. Tyraspol wyszedł z betonowych bloków cieszyć się upalnym lipcowym popołudniem. Taflę Dniestru tnie skuter wodny ciągnący mężczyznę na desce przypominającej snowboardową. Zdobywający na całym świecie popularność wakeboarding, czyli jednodeskowa odmiana nart wodnych, dotarł również nad Dniestr.

– Szewczuka nie lubią ludzie starsi. Wszyscy byli przyzwyczajeni, że żyją jak za ZSRR – opowiada Jana. – Państwo dawało emerytury, prawie darmowe gaz, prąd i wodę. Ale dla mnie i moich rówieśników nie robiło nic.

Jana niespecjalnie przejmuje się wielką polityką, półwirtualnymi granicami i sporami między, jak tu mówią, drapieżnymi Mołdawianami a prorosyjskimi Naddniestrzanami. To wszystko tylko komplikuje życie. Ot, choćby takie drobiazgi jak gotówka. Tyraspol wymyślił sobie własną walutę: rubel naddniestrzański. Są państwem, to mają prawo

bić własne pieniądze. Kto im zabroni? Jakkolwiek patrzeć, to jeden z najważniejszych atrybutów suwerenności.

– Wszystko fajnie, tylko że te pieniądze poza Naddniestrzem są bezwartościowe. Świstki papieru, kawałki plastiku. – Jana wyciąga z portmonetki różowy heksagonalny żeton przypominający kostkę do gry na gitarze. Dziesięć rubli.

W 2014 roku władze postanowiły obniżyć koszty produkcji i wprowadziły pierwsze na świecie plastikowe monety oficjalnie nazywane kompozytowymi, bo plastik trochę kojarzy się z chińską tandetą.

– Każdy na wszelki wypadek trzyma w domu obce pieniądze. Najlepiej dolary albo euro. Z rosyjskim rublem nigdy nic nie wiadomo. Na przykład ja czynsz za mieszkanie płacę w dolarach. Właściciel powiedział, że innej waluty nie przyjmuje – kontynuuje dziewczyna. – Ale ostatnio zaczęło brakować „amerykańców". Ludzie ustawiają się w kolejkach pod bankami i czekają, aż ktoś wpłaci trochę dolarów. Pewnie będziesz dla kogoś łakomym kąskiem – uśmiecha się, robiąc aluzję do zawartości mojego portfela.

Rzeczywiście przed okienkiem w kantorze czai się otyła kobieta, mimo swojej masy sprężona do skoku jak lew na sawannie. Na widok upragnionych dolców natychmiast rzuca paczuszkę naddniestrzańskich rubli, zagarniając „zielone".

Na banknotach Naddniestrza dostajemy osobliwą mieszankę historycznych osobowości reprezentujących interesy różnych państw i narodów próbujących z tego skrawka ziemi wyrwać coś dla siebie na przestrzeni ostatnich wieków. Największym i najważniejszym „wyrywaczem" jest serdecznie znienawidzony przez Polaków rzeźnik warszawskiej Pragi feldmarszałek Aleksander Suworow. W 1792 roku Suworow, wtedy jeszcze w randze generała, podjął decyzję o budowie twierdzy w miejscowości Sucleia, wokół której wkrótce narodziło się miasto Tyraspol. Nadreprezentacja na różnych nominałach zdecydowanie mu się należy. Suworowa można podziwiać na jedno-, pięcio-, dziesięcio- i dwudziestopięciorublówkach. Dalej mamy

hetmana Bohdana Chmielnickiego oraz ukraińskiego wieszcza narodowego Tarasa Szewczenkę. To ukłon w stronę etnicznych Ukraińców zamieszkujących Naddniestrze. Wreszcie caryca Katarzyna II Wielka, która pokonując Turków, przyłączyła te tereny do Rosji. Caryca, jak na imperatorową przystało, dostała godny nominał. Calutkie 500 rubli. Na dokładkę na sturublówce pojawił się jeszcze hospodar mołdawski Dimitrie Cantemir. To wprawdzie Mołdawianin, ale za to serdecznie zaprzyjaźniony z Sankt Petersburgiem. Na początku XVIII wieku władca dogadał się z carem Piotrem I i oddał swoje włości pod rosyjskie zwierzchnictwo w zamian za obronę przed tureckimi atakami. Wprawdzie umowa spełzła na niczym, bo sułtan pobił cara, ale Rosjanie po raz pierwszy sięgnęli swymi wpływami aż do Besarabii i zaczęły się kłopoty ciągnące się aż do dziś.

Pytanie „kim jesteś?" wprawia w zakłopotanie wielu mieszkańców naddniestrzańskiej krainy. Problemy Mołdawian to przy tym galimatiasie pestka. Mieszkańcy Kiszyniowa mieli do wyboru tylko dwie tożsamości. Mołdawską albo rumuńską. Tymczasem zgodnie z oficjalnymi danymi Naddniestrze zamieszkują trzy narodowości: Mołdawianie, Ukraińcy i Rosjanie, a każda z nich stanowi mniej więcej jedną trzecią populacji. Tutaj nawet trudno być mniejszością narodową, bo każdy jest w mniejszości. I z tego etnicznego miszmaszu próbuje się uszyć nowy naród. Tak te mołdawskie, ukraińskie i rosyjskie skrawki materiału pozaplatać, żeby stworzyły nową tkaninę. Robi się to w tempie ekspresowym. Proces dziergania narodu ma zająć nie setki czy dziesiątki, ale raptem kilkanaście lat. Jakby ludzi siedzących nad Dniestrem wrzucono do akceleratora cząstek elementarnych. A tam się ich rozpędza, zderza, żeby w efekcie tego socjotechnicznego eksperymentu otrzymać zupełnie nową egzotyczną cząstkę: Naddniestrzan. Dlatego nadrukowano paszportów. Czerwonych książeczek z godłem i nazwą państwa. Niczym nie ustępują paszportom brytyjskim, francuskim czy niemieckim. Z tą małą różnicą, że nie mają żadnej wartości, bo nikt

ich nie uznaje. Nie można na nich nigdzie pojechać. Ale paszport to paszport. Dodaje swemu posiadaczowi powagi. Zamienia widmową ideę „naddniestrzańskości” w coś namacalnego. Dzięki niemu tę tożsamość każdy obywatel może mieć w szufladzie, kieszeni kurtki, samochodowym schowku. Bierzesz go do ręki i wiesz, że Naddniestrze naprawdę istnieje jako państwo, a ty jesteś jego częścią. Z tego też powodu nastawiano pomników i wypuszczono walutę. Nic nie szkodzi, że całość to eklektyczny tygiel. W Naddniestrzu jest przecież wszystko. I Związek Radziecki, i carskie imperium, i nowa podnosząca się z kolan Rosja.

Smukła czapka grenadierów z czasów wojen napoleońskich ozdobiona dwugłowym orłem wynurza się z fasady niewielkiego budynku połączonego z przystankiem autobusowym. Nakrycie głowy ma z półtora metra wysokości i reklamuje lombard La Perla. Na tyraspolskim bazarze można kupić T-shirt z Putinem ubranym w legendarną tielniaszkę – bluzę w biało-niebieskie pasy noszoną przez rosyjskich marynarzy i żołnierzy wojsk powietrzno-desantowych. Prezydent Federacji ma wkurzony wyraz twarzy i przez zaciśnięte usta sączy: „Kto nam szkodzi, ten trzech dni nie przeżyje”. Dla miłośników Noworosji są również gadżety z flagą Donieckiej Republiki Ludowej. Jest russki mir, ale są też ukraińskie Dzikie Pola. Jest martyrologia wojny z lat dziewięćdziesiątych, ale te 30 procent żyjących w Naddniestrzu Mołdawian naturalnie ciąży w stronę nie rosyjskiego, tylko rumuńskiego kręgu kulturowego. Dlatego władze uparcie nauczają mołdawskiego zapisywanego jednak cyrylicą, a nie jak po prawej stronie Dniestru łacinką. Naddniestrzańskie szkoły, w których próbowano prowadzić edukację w alfabecie łacińskim, były najpierw zamykane, a następnie, po ponownym otwarciu jako prywatne instytucje, pozbawione finansowego wsparcia ze strony państwa. Sprawa znalazła swój finał w Europejskim Trybunale Praw Człowieka, który uznał, że Rosja jako podmiot w istocie kontrolujący Naddniestrze

pogwałciła prawo do swobodnej edukacji, utrudniając naukę w języku mołdawskim.

Historyk profesor Nikolai Babilunga siedzi ze mną w przyjemnej knajpce niedaleko od tyraspolskiego Uniwersytetu imienia Tarasa Szewczenki. Naukowiec z uśmiechem popija piwo Classic z browaru w Benderach i zajada się czeburekami. W strumieniu sprzecznych narodowych świadomości zalewających Naddniestrze nie widzi żadnego poważniejszego problemu. Wprost przeciwnie, niczym zmyślny architekt wydobywa z tego chaosu ukryty porządek wszechnaddniestrzańskiej rzeczy. Profesor Babilunga uchodzi za ojca historycznej narracji uzasadniającej dzisiejszą państwowość Naddniestrza. Urodził się w Kiszyniowie, a do Tyraspolu dotarł dopiero w 1991 roku, już w trakcie formowania się separatystycznej republiki. To on budował ten akcelerator cząstek narodowych i teraz z zadowoleniem obserwuje efekty swojego eksperymentu.

– W Naddniestrzu od zawsze żyli przedstawiciele trzech narodowości: Mołdawianie, Rosjanie, Ukraińcy – opowiada. – Nikt jednak nie rościł ani nie rości sobie praw do bycia lepszą nacją od pozostałych. Wszystkie trzy języki są językami oficjalnymi Naddniestrza. Każdy wybiera, jak chce. Podobnie jak z religią. W Naddniestrzu nie ma żadnej iskry, która mogłaby zapłonąć i wywołać jakiś konflikt, zwłaszcza ten o charakterze wewnętrznym. Głosy, płynące przede wszystkim z Zachodu, opowiadające o niezwykle silnej propagandzie rosyjskiej, wokół której stworzone jest Naddniestrze, są zatem wyssane z palca – stwierdza z niezachwianą pewnością siebie.

– Wszystko pięknie, ale czy istnieje w takim razie coś takiego jak jeden naród naddniestrzański? Może jednak są to wciąż trzy żyjące obok siebie nacje? – drążę temat, przy okazji pociągając solidny łyk piwa Bałtika. Nikolai już zamawia kolejny kufel, a ja jeszcze nie skończyłem pierwszego. Planowałem ostre intelektualne starcie, a tymczasem atmosfera robi się coraz bardziej piknikowa.

– Zdecydowanie to jeden naród, choć składający się z trzech etnosów. A do tego dochodzą jeszcze inne mniejszości narodowe: Gagauzi, Żydzi. U nas tożsamość zbudowana jest na czynniku geograficznym. Dniestr to nie tylko granica administracyjna czy polityczna, ale także mentalna. W Mołdawii natomiast tożsamość wypływa z poczucia odrębności etnicznej. Jedni mówią, że są Rumunami, drudzy, że Mołdawianami, to niezwykle istotne dla mieszkańców tego państwa. W Naddniestrzu fakt, że ktoś wywodzi się z danej grupy narodowej czy etnicznej, nie jest tak ważny. Dziś prawie 50 procent mieszkańców Naddniestrza pytanych o swoją narodową przynależność odpowie, że są Naddniestrzanami. W Mołdawii tylko nieco ponad 30 procent społeczeństwa czuje się w pełni Mołdawianami. Które państwo jest zatem bardziej sztuczne? W Tyraspolu, Dubosarach czy Rybnicy dla ludzi liczy się przede wszystkim przynależność obywatelska do kraju, jakim jest Naddniestrze, a nie więzy krwi z konkretnym narodem. – Profesor nie ma najmniejszych wątpliwości, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Ale przecież z punktu widzenia prawa międzynarodowego Naddniestrze stanowi cały czas integralną część Mołdawii. Nikt was nie uznał. Nawet Rosja – podejmuję rozpaczliwy wysiłek zachwiania jego idealnie poukładanej wizji naddniestrzańskiego świata.

– To na Zachodzie powtarza się bezrefleksyjnie, że Naddniestrze jest częścią Mołdawii. Historycznie Mołdawia obejmowała jednak tereny tylko do prawego brzegu Dniestru. – Profesor Babilunga bez problemu zbywa i ten argument. – Dzisiejszy obszar Naddniestrza, a przynajmniej jego fragment, wchodził przecież także w skład Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dość powiedzieć, że większość północnej części Naddniestrza były to prywatne majątki magnackiego rodu Koniecpolskich. Bywali tu Kozacy, Tatarzy, ale rządów Mołdawian czy Rumunów ziemia naddniestrzańska nigdy nie doświadczyła. Nasi Mołdawianie też różnią się od tych żyjących na zachód od Dniestru. To w gruncie rzeczy inna nacja.

Piwo osłabia moją zdolność argumentacji. Historyk dostrzega tę chwilę słabości i wyprowadza finalne uderzenie.

– Historia historią, ale wiesz, że w Naddniestrzu są również Polacy? Twoi rodacy żyją przede wszystkim na północy, w okolicach miasta Raszkowa. Tam zresztą do dziś zachowała się jedyna, w pełni polska wioska, Słoboda Raszków. Każdy mieszkaniec Słobody spytany o swoją przynależność narodową odpowie bez wahania: Polak. Niemniej to pewne przywiązanie do polskiej tradycji i kultury nie kłóci się z faktem bycia obywatelem Naddniestrza. Powinnieneś tam pojechać i sam zobaczyć! – Profesor jest w siódmym niebie. Nie tylko opowiedział mi historię swojej ojczyzny, ale i połechtał moją narodową dumę.

– A kim ty się właściwie czujesz? Naddniestrzanką? – pytam Janę siedzącą na ławce i popijającą piwo owinięte dla niepoznaki w plastikową torebkę, bo w ramach walki z alkoholizmem władze zakazały konsumpcji trunków wyskokowych w miejscach publicznych.

– Nie no, chyba Polką. Ale może też Naddniestrzanką. W sumie urodziłam się w Naddniestrzu, ale przecież tata Ukrainiec, a mama z polskimi korzeniami. Sama nie wiem. – Jana wydaje się zbita z pantałyku tym pytaniem. Ma Kartę Polaka oficjalnie potwierdzającą jej, mówiąc patetycznym, urzędowym tonem, „przynależność do narodu polskiego". Rozmawiam z nią polsko-rosyjską mieszanką. Jana mówi po rosyjsku, a ja odpowiadam jej po polsku. Język znad Wisły rozumie bez problemów, ale boi się coś powiedzieć. Nie chce się zbłaźnić jakimś niezręcznym stwierdzeniem. Ma jednak ochotę nauczyć się nowych słów, więc namawia mnie do używania polskiego. Profesor Babilunga się nie pomylił. Jana pochodzi ze Słobody Raszkowa.

Po zapadnięciu zmroku wybieramy się z Janą na dansing zorganizowany na barce pływającej po rzece. Leci rosyjska popsa i zachodnie hity. Statek pruje mętne wody Dniestru, zostawiając za

sobą betonowe blokowiska i monumentalne pomniki. Bezludne brzegi porastają gęste chaszcze i chylące się ku wodzie drzewa. Miasto zniknęło bez śladu. Rozpłynęło się w czarnej nocy. W świetle okrętowych reflektorów migają setki świetlików.

– Oj, takie Naddniestrze to ja kocham – Jana uśmiecha się uroczo.

# Rzeczpospolita naddniestrzańska

Nad rzeką cudowną stoi dom ojczysty.
Wioskę rodzinną Raszkowem zwiemy
I każdego roku jesteśmy zawsze twoi.
Ojczyzna bohatera, ojczyzna pracy.

Raszków, Raszków, góry i rzeka.
Raszków, Raszków, ojczysty kraj.
Raszków, Raszków, sławimy cię,
Ojczyzno nasza.

Ty bogata historią, ty bogata czynami,
Ty bogata miłością i bogata przyjaźnią,
Nie zapomnimy Cię, uwierz,
Dla przyjaciół zawsze miej otwarte drzwi.

Hymn Raszkowa

– Witajcie w Rzeczypospolitej Obojga Narodów – ojciec Marcin uśmiecha się, zatrzymując samochód przy lekko pordzewiałej metalowej tablicy informującej, że znajdujemy się w rezerwacie rzeki Iagorlîc wpływającej w tym miejscu do Dniestru. Jego wody spiętrzone przez hydroelektrownię w pobliskich Dubosarach utworzyły szeroki zalew, który pochłonął dawną wieś Jahorłyk. Ocalało ledwie kilka domów przyłączonych do wioski Gojany. W XVIII wieku stał w tym miejscu słup graniczny, na którym być może namalowano białego orła i litewską Pogoń. Na pewno były na nim napisy w trzech językach: polskim, tureckim i łacińskim. Według Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich jeszcze w 1841 roku na murowanym obelisku ustawionym 10 sążni od brzegu wciąż widoczny był napis „Anno 1703, granica, koniec Polski”. To były kresy Kresów. Najdalszy przyczółek cywilizacji łacińskiej, za którą były już tylko Dzikie Pola, Tatarzy, Turcy i mroki wielkiego stepu. Na tej krawędzi świata balansowała wieś Jahorłyk wywołująca

w polskich historiografach romantyczne skojarzenia. Eustachy Iwanowski, historyk przełomu XIX i XX wieku, w Rozmowach o Polskiej Koronie pisał: „Ten słup roku 1699 postawiony, zaraz po zawarciu Karłowickiego traktatu, jest jakby pomnikiem tego pokoju, który najsłodsze uczynił wrażenie i jakby portem był dla Polskiej ojczyzny. Któreż serce po tylu wiekowych pożogach nie było wzruszonym! Ten port bezpieczny, ten pokój święty tylko chwilowym był spoczynkiem, po którym na pełnym dziś morzu fale miotają rozbitym statkiem!".

Po słupie upamiętniającym wspaniały pokój wieńczący dwie dekady wojen z imperium osmańskim nie pozostał żaden ślad. Teraz wokół tylko Dniestr i jak zwykle pola słoneczników. Po granicznej rzece pływa kitesurfer, halsując od jednego do drugiego brzegu. Jego deska raz wpada do Naddniestrza, to znowu przeskakuje do Mołdawii.

Na północy naddniestrzańskie państwo staje się coraz bardziej widmowe. Brakuje sowiecko-rosyjskiego sztafażu, który atakuje w Benderach i stolicy. Jakby władzy centralnej zabrakło sił, żeby swą ideologię zanieść na północ. Pogranicze sprawia wrażenie bezpańskiego, dryfującego gdzieś ochłapu lądu. Jedyną stanicą świadczącą o zwierzchności Tyraspolu jest Rybnica. Miasto potężne swym przemysłowym majestatem. Rybnicka huta to jeden z największych tego typu zakładów w Europie odpowiadający za około połowę naddniestrzańskiego eksportu. A ponadto stąd pochodzi prezydent Szewczuk – to zawsze dodaje splendoru. Na głównym placu wybrukowanym betonowymi płytami stoi sobie Lenin. Ale i wódz rewolucji jest jakiś bardziej łagodny. Ręce zaplecione za plecami, płaszcz już nie rozwiany, tylko luźno opadający za kolana, czapka na głowie niefrasobliwie przekrzywiona. W kiosku sprzedawca z porannej prasy proponuje tabloidową „Komsomolskaję Prawdę" – edycję mołdawską. Na pierwszej stronie informacja, że oto Maria Szarapowa zarabia więcej niż Leonardo DiCaprio. Blond piękność gapi się wyzywająco, zza jej pleców wychyla się boski Leo i zaniepokojony drapie się po głowie, a na nich zmieszanym wzrokiem spogląda

towarzysz Iljicz. Bo niby dobrze, że udało się przytrzeć nosa hollywoodzkiemu fircykowi, ale ta Prawda miała być Komsomolska, robotniczo-chłopska. A tu celebryci, pieniądze, blichtr i szyk. Coś ten naddniestrzański komunizm zabrnął w ślepą uliczkę. W Rybnicy brakuje też czerwieni. Nawet umieszczona na szczycie dwudziestokilkumetrowego pomnika Wojennej Chwały gwiazda jest w kolorze złotym. Zaraz za rogatkami miasta droga biegnie przez kolejne słonecznikowo-kukurydziane pola, wspina się na niewielkie wzgórza przełamujące otępiającą płaskość krajobrazu i wreszcie opada do wioski Katerynówka. Tu też jest Lenin. Szczerozłoty, błyszczący w promieniach słońca, aż oczy bolą. Wołodia złoty siedzi na ławeczce, obejmując dwoje dzieci. Chłopiec i dziewczynka pokazują mu jakąś książkę. A on jest jeszcze bardziej dobrotliwy niż ten rybnicki. Północne Naddniestrze łagodzi obyczaje, osłabia rewolucyjną czujność, pozwala zatopić się w nierealności. Tutaj zaczyna się na poły nierzeczywista rzeczpospolita naddniestrzańska. W dolinie przede mną leży osławiony sienkiewiczowski Raszków.

Raszków składa się z zalesionych wzgórz zwanych przez miejscowych Górami Naddniestrzańskimi. Domów krytych eternitem, z których niektóre, opuszczone, tak obrosły bluszczem i innymi chwastami, że ledwie dachy wystają z zieleni. Ich mieszkańcy uciekli szukać miejsca dającego lepsze nadzieje na przyszłość.

– Roboty, panie, u nas ni ma, i z tego, co widzę, to raczej jeszcze długo nie będzie. Młodzi wyjeżdżają do Rybnicy albo jeszcze dalej, do Tyraspolu. Sami starzy ludzie zostają i nawet nie ma kto się nimi opiekować – odpowiedź przeciętnego mieszkańca Raszkowa na pytanie „co tam u was, w Raszkowie, słychać?” nie napawa optymizmem.

Krowy naddniestrzańskie schodzą do wodopoju i gapią się na krowy mołdawskie chłepczące wodę po drugiej stronie rzeki. Są tu ruiny synagogi z zachowaną menorą i aron ha-kodesz oraz stojące na wzgórzu kamienne mury na planie krzyża. To pozostałość po cerkwi

prawosławnej, w której Tymofiej Chmielnicki, syn Bohdana Chmielnickiego, miał brać ślub z księżniczką Ruxandrą, zwaną u nas Roksaną. Jest również przepięknie odrestaurowany kościół Najświętszej Maryi Panny i Świętego Kajetana wybudowany w połowie XVIII wieku, początkowo dla Ormian. Dookoła świątyni biegają dzieciaki, drąc się wniebogłosy. Misjonarze zorganizowali dla nich półkolonie, żeby miały w wakacje jakieś sensowne zajęcie.

– U nas się nawet cuda zdarzają. Widzisz tamto urwisko? – mówi ojciec Marcin, pokazując łyse zbocze, którego fragment przypomina kamieniołom. – Kiedyś zakonnice zabrały tam młodzież szkolną na piknik. Mieli rozłożyć się pod samym wzniesieniem, ale jakoś w ostatniej chwili zmieniły zdanie i zatrzymali się trochę dalej pod lasem. Nie minęła godzina, jak okolicę rozdarł potężny huk. Część skarpy oberwała się, zasypując podnóże setkami ton kamieni. Gdyby tam byli, to pewnie nikt by nie przeżył. I jak tu nie wierzyć w Opatrzność.

Portal prowadzący do legendarno-mistycznego wymiaru Raszkowa znajduje się w niepozornym domu w centrum miasteczka. Z zewnątrz od innych domostw odróżnia go tylko solidna brama z kutymi zdobieniami i broniący obejścia drewniano-kamienny płot. Ale nie jest to zwykły dom. Za wrotami wisi mosiężna tablica: „Dom Polski »Wołodyjowski« w Raszkowie”.

– Zobacz, na wzgórzu stoi kościół katolicki, tutaj są ruiny synagogi, a budowla na tamtym wzniesieniu to cerkiew prawosławna. Co jest pośrodku? – pyta z uśmiechem Marek Pantuła, honorowy członek Towarzystwa Kultury Polskiej „Jasna Góra”, obejmując wzrokiem Raszków. – Nasz wielokulturowy Dom Polski „Wołodyjowski”.

Marek miał pewnego dnia sen. Już wcześniej dużo jeździł na rumuńską Bukowinę i do Mołdawii. Współpracował z Polonią, organizował Bukowińskie Spotkania ze Sztuką. Ale do głowy by mu nie przyszło, żeby wybrać się do Naddniestrzańskiej Republiki Mołdawskiej. Bo przecież to państwo nieuznawane, geopolityczna czarna dziura, miejsce, do którego podobno lepiej się nie zapuszczać.

– Możecie mi nie wierzyć, ale którejś nocy przyśnili mi się Polacy w Naddniestrzu. Nigdy wcześniej ich nie widziałem, a oni w tak niezwykły sposób pojawili się w moim życiu. Nie miałem wyboru, musiałem tam pojechać. W ten sposób kilka lat temu poznałem się z niezwykłą kobietą, Natalią Siniawską.

Marek przedstawia drobną blondynkę o żywych, pełnych energii oczach.

– Zapraszam w nasze skromne progi. – Natalia, prezes Towarzystwa, przez solidną drewnianą bramę prowadzi nas do zadbanego domu. – Remont ciągle trwa, ale przyjeżdżają już do nas pierwsi goście. Powiedz wszystkim swoim przyjaciołom i znajomym, że u nas w Naddniestrzu też mamy swój skrawek Polski. To przecież dawne ziemie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Henryk Sienkiewicz wprost uwielbiał ten daleki kraniec świata nad przepięknie meandrującym Dniestrem, gdzie wszystko było dzikie, magiczne, mrożące krew w żyłach. Gdzieś tutaj miał stać gród warowny, w którym stacjonowali zagończycy pilnujący rubieży Rzeczypospolitej przed tatarskimi rozbójnikami nadciągającymi z owianego złą sławą Budziaku. Żądny zemsty, po wybiciu mu oka przez Baśkę Wołodyjowską, Azja Tuhajbejowicz poderżnął gardło staremu Nowowiejskiemu i obrócił twierdzę w perzynę, za co spotkała go później straszliwa kara. „Wśród gruzów Raszkowa, wśród nocy i pustki został tylko na wysokim palu sam Azja, syn Tuhaj-beja – i świecił długo…”

Niedaleko od Raszkowa leży straszny wąwóz Wołodynka zwany Czortowym Jarem. „Długie, czarne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżyca świeciły mocno jakieś białe, okrągłe lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie”. To w nim upiorna wiedźma Horpyna razem ze swoim sługą szpetnym karłem Czeremisem więziła przepiękną Helenę Skrzetuską. Rzędzian zastrzelił czarownicę, ale dla pewności przygniótł jeszcze jej pierś głazem z nakreślonym święconą kredą znakiem krzyża.

W wiosce Katerynówka przy wjeździe do Raszkowa rozłożył się cmentarz. Trawa po pas, pęta malin kaleczą ręce, krzewy splatają się w zwartą gęstwinę. Z tego naddniestrzańskiego buszu wychylają się pokryte mchem kamienne krzyże, obłupane marmurowe postumenty, wytarte nagrobne płyty. Większość z nich pochodzi z XIX i XVIII wieku, ale są i takie z szesnastego stulecia. Nazwiska swojskie: Przemyski, Radziwicz, Karpiński, Koszarska. Na zachowanej w nie najgorszym stanie kolumnie można przeczytać „Natalja z Piotrowskich Zalewska zmarła 12/24 grudnia 1873 r.”. Niektóre z nagrobków są jednak odnowione, a centralna alejka utrzymana w nienagannym stanie.

– To katolicki cmentarz, dlatego daty podawane są w dwóch kalendarzach. Juliańskim i gregoriańskim – opowiada Natalia Siniawska. – Cały czas pracujemy nad jego renowacją. Latem zeszłego roku pomagała nam grupa studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przyjechali do naszego Domu. Postawiliśmy murowane ogrodzenie z nową furtą, odnowiliśmy główną pierzeję, systematycznie restaurujemy pomniki. Dużo jeszcze zostało do zrobienia, ale jestem pewna, że niedługo groby naszych rodaków odzyskają dawny blask. Chcemy budować wspólnotę Polaków nie tylko w Naddniestrzu, ale przede wszystkim pomiędzy tutejszą Polonią a rodakami w ojczyźnie.

Przed I wojną światową w Raszkowie mieszkało 5400 ludzi, z których dużą część stanowili nasi rodacy. Proces wynaradawiania na pełną skalę rozkręcili dopiero Sowieci.

Serce rzeczypospolitej naddniestrzańskiej bije dziesięć kilometrów od Raszkowa. Autobus dojeżdża tam tylko raz w tygodniu. Podziurawiona jak sito asfaltowo-szutrowa szosa ponownie przecina obłędne słonecznikowe pola, mija posterunek celników pilnujących przejścia granicznego z Ukrainą i wypluwa podróżnych w kłębowisku drewnianych domków o malowanych na niebiesko okiennych ramach. W jednym z nich mieszka pani Mirosława. Jej chatka wygląda jak z obrazka o dobrych zamierzchłych czasach, gdy nie było jeszcze

przymusowej kolektywizacji, kołchozów i sowieckiej industrializacji wsi. Albo jak z jakiegoś pamfletu na cześć wspaniałego życia prostego ludu, wymyślonego przez pisarzy i artystów, którzy nie mieli bladego pojęcia, jak się żyje w chłopskiej zagrodzie. To miejsce jest jednak bez wątpienia prawdziwe i cudowne. Do bielonego domku idzie się przez swojskie podwórko odgrodzone od świata odrapanym drewnianym płotem. Brakuje tylko strzechy albo czerwonej ceglanej dachówki, bo zeżarł ją ponury szarobury eternit. Ale w środku nie ma już po nim śladu. W pokoju o drewnianym niebieskim suficie stoi wysoki tapczan nakryty wyszywaną kapą i usłany puchowymi poduszkami w haftowanych poszewkach. Ścianę przyozdobiono grubym brązowym dywanem w kwieciste wzory. Z zakamarków wychodzą święte obrazki: „Jezu, ufam Tobie", Maryja trzymająca na rękach Dzieciątko, pobożny ksiądz w aureoli chylący czoło przed monstrancją. Zaplątała się też ikona, choć to dom katolicki, nie prawosławny. A obok nich czarno-białe pozowane zdjęcia krewnych. Jest nawet monidło przedstawiające – o dziwo – nie nowożeńców, ale młodą panienkę z kokardami upinającymi skromną fryzurę. Osiemdziesięcioletnia gospodyni tego mikroświata jest zjawiskowa. Wręcz archetypiczna. W zielonej sukience przepasanej fartuszkami. W miękkich papciach opatulających stopy. W chuście zakrywającej siwe włosy. Lekko przygarbiona, ale energiczna. Mówiąca cichym, miłym głosem.

Siedzi za solidnym drewnianym stołem. Nakryty ceratą w słoneczniki blat zastawiony jest jedzeniem. Solanka, smażone jajka, zimne nóżki, sałatka ze świeżych pomidorów i ogórków, pachnące morele. Pośród tych przysmaków gospodyni kładzie plastikowe butelki wypełnione domowym czerwonym winem, proste flaszki po wódce skrywające siedemdziesięcioprocentowy samogon, bardziej wykwintne flakony zalane ciemnobursztynowym koniakiem pędzonym z rosnących w ogródku winorośli. Pani Mirosława z babciną gorliwością nakłada mi kolejne porcje jedzenia, nie mogąc uwierzyć, że brzuch mam wypchany do granic możliwości. Każdą dokładkę okrasza toastem. A to koniaczku, a to samogonu. W przerwach od mocnych trunków

dolewa wina i opowiada o swojej rodzinie. Im więcej opowiada, tym więcej dolewa. Im więcej dolewa, tym trudniej jest skupić się na tej opowieści.

– Tutaj zawsze była Ukraina! Ale ja mam wpisane w paszporcie „Polka" – mówi płynnym ukraińskim. Po polsku potrafi tylko się pomodlić i zaśpiewać pieśni religijne. – Za Sowietów nie mogliśmy uczyć się polskiego, dlatego pamiętam tylko modlitwy, których nauczyła mnie mama. Dobrze, że teraz młodzi znają mowę swoich przodków.

W Słobodzie działa jedyna w całym Naddniestrzu szkoła z językiem polskim. Towarzystwo polonijne we współpracy z misjonarzami organizuje dla młodzieży wyjazdy do ojczyzny.

– A co słychać u mojej rodziny w Polsce? Jejku, tak się cieszę, że nas odnaleźliście! Ile to już lat minęło, jak ostatni raz widziałam Piotra. – Starsza pani ma łzy w oczach. Kręci z niedowierzaniem głową, kiedy opowiadam jej historię, która doprowadziła mnie do jej stołu. Jeszcze w Polsce zupełnie przypadkowo poznałem Andrzeja, który na wieść o podróży do Naddniestrza oznajmił, że Piotr, jego dziadek ze strony ojca, pochodzi z tego państwa widma. – Jak wybuchła wojna, to Piotra wzięli do wojska i razem z Armią Czerwoną dotarł aż do Polski. Został ranny i w szpitalu poznał dziewczynę. Zakochał się i postanowił już tam zostać. Oczywiście dowódca nie chciał się zgodzić. Próbowali odesłać go z powrotem do ZSRR. Uratowała go polskość. Miał w paszporcie napisane czarno na białym „Polak". Zgodzili się, żeby został z ukochaną. – Ostatni raz odwiedził nas w latach sześćdziesiątych, jak budowaliśmy ten dom. Rodzina z Rybnicy jeździła do nich jeszcze kilkanaście lat temu. Podobno dobrze tam się u was w Polsce żyje – wzdycha.

Panią Mirosławę poznałem w kościele. Na mszy świętej gromadzi się prawie cała żeńska część wioski. Babuleńki okutane kolorowymi chustami, matki z dziećmi, młode dziewczyny. Kilku mężczyzn nieśmiało stoi przy drzwiach wejściowych. Patrzą ukradkiem,

mamroczą pod nosem słowa modlitwy. Większość ich kolegów wyjechała za chlebem za granicę albo siedzą w domach.

– Piją – mówi smutno jedna z parafianek.

Religijność to domena kobiet. Mszę koncelebruje polski misjonarz, sercanin ksiądz Marcin Januś. Nabożeństwo trwa grubo ponad dwie godziny i prowadzone jest w trzech językach. Wierni modlą się po ukraińsku, kazania słuchają po rosyjsku, a śpiewają po polsku. Kościół w Słobodzie to jak w wiekach średnich nie tylko miejsce spotkania z Bogiem, ale również bastion. Przez kilkadziesiąt lat broniono się w nim przed ateizacją i sowietyzacją. Wioska pierwotnie nazywała się Księdzówka, bo założył ją pod koniec XVII wieku ksiądz Wardieriesowicz, proboszcz parafii w pobliskim Raszkowie, który podobno osiedlił tutaj chłopów z „dalekich stron". Prawdopodobnie byli to włościanie z południowej Rzeczypospolitej. Dopiero w 1927 roku zdecydowanie zbyt katolicką nazwę wsi zastąpiono Słobodą Raszkowem. W kilka lat później raszkowski kościół zamieniono na magazyn i stolarnię. Pozbawieni swojego duszpasterza mieszkańcy Słobody zaczęli organizować religijną partyzantkę. Chcieli wznieść swój własny kościół, ale władze nie wydawały na to zgody i dwukrotnie siłą burzyły zaczątki nowej świątyni.

– Tutaj żyje twardy naród. Komuniści byli zawzięci, ale słobodzianie jeszcze bardziej. Nie da się zgodnie z prawem, nie idzie siłą, to trzeba podstępem. Totalitarny ustrój nauczył nas sztuki kombinowania – śmieje się ojciec Dima piastujący do połowy 2016 roku funkcję proboszcza słobodziańskiej parafii. – Obecny kościół to tak naprawdę przerobiony dom mieszkalny. Jego właścicielka systematycznie dobudowywała kolejne pomieszczenia, aż wreszcie powstała kaplica z prawdziwego zdarzenia. Nawet wieżę wierni wznieśli własnym sumptem.

Na uginających się nogach przemierzam błotniste drogi Słobody. Dom kultury wybudowany za Sowietów zamienił się w straszącą powybijanymi oknami ruinę. Podłogę w głównym holu pokrywa gruba

warstwa gruzu. Z namalowanego na ścianie rajskiego widoku pozostał tylko fragment palmy i błękitnego morza. Reszta rozsypała się w proch.

– Komuniści zamknęli nam kościół i postawili centrum kulturalne, żebyśmy mogli tam oddawać się przyjemnościom nowego świeckiego kultu. Bo ateizm to też religia, tylko że Jezusa Chrystusa zastąpił umysł i nauka. I widzisz, dom kultury się zawalił, a kościół, który sami sobie wybudowaliśmy, kwitnie – śmieje się Nina wyglądająca przez drzwi pobliskiego domku otoczonego zadbanym ogródkiem.

Ogórki, pomidory, ziemniaki, cebula. Na drzewach wiśnie, czereśnie i śliwki. Ludzie starają się być samowystarczalni.

– Romaszka, Romaszka. Chodź do mnie! – Kobieta stoi na ganku i głośno kogoś woła. Imię cokolwiek osobliwe, bo romaszka to po ukraińsku „rumianek”. Przybiega koza. Merda ogonem, łasi się i zajada owoce, którymi karmi ją właścicielka. Nina klepie ją po bokach. Romaszka zadowolona kładzie się na ganku i jak pies stróżujący obserwuje obejście. – Mąż umarł kilka lat temu, dzieci wyjechały do miasta szukać lepszego życia. Sama tutaj zostałam i tylko ona dotrzymuje mi towarzystwa – opowiada, głaszcząc kozę po głowie.

Z gospodarstwa Niny wyciąga nas wdowiec Roman. Po śmierci żony próbował poskładać dom do kupy, ale jakoś wszystko się porozłaziło. Pieniędzy nie było, pole leżało odłogiem, tylko winorośle rok w rok bujnie owocowały. Wypełnił więc czas produkcją czerwonego trunku.

– Kim to ja nie byłem? Obywatelem sowieckim, Mołdawianinem, Ukraińcem i oczywiście Naddniestrzaninem. – Roman wyciąga z oblepionej warstwą brudu szuflady pliczek paszportów. Kula ziemska z sierpem i młotem, tur, tryzub i wreszcie godło Naddniestrza. – Ale zobacz, we wszystkich wpisane jest to! – Kartkuje poszczególne dokumenty i triumfalnie wskazuje zapisaną w rubryczce narodowość: „Polak”. – Większość życia przeżyłem w Sojuzie i nikt się nie zastanawiał, czy to jest Mołdawia, czy Ukraina, czy cholera jeszcze wie co. Jak się Związek posypał, to okazało się, że Słoboda leży na mołdawskiej ziemi. A i niech sobie będzie w Mołdawii. Mnie to tam

rybka. Ale politycy postanowili namieszać. – Zaciąga się głęboko śmierdzącym papierosem bez filtra. – Wysłali ludzi, żeby do siebie strzelali. I teraz mamy Republikę Naddniestrzańską. A jakie to ma znaczenie. Nędza jaka była, taka jest. Zrobiłem sobie ten ukraiński paszport, żeby mieć jakiś normalny dokument. Ale ja urodziłem się Polakiem i Polakiem umrę.

Wieczorem lokalna młodzież zbiera się przy ruderze, która kiedyś pełniła funkcję domu dziecka. O 21.00 w remizie obok startuje dyskoteka.

– Chcesz żyć normalnie, to musisz wyjechać. Nie tylko dla siebie, ale też dla rodziny. Żeby jakieś pieniądze do domu przesyłać. Wpadłem na wakacje do rodziców, ale na jesień znowu wracam do roboty w Rosji – mówi Kola, trzydziestoparoletni mężczyzna napotkany w sklepie spożywczo-monopolowym.

– A gdzie pracujesz? W Moskwie? – pytam.

– W jakiej tam Moskwie. W Magadanie. Wiecie, gdzie to? Na Kołymie. Muszę się nacieszyć tymi słonecznikami. Tam zimno, ciemno i dziko. Ale płacą dobrze. To najważniejsze.

Nie tylko Słoboda, ale całe Naddniestrze to kraina emerytów. Na początku lat dziewięćdziesiątych mieszkało tutaj prawie 600 000 ludzi. Władze zarzekają się, że nic się nie zmieniło, bo zgodnie z oficjalnymi danymi w 2004 roku nad Dniestrem żyło 546 500 osób. Ale badaniami łatwo manipulować. Co z tego, że ktoś ma obywatelstwo nieuznawanej republiki, jeśli w rzeczywistości mieszka za granicą. Nieoficjalne statystyki mówią, że tak naprawdę liczba ludności to 300 000, może 350 000. Naddniestrze jest demograficzną pustynią. Za Sowietów do Naddniestrza masowo przyjeżdżali emerytowani radzieccy wojskowi, zmęczeni wieloletnią służbą na rubieżach Sojuza. To oni napędzają marzenia o starych dobrych czasach i nigdzie się ruszać nie zamierzają. Ale młodzi wiedzą swoje. Trzeba się wyrwać, żeby coś osiągnąć.

Na potańcówce dudni przede wszystkim rosyjska popsa. W tym sezonie furorę robi też kawałek Ja cię kocham ukraińskiego zespołu popowo-kabaretowego Dzidzio. Chłopaki szpanują motocyklami. A dziewczyny tańczą i marzą o kolorowym życiu oglądanym w telewizji i internecie.

– Podoba ci się w Słobodzie? – pyta, trzepocząc rzęsami, młoda panienka i przy okazji puszcza z telefonu przebój Dzidzio. „Ja cię kocham, I love you, ja tebe kochaju, ja tiebia lublu".

– Pewnie, że tak! Cisza, spokój, po horyzont nic tylko słoneczniki i kukurydza. Owoce super, wino jeszcze lepsze. Ludzie z sercem na dłoni. Przyjęli mnie jak rodzinę, choć nigdy mnie wcześniej na oczy nie widzieli. – Jestem szczerze zachwycony Słobodą.

– Tak, tak. To co, może się do nas przeprowadzisz? – Dziewczyna kiwa głową.

Dzidzio wyśpiewuje: „Ty zadzwoniłaś, że przestałaś mnie kochać i wyjeżdżasz do Ameryki".

– Tak żeby od razu się przeprowadzać, to może bez przesady…

– Sam widzisz – wchodzi mi w słowo – w Słobodzie wszystko takie piękne i ładne, jak się przyjedzie na weekend. Tak jak ty. Wpadłeś na kilka dni i zaraz sobie pojedziesz. Posnujesz się po polach, napijesz winka i samogonu, pojesz wiśni. A my tutaj zostaniemy.

„Ty jedziesz do Stanów, bo szukasz nowej namiętności". Dzidzio nie odpuszcza, aż jakieś psy zaczynają wokoło wściekle ujadać.

– Ja też wyjadę. Jeszcze nie wiem gdzie i kiedy, ale wyjadę. Może do Ameryki albo przynajmniej do Polski… – Dziewczyna puszcza oko i wybucha śmiechem.

Przed powrotem do Tyraspolu na plebanię, gdzie nocuję, zachodzi jeszcze pani Mirka.

– Jak wrócisz do domu, to koniecznie pozdrów ode mnie Andrzejka i całą jego rodzinę. Oj, sama pojechałabym z tobą do Polski, ale jestem już stara. Jak byłam młoda, to nie chcieli nas puszczać, a teraz

całe życie już przeszło. – Starsza pani obejmuje mnie i całuje w policzki na pożegnanie.

Rzeczpospolita naddniestrzańska nie kończyła się jednak na Słobodzie Raszkowskiej. Jej odpryski dotarły dalej na południe. Do Tyraspolu.

– Niemiec, Polak i Rusek wystartowali w konkursie picia wódki – opowiada opozycjonista, redaktor naczelny gazety „Człowiek i Jego Prawa" Nikołaj Buczacki. – Na blacie stoją w szeregu: malutki kieliszek, szklanka, pół litra, litr, wiadro, beczka. Niemiec zaczął od kieliszka, dobił do litra i spadł pod stół. Polak też zaczął od naparstka, wytrzymał do wiadra, ale w końcu stracił przytomność. Za to Rusek przyjął inną taktykę. Najpierw ciach cała beczka, potem wiadro, literek, połóweczka, szklanica i nagle się zatrzymał. Jury zdumione mówi, żeby wypił też ten naparsteczek. A na to Rusek kategorycznie pokazuje ręką, że dosyć i triumfalnie dodaje: „Nie mogę. Człowiek radziecki zna swoją miarę!". – Nikołaj Buczacki wybucha gromkim śmiechem, jednocześnie nalewając solidny kubek domowego wina. – Za ludzi radzieckich, żeby znali swoją miarę.

Wznosi toast, puszczając przy tym oko i przegryzając pielmieniami maczanymi w occie pomieszanym z vegetą. W przydomowej piwniczce ma jeszcze ponad osiemset litrów czerwonego trunku. Jego dom się sypie. Tapety odpadają od ścian, dach chyli się ku ziemi, betonowy chodnik popękał i zarósł trawą. Ale ogródek utrzymany jest w nienagannym stanie. Pomidory, ogórki, ziemniaki, kabaczki i wreszcie winorośle, z których gospodarz jest szczególnie dumny. Z tego szczepu tyle kilogramów słodkich owoców, z tamtego mniej, ale za to bardziej wytrawnych. Czule dotyka pędów i surowo gani mnie, gdy przez przypadek wdeptuję w świeżo posadzoną zieloną paprykę.

– Naddniestrzańskie dziewczyny są takie piękne, bo chowamy je na domowych pomidorach i ogórkach. Żadnej chemii, tylko żyzna gleba, słońce i pańskie oko, które kabaczka tuczy. To taki mój mały dworek szlachecki. A wiadomo przecież, że szlachcic na zagrodzie równy

wojewodzie – znowu się uśmiecha. – Jestem Polakiem. Przecież Buczacki to polskie arystokratyczne nazwisko. Moi przodkowie należeli do magnaterii. Michał Buczacki był starostą halickim i wojewodą podolskim. To on w imieniu króla Polski odebrał hołd lenny od hospodara mołdawskiego Stefana II. Mój przodek oddał Besarabię w polskie ręce. Wprawdzie od tamtych czasów minęły całe wieki, ale ciągle czuję w sobie Rzeczpospolitą. Jest we mnie obok Ukrainy i Mołdawii. To jest właśnie Naddniestrze. Kraina pogranicza.

Nikołaj długo opowiada o protoplastach swego rodu walczących na rubieżach królestwa polskiego przeciwko Stefanowi III Wielkiemu, a potem wspólnie z nim przeciwko Turkom. Miejsca bitew przeplatają się z imionami królów, możnowładców i bitewnych wodzów. W tym kalejdoskopie pojawia się Jan I Olbracht, Aleksander Jagiellończyk i okryty mroczną sławą Wład Palownik zwany Drakulą.

Rodowa siedziba Nikołaja – Buczacz – leży na Ukrainie, ale jego miastem stał się Tyraspol. Dworek naszego gospodarza znajduje się w rejonie kirowskim, kiedyś przemysłowej perle miasta. Industrialne molochy przytłaczają. Kominy, hale produkcyjne, taśmociągi wyglądają na wymarłe. Zatrzymane w zarastającym mieście.

– Kiedyś wszystko chodziło pełną parą. Ale czasy się zmieniły. Jedne zakłady zbankrutowały, inne rozkradli. Kombinaty obracają się w ruinę. Wprawdzie ciągle działa fabryka maszyn elektrycznych Elektromasz, ale to tylko cień dawnej świetności. Przynajmniej powietrze mamy czyste – opowiada Petro, sąsiad Nikołaja, któremu udało się wybudować niewielką willę. Zaproszenia na symboliczną szklankę wina nie przyjmuje. Ma za dużo spraw na głowie. Obrotny gość. Najpierw jeździł na TIR-ach, a potem sam założył firmę transportową. Z pracownika przedzierzgnął się w biznesmena. W wydumanym skansenie komunizmu wziął sprawy w swoje ręce i wykazał się przedsiębiorczością godną prawdziwego kapitalisty. – Były czasy, że często jeździłem do Polski. Jabłka woziliśmy, ale potem sprawy się posypały. Sam wiesz, embargo i tak dalej. Ale spokojnie, jeszcze będę u was robił biznesy.

Petro z ufnością patrzy w przyszłość. Tylko na wakacje boi się wyjeżdżać, bo złodziejstwo w Tyraspolu straszne. Ciągle komuś się do domów włamują.

W czasach sowieckich Naddniestrze pełniło funkcję gospodarczego serca Mołdawskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na tym niewielkim terytorium wytwarzano 90 procent energii elektrycznej zużywanej przez Mołdawię, skupiono 80 procent całej produkcji przemysłowej i wypracowywano 40 procent mołdawskiego PKB. Oderwanie się Naddniestrza sprawiło, że Mołdawia nagle została odcięta od ciężkiego potencjału wytwórczego. Zostały jej winnice i olej słonecznikowy. Oto i patent na uzależnienie Mołdawii od rosyjskiej macierzy. Niby niepodległa, niby na gruncie prawa międzynarodowego mająca uzasadnione pretensje do zbuntowanej republiki, a tymczasem gospodarczo zależna od naddniestrzańskiego strzępka lądu.

Nikołaja pieniądze niespecjalnie interesują. Poza swoim dworkiem ma jeszcze mieszkanie w centrum Tyraspolu, ale tam woli się nie spotykać. Półgębkiem wspomina o podsłuchach, jakie mogło założyć mu KGB. Obecnej władzy nie znosi, ale Naddniestrze i Tyraspol kocha nad życie. To o nie z bronią w ręku walczył na początku lat dziewięćdziesiątych. Urodzony w prawobrzeżnej części Mołdawii Nikołaj miał wtedy czterdziestkę na karku i wygodną posadę dyrektora miejskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego. Do armii zgłosił się na ochotnika. Chwycił za karabin, bo bał się rumuńskiego nacjonalizmu.

– W trakcie II wojny światowej sprzymierzeni z Hitlerem Rumuni dopuszczali się tutaj straszliwych zbrodni. Mój ojciec opowiadał, jak terroryzowali rodzinę. Kuzyna prawie na śmierć pobili. Komunizm to była chora ideologia, ale faszyzm jest jeszcze gorszy. A na początku lat dziewięćdziesiątych Rumuni z Mołdawii byli zaślepieni faszystowsko-narodową ideologią Wielkiej Rumunii. Nie mogłem pozwolić, żeby koszmar z lat czterdziestych się powtórzył. Musiałem walczyć. Naszym wrogiem są nie Mołdawianie, ale nacjonaliści rumuńscy.

Powszechnie wykorzystywany propagandowo przez Kreml straszak faszyzmu ma akurat w Naddniestrzu silne historyczne podstawy. Rumuni pod przywództwem dyktatora Iona Antonescu wymordowali od 280 000 do 380 000 Żydów oraz 11 000 Romów, przede wszystkim z Besarabii oraz Bukowiny. Zbrodni dokonywano na terenach Transnistrii, czyli „zadniestrza", obejmujących dzisiejsze Naddniestrze oraz przyległe ziemie ukraińskie. Przez całe dekady komunistycznych rządów Ceaușescu Bukareszt konsekwentnie odrzucał oskarżenia o udział w ludobójstwie, a pamięć o tych wydarzeniach została odgórnie wymazana ze świadomości zbiorowej. Dopiero w 2004 roku specjalna Międzynarodowa Komisja do spraw Holokaustu w Rumunii pod przewodnictwem Eliego Wiesela jednoznacznie wskazała, że Rumuni są współwinni Zagładzie. W tym samym roku ustanowiono rumuński Narodowy Dzień Pamięci Holokaustu, a w 2015 roku spenalizowano kłamstwo oświęcimskie, a także wprowadzono zakaz promowania Żelaznej Gwardii, skrajnie faszystowskiej i antysemickiej organizacji z czasów wojny.

Demony rumuńskiego nacjonalizmu jednak pozostały i są skrzętnie wykorzystywane przez Tyraspol do budowania naddniestrzańskiej tożsamości. Tam za Dniestrem są ci krwiożerczy narodowcy pragnący zaprowadzić jedynie słuszny rumuński mir, a u nas jest harmonijnie współistniejące wieloetniczne społeczeństwo, od którego Europa mogłaby się uczyć tolerancji.

– Naddniestrze, w przeciwieństwie do mołdawskiej Besarabii, było od zawsze wielonarodowościowe: Ukraińcy, Mołdawianie, Rosjanie. Czwartą grupą są Polacy, ale to już wiesz, skoro byłeś w Raszkowie. Do tego dochodzą Bułgarzy, Gagauzi, a nawet Grecy! Wszyscy obok siebie jak w Rzeczypospolitej Obojga Narodów. To za Rzeczpospolitą! – Wielonarodowościowość niczym magiczne hasło ma otwierać drzwi do naddniestrzańskiej niepodległości. Buczacki wznosi toast i duszkiem wypija szklanicę wina.

– Sławik, dobrze, że jesteś! – Nikołaj zapraszającym gestem macha na mężczyznę, który nagle pojawia się w otwartych na oścież drzwiach

wejściowych. – Jednej nocy byliśmy na zwiadzie na brzegu Dniestru i nagle dostrzegłem mołdawskiego żołnierza maszerującego wzdłuż rzeki. Świecił księżyc, chłopaka było widać jak na dłoni. Chyba mu rozum odebrało, że tak wylazł nad wodę. Patrzyłem przez celownik kałasznikowa, a on sam wchodził mi pod lufę. Mogłem go zastrzelić tak, że nawet by się nie zorientował, skąd przyszła kula. Ale nie chciałem mordować. Opuściłem karabin. Ja żyję, a on pewnie nie ma nawet pojęcia, jak niewiele dzieliło go od śmierci. Sławik też był ochotnikiem. Całą wojnę służyliśmy. Od 17 marca do 2 sierpnia – opowiada Buczacki, który chciał walczyć z faszystami, ale niespecjalnie chciał zabijać.

Po wojnie Buczacki, pomny rodzinnej tradycji, zabrał się do polityki i szybko zrobił spektakularną karierę. Został pierwszym merem Tyraspolu. Jego przodkowie mieli Buczacz, a on władał nad Dniestrem.

– To ja podarowałem teren pod pierwszy sklep Sheriffa. Pamiętam jak dzisiaj, że przyszło do mnie dwóch takich chłopaczków. Od razu widać było, że to młode, wygłodniałe wilczki. I na dodatek jeszcze Gagauzi, a ci to mają łeb do interesów. U nas mawia się, że nikt nie pije jak Rusek, nie jest tak gościnny jak Mołdawianin, taki pracowity jak Bułgar, taki wyniosły i zadzierający nosa jak Lach, czyli wy, moi drodzy Polacy, i wreszcie nikt nie jest tak zawzięty jak Gagauz. A tych dwóch Gagauzów było diablo zawziętych i obrotnych. Dostali pusty magazyn i zrobili z niego centrum handlowe, jakiego w tamtych czasach nie było ani w Odessie, ani w Kiszyniowie. Ludziom gały z orbit wychodziły. – Nikołaj z nieukrywaną nostalgią wspomina dawne czasy. – Mamy jeszcze jedno porzekadło: nikt nie jest diabeł, ale i nikt nie jest anioł. Oni aniołami bez wątpienia nie byli. Konkurencji po drodze do sukcesu wystrzelali co niemiara. Nie patyczkowali się. Ktoś im podpadł, to kula w łeb albo bomba w samochodzie. Chciałoby się rzec, że czorty w ludzkich skórach. Ale oni rozkręcili ten biznes i pomogli postawić na nogi

naddniestrzańską gospodarkę. A że mordowali… No cóż, takie były czasy. Nie ty ich, to oni ciebie – wzdycha.

Od tego czasu żółtawe gwiazdy obsiadły całe Naddniestrze. Pięć złotych ramion zakończonych kulkami i przeciętych napisem „Sheriff" wisi na supermarketach, stacjach benzynowych, bilbordach. Gwiazda stróżów prawa z Dzikiego Zachodu jest namalowana lekką, komiksową kreską. Doskonale komponowałaby się z kreskówkami o dzielnym kowboju Lucky Luke'u. Nie jak ponura, grubo ciosana czerwona gwiazda, która pasuje tylko do patetycznych monumentów, wielkich parad wojskowych i napuszonych militarnych uniformów. Sheriff naddniestrzański jest komiczno-przyjemny. Można u niego kupić flaszkę i pikle na zagrychę. U Szeryfa można zatankować auto albo obejrzeć film, bo Sheriff to również kanał telewizyjny. Szeryf daje chleb i zapewnia igrzyska, sponsorując drużynę Sheriff Tyraspol, która gra w mołdawskiej lidze, od 2000 roku czternaście razy zdobyła mistrzostwo Mołdawii i reprezentuje ją w europejskich rozgrywkach. Wreszcie Sheriff szarpnął się na tyraspolski Circus Maximus i za 200 milionów dolarów wybudował stadion na ponad 13 000 widzów, na którym mecze międzynarodowe grywa nawet mołdawska reprezentacja narodowa. Za tą komiksową gwiazdą stoi potężna biznesowo-polityczna korporacja. Założona na początku lat dziewięćdziesiątych przez byłych oficerów KGB Victora Gușana i Ilię Kazmalîego firma przez dwie dekady rozrosła się do holdingu kontrolującego praktycznie każdą sferę życia, z której da się wycisnąć jakiekolwiek pieniądze. Holding jest największym pracodawcą i płatnikiem podatków w Naddniestrzu. Ot, czerwonoarmijna gwiazda zamieniła się w kapitalistyczną, mieniącą się złotym kruszcem, szeryfowską odznakę. Żeby przetrwać, trzeba iść z duchem czasów!

W 2000 roku Sheriff poszedł krok dalej i powołał do życia swoją parlamentarną reprezentację, partię Odnowienie. Szefowie firmy z marszu zostali deputowanymi. Ugrupowanie od początku doskonale wyczuwało polityczne wiatry docierające nad Dniestr z Kremla. Latami wspierało prezydenta Igora Smirnowa, potem wypracowało

kompromis z Jewgienijem Szewczukiem, a kiedy ten postanowił ukrócić szeryfowskie rządy, zwróciło się przeciwko niemu. Szeryfowie, jak to z szeryfami bywa, zaprowadzają swoje porządki i żartów z nimi nie ma.

Buczacki miastem rządził przez prawie dekadę, a potem czasy się zmieniły i z człowieka systemu stał się człowiekiem opozycji. Tamci kupowali wille i terenowe lexusy, a on marzył o demokratycznym Naddniestrzu. Założył gazetę „Człowiek i Jego Prawa", zaczął występować na międzynarodowych konferencjach w Warszawie, Brukseli, a nawet wrogiej Rumunii. Próbuje opowiadać o wolności w państwie widmie, które wielu jego słuchaczy traktuje jako egzotyczną ciekawostkę albo ewentualnie rosyjską forpocztę w regionie. Jedyną sprawą, jaka przebiła się do szerszej świadomości europejskich obrońców praw człowieka, był przypadek Iliego Ilaşcu, polityka walczącego o prawa ludności rumuńskojęzycznej w Naddniestrzu. W 1992 roku aresztowano go wraz z trzema towarzyszami i oskarżono o zabicie dwóch naddniestrzańskich oficjeli. W pokazowym procesie Ilaşcu, domniemany szef grupy spiskowców, został skazany na śmierć przez rozstrzelanie, a jego kompani na wieloletne kary więzienia w obozach pracy o podwyższonym rygorze. Ostatecznie Tyraspol ugiął się pod presją społeczności międzynarodowej i Iliaşcu został zwolniony w 2001 roku, a kilka lat później Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł o odpowiedzialności Rosji – jako państwa mającego realny wpływ na działania władz zbuntowanej republiki – za bezprawne uwięzienie mężczyzn.

– Nie miejcie żadnych złudzeń. Nasze władze nie przestrzegają podstawowych praw człowieka. Choćby prawa do godnego życia! Nie wspominam już o represjach, torturach. Na porządku dziennym było tłuczenie plastikową butelką wypełnioną wodą. To doskonała metoda, bo prowadzi do odbicia organów wewnętrznych, na przykład nerek, ale nie pozostawia na ciele żadnych śladów – wspomina Buczacki.

Naddniestrzańska bezpieka miała podłączać ludzi do akumulatorów albo godzinami trzymać podwieszonych do sufitu za ręce tak, że odchodziła z nich krew i tracili czucie w dłoniach. Nikołaj szybko znalazł się na celowniku KGB. Jak dotychczas uniknął aresztowania. – Pod koniec grudnia 2004 roku nieznany sprawca oblał mnie na ulicy żrącą cieczą. Na szczęście słabo wycelował i większość poszła na ubranie. Uniknąłem poparzeń. Nie oczekuję uznania. Widzicie, ja od dwudziestu lat walczę z naszą władzą. Walczyłem z pierwszym prezydentem Smirnowem, teraz walczę z Szczewczukiem, a pewnie niedługo przyjdzie mi walczyć z Krasnosielskim, którego będę wspierał w nadchodzących wyborach prezydenckich. Bo ja nie znoszę niesprawiedliwości. Moim wrogiem jest każdy, kto chce zbudować na ludzkiej krzywdzie swoje własne imperium. W moich żyłach płynie polska krew. Jestem buntownikiem – dodaje.

Rozmowę przerywa donośne pianie koguta i ujadanie odszczekującego psa Nikołaja. Wsi spokojna, wsi wesoła. Daleko stąd do ponurych katowni KGB.

– To ja może przyniosę trochę koniaczku. Też domowej roboty!

Buczacki rozkłada ręce, odganiając na bok nieprzyjemne cienie przeszłości. Schodzi do piwniczki i po chwili wynurza się, a w rękach trzyma ogromny gąsior wypełniony ognistym trunkiem. Ma chyba z metr wysokości.

– Koniaku robię mniej niż wina. Raptem kilkadziesiąt litrów, ale za to jak wybornych. Sam skosztuj. To za co tym razem? Jak Rzeczpospolita, to Rzeczpospolita. Za demokrację. – Unosi szklanicę. – Sławik, a ty co o tym wszystkim myślisz? – pyta swojego przyjaciela zawzięcie krojącego pomidory.

– A co ja mam myśleć? Emerytury niskie, ceny wysokie, gówno, nie życie. Stalin i Beria zrobiliby z tym wszystkim porządek. – Sławik ma dosyć prostą receptę na trapiące go bolączki. Komunizm wspomina z nostalgią. Wtedy to tutaj było życie. Jeden z najbogatszych regionów ZSRR. Ciepły klimat, smaczne wino, doskonały koniak.

– Widzisz, Sławik ma takie swoje przyzwyczajenia. Na przykład je tylko łyżką. Nie daj Boże widelcem. Wino w szklance zawsze trzeba mu nalać do pełna, po sam rancik. Inaczej nie wypije. A poza tym wiesz: Beria, Stalin. A to dlatego, że Sławik to inopłanietianin. No, kosmita. Czasami leci do swoich pobratymców. Tam mija kilka miesięcy, a u nas raptem piętnaście minut. A czasami oni odwiedzają Sławika w jego nowej ojczyźnie. Na planecie Naddniestrze. – Nikołaj wybucha głośnym śmiechem, a Sławik dolewa sobie wina. Tak, żeby było aż po sam rancik.

# Odeska Republika Ludowa

Jeśli nie jesteś aktorem, to jesteś oszustem,
Jeśli jesteś muzykiem, jesteś spekulantem.
Pod południowym słońcem moje miasto kwitnie,
Śmieje się z dowcipów i śpiewa piosenki.
Przejdę i posłucham mowy południowej.

Czy wiesz, że musisz chronić Odessę?
Uśmiechnięty książę na bulwarze.
Z drugiego włazu na niego nie patrzę.
Wyciągnie rękę i powiem mu:
„Jestem dumny, że tu się urodziłem i tu mieszkam”.

Chizh & Co., Wycieczka po Odessie

Ach, Kuczurhan, Kuczurhan. Ta nazwa pachniała dla mnie czymś magicznym. Stepami akermańskimi, tatarskimi ordami, dzikością Wschodu. Sienkiewiczem i Mickiewiczem. Ekscytowałem się tym Kuczurhanem, jeszcze zanim tam dojechałem. Ale mój romantyczny zapał nijak się miał do postawionych pośród umęczonych słońcem traw budek pograniczników.

Na dziurawym moście pomiędzy Naddniestrzem i Ukrainą stoi na wpół spalony wrak samochodu osobowego. Na jego masce siedzi chłopak o cwaniaczkowatym wyrazie twarzy. Z zawieszonej na pasku „nerki” wystają mu grube pliki banknotów.

– Ej, masz jakieś ruble naddniestrzańskie, to sprzedawaj. To i tak śmieci. Nikt w normalnym świecie ich nie przyjmie. A może chcesz jakieś dolary albo euro wymienić? Dam ci dobry kurs na hrywny. – Spada na mnie jak sęp, a ja poddaję się bez walki, oddając wymięte Suworowy i carycе Katarzyny II Wielkie.

Razem ze mną do „normalnego świata” maszerują kobiety obwieszone wypełnionymi po brzegi torbami w kratę. Każda wręcza celnikowi niebieski ukraiński paszport. Po drugiej stronie nie jest

lepiej. Sypiący się sklep sprzedający tanie piwo i na wpół rozmrożone lody, kursujące do Odessy marszrutki upchane torbami i kolejny waluciarz plujący pod nogi pestkami prażonego słonecznika. Świat „uznawany” nie różni się jakoś szczególnie od tego „nieuznawanego”. Za to osiemdziesiąt kilometrów dalej rozciąga się alternatywna rzeczywistość.

Deribasowska wibruje alkoholem, szykiem i seksem. Jest na niej wszystko. Luksusowe knajpy, offowe burgerownie, uliczni grajkowie, nocne stripkluby. Ukraińskie la dolce vita. Po głównym odeskim deptaku spacerują smukłe dziewczyny w kusych szortach, opaleni faceci w modnych marynarkach, hipsterska młodzież w lumberseksualnych brodach. Dobre, bardzo dobre samochody warczą mocnymi silnikami i błyskają ledowymi światłami. Odessa lśni tak, że aż oczy bolą. Ta rwąca rzeka zabawy płynie w stronę bulwaru Przymorskiego i tam rozbija się o mikro-Majdan. Fragment placu przed ratuszem ogrodzono metalowym płotem, zatknięto ukraińskie flagi i powieszono transparenty. „Ukraina zaczyna się w Odessie”, „Odessa bez Truchanowa” (oskarżanego o powiązania z Rosją mera miasta), „Odessa w niewoli bandytów i separatystów, którzy wyglądają jak ukraińska władza”. Obok zdjęcie rzeczonego mera i jego kumpli z ratusza podpisane: „separatyści”. Wewnątrz ustawiono wystawę zdjęć z walk na kijowskim placu Niepodległości. Pod zdobytą na Angolach w połowie XIX wieku armatą z fregaty Tygrys ułożono kilka przedmiotów z Donbasu. Jakiś odłamek, fragment pocisku moździerzowego, napis „Chwała wojownikom ATO”, czyli ukraińskiej operacji antyterrorystycznej, jak oficjalnie określa się strefę działań wojennych na Donbasie.

Malutki chłopczyk opiera się o lufę, a ojciec z zapałem strzela mu zdjęcia smartfonem. Za bramą obowiązuje moda militarna. Bojówki, wojskowe kurtki w plamy maskujące, wysokie buty taktyczne. Twarze zmęczone i niedogolone wpatrują się w telewizor wyświetlający jakiś kretyński reality show.

– Co wy, kurwa, ruską telewizję oglądacie??? Zmieńcie kanał! – krzyczy starszy mężczyzna.

– Daj spokój, śmieszne to, co się czepiasz? – odburkuje jeden z majdanowców.

Tamten zrezygnowany wzrusza ramionami, a dostrzegłszy mnie, zaczyna szybko tłumaczyć:

– Jesteśmy weteranami i Majdanu, i wojny na wschodzie. Protestujemy tutaj od trzech miesięcy, bo tego nie da się już dłużej wytrzymać. Od dwóch lat nic się w kraju nie zmieniło. Tylko nasi chłopcy giną pod Donieckiem. Bandyci siedzą u koryta, przyspawali się do stołków i kradną, co się da. Nasz tak zwany mer to gangster i ruski agent. Wybory władz lokalnych z 2015 roku zostały sfałszowane. Truchanow był przewodniczącym odeskiej Partii Regionów. I co? I nic. Teraz śmieje się nam w żywe oczy. – Mężczyzna kipi wściekłością i próbuje dać jej upust.

Imprezowa rzeka zamiast wpłynąć do majdanowej zatoki i przejąć się postulatami buntowników, jak o falochron rozbija się o antyrządowe barykady, sunąc dalej bulwarem. Dwóch wystylizowanych chłopaków zatrzymuje się na chwilę przed zdjęciem łysej głowy Truchanowa i rzuca pod nosem:

– Cholera, dla nich wszyscy to separatyści.

Tłumek z pięćdziesięciu gapiów zgromadziła za to grupa breakdancerów robiących fikołki na bruku. Dosyć marnie im to wychodzi, bo jeden tak się wywalił, że mu czapka spadła. Śmiechu jest co niemiara. Odessa podobno lubi się śmiać. Słynne Schody Potiomkinowskie są akurat w remoncie i ludzka rzeka zamiast spłynąć nimi do portu, grzęźnie przed blaszanym płotem odgradzającym plac robót. Tę sytuację skrzętnie wykorzystuje miś. Konkretnie niedźwiedź polarny wysoki na dwa metry z gustowną muszką u szyi. Miś chodzi w tę i we w tę, buja się na boki i zagarnia turystów. Czochra ich po głowach i pozuje do zdjęć.

– Chodź, zrobię ci zdjęcie z księciem de Richelieu – chwyta mnie za ramię fotograf, celując prosto w twarz canonem.

– Jakim Richelieu? – bełkoczę zdezorientowany, myśląc o trzech muszkieterach i demonicznym kardynale z powieści Aleksandra Dumasa.

– No tym, tym – pokazuje na statuę francuskiego arystokraty Armanda Emmanuela du Plessis, księcia Richelieu, gubernatora Odessy i całej Noworosji, który zapisał się złotymi zgłoskami w historii miasta jako twórca odeskiego portu. Zasłużonego męża wciśnięto w togę i nałożono mu na głowę wieniec laurowy. – Zobacz, on trzyma w dłoni zwój. Widzisz?

– Widzę, widzę. I co z tego?

– A teraz spójrz z profilu, pod kątem, o tak! – Facet ciągnie mnie za rękę i ustawia w odpowiedniej pozycji, kierując moją głową tak, że trzymany przez czcigodnego księcia pergamin przypomina jego członka. – Śmieszne, co?! Chcesz fotkę, możesz go na przykład złapać za… zwój. Wprawdzie lepiej to wychodzi z dziewczynami, no ale zawsze… To znaczy nie, żebym coś sugerował… – Fotograficzny komiwojażer trochę się zaplątuje w opowieści, widząc moje piorunujące spojrzenie, i zostawia mnie w spokoju, po czym rzuca się na spacerującą obok parę.

– To miasto żartu. Takie z przymrużeniem oka. Tutaj, żeby przetrwać, trzeba mieć do siebie dystans – tłumaczy później ksiądz Jan Dargiewicz, misjonarz z pobliskiego miasta Rozdilna, który zęby zjadł na odeskim ludzie.

Deribasowska rzeka wieczorami spływa do położonej na przedmieściach Arkadii. Tam jest już jazda bez trzymanki. Nie jakaś wergiliuszowska kraina wiecznego spokoju i szczęśliwości, ale podkręcone do granic wytrzymałości Las Vegas Europy Wschodniej. Wyłożony granitowymi płytami deptak otaczają szpalerem bary, restauracje i kluby nocne. W Arkadii zebrano cały świat. Migają neony, muzyka dudni na cały regulator, a na podestach przed wejściami do dyskotek wiją się dziewczyny w stringach i stanikach ledwo zakrywających sutki. Kieliszek wódki w barze kosztuje trzy razy tyle niż w każdym innym miejscu, ale co tam. Zresztą mało kto zamawia

czystą, tutaj leje się whisky i wymyślne kolorowe drinki. Jak się bawić, to bawić. Do upadłego.

Odessa ze wszystkich stron próbuje przekonać, że jest wyluzowana. Tylko nie możesz się bać pieniędzy. Zarabiaj miliony i przepuszczaj miliony. Miasto seksu i biznesu. A jej mieszkańcy wbijają mi do głowy, że Odiessa eto Odiessa. Odessa to Odessa. Diament sam w sobie. Unikatowy, jedyny i nieprzystający do niczego, co wcześniej widziałem i co jeszcze zobaczę.

Po co ja w ogóle męczę ludzi pytaniami o prorosyjskość albo proukraińskość? W kioskach nie ma gazet ukraińskojęzycznych? I co z tego? Wszyscy mówią po rosyjsku? A jakie to ma znaczenie? Każde miasto portowe jest kosmopolityczne.

– Jesteś, bracie, w Wolnym Mieście Odessa. Wyluzuj się i przestań smęcić. Aleś się do tej historii i polityki przyczepił. Idź na wódkę albo na striptiz. Albo najlepiej i na to, i na to. Viva la vida – klaruje mi właściciel hostelu, w którym się zatrzymałem.

Arkadyjsko-deribasowski strumień nie dociera do rozciągającego się w okolicach monumentalnego odeskiego dworca zadrzewionego placu Kulikowe Pole. Podróżni wypadający z hali albo pędzą prosto do tętniącego centrum miasta, albo łapią marszrutki kursujące co chwila do nadmorskiego kurortu Zatoka. Wzdłuż wejścia na Kulikowe Pole rozłożył się pchli targ. Stare książki, komunistyczne medale i odznaczenia, wszelakiej maści rupiecie. Park jest niechlujny. Wysoka niekoszona trawa, rosnące bez ładu i składu drzewa, walające się śmieci. Nad asfaltową płytą placu góruje Dom Związków Zawodowych. Kamienny klocek z pretensjonalnym socrealistycznym wtrętem w postaci niby to korynckiej kolumnady nad głównym wejściem. Okna ma powybijane albo zasłonięte dyktami. Framugi poczerniały od płomieni. Na tyłach w piwnicy działa podława jadłodajnia serwująca barszcz ukraiński, pielmieni i kotlety po kijowsku. Od frontu dostępu broni blaszane ogrodzenie, do którego przyklejono tryptyk z ikonowym przedstawieniem Chrystusa, Boga Ojca i Maryi. Pod nim na kartce z zeszytu odręcznie napisano: „Przepróście nas za zbrodnicze

milczenie całej Ukrainy”. Pod spodem leżą bukiety kwiatów. 2 maja 2014 roku w płonącym budynku zginęło czterdziestu dwóch prorosyjskich aktywistów.

– Mnie nikt nie przeprosił i dopóki będą rządzili ci banderowcy, to nie przeprosi! – mówi Olga, kładąc pod płotem pęk różnokolorowych goździków. – Robią wszystko, żebyśmy tutaj nie przychodzili. O, nawet nie ma gdzie usiąść! – Nerwowo kręci się po asfalcie. – Specjalnie ławki zdemontowali, żebyśmy musieli stać, gdy wspominamy naszych bliskich. W każdy weekend zamykają cały obszar, bo podobno mogą być jakieś miny czy bomby. A co tutaj się działo w maju na rocznicę masakry. Wszystko otoczyli kordonem milicji i nie dopuścili nas pod Dom. I jeszcze bezczelnie mówili, że to dla naszego bezpieczeństwa. Niby jakieś ryzyko zamachów albo zamieszek – mówi ze złością. Wreszcie w uliczce odchodzącej od placu Olga znajduje ławeczkę, siada i natychmiast wyciąga z torby napęczniałą od dokumentów teczkę. – To ja z mężem, jak byliśmy jeszcze młodzi – pokazuje mi oprawioną w ramę pożółkłą fotografię, na której stoi obok męża w mundurze Armii Czerwonej. – Aleksander był oficerem w Naddniestrzu. Trzeba było tam zostać. Diabeł nas podkusił, że przyjechaliśmy do tej przeklętej Odessy.

Na kolejnym zdjęciu Aleksander wychyla się przez okno na czwartym piętrze Domu Związków, z którego wydobywają się kłęby czarnego dymu. Opiera się o gzyms i spogląda w dół, jakby zastanawiając, czy szukać ocalenia w desperackim skoku.

Olga gwałtownie wstaje z ławki i prowadzi mnie na tył budynku.

– To tamto okno! Ostatnie miejsce, gdzie widziano mojego męża żywego. Próbował się ratować ucieczką na dach budynku, ale ktoś zatrzasnął klapę wyjściową. To wszystko było dokładnie przygotowane, żeby zamienić Dom Związków w grobowiec. I mój mąż znalazł się w potrzasku. Potem mi powiedzieli, że się zaczadził, ale to bezczelne kłamstwo. Widziałam na jego ciele ogromne siniaki. Ci bandyci go zakatowali Tam zginęły kobiety i dzieci. A na placu

prawoseki dobijali tych, którym udało się wydostać. – W rosyjskich mediach tym neologizmem utworzonym od nazwy partii Prawy Sektor określa się wszystkich promajdanowych Ukraińców bez względu na ich preferencje polityczne. Olga opowiada szybko, ale spokojnie. Ma twarz, jakby raportowała, a nie wspominała bliską osobę. – Niektórych ludzi zastrzelono. Potem, żeby zatrzeć ślady, wycięto fragmenty ubrań z dziurami po kulach. Mój mąż i pięćdziesiąt sześć innych osób zostało bestialsko zamordowanych i nikt nie poniósł za to odpowiedzialności.

– Oficjalne dane mówią o czterdziestu dwóch ofiarach w samym Domu. Wszyscy zmarli w wyniku zatrucia czadem albo ponieśli śmierć po wyskoczeniu z wyższych pięter budynku. Sześć osób, w tym również promajdanowi demonstranci, zostało zastrzelonych – wtrącam.

– To stek kłamstw! Nie wierz rządowi. Stowarzyszenie Ruch Matek Ofiar 2 Maja podaje prawdziwe informacje o tej zbrodni – gwałtownie oponuje, pokazując wydaną przez organizację książeczkę. – Tutaj są nazwiska wszystkich zamordowanych. Pięćdziesiąt sześć osób wymienionych z imienia i nazwiska.

Wracamy na ławkę i Olga wyjmuje dokument przedstawiający kolisty diagram. Na jego środku kobieta zapisała: „Kto winien? Ty?”. Od oskarżenia rozchodzą się promieniście linie do twarzy kilkunastu polityków, oficjeli i oligarchów. Władca Dniepropietrowska Ihor Kołomojski, szef Prawego Sektora Dmytro Jarosz, oligarcha i obecny prezydent Ukrainy Petro Poroszenko, komendant Euromajdanu i koordynator Samoobrony Majdanu Andrij Parubij, pomajdanowi decydenci: przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Ołeksandr Turczynow, premier Arsenij Jaceniuk, minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow, mer Kijowa Witalij Kłyczko, lider nacjonalistycznej partii Swoboda Ołeh Tiahnybok. Cała elita rewolucji godności, co raczej nie budzi szczególnego zaskoczenia. Obok nich umieszczono światowych przywódców: Baracka Obamę i Angelę Merkel. Wreszcie na końcu jest również mer Odessy Truchanow i prezydent Janukowycz.

– A to Janukowycz też jest winny? Dlaczego akurat on? – pytam zdumiony.

– Janukowycz to zdrajca i tchórz! – prycha wściekle Olga. – Nie potrafił stłumić w zarodku tych zamieszek. Pozwolił, żeby ci banderowscy awanturnicy finansowani przez CIA przejęli władzę i zabrali nam Ukrainę. Zamiast ich spacyfikować, uciekł do Rosji jak pies z podkulonym ogonem.

– A co w takim razie z Putinem? – dopytuję.

– Putin to prawdziwy przywódca, twardy człowiek. Ale co on mógł zrobić, jak USA z Europą postanowiły wziąć sobie nasz kraj. A za ich imperialistyczną politykę zapłacił mój mąż. I jeszcze mają czelność wywieszać w tym miejscu kaźni ukraińską flagę. – Wskazuje na powiewającą na wietrze i opuszczoną do połowy flagę zaczepioną na wysokim maszcie przed Domem.

– A pani pochodzi z Odessy? – pytam na koniec rozmowy.

– Nie, jestem Rosjanką. Urodziłam się w Krasnojarsku na Syberii. Nie rozpowiadaj w Odessie, że się ze mną spotkałeś. Nie czuję się tutaj bezpiecznie – wzdycha, chowając papiery i podając rękę na pożegnanie.

– Od dwóch lat żyjemy w atmosferze strachu. Jesteśmy na celowniku faszystów – potwierdza Aleksander Niegaturow, choć nie wygląda na człowieka, który może się kogoś bać. Mimo pięćdziesiątki na karku jest postawny i dobrze zbudowany. Biały strój do karate przepasał czarnym pasem. Ściany jego gabinetu obwieszone są zdjęciami z turniejów sztuk walki i złotymi medalami, a półki w korytarzu roją się od mniejszych i większych pucharów. Aleksander prowadzi szkołę karate Tygrysek. Z dzieciakami jeździ po całej Europie.

– Jesteś z Łodzi? Dobrze znam twoje miasto. Byłem tam kilka razy na zawodach. Raz nawet złoto zdobyliśmy – dodaje z entuzjazmem. – Nie piję, nie palę. Tak, wiem, aż się wierzyć nie chce, że na Ukrainie,

a szczególnie w Odessie, tak można. Ale ja wolę być zdrowy niż zachlany.

Niegaturow zupełnie nie pasuje do wizerunku człowieka sowieckiego, który tępo wspiera Ruskich, bo nie rozumie, że Związek Radziecki już dawno zasłużenie spoczął na śmietniku historii.

– Mój brat Wadim nie chciał walczyć. On nawet nie umiał się bić. Pisał wiersze, grał na gitarze i opiekował się ikonami. Kochał je nad życie. Był bardzo religijnym człowiekiem, a ja po 2014 roku chyba straciłem wiarę w Boga. Bo Wadim zginął przez ikony. Zabili go oczywiście banderowcy, ale trafił tam przez święte obrazy. Na Kulikowym Polu był jeden namiot, w którym zgromadzono mnóstwo ikon. Zrobiono tam taki polowy ołtarzyk. Protestujący byli ludźmi głęboko wierzącymi. On nie siedział z nimi cały czas, tylko przychodził raz w tygodniu. Jak 2 maja zaczęły się zamieszki, to zadzwonili po niego, że ikony są w niebezpieczeństwie i żeby przyjechał je chronić. Jak stał, tak wyszedł z pracy, a był ekonomistą, pracował w korporacji, i pojechał pod Dom Związków Zawodowych. Zdążył tylko do mnie zatelefonować, że jedzie po ikony i wraca do domu. Nie wiem, dlaczego znalazł się w środku – opowiada Aleksander. – Wadim i jego koledzy nie pragnęli żadnej Odeskiej Republiki Ludowej, ani tym bardziej Noworosji. To mity rozpowszechniane przez majdanowców – mówi i wręcza mi tomik poezji zatytułowany Wrócę do ojcowskiego domu. – To jego wiersze. Zebrałem je i wydałem już po jego śmierci. Wiele z nich opowiada o jego miłości do Ukrainy. Jeden poświęcił niezgodzie na banderyzację, ale w innym pokazuje swoją niechęć do Janukowycza, którego był przeciwnikiem. W tych protestach chodziło o to, żeby Odessa pozostała Odessą. Wyjątkowym miastem kupców, którzy rozwiązują konflikty, rozmawiając, a nie strzelając. Otwartym na innych portem pełnym różnych kultur, języków, a nawet religii. Czepiają się nas, że mówimy po rosyjsku, a nie po ukraińsku, ale to jakiś absurd. A niby z kim mielibyśmy się w tym ukraińskim dogadać? Tym tłumokom z zabitej dechami zachodniej Ukrainy może faktycznie to wystarcza, ten ich językowy kamień filozoficzny narodu

ukraińskiego, ale tylko dlatego, że obcokrajowca to oni co najwyżej w telewizji widzieli. Tkwią w tym swoim nacjonalistycznym sosie i nie wiedzą, że obok Lwowa, Stryja i Iwano-Frankiwska jest jeszcze coś więcej. I z tym więcej trzeba się jakoś porozumieć. Do nas przypływa cały świat i dlatego my mówimy językiem światowym: po rosyjsku. Naprawdę tak trudno to zrozumieć? – zaperza się.

Ukraina od samego początku nie mogła się ze sobą dogadać. Zachód mówił po ukraińsku, wschód po rosyjsku, środek rosyjsko-ukraińską mieszanką zwaną surżykiem. Ten lingwistyczny twór przetrwał dwadzieścia kilka lat niepodległości. Ale Majdan i wojna zmieniły wszystko. Patriotyczne hasła wykrzykiwano po ukraińsku, a rosyjski okazał się mową najeźdźcy pustoszącego Donbas i próbującego zagarnąć całą Ukrainę. Wybór języka to wybór tożsamościowy. Tak przynajmniej twierdzą elity polityczno-intelektualne, ale ludzie wiedzą swoje. Co z tego, że oficjalnie główna odeska ulica to z ukraińskiego „Deribasiwśka", jeśli większość miejscowych mówi na nią po rosyjsku „Deribasowskaja".

– Ale, do cholery, to, że mówię po rosyjsku, nie znaczy, że chcę mieć tutaj Rosję. Urodziłem się w Odessie i czuję się odessyjczykiem z dziada pradziada. Choć to przecież Imperium Rosyjskie stworzyło to miejsce. Bez carycy Katarzyny mielibyśmy tutaj chaty rybaków i drewniane łodzie zamiast pałaców burżuazji i wielkich żaglowców. Na pewno nie chcę tutaj faszystowskich rządów, tych zaślepionych nienawiścią i ograniczonych umysłów banderowców, ounowców i innych prawoseków. Mój brat zginął za wolną Odessę, a nie za jakąś tam Republikę Ludową. My, oddesyjczycy, nie moglibyśmy 2 maja 2014 roku urządzić rzezi. To oni nam to zrobili. – Aleksander próbuje nad sobą panować, ale na jego czole pojawiają się kropelki potu. W tej opowieści Odessa to już nie miasto z krwi i kości, ale rozedrgany miraż. Marzenie o idealnej wspólnocie nieskażonej polityczno-etnicznymi waśniami rozdzierającymi wschodnioeuropejskie Dzikie Pola.

– Wspólny dom buduje się przed rozwodem, a nie po. Mam rację? – kontynuuje, widząc, że przytakuję. – A na Ukrainie wszystko zostało postawione na głowie. W 1991 roku mieliśmy nadzieję, że ten kraj będzie naszym domem. A potem przez dwadzieścia lat go przepijano i rozkradano. Zamiast pięknej rodzinnej posiadłości została nam obskurna melina. Mieli dwie dekady, żeby jakoś to urządzić, a przede wszystkim dać poczucie, że od Doniecka przez Odessę po Lwów mieszkamy w naszym miejscu na ziemi. Na wspólnej dla nas wszystkich Ukrainie. Ale tego nie zrobili. Wywołali rewolucję, po czym zabrali się do wmawiania nam, że przecież ta cudowna Ukraina jest każdego Ukraińca. Teraz jest już za późno. Wzięliśmy rozwód i nie mamy ochoty mieszkać pod jednym dachem. Wadim znalazł się na Kulikowym Polu, bo stracił nadzieję na przyszłość.

Mężczyzna wstaje gwałtownie, podchodzi do półki z trofeami, bierze jeden z pucharów, ale zaraz odstawia go na miejsce. Wpatruje się we mnie, nerwowo zaciskając i rozluźniając pięści. Odessa Aleksandra okazała się fatamorganą zniszczoną przez finansowanych przez zachodnie mocarstwa banderowców.

– Jesteś kibicem piłkarskim? Ja uwielbiam piłkę i zawsze wspierałem naszą drużynę. Nie rosyjską, tylko ukraińską. Ale w tym roku nie będę oglądał ani Euro, ani olimpiady w Rio. Nie mogę słuchać, jak trybuny skandują „Sława Ukrajini! Herojam sława!”, bo pod takimi hasłami zabito mojego brata. Sport, który powinien łączyć, pokazuje, jak dzisiaj podzielona jest Ukraina. Pochowałem brata, ale boję się, że oni jeszcze z nami nie skończyli. To już nie jest stara dobra Odessa, gdzie można było oddychać pełną piersią. Od 2 maja 2014 roku moim miastem rządzi strach – mówi, zapadając się w sobie. – Muszę kończyć, młodzież przyszła, zaczynamy trening. Uważaj na siebie, przecież ty Polak jesteś. Nie daj się zwieść pozorom spokoju i kolorowego odeskiego życia.

Wchodzi na matę rozłożoną na sali treningowej i japońskim zwyczajem kłania się młodym adeptom karate.

– Wyprano im mózgi. Moi dawni rodacy nie potrafią samodzielnie myśleć. Co ja mówię: samodzielnie. Oni w ogóle nie potrafią myśleć. To żywe skamieliny mentalnie żyjące w Związku Radzieckim i z utęsknieniem patrzące na wschód w stronę rosyjskiego Wielkiego Brata. Dzień w dzień Moskwa sączy im do łbów swoją chorą propagandę. Ukraina – faszyści, Mołdawia – faszyści, Zachód – imperialiści, i tylko Kreml na czele z towarzyszem Putinem może ich przed tymi demonicznymi wrogami obronić. I niestety to mentalne upośledzenie przesącza się przez granicę do Odessy. Wiesz zapewne, że niektórzy z prowodyrów wydarzeń z 2 maja pochodzili z Naddniestrza – twierdzi Oleg Chwoszczewski, przewodniczący organizacji Związek Naddniestrzan Ukrainy, który sam o sobie mówi: biznesmen, dziennikarz i bloger. Siedzimy w ekskluzywnej restauracji w centrum Odessy, zajadając się owocami morza i popijając orzeźwiającą cytrusową lemoniadę. – Nie mogę narzekać. W życiu zawsze dobrze mi się powodziło. Mam rękę do interesów. To ciekawe, bo mówią, że wolny rynek zrobi z ciebie wolnego człowieka. Gówno prawda. W ogóle nie rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Wierzyłem w te wszystkie brednie sączone mi do głowy przez naddniestrzańskie i rosyjskie media – opowiada, pochłaniając kalmary.

Oleg przez dwie dekady był modelowym kapitalistą w pseudokomunistycznej krainie bandyckiego kapitalizmu. Miał firmy, prowadził interesy za granicą, kupował nowoczesne fury, żył dostatnio w Tyraspolu. Niczego mu nie brakowało. Nie różnił się wiele od swoich kolegów z Ukrainy czy Rosji, którzy zawarli milczący pakt z władzą. Bierzcie, ile dacie radę unieść, a do polityki się nie mieszajcie.

– Pierwsze otrzeźwienie przyszło, jak po zwycięstwie w wyborach prezydenckich Jewgienija Szewczuka w 2011 roku cwaniaki z jego otoczenia zaczęły się dobierać do moich pieniędzy. Klasyczny rekiet w ruskim stylu. Pod jakimiś zmyślonymi zarzutami zajmują ci majątek, przejmują firmę, a ciebie puszczają z torbami. I ciesz się, bratku, że zostałeś goły i wesoły, ale przynajmniej żywy. Ja od razu się zorientowałem, że na konfiskacie się nie skończy. Jestem etnicznym

Ukraińcem, miałem ukraiński paszport, to nawiałem do Odessy. Mój kolega, też świetnie zarabiający biznesmen, nie miał tyle zdrowego rozsądku. Wsadzili go do ciupy i zamęczyli. Po kilku miesiącach zmarł w więzieniu. To też świetnie pokazuje, w jakim psychologicznym łagrze żyją Naddniestrzanie. Jego ojciec był zasłużonym, powszechnie znanym trenerem bokserskim, a mama dyrektorką szkoły. To nie byli ludzi znikąd, tylko elita. I co z tego? Myślisz, że ktoś wyszedł na ulice protestować przeciwko tej zbrodni? W życiu! Ludzie łyknęli to, jakby nigdy nic. Lepiej się nie wychylać, bo sam tak skończysz. Ale wiesz, co jest najlepsze? Po ucieczce z Tyraspolu ciągle nic nie rozumiałem. Żyłem we w miarę wolnym kraju, ale mentalnie byłem przykuty do Naddniestrza. Tak mnie przetrenowali, że potrafiłem myśleć tylko w ich bandyckich kategoriach. Władza chciała mnie dopaść za niewinność. No tak, zdarza się. Mogli mnie wsadzić do pierdla. No cóż, życie. Żadnej refleksji, że coś z tym systemie nie gra, że jestem zwykłym niewolnikiem. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do większości moich współziomków – bogatym niewolnikiem. W Odessie szybko się ogarnąłem. Udało mi się wywieźć trochę oszczędności, więc zmontowałem nowy biznes. Sprowadzałem szlachetne drewno z Bali. Pół roku mieszkałem w indonezyjskim raju, a pół w imprezowej Odessie. Żyć nie umierać.

Przerywa jedzenie i wwierca się wzrokiem w punkt na ścianie. Jego głos staje się coraz bardziej beznamiętny. Jakby opowiadał o obcym mężczyźnie, a nie o samym sobie sprzed zaledwie kilku lat. Tamtego naddniestrzańskiego Olega już nie ma. Siedzący przede mną masywny biznesmen któregoś dnia się przepoczwarzył i został nowym człowiekiem.

– Przełom przyszedł wraz z Majdanem. To był dla mnie szok. Nagle zorientowałem się, że przez całe dorosłe życie byłem okłamywany i manipulowany. Jak zwierzątko w cyrku. Szlag mnie trafił. Uznałem, że muszę działać. Byłem wtedy w Azji, ale natychmiast wróciłem do Odessy. Pomagałem lokalnym promajdanowym aktywistom. Potem współorganizowałem blokadę Naddniestrza, bo oni są w stu

procentach uzależnieni od wymiany handlowej z Ukrainą. Ten reżim można wykończyć gospodarczo w kilka miesięcy. Rozpadną się jak domek z kart. Założyłem też profil facebookowy Prawdziwe Naddniestrze. Szewczuk mi tego nie darował. Mój dom w Tyraspolu został ostrzelany z kałasznikowa przez nieznanych sprawców. Samochód mam ciągle na naddniestrzańskich blachach, ale dopóki ten reżim będzie trwał, dopóty ja nie wrócę w rodzinne strony. Zostałem oskarżony o „ekstremizm" oraz „ukraiński nacjonalizm". Z miejsca zostałbym aresztowany i pewnie żywy bym z więzienia nie wyszedł. Najbardziej żony mi szkoda, bo jej ojciec z całą rodziną mieszka w Rybnicy.

Oleg opowiada spokojnym tonem mężczyzny, którego życie wprawdzie wywróciło się do góry nogami, ale przynajmniej w słusznej sprawie.

– Urodziłem się w Tyraspolu i jako ochotnik walczyłem w wojnie z Mołdawią. Wtedy non stop powtarzano nam, że Rumuni to faszyści. Zresztą Mołdawianie, podobnie jak Żydzi, w ZSRR też nie mieli dobrej prasy. Rosjanie ich nie lubili i obraźliwie nazywali „mułami". Grunt pod wojnę etniczną był nieźle przygotowany. Choć ja na początku nie chciałem walczyć. Ale któregoś wieczoru zobaczyłem w wiadomościach materiał o tym, jak mołdawscy żołnierze rozstrzelali grupę uczniów z podstawówki. Chłopców w mundurkach, dziewczynki w sukienkach. Masakra. Dostałem szału. Spakowałem się i następnego dnia miałem już karabin w ręku. Przez dwie dekady do głowy mi nie przyszło, że oni mogli mnie okłamywać. Dopiero w zeszłym roku wysłałem do władz w Tyraspolu list z zapytaniem, gdzie znajduje się pomnik upamiętniający te ofiary, albo chociaż ich mogiła. Ku mojemu zaskoczeniu odpisali… że żadnego grobu nie ma i w ogóle nie wiedzą, o jakich ja ofiarach mołdawskich nacjonalistycznych zbrodniarzy mówię. Bo takiego incydentu nie było. Wyobrażasz to sobie??? Po dwudziestu latach dowiedziałem się, że jak skończony kretyn poszedłem zabijać i umierać za mord, który nigdy się nie wydarzył. Dlatego mimo wszystko rozumiem Naddniestrzan i też częściowo

rozumiem tych ludzi na Ukrainie, którzy dali się otumanić kremlowskiej propagandzie. Kilka lat temu byłem dokładnie taki jak oni – wzdycha. – Człowiek kiedyś sowiecki, a dzisiaj putinowski to taki, który jak mu się każą wieszać, to sam sobie sznur przyniesie, żeby kat nie musiał się fatygować. Mnóstwo Ukraińców z Naddniestrza przyjeżdżało do Odessy robić zakupy, ale w 2014 roku przestali, bo im nagadali w telewizji, że teraz faszyści z Prawego Sektora każą całować portret Bandery. A jak nie pocałujesz, to kijami obiją albo zastrzelą. I moi rodacy w to wierzą. Powiedziałbym, że kompletni idioci, ale przecież ja sam bez wahania łykałem różne brednie.

Naszą rozmowę przerywa wejście młodego, ostrzyżonego na jeża mężczyzny.

– To Misza, były podoficer naddniestrzańskiego specnazu, który też przejrzał na oczy i przyjechał walczyć o wolną Ukrainę. I co, Misza, jak ci Putin powie, żeby się powiesić, to wejdziesz na szubienicę? – zwraca się Oleg do kolegi.

– A w dupie mam Putina – pada odpowiedź.

– Moskwa uczyniła z odeskiej tragedii główny element antyukraińskiej propagandy. Po wpisaniu w Google frazy „Odessa massacre" natychmiast pojawiają się teksty i filmy tłumaczące, jak ukraińscy faszyści brutalnie zamordowali swoich rodaków tylko za to, że nie podzielali ich nacjonalistycznej wizji świata. Podawano nieprawdziwie informacje o setkach ofiar, użyciu gazu w Domu Związków, strzelaniu do ludzi szukających ucieczki przed płomieniami. Dlatego powołaliśmy Grupę 2 Maja składającą się z dziennikarzy i ekspertów, która przeprowadziła niezależne śledztwo – mówi Tatiana Gierasimowa, przewodnicząca Grupy.

– Słyszałem o pięćdziesięciu siedmiu zabitych – przywołuję książkę pokazaną mi przez Olgę.

– Nasze dane mówiące o czterdziestu sześciu ofiarach śmiertelnych są pewne i potwierdzone w raporcie Międzynarodowej Grupy Konsultacyjnej Rady Europy nadzorującej badanie tej tragedii. Oni

doszli do takich samych wniosków jak my. Do potwornej eskalacji przemocy doprowadziły wielopoziomowe rozgrywki polityczne, obejmujące wysokich funkcjonariuszy służb porządkowych, oraz zaangażowanie obcych podmiotów: Rosji i Naddniestrza. Tymczasem są ludzie, którzy za kremlowskie pieniądze jeżdżą po europejskich stolicach i opowiadają o odeskim Katyniu – cierpliwie tłumaczy.

– W Odessie nie ma tradycji walk ulicznych i przez całą rewolucję godności nie dochodziło do żadnych zamieszek. To może brzmieć niewiarygodnie, ale osoby stojące na czele Majdanu i Antymajdanu umawiały się ze sobą, co zrobić, żeby uniknąć starcia. I nagle taka masakra. Od komendy straży pożarnej do Domu jest 200 metrów, ale strażacy przyjechali dopiero po czterdziestu minutach. Policja nie robiła nic, żeby powstrzymać przemoc, która rozlewała się na ulicy. Słyszałeś o niejakim pułkowniku Dmytrze Fuczedżim?– wtrąca dziennikarka Olena Bałaba, szefowa Odeskiego Medialnego Centrum Kryzysowego.

Kiwam przecząco głową.

– To bardzo ciekawa postać. Urodzony na Ukrainie etniczny Gagauz, który w 2014 roku pełnił funkcję zastępcy szefa odeskiej policji. Zdaniem prokuratury generalnej to on stał za zorganizowaniem zamieszek i dopuścił do tego, że zamaskowani sprawcy ostrzelali aktywistów Prawego Sektora, co było bezpośrednią przyczyną dalszych tragicznych wydarzeń. A teraz pułkownik Fuczedżi prawdopodobnie ukrywa się w Naddniestrzu. Jego kuzyn ma być szefem tyraspolskiej milicji. Wszystko jest ze sobą powiązane. Organizatorzy tej zbrodni sądzili, że wywoła ona masowe prorosyjskie demonstracje i dojdzie do „odwróconego Majdanu". Tak jak w Kijowie rozpędzenie pod koniec listopada 2013 roku studentów spowodowało, że dzień później na ulice wyszło prawie milion ludzi, tak w Odessie miało zadziałać Kulikowe Pole. Tylko że tym razem to miał być prorosyjski Majdan. A jednak ci zbrodniarze się przeliczyli. Nikt nie miał ochoty ani walczyć, ani umierać za Odeską Republikę Ludową – mówi.

Wystarczy rzucić okiem na mapę, żeby przekonać się o kluczowym znaczeniu Odessy w geopolitycznych planach Kremla. Przejęcie miasta przez separatystów doprowadziłoby do utworzenia drugiego frontu i złapania południowowschodniej Ukrainy w separatystyczne odesko-donieckie kleszcze, pośrodku których znalazłby się anektowany Krym. W tej wizji projekt Noworosji, obejmującej całą leżącą na wschód od Dniepru część ukraińskiego państwa, zaczyna nabierać jak najbardziej realnych kształtów. To już nie byłby konflikt w dalekim Donbasie, ale w samym centrum kraju. Ale jeżeli, na co wskazują ustalenia Grupy 2 Maja, masakra była skrzętnie zaplanowaną prowokacją, to wywołała ona efekt odwrotny do zamierzonego. Być może plany wielkiej inwazji rosyjskich „zielonych ludzików" załamały się właśnie tego dnia, kiedy mieszkańcy Odessy zdecydowali, że przelano już zbyt wiele krwi. Że chcą pokoju, a nie wojny.

– Pierwszą ofiarą był aktywista Prawego Sektora Igor Iwanow, którego zastrzelono na rogu Deribasowskiej i Żukowa, w samym centrum miasta. Pojedź do Zatoki i spotkaj się z jego rodzicami. – Tatiana zapisuje na kartce numer telefonu. – Możesz się zdziwić, kim był odeski prawosek.

Elektryczka wlecze się w upale niemiłosiernie i co chwila przystaje na zapyziałych stacjach. Trzęsący się na krzywych torach wagon wypełnia zapach jajek, szynki i piwa pochłanianego przez współpasażerów. Ludzie wyglądają na ponadprzeciętnie umordowanych, ale z ich twarzy nie schodzi pełne nadziei oczekiwanie na cudowności, jakie zobaczą, gdy wreszcie wydostaną się z nagrzanej metalowej puszki. I w tym oczekiwaniu ściskają w dłoniach parawany, koce, dmuchane materace i koła ratunkowe. Kolanami przytrzymują torby wypełnione jedzeniem i napojami. Smętny stepowy krajobraz otępia umysł. Nagle po obu stronach pociągu wystrzeliwują kaskady głęboko niebieskiej wody. Po lewej Morze Czarne, po prawej Liman Dniestru. Elektryczka mknie pomiędzy nimi, trzymając się wąskiego skrawka mierzei, przeskakuje

przez most rozpięty nad połączeniem zatoki z pełnym morzem i wreszcie z ulgą zatrzymuje się na stacji Zatoka.

Ludzie wybiegają na dworzec łapać słońce i wiatr. Jak na Deribasowskiej płynęli do knajp, tak tutaj pędzą na plażę. Wylegiwać się na gorącym czarnomorskim piasku i chłodzić w czarnomorskich falach. Prężyć mięśnie, opalać pośladki. Wieczorami chodzić na dyskoteki, słuchać popsy i oddawać się przelotnym, intensywnym romansom. Pić piwo, jeść lody i mieć wszystko gdzieś. Upijać się, najlepiej bez kaca, ukraińskim turystycznym rajem.

Transparenty zwieszające się ze stojących blisko plaży budynków krzyczą o najlepszych kwaterach w najniższych cenach. W Zatoce jak w innych kurortach trwa zaciekła walka o każdego spragnionego wypoczynku przybysza. Dom, którego szukam, stoi nie przy głównej promenadzie, ale trochę na uboczu. Swoją nie najlepszą pozycję wyjściową w tym wyścigu nadrabia wielkością i zadbanym ogrodem. Pulchna kobieta w recepcji z werwą tłumaczy coś nowo przybyłym gościom. Patrzy zdumiona, kiedy dziękuję za pokój i pytam o Igora Iwanowa.

– Od fundamentów do ostatniego piętra sami wybudowaliśmy ten pensjonat. To dorobek naszego życia. A teraz nie mamy go komu przekazać. – Lubow Iwanowa stawia na stole pachnący kawał sera, smolistą kawę i miękkie brzoskwinie. Do domu wczasowego zjeżdżają turyści i gospodyni co chwila biegnie zarejestrować nowych gości albo przypilnować kucharek. Ma w sobie niespotykane pokłady energii. Wreszcie ciężko opada na krzesło.

– Igor to był prawdziwy anioł. Zawsze grzeczny, dobrze wychowany, we wszystkim nam pomagał. Skończył prawo i siedem lat przepracował w sądzie. Tylko trochę się martwiliśmy, że nie miał dziewczyny. Ale niedługo przed śmiercią wreszcie sobie kogoś znalazł i wyglądało to na poważny związek. – Patrzy na mnie smutno. – Pewnie sobie myślisz, że każda matka tak mówi o dziecku, które straciła. Ale Igor był wyjątkowy. Mamy jeszcze jednego syna, i też

kochamy go nad życie. Tylko że on jest taki trochę lekkoduch. A Igor był solidny gospodarz. Dla niego to wszystko szykowaliśmy. – Zatacza ręką krąg, obejmując pensjonat i ogród z drzewami owocowymi. Ile masz lat? – pyta.

– We wrześniu kończę trzydzieści. Jestem rocznik ’86 – odpowiadam, przeczuwając, co powie Lubow.

– Mój syn 31 lipca też skończyłby trzydzieści. – Kobieta uśmiecha się blado. – On miał w sobie coś takiego, czego ja nie rozumiałam. Miłość do ojczyzny i zamiłowanie do sztuki wojennej. Jak mieli go wziąć do armii, to zapłaciliśmy z mężem łapówkę, żeby dali mu kategorię zwalniającą ze służby zasadniczej. W naszym wojsku jest straszna diedowszczina, starsi katują młodziaków. Kiedy się o tym dowiedział, to zgłosił się do armii na ochotnika! Nie z przekory, tylko z poczucia obowiązku.

– A Wołodia też jest taki?

– Szkoda słów. Jednego syna straciliśmy, a drugi walczy teraz w Donbasie. Służy w jednostce specnazu stacjonującej w Kropywnyckim. Natury nie oszukasz. Oni to mają we krwi. Ich pradziadem był sam marszałek Siemion Timoszenko. Dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, wybitny dowódca w wojnie radziecko-fińskiej, ludowy komisarz obrony ZSRR. Jeden z najbardziej zaufanych ludzi Stalina, który przetrwał wszystkie czystki, nawet Wielki Terror. Dopiero po śmierci Igora dowiedzieliśmy się, że pasjonował się osiągnięciami swojego przodka. Na mapach odtwarzał i analizował toczone przez niego bitwy.

– Kiedy na Instytuckiej w Kijowie zaczęli strzelać, Igor natychmiast pojechał na Majdan. – Jej mąż Władimir przynosi metalową tarczę, którą chłopak zasłaniał się przed pałkami Berkutu. Na stole kładzie porysowany kask motocyklowy. Szybka osłaniająca twarz jest potłuczona. – Wybili ją 2 maja w Odessie.

– Jak dowiedzieli się państwo o śmierci Igora?

– Zadzwonili do nas, kiedy jechaliśmy na rodzinny obiad – głos Lubowy zaczyna się łamać. – Nie mieliśmy pojęcia, że on bierze udział

w proukraińskich manifestacjach. Nie chciał nas denerwować. Jak jechał do Kijowa, to też nic nie powiedział. 2 maja to był piątek i Igor miał do nas dołączyć po pracy. Ostatni raz rozmawiałam z nim o czternastej. Ale przez chwilę. Strasznie przerywało, w tle słychać było szum i krzyki. Powiedział tylko, że może się spóźnić, bo centrum Odessy jest zablokowane, i żebyśmy się nie martwili. Dwie godziny później już nie żył. Zabrali mi wszystko, co miałam. Mojego Igorka.

Twarda, energiczna kobieta kurczy się w krześle jak przebity balon. Jej syn został postrzelony prawdopodobnie ze skróconej wersji kałasznikowa AKS-74U przez Witalija Budkę pseudonim „Bosman" z mobilnej grupy Kulikowego Pola.

– Nigdy za bardzo nie obchodziła mnie polityka. Kiedyś popierałam piękną Julię, mój mąż zawsze był za Janukowyczem. Wiedziałam, że ten cały Majdan źle się skończy. Z pochodzenia jestem pół-Bułgarką, pół-Gagauzką, Władimir to rodowity Rosjanin. A Igor był ukraińskim patriotą. Wstąpił do Prawego Sektora, bo wierzył, że tam są ludzie, którzy naprawdę pragną wolnej Ukrainy. Tylko widzisz, są państwa, które potrafią taką miłość odwzajemnić. Kochają swoich synów i córki. Otaczają ich opieką i szanują. Ale Ukraina taka nie jest. Tutaj rządzą bandyci, którzy mają nas za nic nieznaczące śmieci. Nie mogę pojąć, dlaczego Igor tak pokochał Ukrainę, że za nią zginął. Nasza ojczyzna nie zasługuje na to, żeby za nią umierać.

Kobieta chwyta kask tak gwałtownie, jakby chciała roztrzaskać go o ziemię, ale zamiast tego delikatnie kładzie go na kolanach i zaczyna gładzić. Mąż mocno ją obejmuje. Wbijają wzrok w metalową tarczę. Tatiana miała rację. To nie jest dom hurrapatriotów epatujących tryzubem i żółto-niebieskimi barwami. Z takich rodzin nie wychodzą żądni krwi banderowcy, jak aktywistów Prawego Sektora przedstawia moskiewska propaganda. Władimir i Luba pragną odzyskać syna, a nie budować wielką Ukrainę. Rewolucji już dawno tutaj nie ma, a może nigdy nie było.

Do Odessy wracam wypchaną po brzegi marszrutką. Pasażerowie są wymęczeni słońcem, ale szczęśliwi. Pary się obejmują, podpite chłopaki rzucają żartami, dzieciaki tak się wyszalały, że nawet wariować im się nie chce. Wieczorem siadam przy piwie w knajpce na zadrzewionym skwerze nazywanym Ogrodem Miejskim, rozłożonym pomiędzy deptakiem Deribasowskiej, ulicą Hawany i Prieobrażenskiej. Właśnie rozgrywany jest półfinał Euro 2016 Niemcy–Francja i wszystkie knajpy obsiedli wpatrzeni w telewizory kibice. Co chwila słychać okrzyki radości albo buczenie. Jest środek tygodnia, ale Deribasowska jak co dzień bawi się do utraty tchu. Wejścia do Ogrodu strzeże siedzący na ławeczce przystojny mężczyzna w prochowcu z elegancko zaczesanymi do tyłu włosami i artystycznym szalem nonszalancko zarzuconym na szyję. To urodzony w Odessie Leonid Utiosow, któremu sławę przyniosła rola w pierwszej radzieckiej komedii muzycznej Świat się śmieje. Utiosow urodził się w Odessie, naprawdę nazywał się Lejzer Wajsbejn i był ukraińskim Żydem. Obok aktora stoi puste krzesło upamiętniające satyryczną powieść Ilji Ilfa i Jewgienija Pietrowa Dwanaście krzeseł. Obaj pisarze pochodzili rzecz jasna z Odessy. Bohater książki Ostap Bender zwany Wielkim Kombinatorem stał się w radzieckiej literaturze archetypem życiowego spryciarza, któremu wrodzone cwaniactwo pomaga przetrwać w pokręconych latach Nowej Ekonomicznej Polityki Lenina. Utiosow i puste krzesło gapią się na restaurację Gambrinus na rogu Deribasowskiej i Żukowa, przed której wejściem zastrzelono Igora Iwanowa.

– Komu dzisiaj kibicujesz? – pyta Wiktoria, aktywistka proukraińskiego Majdanu w 2014 roku.

– Francji. Ale ja nie kibicuję za, tylko przeciw. Jestem Polakiem i moim patriotycznym obowiązkiem jest kibicować przeciwko Niemcom – wybucham śmiechem.

– A ja wspieram Niemców. Są lepsi, a poza tym jako odessyjka czuję moralny związek. Katarzyna Wielka była rodowitą Niemką, a bez

niej nie byłoby mojego miasta – odpowiada Wiktoria. – Spróbuj sobie wyobrazić odeski Donieck – zawiesza na chwilę głos.

Dopijam kufel i w myślach usuwam z Deribasowskiej wystrojone dziewczyny i ich odpicowanych chłopaków. Zabieram ulicznych grajków, misia wielkoluda znad Schodów Potiomkinowskich, przyjemnie wstawionych bywalców knajp wszelakich. Z plaży w Zatoce znikają opalające się piękności i rodziny z krzykliwymi dzieciakami chlapiącymi się w wodzie i grzebiącymi w piasku. Mam pustą scenografię, którą należy rozwalić.

Utiosowowi odstrzeliwuję głowę pociskiem z działa samobieżnego, secesyjne kamienice masakruję artylerią, samochody płoną sobie wesoło, wydzielając kłęby czarnego dymu. Kursująca do Zatoki elektryczka oberwała pociskiem moździerzowym i rozerwane środkowe wagony przypominają brzuch wypatroszonej stalowej larwy. Plaże są opustoszałe, a przy brzegach pływają wojskowe kutry patrolowe. Pensjonat Lubowy Iwanowej oberwał czymś dużego kalibru, bo w dachu widnieje ogromna dziura, a pocisk przebił się przez strop aż na pierwsze piętro. Drzewa owocowe mają połamane gałęzie, a niektóre siła eksplozji wyrwała z korzeniami.

W kazamatach odeskich nocnych klubów siedzą umęczeni, brudni żołnierze. Na barowym kontuarze leżą karabiny, a o rurę do striptizu oparto skrzynki z amunicją. Po podłodze walają się potłuczone butelki whisky i wódki. Od strony prowadzących na powierzchnię schodów dobiegają serie karabinowych strzałów i dudniące odgłosy wybuchów.

Ulice są opustoszałe. Mieszkańcy pozamykali się w domach. Tylko żołnierze przebiegają przecznicami, przemieszczając się od jednego punktu bojowego do drugiego. Nagle słychać serię krótkich, głuchych wystrzałów i powietrze przecina błyskawicznie zbliżający się świst. „Kurwa, Graaaad!” – drze się młody chłopak w moro z zarzuconym na ramię karabinem i biegiem chowa się w opustoszałym sklepie. Mój ulubiony niedźwiedź leży rozpłaszczony pod komicznym księciem Richelieu, po którym zostały tylko nogi. Jego białe futro jest osmolone, a na wysokości brzucha poplamione krwią.

– Mało przyjemny widok – mówię w końcu.

Kelnerka donosi następne piwo, a ja wracam do rzeczywistości.

– Igor zginął za to, żebyśmy mogli teraz siedzieć tutaj, dyskutować i chłonąć to wyjątkowe miasto. My wszyscy przez całą zimę i wiosnę 2014 roku rozmawialiśmy z ludźmi, organizowaliśmy pokojowe demonstracje, przekonywaliśmy antymajdanowców, że możemy spokojnie żyć obok siebie w odeskim domu. Że nie chcemy tutaj zamaskowanych bandytów z karabinami i rozlewu krwi. Nie chcemy drugiego Donbasu. To potworne, że tyle osób zginęło w Domu Związków, ale nasza praca nie poszła na marne. Mamy naszą Odessę, a nie Odeską Republikę Ludową.

# Rozbitkowie

Szysz Nani, Szysz Nani,
Śpij malutki, jesteś na wygnaniu…
Nasze domowe ognisko dawno wygasło,
Jesteś zdany na łaskę mrocznych sił.

Oderwany w godzinie smutku
Twój naród od ziemi swojej
I od łez gorejących morze
Staje się dwa razy bardziej słone.

Z czym równać Twoją tragedię,
Przed Tobą – dni niewoli,
Ale o ojczyźnie ukochanej
Pamięć pielęgnuj czule.

Szysz Nani, abchaska pieśń o muhadżyrstwie (wygnaniu)

Z ciężkich chmur zakrywających niebo siąpi zimny deszcz. Porywisty wiatr zwiastuje burzę. Wzburzone fale rozbijają się o skaliste klify otaczające skrawek piasku. Tłum stojących na plaży ludzi intonuje smutną melodię.

– Pieśń, którą śpiewamy w Dzień Pamięci i Żałoby na brzegu Morza Czarnego, nazywa się Szysz Nani. Wiesz, skąd wzięła się ta nazwa? – pyta starszy Abchaz stojący obok mnie na plaży w wiosce Kefken niedaleko Stambułu. Mężczyzna przyjechał tutaj ze stolicy, żeby oddać hołd swoim przodkom. – W takim razie opowiem ci. Nazywam się Bagrat. – Mocno ściska moją dłoń. – Kiedy nasi przodkowie uciekali przed rosyjskimi wojskami, statki mające zabrać ich na drugą stronę morza, do Turcji, były przepełnione. Na okręt mogący pomieścić sto osób wpychano po pięciuset ludzi. Uchodźcy umierali z głodu, odwodnienia i wycieńczenia. Ciała zmarłych wyrzucano do morza. Jednej z matek umarło na rękach niemowlę. I ona, nie chcąc, żeby odebrano jej zwłoki dziecka, tuliła je do piersi, bujała i nuciła

kołysankę „szy-szy-szy”. Nie chciała, żeby inni zorientowali się, że maluch już nie płacze. Ale prawda szybko wyszła na jaw. Matka nie oddała dziecka, więc razem wrzucono ich w fale Morza Czarnego.

Czarnomorskie wybrzeże roi się od abchaskich flag w zielono-białe pasy z umieszczoną w lewym górnym rogu dłonią otoczoną siedmioma gwiazdami. Spomiędzy nich wyłania się od czasu do czasu turecki półksiężyc. Są też zielone proporce Czerkiesów z trzema skrzyżowanymi strzałami i biało-czerwono-żółte barwy Osetii Południowej. Gdy pieśń milknie, ludzie podchodzą bliżej wody i rzucają pęki kwiatów, zamieniające taflę w falującą łąkę.

– Tutaj schronili się rozbitkowie. Przemoknięci, zziębnięci i głodni, koczowali w jaskiniach jak ludzie pierwotni. – Mężczyzna wprowadza mnie do mrocznej groty położonej na zboczu wzniesienia zamykającego plażę od strony lądu. Zapalniczką oświetla wilgotne ściany. – Wyryli tutaj swoje imiona. Imperium Rosyjskie zamieniło ich w dziewiętnastowiecznych jaskiniowców. W poszarpanych ubraniach przypominających skóry dzikich zwierząt, wegetujących w pieczarach, ogrzewających się przy ogniskach i malujących na ścianach prymitywne rysunki.

Wychodzimy na zewnątrz. Szybko zapadający zmrok rozpraszają łuny rozpalonych pochodni. Ludzie ustawiają się w długi korowód i powoli ruszają przed siebie, formując obejmujący całą plażę płonący okrąg. Pochód cieni wije się, zgina, to zbliża się do wody, to od niej oddala. Szysz Nani ponownie wibruje w powietrzu. Wreszcie czoło marszu zakręca do własnego środka i zatrzymuje się przed wysokim na kilka metrów stosem. Trzymane w dłoniach żagwie spadają na suche drewno. Płomienie strzelają w górę. Niektórzy patrzą w nie zahipnotyzowani, ale inni odwracają się plecami i wbijają wzrok w morze. Świdrują oczami okrywającą je czerń, jakby próbowali przelecieć nad setkami kilometrów wody i dojrzeć drugi brzeg, nad którym wznoszą się góry Kaukazu. Tam, gdzie leży ich utracona ojczyzna.

– Mam w sercu nadzieję. Wiem, że Abchazja istnieje. Ale moi pradziadowie i prababcie stali w tym samym miejscu, próbując zrozumieć, że są bezdomnymi psami. Że ich dom został bezpowrotnie utracony i już nigdy go nie zobaczą – wzdycha mój towarzysz, odwracając wzrok od morza i przysuwając się do ognia.

21 maja 1864 roku carski sztandar symbolicznie załopotał nad całym Kaukazem Północnym. Dla Imperium Rosyjskiego było to epokowe zwycięstwo. Dla ludów kaukaskich punkt kulminacyjny czystek etnicznych zakończonych wielkim exodusem ocalałych. Ofiarami represji padli przede wszystkim Czerkiesi, ale również Abchazowie i Ubychowie. Ci ostatni zostali poddani tak skutecznej eksterminacji, że dzisiaj uznawani są za naród wymarły. Wedle różnych szacunków kilkaset tysięcy ludzi mogło zginąć w wyniku głodu, zaplanowanych mordów i wreszcie podczas ucieczki przez wzburzone wody Morza Czarnego. Abchazja straciła około 60 procent swej populacji, Czerkiesi praktycznie zniknęli z Czerkiesji. Ocenia się, że Rosjanie wygnali i wymordowali ponad 90 procent prawowitych mieszkańców tych terenów. Gruziński parlament w specjalnej uchwale z 2011 roku określił te wydarzenia mianem ludobójstwa. Dzisiaj rozsiane po Azji Mniejszej i Bliskim Wschodzie diaspory potomków kaukaskich uchodźców wspólnie wspominają te tragiczne wydarzenia.

– Cały świat zna Krasną Polanę pod Soczi, gdzie w 2014 roku odbywały się zimowe igrzyska olimpijskie, ale mało kto wie, skąd wzięła się ta nazwa. W XIX wieku ten teren pokrywały gęste lasy i nie było tam żadnej łąki. W koronach drzew kryli się kaukascy łucznicy, którzy razili strzałami nadchodzące wojska carskie. Żołnierze nie mogli sobie z nimi poradzić, więc wycięli wszystko w pień. Tam rozegrała się ostatnia bitwa między narodami Kaukazu a rosyjskimi najeźdźcami. Określenie krasnaja, czyli „czerwona”, wzięło się od krwi naszych przodków, która wsiąkła w tamtejszą ziemię – mówi Bagrat.

Wiele źródeł podaje inne wytłumaczenie tej nazwy – ma ona pochodzić od orlicy, gatunku paproci, której liście na jesieni przybierają charakterystyczny rdzawy odcień. Innego zdania jest

jednak na przykład amerykański historyk Walter Richmond, autor książki The Circassian Genocide [Ludobójstwo Czerkiesów]. Naukowiec skłania się ku teorii, że nazwa ta wywodzi się od rzezi dokonanej przez Rosjan w tym miejscu na Ubychach w 1864 roku. Co ciekawe, pod hasłem Krasnaya Polana w anglojęzycznej wersji Wikipedii teza Richmonda określana jest jednak jako twierdzenie „wrogiego historyka". Komu wrogiemu – tego już nieznany wikipedysta nie wyjaśnia.

– Kiedy pierwszy statek z uciekinierami dotarł do Kefkenu, kaukaskie wody Morza Czarnego były jeszcze czerwone. Uciekający Kaukazczycy nie chcieli, żeby ich ukochane konie wpadły w ręce znienawidzonych Rosjan, i dlatego zabili wszystkie zwierzęta. Na falach unosiły się zwłoki zwierząt przemieszane z ludzkimi ciałami. To nie są moje wymysły ani opisy jakichś antyrosyjskich publicystów, tylko zapiski skrybów armii rosyjskiej. – Bagrat klęka przy ognisku i przysuwa ręce do płomieni.

Walter Richmond w swojej pracy przywołuje wspomnienia oficera Drozdowa biorącego udział w kampanii w okolicach Soczi, który latem 1864 roku zanotował: „Przy drodze ujrzeliśmy przerażający widok: ciała kobiet, dzieci i starców, rozerwane na kawałki i częściowo obgryzione przez psy. Uciekinierzy byli straszliwie wychudzeni przez głód i choroby, tak słabi, że ledwie powłóczyli nogami, przewracali się z wycieńczenia i byli żywcem pożerani przez psy. Ci w pełni sił i zdrowia nie mieli czasu, żeby zająć się swoimi umierającymi towarzyszami. Tureccy szyprowie, kierowani chciwością, traktowali Czerkiesów jak ładunek, który mają dostarczyć na wybrzeże Azji Mniejszej. Upychali ludzi na przeładowanych statkach i jako zbędnego wyrzucali każdego, kto zdradzał oznaki choroby. Fale niosły ciała tych nieszczęśników na brzegi Anatolii. Ledwie połowa z tych, którzy wyruszyli, dotarła do celu swej podróży".

Ogień dogasa, fale już dawno zabrały wrzucone do morza kwiaty i ludzie powoli rozchodzą się do autobusów mających rozwieźć ich do domów w Stambule, Ankarze, Bursie i innych tureckich miastach.

– Co roku 21 maja w trakcie uroczystości pada deszcz, ale gdy kończymy, niebo się rozchmurza i pojawia się księżyc. – Bagrat wsiada do autokaru i macha ręką na pożegnanie.

– Cała Europa mówi o kryzysie uchodźczym, a to nasi przodkowie byli pierwszymi nowoczesnymi uchodźcami. Choć może nie do końca. W naszym języku ten exodus nazywamy amhadżyra lub po rosyjsku muhadżyrstwo, czyli „wygnanie". My nie tyle uciekaliśmy, ile zostaliśmy siłą wypędzeni z ojczyzny. Przenigdy z własnej woli nie opuścilibyśmy naszych gór. Dzisiaj liczebność abchaskiej diaspory szacujemy nawet na pięćset tysięcy osób. Jesteśmy silni naszą kulturą. Wokół Stambułu są całe wioski zamieszkane tylko przez Abchazów. Pielęgnujemy tradycję i obyczaje przodków. Język abchaski przetrwał tutaj w praktycznie niezmienionej formie. Niektóre słowa zachowały się lepiej niż w samej Abchazji. To z diaspory wywodzą się najlepsi abchascy językoznawcy – mówi z dumą Hakan Ander, prezes Stowarzyszenia Kultury Abchaskiej w Stambule, najstarszej tego typu organizacji w kraju.

Za drzwiami, w pokrytej błyszczącym parkietem sali dzieciaki wpatrują się uważnie w instruktora. Złapać się pod boki, ugiąć jedno kolano, ugiąć drugie kolano. Lekko wyrzucić nogi do przodu. Trzymać rytm. Powtórzyć. I jeszcze raz, ale bardziej płynnie. Kilkuletnia dziewczynka nieporadnie próbuje naśladować starsze koleżanki, które opanowały już podstawowe ruchy. Taniec odgrywa wyjątkową rolę w kulturze Abchazów. Młodzi muszą się go nauczyć. W weekendy do siedziby stowarzyszenia przychodzą całe rodziny. Chcą być razem. Kultywować abchaskość. Kiedyś obowiązywała zasada, że Abchaz nie mógł odsprzedać domu lub ziemi nie-Abchazowi. Wszystko powinno zostać w rodzie i w narodzie. Na biurku prezesa stowarzyszenia stoi model samolotu pasażerskiego pomalowany w barwy narodowe i podpisany „Abkhaz Airlines". Na razie własne linie lotnicze to tylko marzenie, bo lotnisko w Suchumi, stolicy Abchazji, jest zamknięte od czasów wojny z początku lat dziewięćdziesiątych.

– Musimy latać do Soczi i stamtąd dopiero jechać do naszej ojczyzny. Ale to bez znaczenia. Najważniejsze, że mamy dokąd wracać. Przez cały czas trwania Związku Radzieckiego byliśmy odcięci od naszych rodaków. A teraz możemy utrzymywać normalne kontakty. Młodzi Abchazowie przyjeżdżają studiować do Turcji, niektórzy z diaspory przenoszą się do Abchazji. Sam pojedź i pogadaj z ludźmi, to się przekonasz. – Ander jest pewny swego.

Ściany restauracji w wiosce Kayalarmemduhiye pokrywają obrazy, plakaty, przedmioty codziennego użytku, okładki książek. Turhan Humsaç, mój przewodnik z abchaskiej diaspory w pobliskim mieście Adapazarı, z pietyzmem pokazuje mi kolejne przedmioty.

– W tej izbie jest zawarta cała historia Abchazów w Turcji. To na przykład zespół taneczny założony przez zmarłego w tym roku Kandita Tarbę.

Na pomarszczonej, wyblakłej fotografii mężczyzna ubrany w luźny kaukaski płaszcz przypominający tunikę, przepasany na piersiach gilzami, nazywany czerkieską, rozpościera ręce i w żywiołowym tańcu wyskakuje na jednej nodze. Ma w sobie coś z koguta prezentującego siły witalne. Za nim w półokręgu klęczą mężczyźni w wełnianych papachach gotowi na swoją rolę w tanecznym spektaklu. A z tyłu kobiety oczekują na zdobycie przez buzujących męskością kaukaskich górali.

– Tarba reaktywował tradycję abchaskiego tańca. A to dopiero początek tej niezwykłej kolekcji.

Turhan Humsaç robi kilka kroków i zatrzymuje się przed czarno-białym zdjęciem pięknej kobiety. Długie włosy, szeroko otwarte brązowe oczy, wydatne pociągnięte mocną czerwoną szminką usta rozchylają się w zalotnym uśmiechu zapraszającym do pocałunku.

– Türkan Şoray, wielka gwiazda srebrnego ekranu, nazywana „sułtanem” tureckiego kina. Mało kto wie, że z pochodzenia jest nie etniczną Turczynką, tylko Abchaską. A jeżeli za granicą w ogóle wspomina się o jej nietureckim pochodzeniu, to określa się ją jako

Czerkieskę. Kłopot w tym, że w języku angielskim często pisze się o wszystkich Kaukazczykach zamieszkujących Turcję jako o Circassians, czyli Czerkiesach, podczas gdy mieszka tutaj wiele narodów. Czerkiesi są najliczniejsi, ale przecież Abchazów też jest nie mało. Czerkies to nie Abchaz, Abchaz nie Czeczen, Czeczen to nie Osetyjczyk. Ale dla świata to nie ma znaczenia. Łatwiej wrzucić nas do jednego worka.

Turhan zawiesza na chwilę głos.

– O, a na tym zdjęciu widzisz Yaşara Kemala. Wielkiego prozaika nominowanego do literackiej Nagrody Nobla. – Przechodzi w głąb sali.

– Ale on to chyba był Kurdem… – wtrącam nieśmiało.

– Tak, tak, Kurdem. Spokojnie, nie będę próbował ci wmówić, że wszyscy wybitni ludzie w Turcji byli Abchazami – śmieje się. – Co nie zmienia faktu, że Kemal pisał o Abchazach. Jedną z jego słynniejszych książek jest Çakırcalı Efe opowiadająca o sławnym rozbójniku Mehmecie Efe. To taki turecki Robin Hood, który w imieniu prostego ludu walczył z despotycznymi urzędnikami i bogaczami wyzyskującymi biedaków. Çakırcalı był Abchazem i jego porywcza kaukaska natura szybko dała o sobie znać. Choć większość naszych przodków pozostawała wierna najpierw sułtanom, a potem nowym świeckim rządom. Z ludów Kaukazu rekrutowali się najbardziej bitni żołnierze. W Jordanii Czerkiesi tworzą elitarną osobistą gwardię królewską. Rauf Orbay, premier uworzonej przez Mustafę Kemala Republiki Turcji, był z pochodzenia Abchazem. Mimo że w wyniku oskarżenia o sprzyjanie islamistom przez dziesięć lat przebywał na wygnaniu, to pozostał wierny i Turcji, i Atatürkowi.

Dopiero teraz zwracam uwagę, że ze wszystkich stron otaczają mnie Atatürki. Dumna twarz ujęta z profilu i en face spogląda z portretów i popiersi. Ojciec Turków zawsze występuje w białej koszuli, garniturze i czarnym krawacie podkreślających zwrot Turcji na Zachód i zerwanie z tradycją otomańską oraz islamskim charakterem państwa. Czas odmierza zegar w kształcie półksiężyca z wyrysowaną na cyferblacie podobizną przywódcy.

– My również jesteśmy lojalni wobec tureckiej władzy – mówi Turhan, widząc, jak próbuję policzyć podobizny Mustafy Kemala.

Na kolejnym zdjęciu pozują uśmiechnięci piłkarze w strojach w czarno-białe pasy. Nad fotografią zawieszono piłkarski proporczyk w takich samych barwach. Turhan nie daje mi chwili wytchnienia i natychmiast przechodzi do opowieści:

– To emblemat klubu Beşiktaş JK, jednej z najlepszych tureckich drużyn, która w sezonie 2015–2016 wygrała Süper Lig. Twórcą jego potęgi i najdłużej sprawującym funkcję prezesem był Süleyman Seba. Jego prawdziwie nazwisko brzmiało Tsyba i rzecz jasna był Abchazem. Kaukaskie korzenie miała też piękność nad pięknościami Keriman Halis Ece ogłoszona w latach trzydziestych Miss Universe. Szkoda tylko, że nigdy nie wspomina się o jej prawdziwym pochodzeniu. Nasze kobiety o czarnych włosach i gładkiej białej skórze uchodziły w Turcji za wzór piękna i licznie zapełniały sułtański harem. Żadna etniczna Turczynka nie mogła się z nimi równać.

Z tej galerii znamienitych osobowości wybija się dobrze znany popkulturowy wizerunek przystojniaka z bujnymi włosami, gęstą czarną brodą i nasuniętym na czoło wojskowym beretem ozdobionym czerwoną gwiazdą. Obok ten sam rewolucyjno-zbrodniczy amant przygryza tlące się cygaro.

– A Che Guevara dlaczego się tutaj znalazł? – pytam zdezorientowany.

– Wiedziałeś, że Che był z pochodzenia Baskiem? – odpowiada z lekkim błyskiem w oku Turhan.

– Tak, gdzieś o tym czytałem, ale co to ma wspólnego z Abchazami?

Właściciel restauracji ewidentnie ma słabość do komunisty, bo na przeciwległej ścianie wisi kolejny plakat z jego podobizną. Tuż obok przybito tablicę rejestracyjną z wielkim napisem „Cuba" i tandetnie narysowanym oldtimerem zaparkowanym na plaży w promieniach zachodzącego słońca.

– Czyli nie masz pojęcia, że Baskowie i Abchazowie są bardzo blisko spokrewnieni. Dzisiejsi mieszkańcy Pirenejów przybyli tam z Kaukazu. Sam więc widzisz, że korzenie Che Guevary tkwią w Abchazji – oznajmia Turhan z triumfem. – A ciekawe, czy słyszałeś, że Kirk Douglas, ojciec Michaela Douglasa, był Polakiem. – Turhan zadaje mi ostateczny intelektualny cios. Biorę głęboki oddech, ale brakuje mi sił na ripostę czy choćby skuteczny unik.

– Nie, o tym też nie słyszałem.

– A widzisz! Oficjalnie jego rodzice byli polskimi Żydami mieszkającymi na terenach dzisiejszej Białorusi, ale z kolei ich dziadowie przybyli tam z Abchazji. – Turhan Humsaç uśmiecha się przewrotnie, tak że tracę pewność, czy sobie ze mnie żartuje, czy faktycznie wierzy w kaukaski rodowód hollywoodzkiego aktora.

Dalszą opowieść przerywa kelner, wnosząc na stół talerze z potrawami. Turhan z zapałem opisuje poszczególne potrawy.

– To chyba mamałyga. – Próbuję łyżką papkę z gotowanej kukurydzy z wetkniętym kawałkiem owczego sera.

– My mówimy abysta, ser nazywa się asz, a połączenie takie, jak masz na talerzu, to ailadz. To z kolei akud, czyli pasta z fasoli doprawionej orzechami włoskimi i jeszcze sałatka ze świeżych warzyw achapa. Notujesz to, co mówię? To bardzo ważne, bo nawet Abchazowie zapominają, jak nazywają się ich narodowe potrawy. – Zagląda mi przez ramię, gdy pospiesznie próbuję zapisać dziwnie brzmiące nazwy. – Nie, nie, źle. Daj, poprawię. – Wyrywa mi długopis i zmienia kolejność liter.

Mowa abchaska jest nawet jak na kaukaskie standardy językiem wyjątkowo trudnym do nauczenia. W zależności od dialektu występuje w nim od 58 do 67 spółgłosek. Niektóre z nich są niewymawialne, jeśli nie osłuchaliśmy się z nimi od dziecka. Komuniści wprowadzili zapis cyrylicą, ale ani ona, ani alfabet łaciński nie są w stanie oddać złożoności tylu różnych głosek. Lingwiści twierdzą, że na przestrzeni wieków abchaski praktycznie nie ewoluował, nie podlegał charakterystycznym dla nowożytnych języków procesom upraszczania.

To mowa z głębin dziejów. Abchazja to po abchasku Apsny, czyli „kraj dusz”, język zaś to apsszcza, a zatem „język duszy”.

Po skończonym posiłku idziemy do połączonej ze sklepem kawiarenki. Starsi mężczyźni siedzą przy stole, piją kawę i zaciągają się papierosami. Zapraszają do stołu, mocno ściskają ręce na powitanie, klepią po plecach.

– W naszej wiosce wszyscy są Abchazami. Dawniej bardzo pilnowano, żeby Abchazowie pobierali się tylko pomiędzy sobą. Nie do pomyślenia były małżeństwa mieszane. Chroniliśmy naszą krew, żeby nie rozmyć się w tureckim żywiole. Dlatego przez półtora wieku udało nam się ocalić tożsamość. Teraz wszystko się zmienia. Rodzice mogą patrzeć krzywym okiem, że chłopak podrywa Turczynkę albo dziewczyna zakochała się w Turku, ale nikt nie będzie im zabraniał się spotykać. Zresztą kto by dzisiaj młodych upilnował! Nie chcą mieszkać na wsi, uciekają do miast – mówi jeden z nich.

Do rozmowy wtrąca się mężczyzna w okularach i eleganckim fularze. Opowiada tak silnym głosem, że nikt się nie ośmiela mu przerwać.

– Nazywam się Yılmaz. Abchazja była kiedyś naszą ziemią obiecaną. Pamiętam jak dziś pierwszą podróż przedstawicieli diaspory do ojczyzny. To był rok 1977, po ponad pięćdziesięciu latach istnienia ZSRR Breżniew zezwolił, żebyśmy odwiedzili naszych rodaków. Było nas dwadzieścia kilka osób. Ojciec bardzo nie chciał, żebym jechał. Mówił, że to niebezpieczne, że mogą nas nie wypuścić, aresztować za szpiegostwo. Przecież to był ten okryty mrokiem Sojuz. Ale ja musiałem pojechać. Obiecałem to swoim przyjaciołom i sobie samemu. Najpierw wylądowaliśmy w Moskwie, potem polecieliśmy do Batumi i dalej już autobusem dotarliśmy do Suchumi. Płakałem jak dziecko, gdy ujrzałem naszą stolicę. Wszyscy płakaliśmy. Ludzie witali nas jak rodzinę. Zobaczyłem wszystkie miejsca, o których dotychczas tylko słyszałem z opowiadania albo czytałem w książkach. Gagrę, Gudautę, Nowy Aton, Picundę, jezioro Rica. To była najpiękniejsza

chwila, jaką przeżyłem. A jak odzyskaliśmy niepodległość, to jeszcze wiele razy odwiedzałem Abchazję.

– A nie chciał pan na stałe zamieszkać w ojczyźnie?

– Chciałem, myślałem o tym, planowałem. Ale jakoś nie wyszło… To nie jest takie proste – milknie skonfundowany.

Niebo zaciągnęło się sinymi chmurami i gdzieś w oddali huknął potężny grzmot. Błyskawice rozświetlają niebo. Spadają pierwsze krople. Po chwili rozpoczyna się nawałnica. Szybko chronimy się we wnętrzu kawiarni. Deszcz przechodzi w grad. Kule lodu, niektóre wielkości piłek pingpongowych, walą o dach, zagłuszając naszą rozmowę.

– Przez ostatnie dwie dekady bardzo wiele się zmieniło. Mamy więcej wolności, możemy jeździć do Abchazji, ale to wcale nie oznacza, że nasza sytuacja tutaj w Turcji jest lepsza – kontynuuje Yılmaz. – U mnie w domu mówiło się po abchasku i dopiero w szkole nauczyłem się tureckiego. Jeżeli Abchaz nie mówił w swojej ojczystej mowie, to nikt go nie szanował. Uważano go za odszczepieńca, a nawet zdrajcę. Żyliśmy w zamkniętych wiejskich społecznościach. Obecnie to niemożliwe. Jak na całym świecie, młodzi chcą robić kariery, rozwijać się, żyć podobnie do rówieśników. Podstawą jest znajomość tureckiego, abchaski nie jest im do niczego potrzebny. Przykładów nie trzeba szukać daleko. Mój nastoletni syn mówi łamaną abchazczyzną, i to tylko dlatego, że to ja go uczyłem i wymuszam na nim rozmawianie w domu po abchasku – wzdycha.

– Boję się, że za kilkanaście lat nie będę mógł porozumieć się z moimi wnukami w języku naszych przodków. Dlatego chciałbym, żeby moje dzieci wróciły do Abchazji. Tam jest ich miejsce – dodaje jego siedzący przy stole kolega, po czym jednym łykiem wypija filiżankę kawy i zdejmuje ze ściany pożółkłą fotografię, na której grupa kilkudziesięciu osób pozuje do obiektywu. Na drugim planie stoją elegancko ubrani brodaci mężczyźni w kapeluszach albo okrągłych czapkach przypominających środkowoazjatyckie tiubietiejki. – To fotografia mieszkańców naszej wioski z lat

trzydziestych ubiegłego wieku. Oni byli jednością. Abchazami. Sam nie wiem, kiedy było lepiej. Wtedy czy teraz. Myślę, że… – próbuje coś dodać, ale przerywa mu staruszek, który dotychczas siedział w milczeniu w kącie sali. Teraz zrywa się na równe nogi i nerwowo wykrzykuje coś po abchasku, świdrując wzrokiem to mnie, to swoich towarzyszy. Wysoki, zasuszony, sprawia wrażenie przygarbionego i zmęczonego. Mężczyźni próbują go uciszyć, ale im bardziej klepią go przyjacielsko po plecach, tym głośniej i dosadniej wyraża swoją złość. Oczy zachodzą mu łzami i w końcu zmęczony daje się wyprowadzić na zewnątrz. Deszcz ustał, niebo znowu jest błękitne.

W milczeniu żegnamy się i już mamy wsiadać do samochodu, gdy moją uwagę zwraca wiszący przy wejściu do restauracji czarny plakat z płonącym ogniskiem i białym napisem: „Üşüyorum, Bekir Aşba”.

– To książka Zimno mi opowiadająca o wojnie abchasko-gruzińskiej z lat dziewięćdziesiątych. Aşba był młodym chłopakiem z diaspory, który jako ochotnik pojechał bić się o wolność naszej ojczyzny. W swoich wspomnieniach opisuje koszmarne rzeczy. Ja tam nie walczyłem, więc nie chcę o tym mówić, ale poznam cię z kimś, komu też było śmiertelnie zimno – mówi Turhan, dostrzegając moje zaciekawione spojrzenie.

W samochodzie panuje niezręczna cisza.

– Czy obraziłem czymś tego starszego człowieka? Dlaczego tak wybuchnął? Chodzi o to, że jestem dziennikarzem? – pytam.

– Nie, nie chodzi ani o ciebie, ani o twój zawód. On nie był wściekły, tylko potwornie rozżalony. Bo pamięta, jak wszyscy w Kayalarze czuli się Abchazami, jak pielęgnowali język i kulturę. A teraz ona umiera. Ilu młodych ludzi widziałeś w tej kawiarni, restauracji albo na ulicy?

– Żadnego! – Nagle zdaję sobie sprawę, że całe popołudnie spędziłem z ludźmi dojrzałymi albo starcami.

– Właśnie. Wszyscy wyjechali – przytakuje ze smutkiem mój przewodnik, gdy wjeżdżamy na przedmieścia prawie półmilionowego miasta.

Siedziba organizacji Sakarya Abhaz Derneği, czyli stowarzyszenia Abchazów w mieście Adapazarı, jest przestronna i pachnie świeżością. W sali konferencyjnej zawieszono ogromny herb Abchazji w formie tarczy ze złotym jeźdźcem strzelającym w niebo z wysoko wzniesionego nad głowę łuku. Pod nim stoją flagi Turcji i Abchazji.

– Ten strzelec to Sosruko, jeden z bohaterów Eposu o Nartach stanowiącego rdzeń mitologii ludów północnego Kaukazu. Opowieści o olbrzymach i herosach Nartach są dla nas tym, czym dla cywilizacji europejskiej mity greckie. – Turhan przejeżdża dłonią po krawędzi godła. Sosruko był wprawdzie najmniejszym, ale jednocześnie najsprytniejszym i najprzebieglejszym z Nartów. Stoczył wiele bitew i wykradł ogień potwornemu gigantowi. Jego koń Arasz mógł nie tylko biegać, ale również latać w przestworzach. – Musimy jeszcze dodać do godła trzy ośmioramienne gwiazdy symbolizujące jedność pomiędzy cywilizacjami Wschodu i Zachodu, na styku których zawsze leżała Abchazja. Ale nie zaprosiłem cię tutaj, żeby rozmawiać o abchaskich legendach i heraldyce. Poznaj Alpera Kobaşa.

Ubrany w kraciastą koszulę i puchowy bezrękawnik mężczyzna w średnim wieku ciężko podnosi się z krzesła, podając mi rękę.

– Naprawdę nazywam się Bganba, Kobaş to nazwisko tureckie, ale ja wolę posługiwać się tym abchaskim. – Uśmiecha się, poprawiając okulary. – Moim językiem jest abchaski, turecki to tylko dodatek. Dziadkowie przybyli do Anatolii w 1878 roku. Rodzina pochodzi z wioski Bzyp niedaleko słynnego kurortu Picunda, na tamtejszym cmentarzu pochowany jest mój pradziadek. Zawsze marzyłem, żeby wrócić do ojczyzny. – Milknie na chwilę. – W 1992 roku miałem dwadzieścia dwa lata i uczyłem się na czwartym roku wydziału elektroniki i telekomunikacji w Stambule. Byłem typowym studenciakiem siedzącym w książkach, wykresach i liczbach. A w wolnych chwilach koledzy i uganianie się za dziewczynami. Nie miałem bladego pojęcia o wojnie. Nawet w armii nie byłem. Karabin znałem z amerykańskich filmów sensacyjnych. Ale jak usłyszałem, że Gruzini mordują Abchazów, a moi rodacy walczą o wolność, to

wiedziałem, że muszę jechać. Pożyczyłem pieniądze, spakowałem się, kupiłem bilet na samolot i w kilka dni później byłem już po drugiej stronie Morza Czarnego.

– A co na to twoi rodzice? – pytam.

– Oni o niczym nie wiedzieli. Nie powiedziałem im, że jadę na front. Zostawiłem list pożegnalny w pokoju w akademiku, a zadzwoniłem dopiero z Abchazji. Matka była zrozpaczona, ojciec przerażony, ale on chyba mnie rozumiał. Mój dziadek w czasie I wojny światowej też pojechał walczyć o niepodległą Abchazję. Doleciałem do Soczi, a stamtąd przedostałem się do Bzypu, gdzie mieszkają moi krewni. Oni pomogli mi znaleźć ochotników wstępujących do formowanej abchaskiej armii. Wszyscy byli w szoku, że zostawiłem wygodne życie w Turcji i przyjechałem walczyć z nimi ramię w ramię. Na początek skierowano mnie na szkolenie, pierwszy raz wziąłem do ręki kałasznikowa. Tam były potworne braki w zaopatrzeniu. Ale że ja przybyłem aż zza morza, to każdy chciał mnie czymś obdarować. Tylko czym? Sklepy puste, pieniądze w zasadzie bezwartościowe. To dawano mi naboje. To był gest prawdziwej przyjaźni, bo amunicji też mieliśmy niewiele. Pewnego dnia nasz batalion wizytował generał. Ktoś mu powiedział, że mają ochotnika z Turcji. I on w geście uznania za moją odwagę wręczył mi granat przeciwpiechotny. Wszyscy koledzy śmiali się, że teraz jestem bogaczem, bo jednak granat to jest coś. – Uśmiecha się. – Szybko się uczyłem i po dwóch miesiącach trafiłem już z 500 metrów do metalowego kubka. Wtedy rzucono mnie na front.

Alper był jednym z około dwóch tysięcy zagranicznych ochotników walczących o wolną Abchazję. Na czarnomorskie wybrzeże docierali Abchazowie nie tylko z Turcji, ale również z Syrii, Jordanii, Europy Zachodniej. Na pomoc Suchumi ruszyli wojownicy z Adygei, Kabardyno-Bałkarii, Osetii Południowej, Czeczenii. Wojna z Gruzją stała się spoiwem rodzącej się Konfederacji Narodów Kaukazu, która na fali niepodległościowych zrywów początku lat dziewięćdziesiątych miała dać wolność północnokaukaskim góralom. Paradoksalnie

pierwszym przeciwnikiem ludów od dwóch stuleci uciskanych przez Imperium Rosyjskie stała się nie Moskwa, lecz Tbilisi. Jak niebezpieczny był ten romans z Kremlem, okaże się dopiero kilka lat później, gdy rosyjskie czołgi wjadą do czeczeńskiej stolicy.

– Trafiłem nad rzekę Gumistę płynącą wzdłuż zachodnich przedmieść Suchumi. Najpierw walczyłem w kompleksie sportowym położonym nad samą Gumistą. Gruzini ciągle nas ostrzeliwali. To było potworne, siedzieliśmy w tych ogromnych zabudowaniach, a tamci walili do nas z moździerzy. Potem dostaliśmy rozkaz, żeby iść w góry i zaatakować miasto od północy. Strasznie się bałem, ale czułem też jakąś dziwną radość, a może podniecenie. Wreszcie ofensywa, wreszcie wejdziemy do naszej stolicy. W trakcie przekraczania rzeki trzymaliśmy się za ręce, bo prąd był bardzo silny. Było nas w wodzie dziesięciu, jak nagle zaczął się ostrzał. Spanikowaliśmy, któryś się potknął i pociągnął kolegę, a ten upadł na kolejnego. Przewracaliśmy się jak kostki domina. Ja byłem blisko brzegu i zdołałem się wydostać na ląd. Kilku moich kolegów nie miało tyle szczęścia. Porwało ich w dół rzeki. Nigdy więcej ich nie widzieliśmy. Przedarliśmy się na przedmieścia. Tam wpadliśmy w okrążenie. Usłyszałem huk i nagle leżałem na ziemi. Nie mogłem się podnieść, w ogóle nie czułem lewej nogi. Widziałem tylko, że spodnie są rozerwane i całe czerwone. Ktoś mnie pociągnął, wziął na plecy, zaniósł za mur. Medyk wciskał w ranę gazę, próbował bandażować, ale krew sikała strumieniami. Obudziłem się w szpitalu w Gagrze. Dowiedziałem się, że wyrwało mi kilogram mięsa. Do tej pory mam tę nogę chudszą o kilka centymetrów. – Alper podwija nogawkę, pokazując głębokie blizny wchodzące w dolną część uda. – I tak mi się upiekło, że nie oberwałem w tętnicę. W Gagrze okazało się, że wymagam operacji, której oni z braku sprzętu nie przeprowadzą. Było ryzyko amputacji. Wróciłem do Turcji.

– To był dla ciebie koniec wojny?

– Początkowo tak myślałem. Ale szybko dochodziłem do siebie, rany goiły się jak na psie. Zacząłem wstawać z łóżka, normalnie się poruszać. A wojna trwała. Moi koledzy ciągle walczyli i ginęli za

Abchazję. Któregoś dnia odwiedził mnie ojciec i spytał, jak się czuję. Już mówiłem, że mam w rodzinie bardzo silne patriotyczne tradycje. Ojciec napisał tę książkę. – Alper kładzie na stole tom zatytułowany Nasi bracia, nasza Abchazja. – To zbiór historii rodzinnych i listów wysyłanych przez diasporę do krewnych w ojczyźnie. On wiedział, że my jesteśmy tylko rozbitkami, a nasz prawdziwy dom jest na dalekim Kaukazie. Dlatego spojrzałem mu w oczy i powiedziałem: „Czuję się na tyle dobrze, że mogę i chcę wracać na front". Myślałem, że wpadnie w furię albo będzie rozpaczał. A on tylko odrzekł: „Jeżeli już coś zacząłeś, to musisz to dokończyć. Wracaj!". Przed wylotem przyniósł mi pięć tysięcy dolarów. Uzbierał te pieniądze od rodziny i znajomych. Kazał rozdać je przyjaciołom z batalionu. Dotarłem do oddziału akurat, kiedy zaczynało się kolejne uderzenie na Suchumi. Jak się potem okazało, ostatnia bitwa tej wojny. Był wrzesień 1993 roku. Walczyliśmy o każdą ulicę, Gruzini byli w okrążeniu, ale nie zamierzali się poddać. Niestety nie zobaczyłem, jak zdobywamy położony w samym centrum budynek dawnej Rady Ministrów radzieckiej Abchazji. Kilka przecznic wcześniej eksplodował koło mnie pocisk. Lekarze wyciągnęli mi z ciała trzydzieści osiem odłamków. Dwa kolejne, tkwiące w czaszce, zostawili, bo bali się, że przy operacji uszkodzą nerwy i stracę wzrok. Od dwudziestu pięciu lat noszę w sobie te pamiątki zwycięstwa w wojnie o wolną Abchazję. Te wredne kawałeczki metalu wędrują sobie gdzieś tutaj. – Dotyka skroni i wysokiego czoła, przeczesuje palcami rzadkie, siwiejące włosy. Z kieszeni marynarki wyciąga medal z wygrawerowanym jeźdźcem trzymającym miecz w dłoni. Alper został odznaczony Orderem Leona ustanowionym na cześć panującego na przełomie VII i VIII wieku króla Leona II, który stworzył niezależne od Bizancjum Królestwo Abchazji obejmujące swoim zasięgiem nie tylko dzisiejsze abchaskie ziemie, ale również zachodnią Gruzję, a na wschód całe czarnomorskie wybrzeże, aż po obecny Noworosyjsk. Rodzące się państwo hojnie rozdawało medale przybyszom z zagranicy, jakby tymi kawałkami metalu chciało

podkreślić swoje istnienie. Przekazać w świat wiadomość, że Abchazja jest niepodległa.

– Jakiś czas temu zacząłem mieć problemy z chodzeniem. – Wstaje i robi kilka kroków, powłócząc lewą nogą. – Sądziłem, że to odzywa się ta rana na udzie, ale lekarz po dokładnym badaniu postawił inną diagnozę. Ten pieprzony odłamek doszedł sobie do jakiegoś nerwu i zaczął go uciskać. Dlatego powoli mnie paraliżuje. A nie wiadomo, gdzie on dalej może zawędrować. Dzisiaj ruszam rękami, mogę mówić, mam czucie w nogach. Ale jutro cholera wie. Mam świadectwo zdrowia z bardzo krótkim okresem ważności. W każdej chwili mogę zostać inwalidą. – Alper głośno oddycha.

– Dlaczego nie zostałeś w Abchazji, skoro byłeś gotowy oddać za nią życie?

– Zostałem… – Jego oddech staje się coraz cięższy, ale oczy pozostają spokojne. – Przez siedem lat mieszkałem w Gagrze. Wszystkim ochotnikom z Turcji państwo rozdało domy.

– Po Gruzinach?

– Tak, po Gruzinach – ucina temat. – Założyłem sklep spożywczy i małą kawiarnię. Regularnie latałem do Turcji, żeby odwiedzić rodziców. Oni popierali moją decyzję, sami chcieliby mieszkać w Abchazji, ale byli za starzy na przeprowadzkę. Jak to mówią, nie przesadza się starych drzew. Ale te moje powroty to był błąd. Któregoś dnia na lotnisku w Stambule przy kontroli paszportowej zostałem zatrzymany. Celnicy zabrali mnie do takiego małego pokoju przesłuchań i oficer warknął: „Oj, bratku, to ty się tyle lat od armii wymigujesz! Już my cię weźmiemy w kamasze”. Trafiłem przed komisję lekarską, która stwierdziła, że mój stan zdrowia pozwala na służbę wojskową. Dowódca powiedział mi prosto w oczy: „Jesteś Abchazem i walczyłeś o swoją ojczyznę. Ale jesteś też tureckim obywatelem i masz obowiązek bronić Turcji. Nie będzie żadnej taryfy ulgowej”.

– Gdzie cię wysłali?

– Do Kurdystanu. Tam cały czas trwa wojna z partyzantami.

– Strzelałeś do Kurdów?

– Nie. Zlitowali się nade mną i przydzielili do ochrony bazy. Na szczęście przez dwa lata nigdy nie zostaliśmy zaatakowani. Jak przeszedłem do cywila, to mój stan zdrowia gwałtownie się pogorszył. Nie mogę sobie darować, że wróciłem do Turcji. Tęsknię za Abchazją. Codziennie o niej myślę.

– Nienawidzisz Gruzinów?

– Tu nie chodzi o nienawiść, tylko o przetrwanie. Gruzini zawsze na nas napadali, bo ubzdurali sobie, że Abchazja to gruzińska ziemia. Nie potrafią zrozumieć, że to nie ich, tylko nasz dom. Dopóki tego nie pojmą, wojna będzie trwała. A ja jeszcze w tym roku wracam do Gagry. Dowódca mojego batalionu Tengiz Bigwawa jest teraz merem Picundy, na pewno pomógłby mi stanąć na nogi. Nie wiem, ile pożyję, ale chcę być pochowany w Bzypie, obok mojego pradziadka.

Wieczorem wspólnie z Dinarem, poznanym w Stowarzyszeniu studentem z Suchumi, idziemy do abchaskiej kawiarni w centrum Adapazarı. Mężczyźni popijają mocną kawę, grają w domino albo okey (turecką wariację gry Rummikub) polegającą na wykładaniu na stół sekwencji kostek z liczbami w taki sposób, żeby jak najszybciej pozbyć się ich wszystkich z ręki. Przechodzimy przez salę i przez niewielkie drzwi wciskamy się do malutkiego pokoju na zapleczu. Niski stolik, skórzana kanapa, dwa fotele, ściany obite czarnym aksamitnym suknem. W środku czeka na nas kilku Abchazów. Sączą herbatę i zaciągają się papierosami. Jeden przesuwa w palcach paciorki muzułmańskiego różańca. Przeważająca większość Abchazów z diaspory wyznaje islam. Powietrze jest sine od dymu tytoniowego, potęgując wrażenie klaustrofobii. Gospodarze przedstawiają się, podając dwa nazwiska: abchaskie i tureckie.

– Podobno chcesz wiedzieć, czy żyjąc od półtora wieku na obczyźnie, zachowaliśmy swoją tożsamość – zwraca się do mnie Nevzat, najstarszy z nich. – Powiem ci prawdę. Urodziłem się w Turcji, ale moja ojczyzna to Abchazja. Jeżeli spytają mnie, kim jestem,

odrzeknę: Abchazem. To, że żyję w Chinach, nie czyni mnie Chińczykiem, a co najwyżej obywatelem Chin.

– Oczywiście rozumiem. To bardzo ważne. – Kiwam ze zrozumieniem głową, starając się ukryć rozczarowanie wygłaszanymi banałami.

– Kłamać to ty, przyjacielu, nie umiesz. – Nevzat nagle wybucha śmiechem. – Pewnie sobie myślisz, że sprzedaję ci głodne kawałki, które wypada mi opowiadać dziennikarzom, w szczególności tym zagranicznym. A ja obiecałem ci prawdę. Więc prawda jest taka: za trzydzieści, czterdzieści lat nie będzie kultury abchaskiej w Turcji. Rozjedzie nas globalizacja. Byłeś w wiosce, widziałeś moich rówieśników rozpaczających nad tym, że nowe pokolenie odrywa się od korzeni. Ale nie ma co załamywać rąk. Taki jest świat i nic na to nie poradzimy. Dlatego młodzi Abchazowie muszą wracać do ojczyzny. Oni są potrzebni tam, a nie tutaj. Niepodległość można zachować tylko, jeśli są ludzie gotowi jej bronić. Nikt o tym głośno nie mówi, ale wszyscy wiedzą, że etnicznych Abchazów jest w Abchazji mniej niż połowa populacji. Paradoksalnie duża część młodzieży z diaspory pozostaje nastawiona patriotycznie. Na początku lat dziewięćdziesiątych nasza świadomość Abchazji miała wymiar ludyczny. To był raj utracony z baśni i legend. Niezwykle ważny, ale mało realny, na poły wręcz magiczny. Ale skoro nasze państwo zmartwychwstało, to można się z nim identyfikować. Jak grzyby po deszczu wyrastają w internecie abchaskie strony, chłopaki przyklejają na auta flagi, interesują się wojną z lat dziewięćdziesiątych. Mój syn zapytał mnie kiedyś, dlaczego ja nie pojechałem walczyć. Ale jednak z językiem, jak już ci mówiłem, jest problem i będzie problem, bo siłą rzeczy wsiąkamy w żywioł turecki. Ten patriotyzm można sensownie spożytkować tylko w ojczyźnie. Dlatego młodzi powinni zdobyć wykształcenie i wyjechać. To będzie dobre i dla Abchazji, i dla Ankary. Turcja jest naszym sojusznikiem, ale nie naszym domem. Prawda, Dinar? – zwraca się do mojego towarzysza, który skwapliwie potakuje.

Zastanawiam się, czy faktycznie podziela zdanie Nevzata. On jest przybyszem z drugiej strony lustra. Urodził się w Abchazji, ale wykształcenie zdobywa w wyrastającej na regionalną potęgę, bogacącej się Turcji. Diaspora marzy o powrocie do ojczyzny przodków, którą tak naprawdę zna jedynie z opowieści albo medialnych przekazów. Tylko nieliczni widzieli na własne oczy stoki południowego Kaukazu. Ich szczery patriotyzm jest w pewnym stopniu teoretyczny, oderwany od twardej abchaskiej codzienności.

– Nevzat, a co myślisz o Kurdach? Poborowi Abchazowie strzelają się z partyzantką, a przecież Kurdowie tak jak i wy biją się o swoją ojczyznę.

– Masz rację. My rozumiemy kurdyjskie pragnienie wolności, ale nie możemy ich popierać, bo jesteśmy u Turków w gościnie. To ich, nie nasza wojna, choć w tej wojnie giną czasami nasi synowie.

– A co z Rosją? Przecież to imperium carów zabrało wam ojczyznę, mordowało was tysiącami i wygnało do Anatolii. Naprawdę uważasz, że Rosjanie są waszymi przyjaciółmi?

– To, co wydarzyło się w XIX stuleciu, to historia, i nie możemy pozwolić, żeby przeszłość kładła się cieniem na naszej przyszłości. Ale dobrze powiedziałeś, że imperium pozbawiło nas ojczyzny. A teraz Rosja nie jest imperium, tylko federacją. Związek Radziecki również nie był nam przychylny, ale i jego już na szczęście nie ma. NATO wspiera Gruzję, której celem jest zniszczenie naszej ojczyzny. Bez Rosji nie byłoby jednak Abchazji. Moskwa nas uznała, zachowała się jak prawdziwy przyjaciel. Czy wróg by nas uznał? – mówi podekscytowanym tonem. Tym razem widać, że nie żartuje. – My chcemy, żeby i Gruzini byli naszymi przyjaciółmi, ale to nie zależy od nas. To Tbilisi musi przyjąć do wiadomości, że Abchazowie nie są żadną odmianą Gruzinów, tylko niezależnym narodem, który ma prawo do własnego państwa! Rosjanie po stu pięćdziesięciu latach wreszcie to zrozumieli. Dlatego możemy żyć w przyjaźni.

– A co z relacjami rosyjsko-tureckimi? Wspominałeś, że Turcy są waszymi sojusznikami, ale ostatnio oni zestrzelili rosyjski bombowiec. Co jeśli wybuchnie konflikt pomiędzy Ankarą a Moskwą? Po której stronie staniecie?

W pokoiku na chwilę zapada cisza. Nevzat zaciąga się papierosem tak głęboko, że aż filtr zaczyna się tlić. Gwałtownym ruchem dogasza niedopałek, przyciskając go mocno do dna popielniczki.

– Żadnego konfliktu rosyjsko-tureckiego nie będzie. To chwilowe nieporozumienie, ale ich długofalowe cele są zbieżne. Poczekaj i sam się przekonasz. Wybacz, ale czas mnie nagli, musimy kończyć.

Wychodzimy z trumiennego pokoju do głównej sali. Nad wejściem w srebrnej ramie wisi kolaż z przeplatających się abchaskiej i tureckiej flagi.

Rankiem spacerujemy z Dinarem po kampusie akademickim. Dziesiątki nowoczesnych budynków rozrzucono pośród przyjemnych parków i alejek. W 1999 roku rejon Adapazarı nawiedziło gigantyczne trzęsienie ziemi. Zginęło ponad dwa i pół tysiąca ludzi, a zniszczeniu uległo kilkadziesiąt tysięcy budynków. Po tym wydarzeniu władze postanowiły w błyskawicznym czasie podnieść miasto z kolan i uczynić z niego nowoczesny ośrodek uniwersytecki. Teraz metropolia rozwija się prężniej niż przed kataklizmem.

– Studiuję na czwartym roku biznesu i zarządzania. Mówię po rosyjsku, turecku, angielsku i abchasku. W Abchazji, jeśli chcesz coś osiągnąć, to musisz ciężko pracować i najlepiej zdobyć wykształcenie za granicą.

– Dlaczego akurat w Turcji? Przecież mógłbyś studiować w Rosji. Miałbyś i taniej, i bliżej do rodziny.

– Tak, ale wiesz, Rosja to Rosja. Tutaj jest wyższy poziom edukacji, a poza tym Rosjanie nas nie lubią. Nie tylko Abchazów, ale wszystkich Kaukazczyków. Wyzywają od ciapatych, zdarza się, że biją. W Moskwie chyba nie czułbym się bezpiecznie.

– Jak zrobisz dyplom, to wracasz do ojczyzny?

– Nie mam pojęcia. Myślę, że powinienem, ale z drugiej strony tutaj mam duże perspektywy. Stambuł to światowe centrum biznesowe. A u nas… Co ja miałbym tam robić?

Kiedy wracałem autobusem z uroczystości w Kefkenie, przysiadł się do mnie inżynier ze Stambułu. Poczęstował ciastkami, zaczął opowiadać o przedsięwzięciach budowlanych realizowanych nad Bosforem. Spytałem, dlaczego nie wrócił do kraju, tylko wciąż mieszka w Turcji.

– Po odzyskaniu niepodległości wielu znajomych z diaspory chciało wyjechać do Abchazji. To była niezwykle trudna decyzja. Zostawić całe swoje dotychczasowe życie i zacząć od nowa na wprawdzie ojczystej, ale jednak nieznanej ziemi. Mnie nie starczyło odwagi, ale niektórzy pojechali. Przypominali mi Żydów, którzy po powstaniu Izraela w 1948 roku masowo przybywali do Palestyny pracować w kibucach i budować zręby państwowości. Mordercza harówka od samych podstaw. Na ugorze, w otoczeniu wrogich państw arabskich. Ale oni widzieli, że ich wysiłek nie pójdzie na marne. Żydowska ojczyzna rozkwita, staje się wygodnym domem, którego warto bronić za wszelką cenę. Tymczasem duża część moich kolegów po kilku latach mieszkania w Abchazji wróciła do Turcji. Bo tam nie byli w stanie normalnie egzystować. Chodzi o zupełnie przyziemne sprawy. Zarabiać tyle, żeby było na jedzenie, opłacenie rachunków, zatankowanie samochodu, drobne przyjemności. Czuć się bezpiecznie na ulicach, mieć zapewnioną podstawową opiekę medyczną i społeczną. Nie żaden luksus, przecież wiadomo, że nikt nie oczekiwał Szwajcarii czy Niemiec.

Zbliżaliśmy się do centrum Stambułu. Liczący sobie półtora kilometra most wiszący nad Bosforem mienił się niebiesko-czerwonymi ledowymi światłami. Wysoko w górę pięły się stalowo-szklane wieżowce. Wspaniale podświetlony Meczet Sulejmana dominował nad starą dzielnicą Sultanahmet. Miasto emanowało potęgą. Krzyczało, że Turcja ponownie jest wielka.

– Same szczytne ideały nie wystarczą, żeby stworzyć państwo. Bohaterstwo jest konieczne w czasach wojny, ale potem trzeba zwyczajnie zakasać rękawy i brać się do roboty. Na całym świecie obowiązuje prosta zasada: ludzie wyjeżdżają tam, gdzie im się lepiej żyje. Nie w drugą stronę. Słyszałeś, żeby Francuzi masowo emigrowali do Algierii? Jasne, że nie. Wzniosłe słowa wzniosłymi słowami, a życie życiem. Dlatego my nie palimy się do powrotu do Abchazji. To smutne, że przyszłość moich dzieci widzę w Turcji, a nie u stóp Kaukazu.

# Karaiby Sowietów

Maszerujcie, maszerujcie,
Synowie Abchazji,
Przelewajcie krew za Abchazję,
Przelewajcie krew za niepodległość,
Synowie Abchazji.

O-ho-ho-o-ho-o-rada,
O-ho-ho-o-ho-o-radara!
Jak słońce na niebie,
Ty zawsze będziesz, Abchazjo!
Twoja miłość ogrzewa niezliczone serca,
Z górami i morzami, które dźwigasz,
Z ludzkim sumieniem na twych barkach,
Gwieździsta, święta Abchazjo.

Zwycięstwo, hymn Republiki Abchazji

Naga kobieta o jędrnych piersiach i długich włosach zanurza się pod wodę, jak struna wyprężając smukłe ciało. Obok niej w głębiny schodzi atletycznie zbudowany mężczyzna. Wokół nurkującej pary pływają delfiny, węgorze i małe rybki. Wszystkie postacie wykonane są z materiału przypominającego brąz, a wodną taflę symbolizują kamienne pomalowane na biało łuki. Rzeźba Nurkowie dłuta wybitnego gruzińskiego rzeźbiarza Zuraba Ceretelego, rektora Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, strzeże wejścia na plażę w Picundzie. Pokryte jasnymi kamykami wybrzeże ciągnie się łagodnym łukiem, tworząc wbijającą się w ląd zatokę. Woda jest turkusowa, morze spokojne. Aż chce się zrzucić ubranie i za przykładem pomnikowych pływaków wskoczyć w fale. Mimo że sezon turystyczny zaczyna się dopiero za miesiąc, pierwsi plażowicze już rozkładają koce i ręczniki albo szukając cienia, zalegają pod palmowymi parasolami. Nadmorską ciszę burzy ryk pędzącej luksusowej motorówki.

Bulwar prowadzący na plażę obsadzono dorodnymi palmami i charakterystycznym dla tego regionu gatunkiem sosny. Z soczystej zieleni wyrastają szare bryły betonowych wieżowców. Ich toporne kształty usiłują przełamać dobudowane na zewnątrz przeszklone klatki schodowe. To siedem wybudowanych za Chruszczowa domów wczasowych uchodzących wtedy za szczyt luksusu. Picunda była ulubionym miejscem wypoczynku I sekretarza i to podczas pobytu w Abachazji w 1964 roku został on odsunięty od władzy przez towarzysza Breżniewa. Nazwy pensjonatów Złote Runo i Kolchida nie pozostawiają złudzeń, że w zamierzchłych czasach gdzieś nieopodal wylądowali prowadzeni przez Jazona Argonauci. W niepozornym budynku władz miejskich urzęduje przyjaciel Alpera Kobaşa z czasów wojny Tengiz Bigwawa. Słysząc nazwisko swojego druha, rozpromienia się i przyjacielskim gestem zaprasza do swojego gabinetu.

– Z roku na rok mamy coraz więcej turystów. Zabrzmi to brutalnie, ale wydarzenia na Krymie, wschodniej Ukrainie i w Afryce Północnej to dla nas błogosławieństwo. Zimna wojna między Rosją a Zachodem połączona z eksplozją terroryzmu spowodowała, że coraz mniej rosyjskich wczasowiczów wybiera się na Riwierę Francuską albo do Egiptu. Taniej i bezpieczniej można spędzić wakacje w Abchazji, szczególnie jeśli nie chce się wydawać fortuny na brylowanie w Soczi – uśmiecha się burmistrz kurortu Tengiz Bigwawa. – U nas może i mniej luksusowo, ale za to ciszej, piękniej i spokojniej. Cieszę się, że poznałeś Alpera. Jego siostra jest moją żoną, więc wszystko zostaje w rodzinie. Nie mówił ci o tym? Dziwne! Wiesz, że mieliśmy w oddziale jednego Polaka. Zaraz, jak on się nazywał? – Tengiz drapie się po gładko ogolonej brodzie. – Już wiem. Dąbrowski! Słyszałeś może o kimś takim?

– Znam tylko historię polaka Janusza Godawy, który walczył w Abchazji. – Kiwam przecząco głową.

– Mniejsza o to. W każdym razie po naszej stronie walczyło trochę obcokrajowców. Pamiętam jednego Niemca mieszkającego w Soczi,

który chwycił za broń i zginął w trakcie któregoś ze szturmów na Suchumi. Mieliśmy też oczywiście ochotników z różnych stron Kaukazu. Najważniejsze były oddziały Konfederacji Narodów Kaukazu dowodzone przez Szamila Basajewa. To na abchaskiej ziemi zdobywał on pierwsze doświadczenie wojskowe, które wkrótce uczyniło z niego bohatera. Z Gruzinami poszli się bić również abchascy Ormianie, którzy utworzyli Batalion Bagramiana. Mówię ci o tym dlatego, że musisz wiedzieć, że oni wszyscy byli ochotnikami. U nas nie było najemników. W przeciwieństwie do Gruzinów, którzy musieli kupować sobie żołnierzy. W trakcie przekraczania Gumisty, jak naszych przyjaciół porwała woda, wyraźnie słyszałem ukraińskie głosy. Ale co my tak będziemy przy pustym stole gadać. Idziemy do knajpy.

Tengiz zamyka drzwi do swojego gabinetu, zbiega po schodach i prowadzi do zaparkowanej łady nivy.

– Jak widzisz, ręki do interesów to ja nie mam. Trzeba było brać łapówki, to jeździłbym czymś lepszym niż wysłużoną nivką. – Puszcza oko.

Batalion Bagramiana, o którym wspominał, został sformowany w lutym 1993 roku w sile trzystu żołnierzy. Do jednostki mieli również dołączyć zaprawieni w bojach żołnierze z partyzantki ormiańskiej walczącej z Azerami o niezależność Górskiego Karabachu. Jednostkę nazwano na cześć sowieckiego marszałka Iwana Bagramiana, w trakcie II wojny światowej dowódcy 1 Frontu Nadbałtyckiego, a potem dowódcy Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego odpowiedzialnego za pacyfikowanie partyzantki niepodległościowej na Litwie i Łotwie. Oddział swoją pierwszą bitwę stoczył w trakcie nieudanego szturmu na Suchumi w marcu 1993 roku. Wtedy utworzono również drugi ormiański oddział. W sumie po stronie Abchazów walczyło około tysiąca pięciuset Ormian i aż dwudziestu odznaczono tytułem Bohatera Abchazji. Batalion jest oskarżany przez gruzińskie władze i organizacje międzynarodowe o współudział w dokonywanych przez abchaską armię czystkach etnicznych na ludności gruzińskiej. Z kolei wokół udziału Szamila Basajewa

w abchaskiej wojnie aż roi się od znaków zapytania. Dla wielu pozostaje on legendarnym bohaterem i symbolem walki z imperialistycznymi zakusami Kremla. Przez wciąż marzących o niepodległości Czeczenów otaczany jest niemalże kultem. Inni, w tym rzecz jasna Rosja, ale też ONZ, Departament Stanu USA i Komisja Europejska, uznają go za jednego z najgroźniejszych światowych terrorystów. Nie ulega wątpliwości, że w 1992 roku rosyjscy pogranicznicy przepuścili zmierzający do Abchazji czeczeński batalion, a potem aktywnie go wspierali. Parasol ochronny nad Czeczenami miał rozciągnąć Główny Zarząd Wywiadowczy Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, czyli okryte mroczną sławą elitarny wywiad wojskowy GRU oraz Federalna Służba Kontrwywiadowcza (poprzedniczka dzisiejszej Federalnej Służby Bezpieczeństwa).

W barze mer zamawia domowej roboty hamburgery, chaczapuri, herbatę i flaszkę wódki.

– Tengiz, a ty się nie boisz Rosjan? Że ten Wielki Brat z północy was pochłonie i przemieli? Mówiłeś o Basajewie, a jego w końcu zabili Ruscy, a nie Gruzini. Czeczeńskiej Republiki Iczkerii też nie spacyfikowało Tbilisi, tylko Moskwa.

–Widzisz, z Rosjanami to jest tak jak z niedźwiedziem, co to oni się nim zawsze chwalą. Niedźwiedź może cię obronić przed drapieżnikami, odstraszyć zakusy mających na ciebie chrapkę, przytulić do piersi i ogrzać grubym futrem. Ale czasami ten jego ojcowski uścisk bywa tak silny, że zaczynasz się dusić. Brakuje ci tchu, a misiu z łap nie wypuszcza. I wtedy masz kłopot. Ale my potrzebujemy niedźwiedzia, bo inaczej rozszarpią nas gruzińskie wilki. Nie mamy wyboru. Ale zmieńmy temat. Jak się teraz czuje Alper?

– Jego stan fizyczny powoli się pogarsza, ale na razie nie jest źle. Mówił, że w ciągu roku chce wrócić do Abchazji. On ogromnie tęskni za ojczyzną.

– Biedny Alper. Był i jest niebywałym patriotą. W trakcie wojny zawsze szedł w pierwszym szeregu. Aż oddaliśmy mu jedną jedyną

kamizelkę kuloodporną, którą mieliśmy w batalionie. A teraz żyje na obczyźnie. To go zabije szybciej niż te odłamki w głowie. Co za paradoks. On chce wracać, a ja moją żonę i córkę kilka lat temu wysłałem do Turcji…

– Dlaczego? Źle im tutaj było?

– Źle nie, ale tam na pewno jest lepiej. Żona znalazła sensowną pracę, córeczka zdobędzie sensowne wykształcenie. Jeśli ja w kolejnych wyborach nie zostanę wybrany merem, to od razu do nich dołączę. A może w ogóle nie wystawię swojej kandydatury i od razu pojadę. Tylko szkoda mi mojej Picundy. Piękniejszego miejsca na świecie nie znajdę. Gdzieś przeczytałem takie powiedzenie: „zobaczyć Neapol i umrzeć". Gówno prawda, „zobaczyć Picundę i umrzeć" to jest coś! To wypijmy za Alpera, że dzięki niemu się spotkaliśmy. – Wznosi toast.

– I za niedźwiedzie, żeby nas nie podusiły – dodaję.

– Niech będzie i za niedźwiedzie! – Uśmiecha się i przechyla kieliszek.

Położone nieopodal Picundy miasto Gagra trzyma się pazurami zboczy kaukaskich gór wdzierających się tutaj wprost do wód Morza Czarnego. Domki rozpaczliwie uczepiły się stromych stoków, usiłując nie osunąć się w fale. Wzdłuż plaży biegła kiedyś szykowna, a dzisiaj pachnąca starymi dobrymi czasami promenada. Plaże i miejscowości wokół Gagry nazywane były Riwierą Związku Radzieckiego. Rocznie Abchazję odwiedzały dziesiątki tysięcy turystów. Nad miastem góruje zaprojektowane w formie łuku gmaszysko hotelu Skała. Na pocztówkowych zdjęciach z lat siedemdziesiątych wygląda przepięknie. Do lobby prowadzi przestronny taras, z którego podziwiać można nadmorską panoramę Gagry. Po schodach spacerują eleganccy mężczyźni w kremowych koszulach z krótkimi rękawami i kobiety w kwiecistych sukienkach. Na dole zaparkowano lśniącą czarną wołgę model 24, flagową radziecką limuzynę używaną przez wysokich urzędników państwowych oraz bezpiekę. Obiekt westchnień ludu

pracującego miast i wsi. Gazony obsadzono kolorowymi kwiatkami, a niewysokie palmy przypominają, że Gagra to tropikalna oaza ZSRR. Ciepłe błękitne morze, zielone góry, czyste powietrze. Dla mieszkańców tych wszystkich brudnych, przytłaczających szarym betonem Czelabińsków czy Omsków to musiał być turystyczny raj. Karaiby Sowietlandu. Oj, jak chciało się tam jechać. Zakosztować beztroskiego, wesołego życia. Zjeść coś dobrego w hotelowej restauracji, powylegiwać się w czystej pościeli, obejrzeć film w sali kinowo-teatralnej. A to, co wymyślili architekci obok pensjonatu, było już zupełnym szaleństwem. Kolejka linowa wożąca gości wprost na plażę. Wsiadałeś do podłużnego wagonika i po chwili mogłeś opalać się na leżaku, słuchając szumu fal i od czasu do czasu pływając dla ochłody. W Abchazji marzenia się spełniały.

Wokół Skały jest teraz więcej zieleni niż w czasach Sojuza. Gęste krzaki wdzierają się na schody, włażą na taras, zwisają z balustrad. Biją się o miejsce z palmami i sosnami, które też chcą się umościć w zrujnowanym pensjonacie. Szyby powybijane, drzwi wejściowych nie ma, balustrady balkonowe wyrwane, w sali kinowej walają się połamane krzesła. Tylko umieszczone na dachu mocno pordzewiałe dwa napisy „Skała” po rosyjsku twardo twierdzą, że kiedyś był tutaj wspaniały hotel. Między nimi znajdowała się jeszcze gruzińska wersja językowa, ale zerwano ją w trakcie wojny. Na remont pieniędzy nie ma, a poza tym stan budynku wskazuje raczej na konieczność rozbiórki niż renowacji.

Zamiast w Skale turyści mieszkają więc po prywatnych kwaterach albo w niewielkich hotelikach, na jakie spontanicznie zamieniono zwykłe domy mieszkalne. Napływ wczasowiczów zza rosyjskiej granicy jest dla mieszkańców Gagry błogosławieństwem. Z samej uprawy mandarynek i herbaty człowiek nie wyżyje. A co tu innego robić? Zakładów przemysłowych i fabryk nigdy w Abchazji za wiele nie było, a te nieliczne zostały zniszczone w trakcie wojny. Niepodległe państwo przez ćwierć wieku nie potrafiło podnieść ich z ruiny. W 2015 roku informacje, że rząd zamierza udzielić licencji na eksploatację

znajdujących się na szelfie Morza Czarnego złóż ropy naftowej, wywołały społeczne protesty. Za wydobycie miałby odpowiadać rosyjski koncern Rosnieft, już obecnie posiadający w Abchazji liczne stacje benzynowe. W centrum Suchumi zawisły plakaty przedstawiające płonącą platformę wiertniczą i ocean pokryty paskudnymi oleistymi plamami. Opozycyjny deputowany Tengiz Agrba wzywał parlament do ogłoszenia moratorium na rozpoczęcie wierceń i nieprzedkładanie interesów zaprzyjaźnionej z rosyjskim koncernem oligarchii nad dobro narodu abchaskiego. Przypomniał przy tym słowa pierwszego prezydenta Abchazji, otaczanego nabożną czcią Władisława Ardzinby: „Wielokrotnie powtarzałem, że jestem kategorycznie przeciwny rozwijaniu wydobycia ropy naftowej w Abchazji zarówno na lądzie, jak i na dnie morza. Niosłoby to bowiem prawdziwe zagrożenie dla unikatowej abchaskiej przyrody. Ponadto nasz rząd nie dysponuje żadnymi prawnymi instrumentami, aby chronić interesy państwa w konfrontacji z ponadnarodowymi korporacjami paliwowymi”.

– To byłaby dla nas katastrofa. – Właścicielka niewielkiego hoteliku w Gagrze załamuje ręce. – Pieniądze z wydobycia trafiłyby do kieszeni milionerów, zwykli ludzie nie zobaczyliby nawet kopiejki, a znając panujący u nas bałagan, skończyłoby się na jakimś potwornym wycieku. A nawet jeśli nie, to jacy turyści do nas przyjadą? Chciałbyś się kąpać w cieniu platformy wiertniczej? Wprawdzie instalacje wydobywcze miałyby powstać z dala od popularnych kurortów, ale ludzie z dużą dozą ostrożności podchodzą do deklaracji władz i wolą dmuchać na zimne. Tylko dzięki rosyjskim wczasowiczom trochę odbiliśmy się od dna – dodaje.

– Korupcja, nepotyzm i „załatwiactwo” są w Abchazji wszechobecne. Przenikają wszystkie szczeble i sfery życia. Tu nie chodzi tylko o wielkie interesy dobijane w zacisznych gabinetach polityków i biznesmenów, ale o sprawy zupełnie przyziemne. W urzędach, szpitalach, szkołach. Wszędzie – tłumaczy mi pewien Abchaz. – Chcesz coś załatwić, to płać, kolego, albo przynajmniej

odwdzięcz się jakąś przysługą. Problemem jest sama struktura społeczeństwa abchaskiego. Na całym Kaukazie podstawowe znaczenie ma przynależność rodowa, a w zasadzie klanowa. To, z jakiego klanu pochodzisz, w dużej mierze determinuje, kim jesteś. W ramach klanu obowiązują surowe zasady lojalności, braterstwa, wzajemnej pomocy. Nie możesz nie pomóc swojemu kuzynowi. W takiej Gruzji to jeszcze pół biedy, bo tam ich żyje parę milionów, ale nas jest dwieście czterdzieści tysięcy. W Abchazji wszyscy się znają. Możesz się postawić i być krystalicznie czysty, ale za chwilę okaże się, że naraziłeś się znajomemu szwagra, dalekiemu wujkowi, stryjecznemu bratu cioci żony, i tak dalej. Jesteś w dupie, bo stajesz się wyrzutkiem. Nie grasz zgodnie z zasadami. W społeczeństwach zachodnich łapówkarza spotyka ostracyzm społeczny, a u nas na odwrót, pomaganie swoim jest twoim obowiązkiem.

– To może należałoby po prostu przyjąć, że zachodnie standardy do was nie pasują i te z naszego punktu widzenia patologie są tutaj wmontowane w kaukaski system społeczny i nie ma sensu z nimi walczyć? – odpowiadam.

– Mylisz się głęboko. Korupcja jest czymś głęboko niemoralnym i degenerującym społeczeństwo, bo zawsze cierpią na niej najbiedniejsi. Najbardziej przejebane mają ci na samym dole korupcyjnego łańcucha pokarmowego. Jak mam jakąś pozycję, to dlatego, że komuś się to opłaca. Tylko że zawsze znajdzie się ktoś, kto nie może nic nikomu załatwić. I u nas w Abchazji większość ludzi znalazła się na samym dnie grajdoła. Dlatego nasz piękny kraj jest tak totalnie rozpierdolony.

Z tego, jak ujął to mój znajomy, „rozpierdolenia” Abchazowie próbują się wydostać, łapiąc za portfele rosyjskich turystów. Gagra to epicentrum tego snu o powrocie do dawnej świetności. Do granicy z Rosją jest stąd raptem trzydzieści kilka kilometrów, do Soczi trochę ponad sześćdziesiąt. Droga nowiutka i utrzymana w nienagannym stanie. Równy asfalt, żadnych dziur, utwardzone pobocze i latarnie oświetlające jezdnię przez calusieńką noc. Francja-elegancja za

kremlowskie pieniądze. Z tej superszosy Soczi–Suchumi możesz trafić, dokąd tylko sobie zamarzysz. Masz ochotę pobyczyć się na plaży. Proszę bardzo, skręcamy na prawo do Gagry, Picundy, Lidzawy. Chcesz pooddychać górskim powietrzem, trochę się zmęczyć i popodziwiać oszałamiające kaukaskie widoki. Żaden problem, tylko tym razem skręcamy w lewo, w stronę grani Kaukazu.

Na nadmorskich bulwarach komiwojażerowie prześcigają się w ofertach dżipingu, czyli podróży w góry terenowym samochodem. Żelaznym punktem wycieczki jest jezioro Rica, a dla bardziej spragnionych wrażeń przewidziano również trekking do położonego na wysokości 2000 metrów jeziora Mzy.

Wybieram wersję rozszerzoną i z samego rana podjeżdża po mnie UAZ w wersji kabrio. Zanim wyruszamy na podbój szczytów, zagarniamy jeszcze dwie roześmiane Rosjanki w wieku dwudziestu kilku lat. Kierowca, rozpromieniony pojawieniem się płci pięknej, wyciąga plastikową butelkę czerwonego wina.

– Tak na dobry początek zabawy. – Uśmiecha się od ucha do ucha, pociąga solidny łyk i puszcza flaszkę w obieg. – Dziewczyny, a spójrzcie na to! – Grzebie w schowku i w końcu wyciąga plik zdjęć. Na kilku pierwszych nasz kierowca w pełnym moro z karabinem myśliwskim pozuje do obiektywu. Na kolejnych skrada się przez las i składa do strzału. Wreszcie widzimy go ze zdobyczą. W przyklęku obejmuje ramionami dwa potężne łby ubitych niedźwiedzi. Zwierzęta mają półprzymknięte oczy i nienaturalnie otwarte pyski. Wyglądają paskudnie smutno.

– Debil jeden. Jak można strzelać do niedźwiedzi! W łeb by sobie lepiej strzelił. Czasami naprawdę wstyd mi za moich rodaków – skomentuje później mój przyjaciel z Suchumi, historyk Nikołaj Miedwienski.

Tymczasem kierowca jest zachwycony porażającym wrażeniem, jakie zrobił na dziewczynach. Z pewnością siebie pruje po krętej górskiej drodze. Jak na wycieczkę w dzikie ostępy Kaukazu panuje tutaj wyjątkowy tłok. Podobne do naszej terenówki wypchane

spragnionymi wrażeń turystami mkną w stronę Ricy. Na chwilę zatrzymujemy się przy wiszącym moście nad błękitnymi wodami rzeki Bzyp. Utrzymywana na stalowych linkach kładka długości kilkudziesięciu metrów kołysze się nad kłębiącymi się wirami. Podekscytowani turyści niepewnie przechodzą na drugi brzeg, robiąc sobie selfie z górskim strumieniem. Powietrze przecina przeraźliwy pisk dziewczyny lecącej w powietrzu na przewieszonej przez rzekę kolejce tyrolskiej. Panna bała się sama skoczyć, więc jej chłopak wypchnął ją z podestu startowego. W sklepiku obok można kupić zimne piwo i przekąski. Miniprzemysł turystyczny błyskawicznie odpowiada na potrzeby wycieczkowiczów.

Z piskiem opon ruszamy dalej. Na wąskiej drodze zaczynają się tworzyć korki. UAZ i GAZ-69 ledwo mijają się na ostrych zakrętach. Jedne wjeżdżają, a drugie już zjeżdżają po skończonej zabawie. Miała być górska cisza, a tu z terenów przed nami wali na potęgę ruska popsa. Właściciel zamontował na pace głośniki i zrobił sobie discoauto.

„Ty moją narzeczoną, moją narzeczoną i jestem z tobą tak szczęśliwy, że nie wiem, czy to sen, czy rzeczywistość” – pędzi w kaukaskie doliny i przy okazji wbija się do mojej głowy.

Wreszcie docieramy nad Ricę. Setki wczasowiczów przepychają się, żeby zająć jak najlepsze miejsce na tarasie widokowym, z którego rozciąga się widok na ogromną taflę wody otoczoną łagodnymi zielonymi wzgórzami. Rodziny z dziećmi, zakochane pary, postawni młodzi faceci, opalone dziewczyny w szortach i bluzkach na ramiączkach. Handlarze próbują wcisnąć im pamiątki, baloniki w kształcie abchaskiej flagi, lody włoskie albo chociaż watę cukrową. Morskie Oko w abchaskim wydaniu. Plastikowe, momentami kiczowate, ale w zasadzie co w tym złego, że ludzie chcą się bawić na wakacjach. Po drugiej stronie jeziora wznosi się okazała dacza, wybudowana w 1947 roku dla Stalina, który wyjątkowo cenił sobie wypoczynek w górach Abchazji.

Większość wycieczkowiczów kończy swoją podróż w tym miejscu. Do jeziora Mzy docierają tylko najwytrwalsi, bo autem nie da się tam dojechać. Trzeba maszerować dwie godziny z okładem. Najpierw przez pachnący żywicą las sosnowy, potem przez podmokłe łąki i wreszcie zza grzbietu wyłania się malutkie, urokliwe jeziorko. Tutaj wreszcie jest cicho i spokojnie.

Jedna z legend o powstaniu Abchazji głosi, że zaczęło się od suto zakrapianej biesiady. Genesis w iście kaukaskim stylu. Kiedy Bóg rozdawał narodom poszczególne skrawki globu, Abchazowie akurat oblewali stworzenie świata. Następnego popołudnia obudzili się, przetarli oczy, a tu się okazało, że nie został dla nich nawet skrawek lądu. Zasmuceni poszli do Najwyższego i zaczęli się tłumaczyć: „Panie, my ucztowaliśmy, śpiewaliśmy i wznosiliśmy toasty na Twoją chwałę, a teraz nie ma dla nas miejsca na Ziemi". Stwórca zadumał się głęboko, objął wzrokiem wspaniałe dzieło swych rąk, w końcu odrzekł: „Me serce raduje się, że pośród ludzi jest tak dobry i bogobojny naród jak Abchazowie. Dlatego daruję wam najpiękniejszą z krain, którą chciałem zachować dla siebie". Tak narodziła się Abchazja. Na wszelki wypadek identyczną legendę powtarzają Gruzini. Przy czym w ich wersji Gruzinom dostała się nie tylko Abchazja, ale cała Gruzja.

Następnego dnia wsiadam do marszrutki zdążającej do Nowego Atonu słynącego z zabytkowego monastyru i ogromnej Jaskini Nowoatońskiej.

– W krótkich spodenkach to chodzą chłoptasie, a nie mężczyźni – kierowca głośno komentuje ubiór jednego z podróżnych. Umięśniony mężczyzna o byczym karku odburkuje coś pod nosem, a jego dziewczyna w szortach, spod których wychodzą stringi, posyła Abchazowi wściekłe spojrzenie. Pachnie przez moment grubszą awanturą. Rosjanin rozgląda się po wnętrzu busika, jednak widząc nieprzychylny wzrok współpasażerów, rezygnuje z kłótni. Odwraca się plecami i wbija wzrok w szybę, ale atmosfera robi się nieznośnie ciężka.

Abchazowie mają do przybyszów z Rosji stosunek ambiwalentny. Pieniądz to pieniądz i po tylu latach nędzy nie można pogardzać żadną kopiejką. Ale jednocześnie turyści ze swoim ostentacyjnie nowobogackim stylem życie doprowadzają ich do pasji.

– Przyjeżdżają i zachowują się jak wielkie paniska. W Soczi na gówno byłoby ich stać, a tutaj mogą rzucać forsą i traktować nas jak lokai. Przynieś, podaj, pozamiataj. Panowie życia się znaleźli. A poza tym zupełnie nie szanują naszej tradycji, obyczajów. U nas to nie do pomyślenia, żeby kobieta świeciła dupą i cyckami. Widzę czasami, jak matki muszą dzieciom oczy zasłaniać na ulicy, żeby się nie gorszyły. Nawet pić nie umieją – opowiada mój znajomy.

– Akurat picie z wami to nie taka łatwa sprawa – mówię pół żartem, pół serio.

– Dobra, dobra. Męska rzecz się napić, ale ja jak się wstawię, to zawijam się do domu, na paluszkach kładę się do łóżka, żeby nikogo nie pobudzić, i idę spać. Oni piją non stop, wydzierają się, nawet burdy wszczynają. Nic dziwnego, że czasami któryś po mordzie dostanie.

Z marszrutki wysiadam na poboczu nowoczesnej drogi przy przejściu kolejowym, a do centrum Gudauty jest jeszcze z dwadzieścia minut po gruntowej drodze. Przejeżdżające auta wzbijają tumany kurzu, który wciska się w oczy i zęby. Na centralnym placu miasta nie ma żadnych turystów. Trzecie największe miasto Abchazji, zamieszkane przez prawie dziewięć tysięcy osób, sprawia wrażenie na poły wymarłego. Położony przy centralnym placu czteropiętrowy budynek poczty straszy pustymi ramami okien. Piękna neoklasycystyczna kamienica z wyrzeźbioną nad drzwiami datą „1909" jest paskudnie odrapana, a drzwi wejściowe ledwo trzymają się w zawiasach. Z przylegającego do niej budynku o łukowatych oknach pozostała jedynie przednia ściana. Ostatkiem trzymający się napis informuje, że kiedyś znajdowała się tutaj jadłodajnia.

Z plakatu zawieszonego na budynku poczty na swoją dawną stolicę spogląda pierwszy prezydent Abchazji Władisław Ardzinba. Zamiast

eleganckiego garnituru, krawata i białej koszuli ma na sobie wojskowy strój w zielono-brązowe plamy. Nie żaden tam obwieszony orderami mundur galowy, tylko prostą kurtkę polową. Namalowany obok prezydenta napis krzyczy: „Niech żyje zwycięstwo!”. To część dłuższego patriotycznego zawołania: „Niech żyje zwycięstwo, niech żyje niepodległość, wieczna pamięć Władisławowi!”.

Zmarły w 2010 roku Ardzinba otaczany jest przez większość swoich rodaków nabożną czcią. Sam chyba nigdy się nie spodziewał, że przypadnie mu w udziale rola wizjonerskiego polityka i dowódcy wojskowego, który zbawi abchaski naród. To nie on przyszedł do historii z prośbą o zaszczytne miejsce, ale raczej historia zgłosiła do niego. Urodzony w malutkiej wiosce Eszera nieopodal Suchumi, był głęboko zakopanym w księgach naukowcem specjalizującym się w historii starożytnej, a szczególnie w dziejach zamieszkującego Azję Mniejszą ludu Hetytów. Jego obroniony na Uniwersytecie w Tbilisi doktorat nosił tytuł Rytuały i mity starożytnej Anatolii. Przez osiemnaście lat prowadził badania i wykładał w Moskwie. Ale cicha woda brzegi rwie, szczególnie że jego szefem w moskiewskim Instytucie Orientalistycznym był Jewgienij Primakow, późniejszy premier Rosji. W 1987 roku Ardzinba wrócił do Suchumi, gdzie został dyrektorem Abchaskiego Instytutu Języka, Literatury i Historii. Ale Sowietland trzeszczał już w posadach, stary świat się walił i Władisław wskoczył w ten rwący nurt przemian. W 1989 roku został deputowanym do Rady Najwyższej ZSRR, a pod koniec roku 1990 objął fotel przewodniczącego Rady Najwyższej Autonomicznej Republiki Abchazji. W ciągu dwóch lat Ardzinba przedzierzgnął się z mola książkowego w wytrawnego, charyzmatycznego polityka potrafiącego uwodzić tłumy. Tymczasem sytuacja stała się napięta. Walił się ustalony przez Stalina porządek Zakaukazia.

Czarno-biała fotografia. Na pierwszym planie ubrany w ukraińską wyszywankę siedzi jeden z największych katów w dziejach. Patrzy wprost w obiektyw, ale jego zbrodniczą osobowość skrywają okrągłe

pince-nez. Światło tak odbija się w szkłach, że nie można dostrzec oczu wszechwładnego Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Ławrientija Berii. Szef NKWD trzyma na kolanach małą, niepewnie uśmiechającą się dziewczynkę. Może wyczuwa, że obejmujący ją „dobry wujek Łara" jest psychopatą i seksualnym drapieżnikiem. To Swietłana Alliłujewa, najmłodsze dziecko i jedyna córka Stalina. Za nimi jej ojciec w białym mundurze i z nieodłączną fajką w ustach – siedzi w wiklinowym fotelu i pochyla się nad rozrzuconymi na stole dokumentami. Między tymi dwoma niepodzielnymi władcami życia i śmierci milionów jest jeszcze trzeci mężczyzna. Ukryty za plecami Berii, bo zapewne przypadkowo fotograf tak skadrował zdjęcie, że postać Ławrientija prawie całkowicie go zasłania. W słuchawkach na uszach, bo od urodzenia jest przygłuchy i musi korzystać z aparatu słuchowego. A może tym razem to nie aparat, tylko radio i Nestor słucha jakiejś kojącej nerwy muzyki. Tak czy inaczej przebywa chyba w swoim własnym świecie, bo nie zwraca uwagi ani na fotografa, ani na towarzyszy. To jeden z najbardziej zaufanych ludzi Stalina, Nestor Łakoba. Atmosfera spotkania sielska niczym podczas niedzielnego rodzinnego obiadu. Ale za tą pogodną fasadą kipi nienawiść. Beria rozpoczyna z Łakobą morderczą walkę o władzę.

Obaj urodzili się w Abchazji. Ławrientij w posiołku Mercheuli w okolicy Suchumi, a Nestor w wiosce Lichni pod Gudautą. Pierwszy był etnicznym Megrelem, a drugi rodowitym Abchazem. Megrelowie to grupa etniczna w obrębie narodu gruzińskiego, zamieszkująca gruzińską prowincję Megrelia oraz Abchazję. Dzisiaj często powtarza się w Abchazji, że Beria był rasistą nienawidzącym Abchazów. Z kolei Łakoba postawił sobie za cel ochronę abchaskiej tożsamości.

Ale po kolei. Węzeł gordyjski nowoczesnej Abchazji zaplótł się w chaosie rewolucji październikowej, kiedy na gruzach imperium carów wybiły się na niezależność państwa zakaukaskie. O władzę nad tym skrawkiem lądu walczyli wszyscy. Bolszewicy, progruzińscy mienszewicy, frakcja proturecka, wreszcie zwolennicy Republiki Górskiej Północnego Kaukazu mającej reprezentować interesy ludów

północnokaukaskich. W marcu 1918 roku władzę w Suchumi przejęły rewolucyjne oddziały chłopskiej milicji. Na ich czele stał nie kto inny jak Nestor Łakoba. To on rzucił bolszewikom Abchazję do stóp. Jednak triumf był krótkotrwały. Już 17 maja rewolta została spacyfikowana przez Gwardię Narodową Gruzji, która wtedy wchodziła jeszcze w skład Zakaukaskiej Demokratycznej Republiki Federacyjnej. Efemerycznego, istniejącego zaledwie kilka miesięcy tworu mającego w zamyśle zjednoczyć wszystkie narody południowego Kaukazu. Wewnętrzne animozje od początku jednak skazywały go na klęskę. Na fali zwycięstwa w Abchazji gruzińscy mienszewicy 26 maja proklamowali niepodległość Demokratycznej Republiki Gruzji, w której granicach znalazły się nie tylko tereny dzisiejszej Gruzji, ale też Soczi oraz północno-zachodni skrawek Turcji. Nowo powstałe państwo uznała Liga Narodów i Moskwa. Od samego początku Suchumi spoglądało na Tbilisi z odwzajemnioną niechęcią i nieufnością. Abchazowie traktowali Gruzinów jako zaślepionych nacjonalistów próbujących zaprowadzić na Kaukazie jedynie słuszne gruzińskie porządki. Z kolei dla Gruzinów Abchazowie byli to potencjalni szpiedzy kolaborujący z Rosją Radziecką. Dla uspokojenia nastrojów rząd centralny zdecydował się przyznać Abchazji status autonomii, przekazać część kompetencji w ręce Abchaskiej Rady Ludowej oraz powołać nawet specjalne Ministerstwo do spraw Abchazji. Ale mimo formalnej konsolidacji państwa gruzińskiego ani Turcja, ani Rosja nie zrezygnowały z próby odzyskania wpływów na Zakaukaziu, wykorzystując do tego celu Abchazję. Tbilisi, zdając sobie sprawę z tego zagrożenia, w uchwalonej 21 lutego 1921 roku konstytucji przyznało Abchazom autonomię. Jednak w tym samym czasie wszelkie wcześniejsze ustalenia straciły jakiekolwiek znaczenie, bo Rosja mimo zawartego z Tbilisi paktu o nieagresji dokonała inwazji na Gruzję i błyskawicznie podbiła młodą republikę. Abchazowie początkowo mogli mieć powody do radości, ponieważ Moskwa zdecydowała się przyznać im status samodzielnej republiki związkowej. Powstała Abchaska Socjalistyczna Republika Radziecka mająca taki sam status

jak Gruzińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Już pół roku później Abchaska SRR podpisała ze swym gruzińskim odpowiednikiem „umowę o związku", tworząc dziwny twór, który w 1922 roku wspólnie wstąpił do Zakaukaskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Związek Radziecki lubował się w zagmatwanych rozwiązaniach administracyjno-prawnych mających wewnętrznie skłócić podległe mu narody. Imperium kieruje się prostą logiką: niech peryferia żrą się miedzy sobą, to nigdy nie zawiążą sojuszu umożliwiającego skoczenie do gardła metropolii. Konstytucja Abchaskiej SRR z 1925 roku podkreślała jej status jako samodzielnej republiki, ale za to sowiecka ustawa zasadnicza z 1924 roku mówiła o Abchazji jako o autonomii podporządkowanej Gruzji. Te ustrojowe niuanse nie miały wtedy większego praktycznego znaczenia, ale jak bumerang powróciły na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy abchascy politycy zaczęli uzasadniać niepodległościowe aspiracje właśnie statusem republiki związkowej zapisanym w dokumencie z 1925 roku. Tymczasem Stalin po umocnieniu swojej władzy zaprowadził wreszcie porządek. W 1931 roku zlikwidował samodzielność Abchazów, powołując do życia Abchaską Autonomiczną SRR włączoną do Gruzińskiej SRR. Nestor Łakoba, pełniący od początku funkcję przewodniczącego abchaskiej Rady Komisarzy Ludowych, musiał być głęboko rozczarowany. Był wiernym towarzyszem Stalina, od początku walczył o radziecką Abchazję, a teraz nagle jego naród znowu został podporządkowany Gruzinom. Na dodatek sowiecki przywódca rozpoczął wielką akcję rozkułaczania, której ofiarą padły miliony chłopów ze wszystkich zakątków ZSRR. I w tym momencie Łakoba pokazał twarz nie komunistycznego aparatczyka, ale abchaskiego patrioty. Próbował chronić swoich rodaków, twierdząc, że w Abchazji nie ma kułaków, i popadł w konflikt z naczalstwem gruzińskiej partii komunistycznej. To było ryzykowne zagranie, ale Nestor najwidoczniej cieszył się wielkimi względami Stalina. Dla podkreślenia swojej lojalności zbudował w ojczyźnie kilka willi dla wodza oraz partyjnej wierchuszki. W Suchumi, Miuserze, Zimnej Rzeczce (Cholodnaia Rieczka), Nowym

Atonie wyrosły okazałe dacze. Ta nowoatońska stała się pod koniec lat czterdziestych drugim domem Stalina i stąd rządził całym Związkiem Radzieckim. Stalin, którego ulubionym pseudonimem było Koba, zaczerpnięte od kaukaskiego Robin Hooda, bohatera powieści Aleksandra Kazbegi Ojcobójstwo, miał w zwyczaju mówić żartobliwie do Nestora: „Ja Koba, ty Łakoba”. Na jego widok zaś wołał: „Niech żyje Abchazja!”. W jednej z tych abchaskich rezydencji wykonano pamiętne zdjęcie trzech komunistycznych kaukaskich tenorów: Stalina, Łakoby i Berii.

Ambitny Ławrientij, o którym naczelnik sekretariatu NKWD Stiepan Mamułow powiedział: „Opętany manią władzy, kapryśny i mściwy”, wiedział już, że jego największym rywalem jest Łakoba. Beria, od połowy lat dwudziestych naczelnik zakaukaskiego OGPU (poprzedniczka NKWD), marzył o zawrotnej karierze, lawirując między zausznikami Stalina. Jego patronem, na własną zgubę, stał się nie kto inny jak Nestor Łakoba. To on miał rekomendować Stalinowi awansowanie czekisty do rangi wpływowego działacza partyjnego. W 1931 roku Ławrientij został I sekretarzem Komitetu Centralnego partii w Gruzji, a rok później na całym Zakaukaziu. W 1932 roku był już jednym z zaufanych ludzi Stalina. Konflikt pomiędzy Abchazem a Megrelem wydawał się nieunikniony. W tej rozgrywce decydującą rolę odegrały książki. W stalinowskiej tyranii liczyło się tylko słowo czerwonego cara. Kto wypadł z jego łask, ten był skończony. Łakoba doskonale zdawał sobie z tego sprawę i w 1934 roku napisał kilkudziesięciostronicowe hagiograficzne opowiadanie Stalin i Haszim. To utrzymana w konwencji ludowej przypowieści historia o początkach rewolucyjnej drogi Stalina, a jednocześnie o szczególnej roli Abchazów otaczających opieką młodego bolszewika. Iosif Dżugaszwili występuje w niej jeszcze pod swoim szkolnym pseudonimem Soso. Przyszły władca Sowietów prowadzi tłum na barykady w Baku, a po krwawym stłumieniu protestów ukrywa się w górach u abchaskiego starca Haszima Szrimby. Tam rozpoczyna druk nielegalnych rewolucyjnych odezw pilnowany przez pasterskie psy gospodarza. Haszim zwraca się

do Soso: „Musiałeś zauważyć, że na podwórku trzymam dwa wściekłe psy. Możesz tutaj bezpiecznie zostać. Te dwie krwiożercze bestie nie wpuszczą nikogo obcego”. Wreszcie pasterz przepowiada Stalinowi wielkie zwycięstwo: „Miałem sen, Soso. Śniłem, że wyzwolisz cały Kaukaz od carskich żołdaków i wreszcie będziemy żyli w pokoju i dobrobycie jak wolni ludzie”. Łakoba w przedmowie podkreślił, że historię tę spisał na prośbę abchaskich przyjaciół, którzy chcieli ocalić od zapomnienia powtarzane pośród prostego ludu opowieści o „genialnym polityku, strategu i taktyku bolszewizmu, najwybitniejszej postaci całej ery, jednostce, którą historia ofiarowuje ludzkości raz na może sto, dwieście lat”. Na wieść o publikacji Beria natychmiast zorientował się, że jego pozycja jest zagrożona. Najpiękniejsze pochlebstwa szeptał do uszu wodza nie on, tylko ten przeklęty Abchaz Łakoba, i na dodatek jeszcze przedstawił swoich współziomków jako najwierniejszych sojuszników. Czekista natychmiast przystąpił do literackiego kontruderzenia i uczynił to z prawdziwym rozmachem. W 1935 roku ukazał się popularnonaukowy panegiryk Przyczynek do dziejów organizacji bolszewickich w kraju zakaukaskim zadedykowany „mojemu ukochanemu mistrzowi – Wielkiemu Stalinowi”. Prawdziwym autorem nie był co oczywiste Beria, tylko niejaki Eryk Bedija korzystający z pomocy ponad dwudziestu innych osób, za co parę lat później spotka go kula w łeb. To już nie jest skrótowa przypowiastka o jakimś tam dzielnym rewolucjoniście Soso, ale wielki pomnik na miarę Stalina. Zgodnie z wyłożoną w publikacji wersją historii towarzysz Dżugaszwili był najważniejszym, a w zasadzie jedynym liczącym się rewolucjonistą, który przywiódł Zakaukazie do radzieckiej macierzy. W uznaniu zasług Stalin mianował szefa gruzińskich komunistów członkiem Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Ławrientij z prowincjonalnego kacyka stał się jednym z najbardziej wpływowych sowieckich dygnitarzy.

Akcje Nestora gwałtownie spadły, choć on sam jeszcze o tym chyba nie wiedział. Być może ciągle sądził, że jak na zdjęciu, siedzi bliżej

wodza niż Beria. W 1936 roku Stalin usunął ze stanowiska szefa NKWD Gienricha Jagodę i zaproponował tę funkcję Łakobie. Ku zdumieniu wszystkich, w tym przede wszystkim Koby, Abchaz odmówił. Chciał dalej rządzić swoim udzielnym abchaskim księstwem, gdzie czuł się jak w domu. Tutaj były jego ulubione knajpy, ulice i nadmorskie bulwary. Ciągle miał nadzieję, że Abchazja może stać się samodzielną republiką, a Moskwa zupełnie go nie pociągała. Stalinowskim dworzanom w głowie się to nie mieściło, i chyba mieli po części rację. Ta decyzja przypieczętowała dalsze losy Łakoby. Stalin wcale nie zamierzał wspierać abchaskich inspiracji narodowych, a samodzierżawie Łakoby w Abchazji niebezpiecznie naruszało jego poczucie władzy absolutnej. Beria był pochlebcą i ślepym wykonawcą poleceń, Nestor dawnym przyjacielem, ale i samodzielnym abchaskim panem na włościach. Stalin podjął decyzję. 27 grudnia, na zaproszenie Berii, Łakoba przyjechał do Tyflisu (dawna nazwa Tbilisi) i wspólnie zjedli kolację. Kilka godzin później weteran abchaskiej rewolucji bolszewickiej dostał silnych młodości i zmarł na atak serca. Przed śmiercią miał powiedzieć: „Ten gad Beria otruł mnie”. Władca Suchumi wrócił do swojej stolicy w żelaznej trumnie. Na rozkaz Berii usunięto z ciała organy wewnętrzne, uniemożliwiając przeprowadzenie sekcji zwłok. Ale śmierć dawnego mentora, a teraz znienawidzonego rywala, to było dla Ławrientija za mało. Należało jeszcze zmiażdżyć jego legendę. W kilka miesięcy później Łakoba został ogłoszony „wrogiem ludu” i zdemaskowany jako trockistowski nacjonalista przygotowujący kontrrewolucyjny spisek mający na celu zabicie Berii oraz samego Stalina. Do czekistowskiej katowni trafiła młoda wdowa po Nestorze, pochodząca z Adżarii Sarija. Śledczy okrutnie bili kobietę, próbując wymusić przyznanie, że jej mąż sprzedał Abchazję Turcji i przygotowywał antykomunistyczną rewoltę. Sarija była nieugięta, co doprowadziło siepaczy do szewskiej pasji. W przesłuchania podobno zaangażował się Beria, osobiście torturując upartą dziewczynę. W wymyślaniu wyrafinowanych okrucieństw wspiął się na wyżyny psychopatii, gdy wrzucił Adżarkę do mrocznej, wypełnionej wodą celi.

Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, okazało się, że czekiści zapewnili jej towarzystwo w postaci węży. Kobieta umarła po dwóch latach okrutnego śledztwa. Już wcześniej rozstrzelany został Michaił, brat Nestora. Natomiast jego nastoletniego syna Raufa umieszczono w obozie pracy dla dzieci więźniów politycznych. Chłopak był przekonany, że doszło do jakiejś tragicznej pomyłki i Beria może nie wiedzieć o koszmarze, jaki spadł na rodzinę Łakobów. Kiedy Niemcy w 1941 roku najechali Sowietów, napisał list do „wujka Ławrientija", błagając o wypuszczenie i deklarując, że natychmiast pojedzie na front jako ochotnik. Beria, wtedy już szef NKWD, po otrzymaniu korespondencji miał zapytać: „To ten Rauf jeszcze żyje?". Następnie chłopiec został przywieziony do tbiliskiej siedziby NKWD i w trybie natychmiastowym rozstrzelany pod zarzutem udziału w kontrrewolucyjnej organizacji. Beria nikomu nie wybaczał.

Śmierć Łakoby i triumf Berii oznaczały dla Abchazów katastrofę. Przez republikę przetoczyła się fala stalinowskich represji i bynajmniej nie chodziło tylko o czystkę w aparacie władzy. Celem prowadzonej w latach 1936–1953 zakrojonej na szeroką skalę akcji były uderzenie w abchaską tożsamość narodową i gruzinizacja tych terenów. Alfabet łaciński, którym w poprzedniej dekadzie zapisywano język abchaski, został zastąpiony gruzińskim. Zamknięto wszystkie abchaskojęzyczne szkoły, a uczniowie byli przymuszani do posługiwania się gruzińskim. Zlikwidowano abchaskie gazety i rozgłośnie radiowe. Nazwy ulic, miejscowości i obiektów geograficznych zmieniono na gruzińskie odpowiedniki. Posunięto się nawet do tego, że zabroniono nadawać nowo narodzonym dzieciom abchaskich imion. Wielu Abchazów, nie chcąc nazywać się jak Gruzini, wybierało imiona rosyjskie, a nawet polskie, na przykład Władysław albo Stanisław.

Ofiarami Wielkiego Terroru padli w Abchazji przede wszystkim etniczni Abchazowie. Pod ścianę szli urzędnicy, wysocy funkcjonariusze partyjni, inteligencja. W 1952 roku 80 procent wysokich stanowisk administracyjnych i kierowniczych było już obsadzonych przez etnicznych Gruzinów. Stalin zabrał się też do

swojego ulubionego zajęcia, czyli inżynierii narodowościowo--społecznej. Na tereny Abchazji masowo przesiedlani byli gruzińscy wieśniacy, wzrosła też liczba Rosjan. W konsekwencji w latach 1926–1989 procentowy udział Abchazów w populacji spadł z 28 do 18 procent, za to z 6 do 14 procent wzrosła liczba Rosjan i z 37 do 46 procent liczba Gruzinów. Komuniści mieli wybawić Abchazów od nacjonalistycznych zakusów Tbilisi, a wynaradawiali ich gruzińskimi rękami. Ale po śmierci Stalina i zamordowaniu Berii role się odwróciły. W 1956 roku Prezydium KC KPZR stwierdziło, że władze Gruzińskiej SRR „celowo prowadziły politykę zmierzającą do likwidacji kultury narodowej ludności abchaskiej, ormiańskiej i osetyjskiej i przymusową asymilację". Do łask wrócił język abchaski zapisywany cyrylicą, a Abchazowie zaczęli obejmować ważne stanowiska, jednocześnie walcząc przez kolejnych trzydzieści lat o status niezależnej republiki związkowej i ostateczne zrzucenie zwierzchnictwa Tbilisi. Nagle okazało się, że to stanowiący większość populacji Gruzini czują się dyskryminowani, a czasami wręcz prześladowani przez Abchazów. Perfekcyjnie wmontowany zgodnie z imperialną logiką zapalnik etnicznej nienawiści tylko czekał na odpalenie.

I wtedy Władisław Ardzinba okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Gudauta stała się najważniejszym miastem podczas konfliktu z lat dziewięćdziesiątych. Po zajęciu przez wojska gruzińskie Suchumi schronili się tu rząd i dowództwo nowo formowanych sił zbrojnych samozwańczej republiki. Był to jedyny duży ośrodek niekontrolowany przez Gruzinów, a poza tym na mieszczącym się na przedmieściach lotnisku Bombora stacjonował elitarny rosyjski 345 Gwardyjski Pułk Powietrznodesantowy. Tbilisi oraz zachodni obserwatorzy oskarżali Rosjan o potajemne trenowanie abchaskich żołnierzy i zapewnianie ochrony abchaskim oficjelom. Na szczycie w Stambule w 1999 roku Moskwa zobowiązała się do wycofania swoich jednostek i zamknięcia bazy, ale nigdy się z tej umowy nie wywiązała. A po wojnie w 2008

roku dodatkowo wzmocniła kontyngent, relokując czołgi T-62 oraz rakietowe systemy przeciwlotnicze S-300.

– Mógłby mi pan może pokazać, gdzie w czasie wojny rezydował Władisław Ardzinba – zagaduję w Gudaucie mężczyznę w opadających na oczy siwych włosach.

– A tak, oczywiście, to niedaleko. Ale zaraz, skąd ty jesteś, bo słyszę po akcencie, że na pewno nie Rosjanin. Aaa, z Polski! To fantastycznie, bo ja mam polskie imię. Nazywam się Stanisław– mówi i z dumą wyciąga dłoń w geście przywitania. – Chodź do kawiarni, to opowiem ci trochę o historii, a potem zaprowadzę do domu, którego szukasz.

Po chwili jemy już solankę w wersji abchaskiej, silnie doprawioną kolendrą i piekielnie ostrą lokalną przyprawą adżiką.

– Mam pewne szczególne moce – zaczyna niespodziewanie opowieść mężczyzna. – Nawiedzają mnie wizje, które się spełniają. Choć czasami zdarza się, że od widzenia do wydarzeń mija trochę czasu. Na początku 1992 roku zobaczyłem coś potwornego. W mojej sypialni zrobiło się upiornie zimno, leżałem na łóżku i nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą. Wszystko widziałem, ale byłem jak sparaliżowany. I wtedy ujrzałem czołgi, trupy, zburzone domy. Koniec mojego świata. Potem przez wiele dni nie mogłem normalnie funkcjonować. Nie jadłem, nie wychodziłem z domu, nie spałem. Mama myślała, że ciężko zachorowałem. Tłumaczyłem jej, że to żadna choroba, tylko przytłacza mnie świadomość koszmaru, jaki nas czeka. Opowiedziałem moje widzenie, ale mi nie uwierzyła. Nikt z moich krewnych i przyjaciół nie wierzył. Pukali się w czoło, mówili, że powinienem odpocząć, bo mam omamy. Mama chyba nie na żarty się wystraszyła, że tracę rozum. A potem przyszedł sierpień i zaczęła się masakra.

– Stanisław, ale do Gudauty Gruzini nie dotarli. Byłeś żołnierzem?

– Widzisz, Tomasz, ja jestem Gruzinem… Ale w tej wojnie walczyłem ramię w ramię z Abchazami przeciwko moim rodakom. Uważałem, że Abchazom należy się niezależność, a Gruzini dopuszczali

się strasznych rzeczy. Tak myślałem na początku. Ale potem wszystko poszło jakoś nie tak. My też nie byliśmy święci. Różne rzeczy się działy. – Głos zaczyna mu drżeć. – Wygraliśmy, a ja zostałem z niczym. Zaraz po wojnie masowo rozdawano weteranom domy opuszczone przez Gruzinów, którzy uciekli z Abchazji. Oni mieszkali przede wszystkim na wschodzie kraju, w rejonie Gali i Oczamczyry. Tutaj było ich niewielu i większość została, mimo że zaczęto rekwirować majątki. Ale ja niczego się nie obawiałem. Przecież miałem zasłużony status weterana. Biłem się za wolną Abchazję, czułem się abchaskim patriotą. Jakie to ma znaczenie, czy w moich żyłach płynie abchaska, czy gruzińska krew. Niezły był ze mnie naiwniak. Okazało się, że jednak ma to znaczenie, i to niemałe. Zabrali mi dom i majątek. Ale mocy nie mogli mi odebrać. Ciągle jest we mnie.

Wychodzimy z knajpy i spacerujemy po jednej z ulic odchodzących od centralnego placu.

– To tutaj. W tym oto budynku miał swoją siedzibę nasz ukochany przywódca Władisław Ardzinba. – Zatrzymujemy się przed niczym się niewyróżniającym kilkupiętrowym klockiem. – Podziwiaj, a jak wrócisz, to pozdrów ode mnie Polskę. – Stanisław ściska mi dłoń i po chwili już go nie ma.

Budynek, podobnie jak cała Gudauta, jest przygnębiająco wymarły. Szare ściany, brudne okna, żadnej tablicy przypominającej, że z tego miejsca walczono o abchaską niepodległość. W zarośniętym chaszczami miejskim parku stoi pomnik Lenina. Niby nic szczególnego, Lenin jakich wiele. Ale temu akurat brakuje lewej dłoni. Obok monumentu grupka kobiet rozstawia na plastikowych stołach jedzenie i napoje. Dzieciaki dmuchają balony i malują coś na dużych kartonach. Szykuje się niedzielny minifestyn w cieniu Włodzimierza Iljicza. Do grupy, nie przejmując się oraną oponami trawą, podjeżdża potężna terenowa toyota land cruiser o obowiązkowo przyciemnianych szybach. Dwóch mężczyzn zaczyna wyładowywać z bagażnika skrzynki z prowiantem.

– Panowie, dlaczego ten Lenin nie ma dłoni? – zagaduję.

– A chuj go wie! Może miał już dosyć tego wszystkiego, co się u nas wyczynia, i chciał na to machnąć ręką, ale najpierw mu ją na złom odrąbali – rechoczą wesoło.

Wracam na główną abchaską arterię i tam znowu otacza mnie życie. Turyści, którym nie wystarcza Gagra, Picunda i Rica, pędzą dalej, do Nowego Atonu. To kolejny żelazny punkt pobytu w Abchazji. Było już morze, były góry, teraz czas na jaskinie.

Nowoatońska grota jest tak wielka, że wjeżdża się do niej kolejką szynową nazywaną czasami abchaskim metrem. Przed wejściem kłębią się setki zwiedzających czekających na swoją kolej. Gdyby nie pomoc znajomego mającego z kolei znajomych w administracji jaskini, nie miałbym najmniejszych szans dostać się do środka. Chętnych jest tylu, że trzeba się zapisywać z co najmniej kilkudniowym wyprzedzeniem. Jaskinia ma 185 metrów głębokości, a największa z sal – Komora Muhadżyrstwa – liczy sobie 50 metrów wysokości i 260 metrów długości. Rocznie zwiedza ją kilkaset tysięcy turystów. Po metalowej kładce przerzuconej przez środek monstrualnie wielkiej kamiennej misy idą gęsiego ludzie, zadzierając głowy i próbując zrozumieć, jakim cudem to wszystko jeszcze się nie zawaliło. Jaskinię odkrył przypadkiem obecny dyrektor obiektu Giwi Smyr, zwykły pasterz, któremu pewnego dnia zaczęły znikać owce. Szukając swoich zgub, zawędrował do dziury prowadzącej w głąb ziemi. Wszedł do środka i wkrótce zorientował się, że to nie zwykła jama, tylko mroczny labirynt. Kaukaz jest pełen takich niespodzianek. Najgłębsza jaskinia świata i jednocześnie jedyna przekraczająca 2000 metrów głębokości znajduje się w Abchazji.

Podczas gdy tłumy turystów próbują dostać się do abchaskiego cudu podziemi, nieco na uboczu dziesiątki pielgrzymów wdrapują się po stromym podejściu prowadzącym do malutkiej groty. Wilgotny kamienny korytarz wiedzie do ciasnej salki zastawionej ikonami Jezusa i Maryi z Dzieciątkiem. Obrazy migoczą w ciepłym świetle świeczek, powietrze pachnie topioną stearyną. Młoda, okutana chustką

dziewczyna zapala kolejną z nich, żegna się trzy razy i pokazuje synkowi, jak się modlić. Wszystko zajmuje tylko chwilę, bo w kolejce czekają już kolejni pątnicy pragnący prosić o wstawiennictwo Szymona Apostoła zwanego Gorliwym lub Kananejczykiem. Zgodnie z legendą, szczególnie silną w tradycji prawosławnej, uczeń Chrystusa w trakcie swoich podróży misyjnych dotarł aż na Kaukaz i ostatecznie zamieszkał na abchaskim wybrzeżu Morza Czarnego. A były to wówczas ziemie pogan oddających cześć starodawnym bóstwom, którym w ofierze składano noworodki. Mroczne podania mówią także o przypadkach rytualnych mordów połączonych z kanibalizmem. Szymon głosił Słowo Boże, mówił o miłosierdziu i potędze miłości. Pokazywał, jak nieludzkie są te barbarzyńskie praktyki, a jednocześnie uzdrawiał mocą samej modlitwy. Początkowo wrogo nastawieni mieszkańcy powoli porzucali starą wiarę i kierowali swe modły do Jezusa z Nazaretu. Wokół pobożnego apostoła gromadzili się uczniowie, a Dobra Nowina rozbrzmiewała w głębokich kaukaskich dolinach i na dalekich brzegach Morza Czarnego. Wkrótce wieść o misjonarzu przynoszącym pokój i zbawienie dotarła do uszu króla będącego obrońcą pogaństwa dającego mu boskie prawo panowania nad poddanymi. W abchaskiej wersji legendy władca jest oczywiście Gruzinem. Tak czy inaczej rozwścieczony kacyk wydał na Szymona wyrok śmierci. Apostoł został pochwycony i doprowadzony przed oblicze króla. Na oczach dworzan ukrzyżowano go albo – jak twierdzą niektórzy – żywcem przepiłowano. Dlatego na obrazach często przedstawia się Szymona trzymającego w ręku piłę, narzędzie swego męczeństwa.

Droga z jaskini prowadzi do urokliwego jeziorka o turkusowej wodzie, na którym smętnie kołyszą się plastikowe rowery wodne. Nad taflą wznosi się okrągły budynek stacji kolejowej nakryty orientalnie zdobionym dachem i otoczony kolumnadą niczym jakiś grecko-japoński pawilon. Szyby są powybijane, kute balustrady powyginane, na podłodze walają się śmieci. Turyści uważnie patrzą pod nogi, żeby nie wdepnąć w potłuczone szkło. Biegnące obok tory giną

w ciemnościach wykutego w skale tunelu. Spomiędzy podkładów wybijają kępy trawy. Dworzec kolei Moskwa–Suchumi na stacji Nowy Aton zdecydowanie najlepsze czasy ma już za sobą. A przecież za Sojuza była to jedna z najważniejszych linii kolejowych prowadzących przez Soczi na południowy Kaukaz. Od czasu przejęcia trakcji przez Koleje Rosyjskie RŻD trwają próby reaktywowania połączenia do Baku i Erywania, ale jak na razie składy odjeżdżają tylko w jedną stronę. Na północ, do Moskwy.

Szczątki apostoła zostały przez jego uczniów pochowane u stóp groty, która przez lata dawała mu schronienie. Pomiędzy VI a VIII wiekiem w miejscu, gdzie ma znajdować się jego grób, wzniesiono kościół, później zdewastowany i porzucony po podbiciu Abchazji przez Turków i przymusowym przejściu Abchazów na islam. Nowy Aton był na początku naszej ery dużym greckim portem i nosił nazwę Anakopia. Przez pewien czas mieściła się tutaj stolica istniejącego od VIII do XI wieku Królestwa Abchazji. Do dzisiaj pozostały po nim ruiny twierdzy stojące na szczycie wznoszącej się nad miastem Góry Iwerskiej. Po przeniesieniu królewskiego dworu do Kutaisi, a następnie likwidacji samodzielnego państwa abchaskiego Anakopia zniknęła z kart dziejów i ponownie pojawiła się dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Wtedy do podnóża Kaukazu dotarli zbuntowani rosyjscy zakonnicy ze słynnej republiki mnichów na greckiej górze Athos. Szukając miejsca, gdzie mogliby osiąść, odnaleźli ruiny wczesnośredniowiecznego kościółka świętego Szymona Apostoła i postanowili nieopodal wybudować monastyr. W zgromadzeniu obowiązywała surowa reguła, taka sama jak w macierzystej wspólnocie w Grecji. Klasztor miał być także bezpieczną przystanią na wypadek, gdyby również pozostali rosyjscy mnisi zostali zmuszeni do opuszczenia góry Athos. Sercem kompleksu został sobór pod wezwaniem Świętego Pantelejmona, tego samego patrona miał klasztor w Grecji, z którego odeszli buntownicy. Odtąd starożytna Anakopia nosi nową nazwę Nowy Aton lub Nowy Afon, jak tłumaczą niektórzy. Monastyr odwiedzał sam car Aleksander III, a w uroczystym poświęceniu głównej świątyni brało udział około

trzysta tysięcy wiernych. Dopiero co powstały klasztor stał się u progu XX wieku najważniejszym prawosławnym ośrodkiem religijnym na kaukaskim wybrzeżu Morza Czarnego. Po przejęciu władzy przez komunistów monastyr został zlikwidowany jako „centrum kontrrewolucyjnej propagandy", a następnie zamieniony w sowchozowe magazyny. Stu pięćdziesięciu mnichów aresztowano i bez wyroku sądu rozstrzelano. W trakcie wojny z lat dziewięćdziesiątych w budynkach mieścił się szpital polowy, ale w 1994 roku świątynię zwrócono wiernym. I tutaj zaczęły się schody. Bo komu właściwie przysługuje zwierzchność nad monastyrem? Formalnie jurysdykcję nad terytorium Abchazji sprawuje autokefaliczny Gruziński Kościół Prawosławny. Początkowo abchascy duchowni podporządkowali się gruzińskiemu patriarsze, katolikosowi Eliaszowi II. Ale już wkrótce pojawiły się głosy, że skoro Abchazja jest niezależnym państwem, to powinna mieć również swoją własną Cerkiew. Po całej dekadzie tarć i negocjacji w 2009 roku ksiądz Wissarion Apliaa w imieniu całego abchaskiego duchowieństwa ogłosił zerwanie zależności od Cerkwi gruzińskiej i utworzenie autokefalicznego Abchaskiego Kościoła Prawosławnego będącego bezpośrednim kontynuatorem istniejącego od końca XIII do początku XIX wieku Katolikosatu Abchazji. Przy okazji zaapelował do wszystkich Kościołów prawosławnych o uznanie nowej Cerkwi. Jak można się było spodziewać, Gruzini natychmiast ogłosili, że decyzja jest absolutnie sprzeczna z prawem kanonicznym i nowy Kościół to jedna wielka polityczna hucpa. Natomiast reakcja Moskwy musiała być dla Abchazów niezbyt miłym zaskoczeniem. Patriarcha moskiewski i całej Rusi Cyryl I ograniczył się do lakonicznego stwierdzenia, że Cerkiew moskiewska szanuje już istniejące granice jurysdykcji poszczególnych Kościołów. Mówiąc bardziej po ludzku – nie zamierza uznawać żadnych nowych tworów, a już tym bardziej wchodzić z nimi w jakiekolwiek relacje. Powód takiej decyzji jest prosty. Do Cerkwi gruzińskiej należy ponad trzy i pół miliona wiernych, z których przynajmniej część jest nieszczególnie przychylnie nastawiona do

Rosji. To nie żadna tajemnica, że Cerkiew rosyjska pozostaje w ścisłym sojuszu z Kremlem, działając pod jego polityczne dyktando. Dolewanie religijnej oliwy do gruzińskiego ognia nie do końca może być na rękę rosyjskim decydentom, z jednej strony pacyfikującym prozachodnie aspiracje Tbilisi, z drugiej próbującym kulturowo i ekonomicznie związać Gruzję z Moskwą. Abchascy rozłamowcy pozostali więc na placu boju osamotnieni. Są bardziej nieuznawani niż ich państwo.

W skład imponującego nowoatońskiego kompleksu wchodzi cerkiew o złotych kopułach, smukła, mierząca 50 metrów wysokości dzwonnica i okalający świątynię zespół zabudowań klasztornych. Ze szczytu Góry Iwerskiej całość wygląda imponująco. Jak wielkie, otoczone soczyście zielonymi lasami zamczysko uczepione łagodnie opadającego w stronę morza wzgórza. Wnętrze świątyni onieśmiela przepychem. Od razu widać, że nie wznosili jej Gruzini. Ich kościoły są surowe, pozbawione ozdób, zimne, a czasami wręcz mroczne. Monastyr zaś eksploduje bizantyjskością. Złote kandelabry, otoczone aureolami twarze świętych, biblijne sceny, misterne krzyże pokrywają każdy centymetr kwadratowy ścian, zajmują łuki, wchodzą na kopuły, wślizgują się na kolumnady. Ze wszystkich stron i we wszystkich formach głoszą chwałę Pana. Brakuje tylko ikonostasu. Zamiast niego ustawiono prostą drewnianą ścianę z zawieszonymi obrazami Jezusa i Matki Boskiej.

Wpatruję się w tę fontannę prawosławnej sztuki sakralnej i teraz dostrzegam, że świątynia jest niedokończona. Zrobiona do połowy. Część fresków lśni przepięknie, ale inne zmatowiały, popękały, fragmenty odpadły, odkrywając brzydkie płaty brudnoszarego podkładu. Mocno nadgryzioną zębem czasu dzwonnicę otaczają puste rusztowania. Jakby prace renowacyjne właśnie miały ruszyć, ale robotnicy nie dojechali i wszystko zastygło w oczekiwaniu.

– Czy cerkiew będzie dalej odnawiana? – zagaduję mężczyznę sprzedającego na ustawionym przed wejściem kramiku dewocjonalia. Całe długie podejście zastawione jest straganami. Obrotni mieszkańcy

Nowego Atonu próbują wepchnąć turystom i pątnikom co tylko się da. Krucyfiksy, ikony, rzeźbę ludową, watę cukrową.

– Tak, podobno są takie plany. Chce pan kupić magnesik z monastyrem? Bardzo ładny, będziesz miał pan na pamiątkę.

– Nie, dziękuję, może innym razem. To dlaczego nikt nie pracuje?

– Szkoda. – Handlarz smutnieje. – To może chociaż chorągiewkę z abchaską flagą?

– Biorę – wyciągam kilkadziesiąt rubli dla poprawienia atmosfery. – To co z tą renowacją?

– A co tu dużo gadać. Podobno to Ruscy dają kasę na remont klasztoru, zresztą jak na większość rzeczy w Abchazji. Póki nasz Kościół był jakoś tam z nimi dogadany, to pieniądze płynęły szerokim strumieniem. Ale potem ktoś wpadł na pomysł, że będziemy mieli naszą własną Cerkiew, a Rosjanom to się nie spodobało. I kurek zakręcili. Skoro wasz Kościół, to i wasz remont, sami sobie za niego płaćcie. Religia religią, a polityka polityką. Proste.

Czy tak jest w rzeczywistości, trudno stwierdzić, ale Abchazowie bez wątpienia mają z Rosją niemały problem. Pomogła w czasie wojny z Gruzją? Pomogła. Uznała za niepodległe i równe innym państwo? Uznała, i to jako jedyny z liczących się światowych graczy. Pozostali to Nikaragua, Wenezuela rękami Hugo Cháveza oraz malutkie wyspiarskie państewka Nauru. Do tego grona dołączyły jeszcze dosłownie kokosowe republiki Tuvalu i Vanuatu, ale po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Gruzją wycofały swoje uznanie. Wreszcie – daje pieniądze? Oj, daje, i to na potęgę. Średnia abchaska emerytura wynosi pięćset rubli, czyli jakieś osiem dolarów, co przy cenach na poziomie zbliżonym do polskich spokojnie wystarcza na nic. Ale Moskwa dorzuca do tej kwoty ponad sześć tysięcy rubli, co stanowi równowartość prawie stu dolarów. I to nie koniec, bo zgodnie z podpisanym w listopadzie 2014 roku rosyjsko-abchaskim traktatem o sojuszu i strategicznym partnerstwie do 2018 roku ta kwota ma wzrosnąć do stu sześćdziesięciu dolarów, czyli tylu, ile dostają emeryci w rosyjskim Południowym Okręgu Federalnym. Patent na wypłaty tych

emerytur jest bardzo prosty. Moskwa przed 2008 rokiem masowo rozdawała mieszkańcom Abchazji paszporty z dwugłowym orłem. Abchascy emeryci pobierają więc po prostu emerytury należne obywatelom Federacji. Na tym rosyjska pomoc się nie kończy. Do budżetu nieuznawanej republiki wpływa rocznie około stu milionów dolarów bezpośredniego wsparcia. Bez tej finansowej kroplówki abchaska gospodarka mogłaby szybko zawalić się niczym domek z kart. I to po ćwierćwieczu niepodległości, które miało zostać wykorzystane do budowania niezależnego państwa.

– To było przepiękne miasto! Jedno z najbogatszych w ZSRR. Rozwijało się od końca XIX wieku i potem przez cały okres Związku Radzieckiego. Dopiero wojna przyniosła prawdziwą katastrofę – opowiada mój znajomy Nikołaj Woronow, przezwyciężając lekką zadyszkę, jaką złapaliśmy podczas wspinaczki na Górę Schumską.

Na jej szczycie znajdowała się dawniej restauracja, dansing i kawiarnia. Odbywały się koncerty i potańcówki. Teraz podłogi zdobionych socrealistycznymi wykończeniami budynków pokryte są warstwą potłuczonego szkła i niedopałków. Odłupane kamienne bloki leżą w nieładzie pośród bujnej roślinności. Młodzi ludzie przyjeżdżają tutaj na schadzki albo nocne balangi. Z zaparkowanego samochodu dobiega głośna muzyka. Wokół walają się zużyte strzykawki. Nikt tego głośno nie przyzna, ale narkomanów w Abchazji nie brakuje. Znudzeni, niemający perspektywy młodzi ludzie biorą różne dziwne specyfiki. W wersji lekkiej może być to gałka muszkatołowa z wodą, ale nie brakuje takich, co sięgają po heroinę albo najnowszy wynalazek postsowieckiego podziemnego świata ćpunów: kosztującego grosze, dającego niewyobrażalnego kopa (podobno dziesięć razy mocniejszego od morfiny) i dosłownie wyżerającego człowieka od środka krokodyla. Produkowana domowymi sposobami mieszanka kodeiny, fosforu czerwonego i oleju przemysłowego powoduje po wstrzyknięciu gnicie ciała, co kończy się w najlepszym razie koniecznością amputacji kończyny.

– Wiesz, co zabiło więcej mieszkańców Abchazji niż wojna z Gruzją? – pyta Niko, a ja przecząco kręcę głową. – Wypadki samochodowe. Na Kaukazie w ogóle, a w Abchazji w szczególności, każdy mężczyzna musi być dżygitem.

Dżygit, czyli kaukaski jeździec wojownik, to odpowiednik latynoskiego macho. Szaleńczo odważny, twardy jak stal, gorący niczym lawa, masakrujący wrogów i z łatwością zdobywający piękne kobiety.

– Mamy na abchaskich drogach zatrzęsienie dżygitów, którzy zamienili swoje zwinne rumaki na wypasione auta. I tak jak na koniach uprawiali woltyżerkę, tak autami ścigają się na potęgę, łamią wszystkie możliwe przepisy i jeżdżą po pijaku. Tylko co innego spaść z wierzchowca, a co innego rozbić się samochodem, zabijając nie tylko siebie, ale i niewinnych ludzi – mówi Nikołaj ze złością. Jest rodowitym suchumczykiem, ale studiował w Polsce i od lat mieszka w Warszawie. Do ojczyny przyjeżdża raz, dwa razy w roku. Jego ojciec, historyk i archeolog profesor Jurij Nikołajewicz Woronow był jednym z prominentnych abchaskich polityków. Członkiem Rady Najwyższej, wicepremierem i bliskim współpracownikiem Ardzinby.

Przypomina mi się historia opowiedziana przez znajomego Polaka mieszkającego jakiś czas w Abchazji. Kiedyś na przejściu dla pieszych potrącił go samochód. Kierowca z pasażerem natychmiast wyskoczyli z wozu, pomogli mu wstać i zaproponowali, że zawiozą do lekarza. Na karetkę czeka się długo jak diabli, a gwarancji, że przyjedzie, nie ma żadnej. Ale kolega, na tak wydawałoby się uprzejmą propozycję, odpowiedział stanowczym: nie! Znał kiedyś kobietę, którą potrącił rozpędzony samochód w centrum miasta, jak przechodziła na zielonym świetle. Sprawca natychmiast pozbierał ją z jezdni i zaoferował podwózkę do lekarza. Po czym na przedmieściach zapakował do bagażnika, wywiózł nad rzekę i z mostu wyrzucił do wody. Nie ma ofiary, nie ma problemu. Po kilku dniach ciało odnaleziono, a z kolei rodzina zamordowanej odnalazła mordercę i zgodnie z zasadami zemsty rodowej wysłała na tamten świat.

Schodzimy monumentalnymi schodami otoczonymi rzeźbioną balustradą, której narożniki wieńczą neoklasycystyczne kolumny. Kamienne bloki poczerniały, szpecą je zacieki i nabazgrane sprayem pseudograffiti. Wokół podzwrotnikowa przyroda eksploduje kolorami i wciskającym się w nozdrza słodkawym zapachem owoców. Trochę poniżej zdewastowanych knajpek znajduje się cmentarz zasłużonych dla Abchazji. Otacza go dziurawy płot z otwartą na oścież ledwo trzymającą się w zawiasach furtką. Ścieżki pomiędzy nagrobkami zarosły trawą, bazaltowo-granitowe płyty pokrywa brud.

– To przecież powinno być miejsce naszej pamięci. Naszej tożsamości. W każdym normalnym kraju władze otoczyłyby je opieką. A u nas nikt o tym nie myśli – zżyma się mój towarzysz.

Z Góry Suchumskiej jak na dłoni widać całą stolicę. W oddali można dojrzeć zabudowania supertajnego laboratorium fizyki jądrowej, w którym prowadzono część prac nad sowiecką bombą atomową. Znacznie bliżej leży marina w kształcie okrętu. Statki nigdy do niej nie przybijały. Budowę przerwał wybuch konfliktu. Teraz grozi zawaleniem, bo środków na odbudowę nie ma. Przestronna poczekalnia straszy pustymi framugami i bijącą ze środka starzyzną. Na wzgórzu obok rozgościł się założony pod koniec lat dwudziestych Instytut Patologii i Terapii Doświadczalnej. Przed wejściem stoi pomnik dumnego makaka odżywionego zdecydowanie lepiej niż biegające w klatkach wychudzone małpki. Co jakiś czas wspinają się na drzewa, przeskakują z gałęzi na gałąź i wrzeszczą na widok turystów. Smutnym wzrokiem próbują wyżebrać od nich suszone owoce sprzedawane przez stojące rzędem babuszki. A przecież kiedyś była to chluba Związku Radzieckiego. Zwolennicy teorii spiskowych z wypiekami na twarzy powtarzają historię o tym, jak próbowano tutaj stworzyć hybrydę człowieka i małpy. Sowiecki yeti miał być obdarzonym nadludzką siłą oraz wytrzymałością superżołnierzem i superproletariuszem. Czerwoną bestią gotową na bagnetach zanieść rewolucję do najdalszych zakątków globu albo w kopalniach i na wielkich budowach socjalizmu wyrabiać tysiąc procent normy, kończąc

plan pięcioletni w rok. Podobno podekscytowane tą perspektywą sowieckie kobiety tłumnie zgłaszały się jako ochotniczki do zapłodnienia małpim nasieniem. W końcu nie na co dzień zostaje się matką Wielkiej Stopy. W każdej legendzie jest ziarno prawdy, bo założyciel placówki Ilja Iwanow był opętanym eugenicznymi ideami darwinistą, który faktycznie próbował krzyżować małpy z człowiekiem. Jego błyskotliwości nie doceniły jednak radzieckie władze i wysłały go na przymusowy urlop w Kazachstanie. Natomiast sam instytut stał się zaawansowaną placówką badawczą, w której przeprowadzono szereg eksperymentów na małpach, między innymi związanych z lotami kosmicznymi. W trakcie wojny pozostawione same sobie zwierzęta umierały z głodu, były zabijane dla zabawy przez pijanych żołnierzy albo wprost przeciwnie – stawały się maskotkami abchaskich oddziałów.

– Chodźmy stąd – mówi Nikołaj. – Smutno na to wszystko patrzeć. Miasto mojego dzieciństwa tak zaniedbane.

Spacerujemy po suchumskich ulicach, które nijak nie pasują do typowych wyobrażeń o poradzieckich miastach. Nie ma tutaj przytłaczających blokowisk zawalonych chruszczowkami, brzydkich jak noc budynków administracji, fabrycznych kominów ziejących pylastym dymem, szarych chodników zlewających się z czarnym asfaltem. Zamiast nich tłoczą się zdobione kamienice, wille w śródziemnomorskim stylu, pałacyki o orientalnie łukowatych oknach. Wszystkie mają w sobie eklektyczny urok portowego miasta na styku Wschodu i Zachodu. Wszystkie chcą być piękne, przekonać mnie, że nie przechadzam się po stolicy państwa nieuznawanego (lub jak mówią Abchazowie – częściowo uznawanego, bo przecież Rosja uznała), tylko po pełnoprawnej stolicy czarnomorskiego kaukaskiego raju. Gdzie wino jest orzeźwiające, jedzenie wyśmienite, ludzie gościnni, a ciepły klimat i bujna przyroda dają ukojenie.

Wielki napis przy głównej promenadzie woła do mnie „We Sukhum”. To nowe hasło reklamowe wymyślone przez stołecznych speców od PR-u. Abchazowie, bądźcie dumni ze swojego miasta, nie

ma się czego wstydzić, to perła Czarnomorza! Niech sobie Gruzini mają Batumi, Ukraińcy Odessę, ale Suchumi jest wyjątkowe. A właściwie Suchum, a nie Suchumi, bo ta jedna literka na końcu robi wielką różnicę. Suchum z „i" to nazwa gruzińska, a bez „i" abchaska.

Już ma mnie dopaść ta abchaska błogość, kiedy zza urokliwych budynków wychodzą ruiny. Jedna rozsypana kamienica, po niej kolejna i następna. Resztki pałacyku, waląca się ściana frontowa, porzucona w połowie budowa bliżej nieokreślonego bloku. Jak nowoatoński monastyr, tak i Suchumi jest wybudowane, albo raczej odbudowane – do połowy. Niby trochę na pokaz odmalowane, ale zaraz spod tej cienkiej warstwy farby wyłazi zgnilizna.

Następnego dnia jedziemy z Niką do dawnego sanatorium w podsuchumskiej miejscowości Gulripszi. Od głównej szosy droga odbija w gęsty las okrywający łagodne wzgórza. Im wyżej podjeżdżamy, tym mniej jest asfaltu, a więcej dziur i żwiru. Wreszcie zatrzymujemy się obok betonowych słupów, na których zapewne kiedyś wisiała okazała brama. Przyroda jest bujna. To już nie klimat podzwrotnikowy, tylko jakaś równikowa dżungla. Palmy, magnolie, mandarynki, jeżyny i maliny. Akacje, eukaliptusy, egzotyczne rozłożyste krzewy o wielkich liściach, dziwne drzewa wyginające konary w stronę nieba. To wszystko kłębi się, zawija i zaplata w dzikie kłębowisko trzymające w uścisku rozrzucone po wzgórzu ruiny. Przepiękne ściany próbują się opierać bezwzględnej przyrodzie, ale ona rozrywa je i ściąga w stronę ziemi. Z tego buszu co rusz wyrastają kilkupiętrowe wille. Zdobione neoklasycystycznymi motywami, jakby przeniesiono je z Wiednia albo Paryża. I każda co do jednej zniszczona. Rozerwana i zdegradowana do sterty cegieł.

Wchodzimy do największego z budynków. To już nie willa, ale prawdziwy pałac, którego atrium pokrywa gruby dywan gruzu. W okalających hol schodach straszą wyrwane dziury. Z zagrzybionych, odartych z farby ścian wyłażą powyginane pręty zbrojeniowe i resztki kabli elektrycznych. Ostrożnie stawiamy każdy krok, żeby nie wpaść

w jakąś wyrwę, patrzymy w górę, czy zaraz kawałek muru nie spadnie nam na głowy. Ten kompleks to upiorna apoteoza rozkładu.

Na archiwalnych zdjęciach z lat trzydziestych, pięćdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych te same kamieniczki lśnią luksusem, pachną porządkiem, zapraszają do spacerów pośród zadbanych ogrodów. Sanatorium było owocem miłości zamożnego fabrykanta, rosyjskiego księcia Nikołaja Smieckoja, do jego żony Olgi, chorującej na gruźlicę. Lekarz po zbadaniu kobiety zalecił dziwnie brzmiącą kurację: „Jeżeli chce pan, żeby pańska żona żyła i wyzdrowiała, musi pan spowodować, aby co noc spała w nowym miejscu, gdzie powietrze jest wolne od zarazków". Milioner bardzo poważnie potraktował to zalecenie i z właściwą sobie werwą wziął się do pracy. Z zimnych i mrocznych okolic leżącego na północ od Moskwy miasta Kostroma przeniósł się w okolice Suchumi. W wiosce Gulripszi kupił ponad półtora tysiąca hektarów z lasami oraz polami kukurydzy. Potem ściągnął specjalistów od botaniki i założył sad oraz uprawy egzotycznych roślin. Dla swojej ukochanej wzniósł imponującą, liczącą trzysta sześćdziesiąt pięć pokoi posiadłość nazywaną od koloru cegieł „czerwonym pałacem". Rozmach tego przedsięwzięcia wprawił w zdumienie mieszkańców Abchazji. Ale na tym nie kończyły się wielkie plany księcia, który idąc za ciosem, rozpoczął budowę sanatorium Gulripszi. W ciągu kilku lat kompleks stał się jednym z najbardziej znanych w Imperium Rosyjskim uzdrowisk dla osób cierpiących na choroby płuc. Całość była utrzymywana w perfekcyjnym porządku. Kuracjusze wespół z miejscową ludnością nazywali go „pałacem higieny i czystości". Po rewolucji październikowej Gulripszi zostało znacjonalizowane, otrzymując nowego patrona – Lenina – i nieprzerwanie działało aż do wybuchu wojny z Gruzją.

A co stało się z kobietą, która natchnęła Nikołaja do tej imponującej pracy? Jak chce legenda, Olga po przenosinach do Gulripszi prawie natychmiast wyzdrowiała i dożyła sędziwego wieku dziewięćdziesięciu lat.

– Rozumiem, że te zniszczenia to efekt wojny. Gruzini zbombardowali kompleks? Toczyły się tutaj ciężkie walki? – dopytuję Nikołaja.

– Nie! Wnętrza wprawdzie zostały splądrowane, ale budynki ocalały – odpowiada z mieszaniną smutku i złości. – Po wojnie po prostu cały obiekt porzucono. Nie było ani pieniędzy, ani przede wszystkim chęci oraz umiejętności, żeby przywrócić mu dawny blask. Na dodatek i okoliczni mieszkańcy, i administracja zaczęły go rozkradać. Na pierwszy ogień poszły specjalnie sprowadzone przez Smieckoja z Francji dachówki. Jak nie ma dachu, to wszystko zaczyna gnić i błyskawicznie się zawala. Ręce mi opadają. Wiesz, że u progu XX wieku we wszystkich budynkach była ciepła bieżąca woda, a tymczasem na początku XXI stulecia w Suchumi są regularne przerwy w dostawie zimnej wody? To jakiś absurd. Nie chodzi nawet o nie wiadomo jakie wystrzałowe inwestycje, tylko o zadbanie o rzeczy, które już mamy. A mamy ich mnóstwo! Zjeździłeś Abchazję i sam widziałeś. Byliśmy najpiękniejszym zakątkiem ZSRR, pompowano w nas pieniądze, czasami aż rozpieszczano. Oczywiście wojna przyniosła potworne zniszczenia. Jedną z największych zbrodni Gruzinów na abchaskiej kulturze było podpalenie Archiwum Narodowego. Kiedy przyjechała straż, gruzińska armia nie pozwoliła gasić pożaru. Budynek doszczętnie spłonął i dzisiaj nie ma po nim śladu. Przepadły praktycznie wszystkie zbiory. Podobny los spotkał Instytut Historii, w którym pracował mój ojciec. Na jego miejscu jest teraz łąka, choć to w samym centrum stolicy, pomiędzy placem Teatralnym a Pałacem Prezydenckim. Skala grabieży była ogromna. Wyobraź sobie, że Swanowie kradli i zaciągali w góry nawet miejskie trolejbusy. Kraj był zdewastowany, ale jednak trzeba zachować pewną miarę. W ćwierć wieku po wywalczeniu niepodległości nie można ciągle zasłaniać się konfliktem. Wiesz, że Abchazja mogła rozkwitnąć między innymi dzięki eukaliptusom? – Nika klepie stalowoszary pień o charakterystycznej łuszczącej się jak papier korze. – Kiedyś ten fragment wybrzeża pokrywały trzęsawiska. Abchaską stolicę

wybudowano na paskudnych, pełnych komarów bagnach. Szalała malaria. To nie było przyjemne miejsce do życia. Ale ktoś wpadł na pomysł, żeby obsadzić miasto eukaliptusami, które piją mnóstwo wody. I tak udało się osuszyć te tereny, a tropikalna choroba odeszła w zapomnienie. Tylko że od odzyskania niepodległości nikt nie troszczy się już o odpowiednie osuszanie gruntów. Drobny przykład. W piwnicy wieżowca, gdzie jest moje rodzinne mieszanie i w którym nadal żyje moja mama, od lat stoi woda. Śmierdząca, brudna wylęgarnia moskitów. Lokatorzy od lat apelują do administracji o jej wypompowanie i uszczelnienie fundamentów. I co? I nic! Wszyscy mają to gdzieś. Jak tak dalej pójdzie, to znowu będziemy jak w Azji czy Afryce rejonem malarycznym. Dopiero się zaczną problemy, bo przecież nasza służba zdrowia sobie z tym nie poradzi.

– Trzeba będzie pić dużo toniku – próbuję zażartować, nawiązując do zawartej w tym napoju antymalarycznej chininy.

– Chyba tylko to nam pozostanie. – Nika nie jest w nastroju. – Poraża mnie ta bylejakość i brak szacunku dla tego, co mamy i co własnymi rękami wywalczyliśmy. Ostatnio chcieliśmy założyć w naszym nadmorskim domku kanalizację. Przyjechali fachowcy i po chwili cali zadowoleni mówią, że super się składa, prosta sprawa, bo budynek stoi na skarpie. Wystarczy więc wyprowadzić rurę i można śmiało wylewać ścieki do morza. Mama złapała się za głowę. Jak można tak bezmyślnie zanieczyszczać nasze piękne plaże fekaliami. A co ty myślisz, o Abchazji?

– Myślę, że jest… – chwilę się waham – powiedzmy, prowizoryczna.

– Prowizoryczna?

– W tym sensie, że Abchazja jest przepiękna, ale na każdym kroku się rozsypuje. Jakby jej mieszkańcy byli nie do końca przekonani, czy ten kraj naprawdę jest ich. Jeśli coś do ciebie należy, to się o to troszczysz, pielęgnujesz. A Abchazja się rozpada w najbardziej dosłownym tego słowa znaczeniu. Te wszystkie zrujnowane kamienice, zapuszczone hotele, dziurawe drogi za wyjątkiem jednej zbudowanej przez Rosjan.

– Bardzo kocham swoją ojczyznę. Jestem abchaskim patriotą, choć w moich żyłach nie płynie nawet kropla abchaskiej krwi. Mój ojciec był Rosjaninem, mama Gruzinką, a prababcia Polką. W domu rozmawialiśmy po rosyjsku. Ale zawsze uważałem, że Abchazja powinna być wolnym i niepodległym państwem. Tylko kiedy tę wolność wywalczyliśmy, to wszystko poszło w złym kierunku. Teraz zamiast marzyć o nowej kwitnącej Abchazji, wspominam to, co zostało zniszczone przez ludzką głupotę, lenistwo i chciwość. W Abchazji lepsze jutro już było. – Nikołaj zawiesza głos. – Choć mam wielką nadzieję, że kiedyś to się zmieni. Mamy ogromny potencjał. Fantastyczny klimat, góry, plaże, morze. A przede wszystkim mamy wielu wspaniałych ludzi, którzy mogą sprawić, że to piękne jutro jednak nadejdzie. Że odzyskamy utracony blask.

# Abchazja gooooola!

Teraz nadszedł twój czas,
Czujesz to?
Słuchaj, jak bije serce,
Stojąc na krawędzi opowieści,
Gdy marzenia się spełniają.

Możemy zmienić życie na lepsze,
To jest czas, żeby powstać i lśnić
Na zawsze.
To wszystko zdobędziemy razem
Silni jak nigdy.

Oficjalny hymn piłkarskich mistrzostw świata World Football Cup 2016 Abkhazia

Wyspy Czagos grają źle. Powiedzmy sobie szczerze, grają nawet bardzo źle. Na chwilę opuściłem trybuny w poszukiwaniu piwa i popcornu, a tu już stracili dwie bramki. Czagosi przegrywają wszystko, co się da, i robią to w spektakularny sposób. 9:0, 12:0, ileś tam: 0. Plączą im się nogi, podają piłki do przeciwników, ledwo mogą wyjść ze swojej połowy. A przy okazji bardzo się z tej piłkarskiej katastrofy cieszą. Od odśpiewania reggae'owego hymnu aż po zejście do szatni nie przestają się uśmiechać. Mniejsza o wynik. Dostali się na turniej z „dziką kartą", więc ich szanse od początku były znikome. Najważniejsze to pokazać światu, że w ogóle jacyś „Czagosi" z jakiejś zapomnianej przez Boga wysepki na Oceanie Indyjskim istnieją. I co więcej, chcą być niezależni. Mieć takie same prawa jak inne, wielkie narody.

Z kolei dla Abchazji to mecz otwarcia, więc dwoją się i troją, żeby ugrać jak najlepszy wynik. Trybuny z radosnym spokojem przyglądają się tej futbolowej jatce. Kilka pierwszych goli wzbudziło entuzjastyczne reakcje, ale kolejne celne strzały kwitowane są pobłażliwymi uśmiechami. Na zbawienny dla wyspiarzy cud raczej się nie zanosi.

Lewa część głównej trybuny podrywa się z krzesełek, wznosząc ręce, ale po chwili opada zniechęcona brakiem reakcji ze strony reszty widzów.

– Ech, my już nawet nie pamiętamy, jak się robi meksykańską falę. Gdzie te czasy, kiedy z wypiekami na twarzy kibicowało się Dynamo Suchumi – wzdycha siedzący obok mnie mężczyzna o kamiennej twarzy. – Końcówka lat osiemdziesiątych to było coś! Awansowaliśmy wtedy do pierwszej ligi!

Dynamo Suchumi nigdy nie było najlepszą drużyną, ale w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z powodzeniem grało w drugiej lidze ZSRR. Przełomowy był rok 1989, kiedy Abchazom udało się wywalczyć historyczny awans do sowieckiej Pierwszej Ligi. Zanim kibice zdążyli nacieszyć się zwycięstwem, triumf stał się nieaktualny, bo liga razem ze Związkiem Radzieckim spoczęła na śmietniku historii. Drużynę zaproszono do gry w mistrzostwach już niepodległej Gruzji, ale piłkarze odmówili. Rodziła się Abchazja i zamiast do piłkarskich zmagań szykowano się do walki o niezależność od Tbilisi. A potem przyszła wojna i abchaskim kibicom pozostało oglądać mecze w telewizji. Władze uparły się jednak, by przywrócić blask rodzimej piłce i w 2015 roku z pompą otworzyły w okolicach centrum Suchumi nowy stadion na ponad cztery tysiące widzów. Samozadowolenie decydentów nieszczególnie szło w parze z opiniami obywateli, którzy powszechnie uznali obiekt za jedną z najbardziej kretyńskich inwestycji w krótkich dziejach państwa. Dróg nie ma, fabryk nie ma, bloki mieszkalne się sypią, ale za to arena futbolowych zmagań błyszczy nowoczesnością. Oto i miś na miarę abchaskich możliwości. Co bardziej domyślni Abchazowie wspominali półgębkiem o pieniądzach, które przy okazji budowy rozpłynęły się w kieszeniach rodzimych oligarchów. Minął rok i politycy mogą z dumą odpowiedzieć niedowiarkom: „I co? Szach-mat! Abchazja jest gospodarzem piłkarskich mistrzostw świata CONIFA World Football Cup 2016”.

CONIFA, czyli Konfederacja Niezależnych Organizacji Piłkarskich, zrzesza ponad trzydzieści drużyn reprezentujących mniejszości narodowe, grupy etniczne i państwa nieuznawane, które z różnych przyczyn nie zostały przyjęte do FIFA. Organizacja została zarejestrowana w 2013 roku w Szwecji i od tego czasu zdążyła już zorganizować w 2014 roku mundial w szwedzkiej części Laponii oraz w 2015 roku mistrzostwa Europy w węgierskim Debreczynie. Teraz nadszedł czas na Abchazję. W mistrzostwach mierzy się dwanaście zespołów z tak egzotycznych zakątków świata jak leżący na pograniczu pakistańsko-indyjskim region Pendżabu, nieuznawane państwo Somaliland stanowiące formalnie część pogrążonej w wojennej anarchii Somalii czy Zjednoczeni Koreańczycy w Japonii reprezentujący porozumienie ponad północno-południowymi koreańskimi podziałami. W szranki stanęli również Europejczycy, jak choćby Włosi z Padanii, spokrewnieni z Węgrami Seklerowie z rumuńskiej Seklerszczyzny czy Retoromanie zamieszkujący Recję, starożytną krainę położoną na alpejskim pograniczu Włoch i Szwajcarii.

– Cieszycie się z tych mistrzostw? To chyba powód do dumy, że Abchazja gości taką imprezę? – pytam koleżankę, która na spotkanie zaprosiła mnie do eleganckiej kawiarni na nadmorskiej suchumskiej promenadzie.

– Do dumy??? – Młoda, modnie ubrana kobieta aż prycha z niezadowolenia. – A z czego mamy być niby dumni? Że gramy z Cyganami???

– Cyganie w ostatnim momencie wycofali się z turnieju. Z przyczyn organizacyjnych nie mogą dotrzeć do Abchazji – przekazuję jej najnowsze informacje z mundialowego pola bitwy. Abchazka mówi biegle w kilku językach, studiowała za granicą i prowadzi dużą firmę. Zdecydowanie nie pasuje do kaukaskiego modelu rodziny, gdzie pierwsze skrzypce grają mężczyźni, a kobiety mają opiekować się domem i dziećmi. Reprezentuje kosmopolityczne skrzydło abchaskiego establishmentu.

– No tak, czyli pozostają nam pasjonujące starcia z takimi gigantami jak Somalia.

– Somaliland, mówiąc precyzyjnie.

– To jeszcze lepiej! Co to w ogóle jest Somaliland??? – Dziewczyna jeszcze bardziej się zaperza. – Podobno jesteśmy niepodległym państwem, a walczymy o mistrzostwo niby-świata z bananowymi pseudorepublikami, o których nikt normalny nie słyszał. Polska, zdaje mi się, gra w tym roku na tym prawdziwym Euro, a w Suchumi jakoś waszej reprezentacji nie widzę.

– Tak, ale mimo wszystko jesteście gospodarzem… – zawieszam głos.

– Dobra, dobra, nie musisz być miły. Nie jesteśmy na przyjęciu w ambasadzie – wybucha śmiechem.

Władze dwoiły się i troiły, chcąc udowodnić, że poradzą sobie z przygotowaniem imprezy. Ceremonia otwarcia to było coś. Przez kilkadziesiąt minut wirujące korowody aktorów i tancerzy opowiadały historię abchaskiej ziemi. Nie mogłem się połapać w tym widowisku, bo było zbyt wielkie i zbyt intensywne. W świetle różnokolorowych reflektorów rycerze zakuci w błyszczące zbroje, trzymający w dłoniach drewniane tarcze i długie piki, toczyli ze sobą zaciekły bój. Szarżowali, robili uniki, upadali na ziemię, wznosili wojenne okrzyki. Wreszcie sięgnęli po miecze, żeby w bezpośrednim starciu zadać przeciwnikom ostateczne ciosy. Tancerze przepasani gilzami wyskakiwali w górę, wirowali w powietrzu, padali na kolana przed kobietami w powabnych sukniach i welonach zakrywających włosy. Starzec w papasze i białym futrze wygłaszał płomienną mowę, od której drżała ziemia. Otwierał wielką księgę i odczytywał fragmenty Eposu o Nartach. Sławił heroiczne czyny, upadłych bogów i zapomnianych bohaterów. Hymn Abchazji Aiaaira niósł się nad miastem. A potem emocje opadły, stadion opustoszał. Jakby Abchazowie nie byli gotowi na piłkarskie widowisko. Nie było sportowego szaleństwa towarzyszącego tego typu wydarzeniom. Tłumów kibiców, szalików, transparentów, imprez do

białego rana. W trakcie pierwszego meczu kibicie zagrzewają swoich do walki, krzycząc „Abchazija, Abchazija”, czyli Abchazja po rosyjsku.

– Trochę to dziwne, nie sądzisz, że kibicując Abchazji, krzyczycie po rosyjsku Abchazija, a nie po abchasku Apsny? Jakby u nas ktoś zaczął drzeć się na trybunach Polsza, to dostałby z miejsca w zęby od jakiegoś krewkiego współkibica. Wiadomo, my za Rosjanami przepadamy umiarkowanie, wy z kolei jesteście przyjaciółmi, ale nie uważasz, że to mimo wszystko lekka przesada? – dopytuję mojego kolegę.

– Jaki język słyszysz przede wszystkim na ulicach? Po jakiemu są napisy na większości witryn sklepowych? – odpowiada mi pytaniem.

– Po rosyjsku – przytakuję, widząc, do czego zmierza.

– Właśnie! Po rosyjsku, a nie po abchasku. Nie czarujmy się, podstawowym językiem w Abchazji jest rosyjski. Oczywiście władze napinają się, że abchaski najważniejszy, że uczymy go w szkołach i w ogóle każdy musi mówić w mowie przodków. Ale to propaganda. Ja sam nie mówię po abchasku i jakoś żyję. Bez abchaskiego dasz sobie u nas radę, ale bez znajomości rosyjskiego jesteś skończony. Jakiś czas temu pojawił się pomysł ściągania do ojczyzny ludzi z diaspory tureckiej, a przede wszystkim abchaskich uchodźców z Syrii. Już w kilka miesięcy po przyjeździe wielu z nich było totalnie sfrustrowanych, bo nie mogli się dogadać. Znali abchaski, ale co z tego, skoro w sklepach, na bazarze, w urzędach językiem potocznym jest rosyjski.

O trwającym turnieju przypominają tylko promujące mistrzostwa bilbordy z wpadającą do siatki futbolówką. Częściowo zastąpiły one najczęściej pokazywany na wielkoformatowych plakatach produkt, czyli martyrologię wojny narodowowyzwoleńczej. Abchaska flaga, a na niej czarno-białe zdjęcia poległych. Dwudziesto-, trzydziesto-, czterdziesto- i pięćdziesięciolatkowie. Synowie walczyli ramię w ramię ze swoimi ojcami. Przy każdej fotografii medal. Dwóch mężczyzn uhonorowano najwyższym abchaskim odznaczeniem Bohatera

Abchazji. Kolejnych czterech otrzymało Order Leona. Kilkunastu pozostałych żołnierzy odznaczono Medalem za Odwagę. Patetyczny napis oznajmia: „Świętej pamięci mieszkańcom z wioski Gup".

– Abchazowie są próżni – mówi mój znajomy historyk Kola z Suchumi. – W Górskim Karabachu jest dwudziestu kilku bohaterów, a ich nazwiska zna każde dziecko. U nas najwyższe odznaczenia rozdawano na prawo i lewo. Koledzy wręczali kolegom, nie tłumacząc, komu i za jakie czyny. Niektórzy prawdziwi bohaterowie są zapomniani, za to w świetle bitewnej chwały grzeją się ci, którzy na to nie zasłużyli. Ten nasz wojenny patriotyzm z biegiem lat staje się zmorą Abchazji. Budujemy tożsamość na doświadczeniu wojny, a jednocześnie wojna wszystko usprawiedliwia. Trudno w takiej atmosferze być samokrytycznym, wprowadzać reformy, wytykać błędy. Coś jest źle, to od razu mamy winnych: Gruzini i konflikt. Ktoś robi przekręty, ale ma na piersi ordery, więc jest nie do ruszenia. Przecież to weteran, postać nieskalana. Żywy pomnik – dodaje.

Z okazji mistrzostw futbol walczy w przestrzeni publicznej z odznaczeniami, wojennymi hasłami i karabinami. W internecie pojawił się szeroko promowany spot imprezy. W rytm słynnej rock'n'rollowej piosenki Billa Haleya Rock Around the Clock piłkarze w zielonych koszulkach z abchaskim godłem na piersi ścigają przez ulice Suchumi chłopaczka, który w trakcie treningu ukradł im piłkę. Futbolówka przelatuje przez parki, śmiga po trotuarach, dzieciak z wdziękiem drybluje, wymijając obrońców, i w końcu podaje do przypadkowych przechodniów. Grupa młodych ludzi podejmuje wyzwanie i rusza razem z drużyną w piłkarski maraton przez miasto. Wreszcie silne kopnięcie posyła piłkę przez stylizowaną na antyczną nadmorską kolumnadę wprost do Pałacu Prezydenckiego. Podanie przyjmuje elegancko ubrana w lakierki oraz garniturowe spodnie noga najwyższego przedstawiciela państwa abchaskiego i zgrabnym ruchem odsyła ją w ręce dziecka, do którego wreszcie dobiegają zmachani

piłkarze. Wszyscy są uśmiechnięci i wyluzowani. Bez żadnego zadęcia czy patetyczności. Ot, futbol łączy ludzi.

Na ulicach jednak entuzjazmu nie widać. Przed restauracją na przecznicy obok stadionu powiewają proporczyki grających reprezentacji, ale sam lokal świeci pustkami.

Mieszkańcy Suchumi mobilizują się dopiero na mecz z reprezentacją Armenii Zachodniej. Tak Ormianie nazywają tereny wschodniej Anatolii, czym doprowadzają do szału Turków. Przecież to część ich państwa – wschodnia Turcja. Kurdowie również patrzą na nich podejrzliwie, bo Armenia Zachodnia to nic innego jak turecki Kurdystan. Turecko-ormiańsko-kurdyjski tercet albo raczej trójkąt bermudzki ma szansę spotkać się na abchaskiej murawie, bo w mistrzostwach obok Ormian i Kurdów biorą również udział zawodnicy nieuznawanego państwa Tureckiej Republiki Cypru Północnego. Ale przeciwnik do łatwych nie należy. Mimo nazwy w drużynie grają nie tyle Ormianie z Azji Mniejszej, ile przedstawiciele rozsianej po całym świecie ormiańskiej diaspory. W tym profesjonalni zawodnicy z rozpoznawalnych europejskich klubów – gwiazdą ich reprezentacji jest Hiraç Yagan ze szwajcarskiego średniaka Servette Genewa. To ważny dzień, bo jeśli Abchazowie wygrają, to mają w kieszeni awans do ćwierćfinałów. Ale Ormianie też są zawzięci i celują w podium. Wyjazd z czymś mniejszym niż brąz będzie dla nich absolutną porażką. Zawodnicy z Araratem na piersi dwoją się i troją, ale ostatecznie ulegają gospodarzom 0:1.

Następnego dnia gapię się na pomnik piłkarzy przed stadionem imienia Daura Awchledianiego w Gagrze. Awchlediani był zawodnikiem klubu Dynamo Suchumi, jako ochotnik walczył w wojnie z Gruzją i zginął na krótko przed zakończeniem konfliktu. Rzeźba jest potwornie socrealistyczna. Dwóch futbolistów zacięcie walczy o piłkę. Niby wszystko z nimi w porządku. Mają krótkie spodenki, T-shirty, podkolanówki i korki. Ale z twarzami ewidentnie coś nie gra. Składają się tylko z czarnych włosów i czarnych brwi. Reszta jest biała. Nos, usta, oczy. Te oczy są najgorsze. Przerażająco białe, jak w horrorze.

Bez źrenic i bez tęczówek. Martwe. Co do łba strzeliło jakiemuś bezimiennemu artyście, żeby pokolorować tylko brwi? Wyszli mu piłkarze-upiory.

Na szczęście na murawie piłkę kopią jak najbardziej żywi zawodnicy. Reprezentacja Cypru Północnego masakruje piłkarzy Recji. W sześćdziesiątej minucie jest 4:0 i nic nie zapowiada, żeby Retoromanie mieli szansę się odkuć. Boisko jak boisko. Trawa, dwie bramki, elektroniczna tablica wyników. Trybuna na tysiąc pięciuset widzów. Taki duży orlik. Milicjanci w wielkich czapach i przeciwsłonecznych pilotkach pilnują porządku, choć na kibolską rozróbę raczej się nie zanosi. Fanów futbolu jest jak na lekarstwo. Jeden funkcjonariusz przypada na jednego kibica. Najbezpieczniejszy mecz świata. Wieje nudą. Wynik w zasadzie przesądzony, okrzyków nie ma kto wznosić i jeszcze na dodatek piwo się skończyło.

Ale za to pejzaż zwala nóg. Za boiskiem rozciągają się opadające w stronę morza wzgórza. Z ich szczytów schodzą tumany chmur, pochłaniając kolejne domy chaotycznie poustawiane pośród soczyście zielonych drzew i krzewów. Wygląda na to, że górska nawałnica zaraz zaleje atakujących Cypryjczyków i rozpaczliwie usiłujących się bronić Retoromanów. Ale nie, nagle chmury zatrzymują się. Nad Morzem Czarnym niebo jest krystalicznie czyste. Słońce przyjemnie piecze skórę. Dwa fronty atmosferyczne zawarły kompromis. Wyżej położoną połowę miasta zalewają strugi deszczu, a ta bliżej plaży może się opalać.

– Przepięknie u nas, co? – szturcha mnie młody facet z dwojgiem dzieci. – Piłkę to chyba jednak lepiej oglądać w telewizji, ale drugiej takiej krainy jak Abchazja nie ma nigdzie na świecie.

Na murawie dalej nie dzieje się nic godnego uwagi. To zdecydowanie nie jest najważniejsze spotkanie tego turnieju. Kolejne emocje dopiero w trakcie ćwierćfinałowego starcia gospodarzy z reprezentacją Saamów z Laponii.

– Szkoda, miałem nadzieję, że dojdziemy do półfinału, ale nie będę narzekać, Abchazom to zwycięstwo się należało. Zagrali po prostu lepiej od nas. Mnie trochę nie wypada mówić, że kibicuję którejś z drużyn, ale serca nie oszukasz. – Przewodniczący CONIFA Per-Anders Blind uśmiecha się znacząco, komentując dwubramkowe zwycięstwo gospodarzy. Sam jest Lapończykiem, choć woli określenie „Saam", bo Laponia kojarzy mu się z wieloletnią polityką dyskryminacji rdzennych ludów północy przez szwedzki rząd. – Powołaliśmy tę konfederację, żeby dać szansę ludom wykluczonym. Mniejszościom narodowym i etnicznym, państwom nieuznawanym, narodom bez państwa. Dlaczego tylko reprezentacje afiliowane przy FIFA mają się cieszyć wielkim piłkarskim świętem? Szczególnie że ich kryteria członkowskie też są dosyć niejasne. Przecież Walia, Szkocja albo Gibraltar nie są samodzielnymi państwami, a jednak zostały przyjęte. To niesprawiedliwe. Piłka powinna być dla wszystkich. Na mistrzostwach w Szwecji z „dziką kartą" grała reprezentacja sudańskiego Darfuru, w którym doszło do ludobójstwa. Ci ludzie po raz pierwszy w życiu grali na murawie, a niektórzy pierwszy raz mieli buty na nogach. Dlatego warto robić to, co robimy. Dla graczy i kibiców. Polityka nas nie interesuje. Przeważająca większość zawodników to amatorzy albo półprofesjonaliści. Podobnie zresztą jak my, czyli zarząd CONIFA.

Per-Anders Blind pracuje jako konsultant biznesowy, a w wolnych chwilach jest sędzią piłkarskim oraz arbitrem popularnego w Szwecji unihokeja. Sekretarz generalny organizacji Sascha Düerkop z Niemiec to doktorant matematyki na uniwersytecie w Kolonii. W kuluarach działacze CONIFA dodają jeszcze po cichu, że większość darfurskiej reprezentacji wystąpiła o azyl polityczny i nie wróciła po mundialu do domów.

– Pięknie to brzmi, ale jednak w waszych szeregach występują gracze z państw o spornym statusie. Pomijając Abchazję, ostatnio do konfederacji dołączyła reprezentacja Ługańskiej Republiki Ludowej, a w kolejce czekają również zawodnicy z Doniecka. Zresztą już na tym turnieju mecze sędziują arbitrzy z Donbasu – drążę temat.

– To rzeczywiście może budzić pewne kontrowersje, ale taka sytuacja wynika z demokratycznych mechanizmów, na jakich opiera się działanie organizacji. O przyjęciu nowych członków decydują w głosowaniu przedstawiciele wszystkich drużyn podczas dorocznego walnego zgromadzenia CONIFA. My jako zarząd nie mamy żadnych szczególnych uprawnień i przeważnie przegrywamy w tych głosowaniach z naszymi własnymi członkami. – Sascha wtrąca się do rozmowy, próbując obrócić moje pytanie w żart, ale widać, że zdecydowanie nie w smak mu zamieszanie z Ługańskiem. Po cichu przyznaje, że jak zaczęła się wojna na wschodniej Ukrainie, to wszyscy w zarządzie modlili się, żeby tylko ŁRL i DRL nie aplikowały o członkowstwo. Za przyjęciem donbaskich separatystów miały ponoć zagłosować nie tylko państwa nieuznawane z obszaru postsowieckiego, ale również z Afryki oraz Europy Zachodniej, na przykład Recja i Padania.

– Nasi afrykańscy czy azjatyccy przyjaciele często nie rozumieją złożoności europejskiej sytuacji geopolitycznej. Szczególnie że, tak jak mówił sekretarz, my o polityce nie rozmawiamy. Stąd też niektóre ich opinie mogą budzić nasze zaskoczenie czy nawet pewne oburzenie. Ale na tym polega idea CONIFA. Wszyscy jesteśmy równi i wspólnie w demokratyczny sposób decydujemy o przyszłości związku – tłumaczy Per-Anders Blind

– Dlaczego w takim razie w konfederacji nie ma tak silnie podkreślających swoją odrębność narodową Katalończyków albo Basków?

– Odpowiedź jest prosta: nigdy oficjalnie nie wystąpili o członkostwo. Jeśli mam być szczery, to wydaje mi się, że nie chcą psuć sobie relacji z UEFA i FIFA, gdyby jednak udało im się odłączyć od Hiszpanii – odpowiada Sascha. Nikt głośno tego nie przyzna, ale można się zastanawiać, czy gwiazdorzy z Półwyspu Iberyjskiego, jak choćby Carles Puyol z Barcelony, mieliby ochotę stawać w szranki z kopiącymi półamatorską piłkę chłopakami z zapomnianych regionów świata.

– A co w takim razie z Padanią? Podobno z nią też były problemy.

– Tutaj sytuacja również jest skomplikowana. – Prezes dalej się uśmiecha, ale ewidentnie wchodzimy na grząski grunt. – Początkowo nie przyjęliśmy ich reprezentacji z uwagi na polityczne związki z partią Liga Północna dążącą do utworzenia z północnych prowincji Włoch niepodległego państwa Padanii. Co gorsza Liga głosi bardzo nacjonalistyczne, wręcz rasistowskie hasła. To dla nas absolutnie nie do zaakceptowania. Ale kiedy padańska kadra jasno określiła swoją apolityczność, uznaliśmy, że nie ma przeszkód, aby występowała w ramach CONIFA. Wyobraź sobie, że teraz Padańczycy mogą zagrać mecz z Romami. Jeszcze pięć lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Czy to nie piękne? Piłka naprawdę łączy ludzi.

Prezes ani słowem nie wspomina o jawnie proputinowskich sympatiach Ligi Północnej oraz zwolenników padańskiej niezależności. Politycy tego ruchu od początku protestowali przeciwko wymierzonym w Rosję zachodnim sankcjom. Dzień po zabójstwie Borysa Niemcowa lider ugrupowania Matteo Salvini mówił, że: „Rosja to potęga, z którą należy prowadzić dialog, a nie się kłócić”. Z kolei w połowie 2016 roku rada regionu Lombardii na wniosek Ligi przyjęła rezolucję wzywającą włoski rząd do „potępienia polityki UE w stosunku do Krymu”. W dokumencie zażądano także uznania woli przyłączenia do Rosji wyrażonej przez krymski parlament oraz mieszkańców półwyspu w wolnym referendum. Przy okazji sekretarz lombardzkiego oddziału Ligi Paolo Grimoldi określił wymierzone w Moskwę sankcje jako absurdalne: „Te niedorzeczne sankcje ekonomiczne UE i embargo spożywcze ze strony Moskwy kosztowały nasz eksport ponad 3,5 miliarda euro”. Business is business, nie ma miejsca na sentymenty.

– A czy w takim razie bylibyście skłonni przyjąć Państwo Islamskie? – postanawiam trochę podgrzać atmosferę.

– Teoretycznie mogliby złożyć aplikację, ale na pewno nie zostaliby przyjęci. Są granice, których absolutnie nie przekroczymy! – Prezes błyskawicznie ucina rozmowę i zmienia temat. – Na pierwszych

mistrzostwach w Szwecji sami rysowaliśmy linie na boisku, pompowaliśmy piłki, poprawialiśmy bramki. Totalna partyzantka. – Per-Anders Blind wpada w nastrój nostalgiczno-refleksyjny. – Spaliśmy po dwie godziny na dobę. I tak po prawdzie, moi rodacy gdzieś mieli nasz turniej. Co ich obchodzą jakieś dziwne drużyny, skoro mogą pójść sobie na mecz wielkich europejskich klubów albo eliminacje mistrzostw FIFA. W Abchazji jest zupełnie inaczej! Dla Abchazów to prawdziwe święto sportu i wielkie wydarzenie. Oni włożyli w przygotowania nie tylko pieniądze, ale ciężką pracę, zapał i serce. Widać to na każdym kroku. Abchazja mnie oczarowała. Abchazja goooola – wybucha serdecznym śmiechem.

Entuzjazmu prezesa abchaska ulica do końca nie podziela. Z turnieju odpadli już murowani faworyci, czyli Kurdystan i Armenia Zachodnia. Kurdowie w ćwierćfinałach w konkursie rzutów karnych ulegli Padanii. W tych mistrzostwach nie ma dogrywek, więc dziewięćdziesiąt minut musi wystarczyć na rozstrzygnięcie spotkania. Potem pozostaje tylko liczyć na szczęście lub Opatrzność. Z kolei również w jednej czwartej turnieju sensacją okazują się przybysze z dalekiego Pendżabu. Bogiem a prawdą, mało kto wie, co to w ogóle jest ten Pendżab, a tym bardziej gdzie ta baśniowo brzmiąca kraina się znajduje. Trener drużyny ma gęstą czarną brodę niczym prawosławny pop, ale na głowie nosi wielgachny fioletowy turban. Abstrakcyjności jego stroju dopełnia doskonale skrojony garnitur, który wyszedł chyba spod igieł mistrzów ze słynnej londyńskiej ulicy krawców Savile Row. Piłkarze noszą na piersiach ryczącego złotego lwa z dumnie rozwianą grzywą, symbol sikhów. Lwem Pendżabu zwany był również maharadża Ranjit Singh, założyciel XIX-wiecznego imperium sikhów, z którego wywodzi swoje narodowe korzenie pendżabska reprezentacja. To dumne godło jest przyjmowane jednak przez kibiców i innych piłkarzy z przymrużeniem oka. Biednych Pendżabczyków nikt nie traktuje poważnie, raczej jak ciekawostkę etnograficzną. A tu proszę, taka niespodzianka! Sikhowie idą jak taran. W fazie grupowej pokonują

Laponię i gromią Somaliland, a w ćwierćfinałach dają wycisk Armenii Zachodniej. Ormianie wprost nie mogą uwierzyć w to, co wydarzyło się na murawie. Po meczu zawodnikom puszczają nerwy. Jakiś Pendżabczyk obraził Ormianina i ten dał mu w zęby. Albo na odwrót. Tak czy inaczej piłkarskie starcie zamienia się w zupełnie niesportową bijatykę zakończoną interwencją policyjną. Bójka bójką, a sikhowie chyba nawet dla siebie niespodziewanie trafiają wespół z Padanią do półfinałów.

Abchazowie po wygranym meczu z Laponią również wchodzą na przedostatni szczebel turniejowej drabinki. I wtedy coś w abchaskim kibicowskim ludzie pęka. To już przecież półfinały! Jeszcze jedno zwycięstwo i Abchazja ma zapewnione miejsce na podium, a może nawet sięgnąć po mistrzostwo. Ale z przeciwnikiem nie ma żartów. To już nie jakaś egzotyczna wyspiarska drużyna albo przybysze zza koła podbiegunowego, tylko Cypr Północny. Profesjonalni zawodnicy grający na co dzień w północnocypryjskiej KTFF Süper Lig wzbudzają respekt. Suchumi powoli budzi się z letargu. Wyczuwa zapach piłkarskiej chwały. Ta z początku dziwaczna impreza przeistacza się w walkę o wielkie zwycięstwo. O miejsce w historii piłki nożnej. Cały świat miał nas głęboko gdzieś, bo jesteśmy nieuznawani. Nie jeździliśmy na mundiale, nie występowaliśmy na olimpiadach, nie chcieli nas na żadnych mniejszych i większych mistrzostwach. Jakby abchaskim sportowcom nie wolno było cieszyć się triumfami, pokazywać, że my, Abchazowie, też potrafimy strzelać gole, biegać, skakać, pływać. Chyba że zrobimy to z rosyjskim paszportem, ale wtedy będziemy zdobywali medale i puchary dla Moskwy, a nie dla Abchazji. Teraz wreszcie to się zmienia. Ha, możemy być mistrzami świata i niech ten świat wreszcie o nas usłyszy!

– Moi rodacy po dwudziestu pięciu latach zapomnienia odkrywają patriotyczną radość, jaką daje sport. Rodzi się piłkarski naród – mówi z podekscytowaniem mój przyjaciel, który wcześniej narzekał na orderową martyrologię. Po marudzeniu nad śmieszną rangą turnieju i apatii pierwszych meczów nie pozostał nawet ślad.

Na zwyczajowo pustawej ulicy przed piłkarską knajpą pojawia się z piskiem opon luksusowy SUV audi Q5, którego maska obleczona jest zielono-białą tkaniną. Chwilę później ciszę skwarnego popołudnia przecinają rytmy wybijanej na bębenku muzyki. Zza rogu wyłania się grupa kilkunastu kibiców niosących kilkumetrowe abchaskie flagi. Twarze młodych ludzi są wymalowane w abchaskie barwy narodowe. Wodzirej krzyczy przez przenośny megafon hasła zagrzewające do boju, a jego adiutant wybija mu na werblach rytm piłkarskiej przyśpiewki. Kiedy nas mijają, jedna z dziewczyn macha rękami w geście zaproszenia i woła po rosyjsku:

– Co tak siedzicie??? Chodźcie z nami, za chwilę nasz wielki dzień!!!

Przed wejściem na stadion jak mrówki tłoczą się setki osób. Każdy próbuje jak najszybciej prześlizgnąć się przez wrota i znaleźć wolne krzesełko. Władze zarządziły, że każdy rodzic może za darmo wprowadzić jedno dziecko. Nikt nie kontroluje już liczby wpuszczanych osób. Powietrze aż naelektryzowało się od oczekiwania na rozpoczynający mecz gwizdek. Wreszcie na murawę wychodzą piłkarze. Ustawiają się w szeregu, kładą dłonie na sercach, z głośników płynie Aiaaira. W tym momencie kibice unoszą tysiące kolorowych kartek formujących ogromną, przykrywającą połowę trybuny flagę Abchazji. Zaczyna się widowisko. Zielono-biali pędzą po boisku, dryblują, szukają okazji do strzału, nie pozwalają przeciwnikom wyprowadzić skutecznej kontry. Strzelają pierwszego gola, a potem dobijają przeciwnika kolejnym celnym strzałem. Sędzia odgwizduje koniec spotkania, pokonani Turcy padają na kolana, a Abchazowie rzucają się sobie w ramiona. Trybuny szaleją. Apsua są w finale nieuznawanych piłkarskich mistrzostw świata.

Kilka godzin wcześniej szoku doznali piłkarze Padanii, po tym jak na łopatki rozłożyli ich sikhowie, z których wszyscy się podśmiewali. Abchazowie mają podwójne powody do radości, bo nie dość, że wygrali półfinały, to jeszcze w finałowym pojedynku zamiast wzbudzających respekt graczy z północy Półwyspu Apenińskiego mają

przeciwko sobie wciąż niezbyt poważnie traktowanych przybyszów z Pendżabu.

– Już wiem, kogo mi ten komiczny trener w turbanie przypomina! Barona Münchhausena z tej radzieckiej kreskówki. Tylko zamiast brody powinien mieć zawinięte do góry wąsy, a w miejsce tego koca nałożyłbym mu piracki kapelusz – siedzący obok mnie na trybunie Abchaz śmieje się do rozpuku, robiąc gest podkręcania wąsów. W radzieckiej popkulturze ekscentryczny awanturnik z XVIII-wiecznej powieści Rudolfa Raspego zapisał się jako bohater popularnego w latach siedemdziesiątych serialu animowanego.

– Zbawca, zbawca, zbawca!!!

Od krzyku tysięcy ludzi trybuny aż się trzęsą. Przepisowo jest tutaj pięć tysięcy miejsc, ale nikt się tym specjalnie nie przejmuje. W piłkarskiej euforii przestano sprawdzać bilety. Kibice siedzą na ławkach, schodach, w przejściach między rzędami. Ci, którzy nie dostali się do środka, wiszą na siatce okalającej stadion. A miało być tak pięknie. Licytowanie się, ile to do zera ogramy sikhów, żarty z brodatego trenera Pendżabu, prężenie muskułów, jakbyśmy już mieli złoto w garści. Ten mecz to miała być formalność na drodze do epokowego zwycięstwa. Jeszcze przed wyjściem zawodników na murawę nad stadionem przeleciał helikopter, ciągnąc zawieszoną na linie wielką flagę Abchazji. Najpierw obniżył pułap, tak że prawie można było poczuć wywoływane ruchem śmigieł podmuchy wiatru. Potem dwuwirnikowy Kamow Ka-32 wzbił się hen wysoko.

– Niech leci jeszcze wyżej, tak żeby Gruzini zobaczyli naszą flagę! – krzyczy mężczyzna w zarzuconym na marynarkę kibicowskim szaliku w abchaskie barwy i z napisem „Apsny”.

Ale zawodnicy z Azji postanawiają udowodnić, że nie przez przypadek dotarli do finałów. Najpierw zamurowują swoją bramkę. Jak mawiają w piłkarskim żargonie – zaparkowali w niej autobus, i to na dodatek dwupiętrowy. Bramkarz odpiera wściekłe ataki gospodarzy. W pierwszych czterdziestu pięciu minutach nie pada żaden gol, a po przerwie Abchazowie z jeszcze większą determinacją nacierają na

bramkę przeciwnika. Nagle w pięćdziesiątej którejś minucie dzieje się coś niebywałego. Grający praktycznie tylko w swoim polu karnym sikhowie wyprowadzają błyskawiczną kontrę, kilkoma celnymi podaniami przerzucają piłkę na drugą połowę i strzelają zielono-białym przepiękną bramkę. Stadion milknie. Zapadła grobowa cisza, a potem tysiące gardeł wyje z żalu. Dziewczyna siedząca obok mnie szlocha. Ktoś dalej upada na kolana w mistyczno-modlitewnej pozie. Abchaskie flagi i chorągiewki łopoczą z wściekłością. Wszyscy drą się „Apsny, Apsny, Apsny”. O rosyjskiej wersji Abchazija już dawno zapomniano. Meksykańska fala płynie przez obydwie trybuny, miękko okrążając stadion. Setki ludzi wznoszą się i opadają, powtarzając wyuczone ruchy. Przez tydzień mistrzostw w Abchazji narodził się piłkarski naród.

Abchascy futboliści znów atakują jak oszalali, ale z frustrującą bezradnością odbijają się od pendżabskiego muru. Czas biegnie nieubłaganie. Upłynęło już osiemdziesiąt pięć minut spotkania, a „lwy” nadal prowadzą jednym jedynym golem. Arbiter pewnie doliczy dwie, trzy minuty, ale co to niby może zmienić. Czuć, że Abchazom brakuje siły. Uszła z nich para. Wyglądają na wypompowanych. I wtem! Tak, goool! Napastnik Abchazów po dośrodkowaniu posyła piłkę w światło bramki. Ludzie zrywają się z krzesełek. Znowu płyną łzy, ale tym razem radości. Udało się wyrównać. Jeszcze chwila szarpaniny i słychać dźwięk gwizdka. Teraz rzuty karne. Przeciskam się za abchaską bramkę i przez oczka siatki widzę kolejnych zawodników podchodzących do jedenastek. Pierwszy, drugi, trzeci strzał. Wszystkie celne. Rywale idą łeb w łeb. Wtem bramkarz sikhów wybrania strzał, a przy kolejnym strzale Abchazji piłka odbija się od słupka, podczas gdy zawodnik Pendżabu trafia. Koniec. Totalna katastrofa. Matematyka podpowiada, że Bondarenko, bramkarz Abchazji, mógłby zdjąć rękawice i iść na papierosa. Dwóch rzutów karnych z rzędu nie da się wybronić. Pendżabski napastnik w niebieskiej podkoszulce ustawia piłkę na jedenastu metrach, przymierza się i niziutko nad ziemią posyła piłkę w stronę siatki. Bondarenko rzuca się w lewą

stronę ułamek sekundy wcześniej i bezbłędnie łapie futbolówkę, przyciskając ją do brzucha. Stadion wydaje krótki okrzyk radości, ale błyskawicznie zamiera, bo abchaski strzelec wbija gola, a kolejny sikh już składa się do strzału. Kopie mocno w górny róg. Bondarenko wyskakuje perfekcyjnie w stronę, w którą zmierza piłkę. I tak! Piłka odbija się od rękawic. Teraz kibice już nie krzyczą, ale ryczą wniebogłosy. To jakieś szaleństwo. W kolejnych dwóch seriach drużyny znów idą łeb w łeb. W trzeciej serii Bondarenko broni, a Argun bezbłędnie pakuje sikhom gola. Koniec! Abchazja w rzutach karnych pokonuje Pendżab 6:5 i zostaje piłkarskim mistrzem świata. Suchumska futbolowa arena eksploduje. Ludzie zrywają się z krzeseł, przerywają kordon policji i wbiegają na murawę. Ci wiszący na ogrodzeniu skaczą na złamanie karku w wiwatujący tłum. Dziesiątki rąk łapią Bondarenkę i podrzucają w górę. Pierwszy, drugi, piąty raz. „Zbawca, zbawca, zbawca!” Ziemia dudni od okrzyków zwycięstwa. Mężczyzna z flagą wdrapuje się na przygotowane dla zwycięzców podium i wykonuje taniec radości. Jakiś policjant próbuje go ściągnąć, ale szybko rezygnuje, widząc, jak do samozwańczego tancerza dołączają kolejni upojeni euforią ludzie. Wszędzie wirują abchaskie barwy narodowe. Kibice nie chcą wypuścić piłkarzy. Przytulają ich, robią zdjęcia, wykrzykują do ucha podziękowania. Wreszcie zawodnikom udaje się przecisnąć przez tłum i na chwilę zniknąć w szatni.

Rozpoczyna się ceremonia medalowa. Na podium wchodzą po kolei wszystkie drużyny biorące udział w turnieju: Wyspy Czagos, Recja, Somaliland, Zjednoczeni Koreańczycy w Japonii, Seklerszczyzna, Kurdystan, Armenia Zachodnia, Lapończycy, Padania, brązowi medaliści z Cypru Północnego, Pendżab i wreszcie oni. Piłkarscy mistrzowie świata CONIFA 2016 – Abchazja. Z tysięcy gardeł wyrywają się okrzyki abchaskiego podziękowania „It˛abup” przemieszane ze swojskim rosyjskim „spasibo”. Per-Anders Blind nakłada każdemu z zawodników złoty krążek. Jeden z piłkarzy rozpościera flagę Osetii Południowej. To ukłon w stronę drugiej zbuntowanej gruzińskiej

republiki. Na trybunach podczas meczów abchaskiej reprezentacji cały czas powiewały biało-
-czerwono-żółte barwy. Do Suchumi przyjechał również osetyjski minister sportu i turystyki. W kuluarach mówiło się o jego zabiegach w celu zorganizowania mistrzostw Europy 2017 właśnie w Cchinwali. Ale mniejsza o to. Trwa karnawał zwycięstwa. I teraz najważniejszy moment. Kapitan reprezentacji bierze do rąk statuetkę srebrnej piłki i gwałtownym ruchem unosi trofeum wysoko nad głowę. Strzelają fajerwerki.

Nad tym morzem wiwatujących ludzi unoszą się abchascy piłkarze. Tego wieczoru zostali legendą, przeszli do historii. Po ćwierćwieczu niepodległości Abchazja ma nowych bohaterów. Nie wojennych weteranów, ale sportowych herosów dających Abchazom poczucie wielkości. Na triumfujących na podium mężczyzn spogląda spokojnym wzrokiem Władisław Ardzinba. Tym razem ubrał się odświętnie. Znoszony polowy mundur zamienił na garnitur, białą koszulę i krawat w żółtawe geometryczne wzorki. Przyszedł tutaj razem ze staruszką o bujnie kręconych siwych włosach. Babinka dziarsko wymachuje jego sfatygowanym, poszarzałym portretem, próbując krzyczeć:

– Nasz prezydent! Nasz prezydent! Ardzinba byłby z naszych chłopców dumny. To prawdziwi Abchazowie. Wojownicy. Jego krew! – mówi uśmiechnięta, wciskając mi Władisława.

# Wojna

Abchazowie, Abchazowie, was mało,
Nierówny, niesprawiedliwy bój!
Nie straszno z kindżałami na czołgi,
Kiedy są z tobą twoi bracia.

Abchazowie, Abchazowie, wy prawi,
Nie wy zaczęliście wojnę,
Nie wy dla bogactwa i chwały
Najechaliście inny kraj.

Nie wy szyliście dla siebie futra
Z martwych faszystowskich idei,
Nie wy braliście pieniądze za trupy
Rozstrzelanych przez was ludzi.

Abchazowie, Abchazowie, Abchazowie!
Miłujący wolność narodzie,
Dla chwały całego Kaukazu,
Naprzód, moi bracia, naprzód.

Lew Lubczenko, Abchaskim wojownikom

W olimpijskim basenie nie ma wody, nie licząc kałuż utworzonych przez deszcz siąpiący przez dziury w dachu. Metalowa konstrukcja wspierająca podwieszany sufit niebezpiecznie się oberwała i grozi zawaleniem. Potłuczone kafelki walają się po podłodze. W szatniach i łaźniach śmierdzi stęchlizną. Ogromny, reprezentacyjny hol pokrywają sterty gruzu, pyłu i śmieci. Gdzieś blisko słychać kilka głośnych strzałów.

– Spokojnie, to tylko myśliwi. Sam zimą przyjeżdżam tutaj na polowania. – Rusłan klepie mnie po plecach. Przy jednym z wybitych okien leżą plastikowe łuski po amunicji śrutowej. Z położonego za basenem kilkunastopiętrowego wieżowca rozciąga się wspaniały widok na spokojną taflę Morza Czarnego. Fale łagodnie uderzają o pokrytą

drobnymi kamyczkami plażę. Na szczycie budynku rdzewieje złożony z okręgów model Układu Słonecznego. Rzędy półokrągłych balkonów są poszarpane pociskami dużego kalibru. Ściany roją się od dziur po karabinowych kulach. Na pobliskiej bieżni otaczającej stadion wyrosły palmy i kaleczące ręce jeżynowe zarośla.

– Tyle zostało z jednego z największych w Sojuzie kompleksów sportowych, dumy całego ZSRR. Cholerne chaszcze pełne dzikich zwierząt – mówi Rusłan. W podsuchumskiej miejscowości Eszera znajdowała się Centralna Baza Olimpijska, w której trenowali zawodnicy przed olimpiadą w Moskwie w 1980 roku. – Przyjeżdżali do nas najlepsi radzieccy sportowcy, którzy potem zdobywali złote medale i bili światowe rekordy. Pływacy, lekkoatleci, ciężarowcy, siatkarze ciągnęli do najpiękniejszego miejsca w całym Związku Radzieckim. Abchazji. A potem szlag to wszystko trafił.

Przedzieramy się przez zarośla, uważnie patrząc pod nogi.

– A z takich strzelałem dwadzieścia lat temu. – Mężczyzna schyla się i podnosi z trawy łuskę od kałasznikowa.

Na początku lat dziewięćdziesiątych Rusłan mierzył tutaj nie do saren, ale do ludzi. O każdy metr ziemi toczyły się zażarte walki. Obiekty kilkukrotnie przechodziły z rąk do rąk.

– Za kompleksem od strony Suchumi płynie rzeka Gumista. Zaraz za nią są już przedmieścia stolicy. Tam biegła linia frontu. Trzy razy próbowaliśmy ją szturmować. Gruzini walili w nas z moździerzy i dział samobieżnych. Mieli też snajperów. Jak my odpuszczaliśmy, to oni przechodzili do kontruderzenia. Nasi strzelcy wyborowi usadowili się na wyższych piętrach hotelu dla zawodników. Codziennie biegaliśmy pomiędzy basenem, wieżowcem a stadionem. – Rysuje w powietrzu linię, którą kiedyś przemierzał nisko pochylony, z karabinem w ręku, usiłując uniknąć nieprzyjacielskich kul. – Muszę wziąć córki, przyjechać i nazbierać jeżyn i malin.

Prostuje się i wystawia pomarszczoną twarz w stronę przyjemnie piekącego słońca. Ma siedem córek i ani jednego syna. Przyjaciele

namawiają go, żeby jeszcze spróbował, bo może w końcu „trafi” pierworodnego.

– Nie ma mowy! Kolejnej baby w domu nie zdzierżę – śmieje się.

Bloki mieszkalne w ciągnącej się nad Gumistą suchumskiej dzielnicy Nowy Rejon są karykaturalne w swoim niezdecydowaniu. Żółtawe chruszczowki nie mogą podjąć sensownej decyzji, choć trzeba przyznać, że dylemat mają niemały. Powinny dokonać samodegradacji i zamienić się w stertę gruzu czy może jednak dać sobie jeszcze jedną szansę, zapraszając mieszkańców w swe skromne progi? Ludzie na chybcika wzięli więc sprawy w swoje ręce. Wprowadzają się. Założyli stalowe drzwi broniące dostępu do klatki schodowej. Wmontowali białe okna z PCV. Zawiesili w nich firanki i postawili na parapetach kwiatki. Pod domem zaparkowali srebrnego mercedesa „okularnika”. Jakoś próbują żyć. Choć u większości sąsiadów okien nie ma. Wyleciały od wybuchów. Niektórych mieszkań w ogóle nie ma, bo pociski artyleryjskie przebiły zewnętrzną ścianę i eksplodowały w środku, zmiatając wszystko z powierzchni ziemi. W innych zamiast okiennych framug są ziejące spalenizną czarne otwory, a przez wyprutą moździerzem dziurę można rzucić okiem do wnętrza czegoś, co dawno temu było kuchnią. Nowy Rejon żyje tak sobie zawieszony między wojną o niepodległość a trwającą od dwudziestu paru lat faktyczną niepodległością.

– Mieli to wyburzyć i od nowa wybudować. A może po prostu wyremontować. Nie wiem. W każdym razie wyszło jak zwykle u nas. – Rusłan wzrusza ramionami. – Państwo się tym nie zajmuje, więc ludzie sami próbują jakoś się urządzić. Normalnie żyć. W tyle lat po wojnie chyba nam się to należy. Dostałem ten sztylet w dwudziestą rocznicę zwycięstwa nad Gruzinami. – Wyjmuje z samochodowego schowka drewniane pudełko z ledwo widocznym, wytartym napisem „Bohaterom….”, zawierające lśniące ostrze. Delikatnie obraca je w dłoniach i z pietyzmem ponownie chowa do kasetki. – Przynajmniej od czasu do czasu władza o nas pamięta – wzdycha.

Nad zlokalizowanym w ścisłym centrum Suchumi parkiem Wolności wznosi się bryła siedziby Rady Ministrów Abchaskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. To był ostatni punkt oporu broniących się przed abchaską ofensywą wojsk gruzińskich. Został spalony, bo obrońców postanowiono wypędzić ogniem. Wojna skończyła się, gdy na szczycie wieżowca zawisła flaga w zielono-białe pasy. Zatknąć miał ją polski ochotnik walczący o niepodległość Abchazji. Od tamtej chwili budynek pozostaje w stanie niezmienionym. Tych dwanaście pięter to pomnik wolnego państwa Abchazów. Od tego miejsca wszystko się zaczęło. Niepodległość wywalczona krwią i ogniem. Budynek przypomina o tym, co się wydarzyło, gdy prezydent Szewardnadze dał rozkaz do ataku na buntującą się prowincję. Były gruziński przywódca, minister spraw zagranicznych ZSRR za Gorbaczowa, jest w Abchazji postacią powszechnie znienawidzoną. Jego samolot od 1993 roku stoi na podsuchumskim lotnisku. Nie zdążył wyrwać się z okrążenia, w jakim znalazł się po zdobyciu stolicy. Sam Szewardnadze uniknął śmierci tylko dlatego, że rosyjscy komandosi ewakuowali go helikopterem.

– Budynek Rady Ministrów to symbol zwycięstwa, ale wtedy tutaj też działy się różne rzeczy. Zwęglone ciała pokonanych wywleczono na jezdnię i jeżdżono po nich samochodami. Tych, co ocaleli, zapakowano na ciężarówki, a potem gdzieś wywieziono. Nikt nigdy już ich nie widział – opowiada jeden z mieszkańców.

Narastający od lat trzydziestych konflikt abchasko-gruziński eksplodował z chwilą upadku Związku Radzieckiego. Do pierwszych starć narodowościowych doszło już w lipcu 1989 roku. Decyzja o powołaniu w Suchumi oddziału Uniwersytetu Tbiliskiego doprowadziła do zamieszek, w których zginęło osiemnaście osób, a kilkaset zostało rannych. 9 kwietnia 1991 roku Gruzja ogłosiła niepodległość, a w maju pierwszym prezydentem odrodzonego państwa został Zwiad Gamsachurdia, zdobywając ponad 80 procent głosów. Zwiad był postacią co najmniej nietuzinkową. Syn uwielbianego przez Gruzinów pisarza Konstantina Gamsachurdi,

wieloletni dysydent i lider gruzińskiej opozycji antykomunistycznej. Dla jednych wielki patriota marzący o wolnej i silnej Gruzji, ale dla innych nacjonalista owładnięty ideą Gruzji dla Gruzinów, co w warunkach kaukaskiej etnicznej mozaiki musiało się skończyć katastrofą. Jego rodacy sami chyba do końca nie wiedzieli, kim jest ich przywódca, bo już w grudniu 1991 roku doszło do zbrojnego puczu i regularnej wojny ulicznej w centrum Tbilisi, w wyniku której obalono Gamsachurdię. Jego zwolennicy oskarżyli potem Moskwę o zainicjowanie przewrotu w celu zdestabilizowania Gruzji. Czy tak w rzeczywistości było, nie wiadomo, ale dopiero co narodzone państwo pogrążyło się w wewnętrznych walkach.

W przeciwieństwie do Gruzinów Abchazowie wcale nie mieli ochoty opuszczać Sowietlandu. Gruzja, podobnie jak republiki nadbałtyckie, Mołdawia czy Armenia, zbojkotowała ogłoszone przez Moskwę w marcu 1991 roku referendum na temat zachowania Związku Radzieckiego. Tymczasem władze Abchaskiej SRR zdecydowały się zorganizować własne głosowanie. Do urn poszli przede wszystkim etniczni Abchazowie i przy ponad 50-procentowej frekwencji 98 procent głosujących opowiedziało się za pozostaniem w zmodyfikowanej wersji ZSRR. Wyniki nie miały jednak żadnego praktycznego znaczenia, bo nieudany pucz Janajewa ostatecznie dobił zdychające imperium.

Abchazja, boleśnie skonfrontowana z namacalną wizją przynależności do niepodległej Gruzji, zaczęła domagać się szerokiej autonomii w ramach państwa federacyjnego. Po ucieczce Gamsachurdi Rada Wojskowa ogłosiła w lutym 1992 roku anulowanie radzieckiej konstytucji z 1977 roku i przywrócenie ustawy zasadniczej Gruzińskiej Republiki Demokratycznej z 1921 roku. Abchazowie potraktowali to jako ostateczne odebranie im statusu autonomicznego. W lipcu Rada Najwyższa Abchazji ogłosiła jako obowiązującą konstytucję Abchaskiej SRR, co de facto oznaczało, że staje się niezależną republiką. Tymczasem do Tbilisi dotarł już zbawca na białym koniu. Eduard Szewardnadze. To on miał uspokoić nastroje,

pogodzić zwaśnione strony i uratować jedność Gruzji. Był przecież wytrawnym dyplomatą, człowiekiem, który do spółki z Gorbaczowem zlikwidował ZSRR, kosmopolitą wznoszącym się ponad zaściankowe etniczne waśnie. Kto jak nie on miałby pogodzić rzucających się sobie do gardeł Gruzinów, Abchazów i Osetyjczyków. W połowie sierpnia w Suchumi miała zebrać się Rada Najwyższa, żeby przedstawić założenia traktatu gruzińsko-abchaskiego regulującego wzajemne relacje. Nigdy jednak do tego nie doszło.

– Wiesz, jak dla mnie zaczęła się wojna? Byłem z mamą w naszym domku letniskowym na przedmieściach Suchumi i akurat pływałem w morzu. Usłyszałem strzały i zobaczyłem, że z mojego pontonu schodzi powietrze. Główną drogą jechali Gruzini i strzelali gdzie popadnie. A potem nadleciały helikoptery i zaczęły ostrzeliwać plażę.

Nikołaj Woronow opowiada o tym podczas kąpieli w ciepłych wodach Morza Czarnego. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie kiedyś przestrzelono mu ponton. Miał wtedy dwanaście lat. Oddziały gruzińskiej Gwardii Narodowej wsparli Mchedrioni, czyli Jeźdźcy. Kierowana przez Dżabę Joselianiego paramilitarna, nacjonalistyczna organizacja, której wielu członków mimo przyświecających im patriotycznych haseł zajmowało się brutalną działalnością przestępczą.

– Tata nie pojechał z nami nad morze, bo miał tego dnia wziąć udział w posiedzeniu Rady Najwyższej – kontynuuje Niko, kiedy wychodzimy już z czarnomorskiej toni i spacerowym krokiem zaczynamy wracać do miasta. – Siostra również została w stolicy, a my mieliśmy wrócić nazajutrz do domu. Ale nie zdążyliśmy. Zaczęła się wojna. Po czterech dniach ukrywania się w nadmorskim domku zdecydowaliśmy się zaryzykować i pieszo dotrzeć do miasta. Komunikacja miejska już wtedy nie funkcjonowała. Przy pętli autobusowej zatrzymał się przy nas samochód. W środku siedzieli Gruzini z kałasznikowami i głowami przewiązanymi czerwonymi apaszkami. I oni nas ostrzegli, żebyśmy natychmiast uciekali, bo jadą czołgi. Zawróciliśmy i cały następny tydzień spędziliśmy ukryci

w domku. Nie mieliśmy pojęcia, co stało się z tatą i siostrą. Wreszcie odważyliśmy się opuścić kryjówkę. Po dwóch godzinach marszu doszliśmy do czerwonego mostu na wschodnich obrzeżach centrum Suchumi, gdzie początkowo zatrzymały się gruzińskie wojska. Mijaliśmy spalone trolejbusy, splądrowane sklepy, w stojącym przy plaży sanatorium widniała wielka dziura po pocisku. Wśród żołnierzy było wielu bandytów powypuszczanych z więzień przez Joselianiego. W mieście trwał exodus. Stolica została już opanowana przez Gruzinów. Szliśmy nadmorską promenadą, która jeszcze dziesięć dni wcześniej tętniła wakacyjnym, kawiarnianym życiem. Teraz ludzie tłoczyli się na placu przed portem, w panice czekając na statki mogące zabrać ich do Soczi albo Batumi. Za to centrum miasta opustoszało, jakby nagle wszyscy mieszkańcy pomarli na jakąś straszną zarazę. Mama cały czas modliła się, żeby tylko nie wpaść przypadkiem na kogoś znajomego. Ona, żona zdrajcy Gruzji, a ja – jego syn. I niedaleko od domu natknęliśmy się na dwie Gruzinki, znajome rodziców. Nikogo innego nie było, tylko one. Mama zbladła, ja też poczułem, jak ściska mnie w żołądku. Ale mieliśmy szczęście. Zachowały się przyzwoicie. Mogły nas wydać, a zamiast tego zaproponowały schronienie. Ale my za bardzo się baliśmy. Z mieszkania przyjaciół zadzwoniliśmy do babci. Okazało się, że ojciec uciekł do Gudauty, siostrę wysłał do Moskwy, ale nam nie mógł już pomóc. Noc spędziliśmy z babcią. Chcieliśmy się pożegnać, bo ona nie zgodziła się na ucieczkę. Co ma być, to będzie. Ona nie pozwoli się wypędzić z własnego domu. Następnego dnia z samego rana przyjaciel przyjechał po nas samochodem i zawiózł do portu, z którego miał podobno odpłynąć statek do Soczi. Okazało się, że to śmierdzący rybami kuter. W panice wziął na pokład zbyt wielu ludzi i zaczął tonąć, zanim odbił od brzegu. Na szczęście była jeszcze druga jednostka, którą udało nam się dostać do Rosji. Ojciec przeżył wojnę i zginął w 1995 roku już w wolnej Abchazji.

Nikołaj snuje swoją opowieść, przemierzając spokojnym krokiem przedmieścia abchaskiej stolicy. Docieramy na czerwony most

zatłoczony mieszaniną samochodów, marszrutek i trolejbusów. Pomalowana na czerwony kolor barierka, od której wzięła się jego nazwa, błyszczy się w promieniach szybko zachodzącego słońca. Zapada zmrok, kiedy mijamy wypaloną bryłę budynku Rady Ministrów i zatrzymujemy się przed klatką prowadzącą do jednego z nielicznych w mieście wieżowców. Po tonących w ciemności schodach wspinamy się do rodzinnego mieszkania Nikołaja.

– Pamiętam, jak zadzwonił dzwonek i tata poszedł otworzyć drzwi. Stałem w korytarzu i widziałem, że wychodzi na klatkę. Wtedy padły strzały. Zamachowców było dwóch. Jeden ukrył się na górnym półpiętrze, drugi poniżej, a trzeci miał wywabić tatę z domu. Jak zaczęli strzelać, to ranili również swojego towarzysza, który uciekając, oparł się o ścianę. – Nikołaj pokazuje ciemnobrunatne, pokryte brudem, plamy krwi.

– Złapali ich? – pytam.

– Morderców tak, i to bardzo szybko. Dwóch Czeczeńców i jeden Abchaz. Ale zleceniodawców nigdy nie ustalono. Krążyły różne teorie. Tata był wierny swoim poglądom i zasadom. Jego nie dałoby się kupić. Dlatego mógł zagrażać politycznym i finansowym interesom wielu wpływowych osób. – Nikołaj zawiesza głos. – A zamachowców w pokazowym procesie skazano na kilkanaście lat więzienia. Już wyszli na wolność. Tata do dnia dzisiejszego jest otaczany powszechnym szacunkiem. W Suchumi jest ulica i szkoła Woronowa, organizowane są konferencje jego imienia. Abchazowie o nim nie zapomnieli. – Nikołaj dotyka ściany, o którą obtarł się przed dwudziestu laty zabójca jego ojca.

Na wschód od abchaskiej stolicy rozciąga się pustkowie. Z zarośli wynurzają się domki rozrywane przez podzwrotnikową roślinność. Przed wojną te tereny zamieszkiwali przede wszystkim gruzińscy Megrelowie, z których wielu po wybiciu się Abchazji na niezależność uciekło do Gruzji właściwej w obawie przed czystkami etnicznymi. ONZ szacuje liczbę uchodźców na dwieście tysięcy do dwustu pięćdziesięciu

tysięcy ludzi. Władze w Suchumi twierdzą, że do Abchazji wróciło już sześćdziesiąt pięć tysięcy uciekinierów, ale nikt nie potrafi zweryfikować tych informacji. Oficjele z Tbilisi uważają oczywiście, że to dane znacznie zawyżone. Opuszczone wioski toną w zieleni. Poddają się palmom, bluszczom i akacjom. Zadbane mandarynkowe sady rozpleniły się w owocodajną pierwotną dżunglę.

Stolicą tej opuszczonej ziemi jest Tkwarczeli. Miasto leży na uboczu głównej szosy biegnącej wzdłuż czarnomorskiego wybrzeża. Uczepiło się kaukaskich stoków i przez całe dekady żywiło ukrytymi w ziemi bogactwami. Drążyło korytarze, kopało szyby, wyciągało na światło słoneczne czarne węglowe bryły. Na tym węglu pasło się, rozrastało, zajmowało kolejne wzgórza. Wydawało potomstwo. Przy kopalniach rodziły się robotnicze osiedla, a potem samodzielne miasteczka. I nagle Tkwarczeli umarło.

– Pierwszą kopalnię w regionie uruchomiono na początku lat trzydziestych. Teraz tylko dzieciaki czasami się tutaj bawią. – Schludnie ubrany mężczyzna pokazuje ginący w mroku korytarz z wybitym nad wejściem sierpem i młotem i resztką napisu „imienia Stalina". Poznałem go przypadkiem na górskiej szutrowej szosie prowadzącej na tkwarczelskie obrzeża. Zatrzymał samochód i zaproponował wycieczkę krajoznawczą po okolicy. – Ostatnie czynne sztolnie zamknięto w zeszłym roku. Nie mamy komu sprzedawać naszego węgla.

Mężczyzna kopie lalkę z wyłupionymi oczami walającą się po ziemi jak w jakimś nędznym amerykańskim horrorze. U podnóża wzniesienia leży miasteczko widmo Akarmara. Jedno z tkwarczelskich dzieci straszy opuszczonymi blokami, zamkniętą szkołą i przerzuconym nad wąwozem rdzewiejącym mostem kolejowym. Przy rampie stacji przeładunkowej leży hałda węgla, której nie udało się wywieźć. Na podwórku jednego z budynków siedzą na ziemi dwie dziewczynki.

– Pracy nie ma, perspektywy żadne. Mam takie długi, że szkoda gadać. Kilka miesięcy temu ciężko zachorowała mi córeczka. W Suchumi powiedzieli, że nie pomogą, bo nie mają odpowiednich

lekarstw. Zawiozłem ją do Tbilisi. Gruzini zachowali się jak ludzie i nas przepuścili. W szpitalu musiałem zapłacić. Zostałem bez grosza. Ale jakoś próbujemy sobie radzić – mówi mój nowo poznany towarzysz, wioząc mnie do swojego domu.

Po drodze mijamy nowoczesne apartamentowce otoczone wysokim murem zwieńczonym drutem kolczastym. Kompleks lśni porządkiem i świeżością.

– To nowy garnizon rosyjskich żołnierzy – tłumaczy, zapraszając do głównego pokoju, którego okna wychodzą wprost na bazę. Od 2009 roku granicę z Gruzją patrolują rosyjscy pogranicznicy.

– Walczyłeś z Gruzinami?

– Aż tak staro wyglądam? Ładnie mnie podsumowałeś – śmieje się, przy okazji wyciągając ze schowka skórę potężnego, upolowanego ostatniej zimy niedźwiedzia. – Jak zaczęli strzelać, miałem niespełna dziesięć lat. Pamiętam tylko, że panował straszny głód. Przez rok byliśmy oblegani przez gruzińską Gwardię Narodową. Tkwarczeli zamieniono w miasto twierdzę. Nie mieliśmy prądu, bo już w pierwszych dniach zbombardowano elektrownię.

– Jakbyś wtedy miał kilka lat więcej, to poszedłbyś walczyć?

– Nie, nigdy nie wziąłbym broni do ręki. Prawie dwa lata siedziałem w więzieniu za odmowę obowiązkowej służby wojskowej. Jestem świadkiem Jehowy, wiara zabrania mi walczyć. Zresztą, co nam z tej całej wojny przyszło. Zniszczenie i upadek.

Jego żona stawia na stole ser, smażone ziemianki, świeże warzywa, baniaki z winem i samogonem.

– To chyba wina Gruzinów?

– Nie wiem. Z Gruzinami zawsze dobrze żyliśmy. Moja żona jest Megrelką, w rodzinie czasami rozmawiamy po gruzińsku. To jej też miałbym nienawidzić? To jakaś paranoja. Niedobrze, kiedy ludzie skaczą sobie do gardeł jak dzikie zwierzęta. I w imię czego to robią? Nie rozumiem. Widzę tylko świat wokół mnie, który się rozpada.

W Tkwarczeli jest cicho. Maszyny nie pracują, taśmociąg stoi w miejscu, tylko z jednego małego komina wydobywają się kłęby

czarnego dymu. Nad rzeką Aaldzga wiatr kołysze pustymi wagonikami zawieszonymi na pordzewiałej stalowej linie. Mieszkalna część miasta położona jest na zboczu góry powyżej kombinatu i w celu usprawnienia transportu pracowników wybudowano kolejkę linową. Stacje górna i dolna zieją pustką. W wyniku działań zbrojnych i ekonomicznej izolacji Abchazji produkcja spadła o 90 procent, a z dwudziestu tysięcy mieszkańców pozostało około pięciu tysięcy ludzi. W większości etnicznych Abchazów, bo Gruzini zostawili wszystko i uciekli na drugą stronę Inguri.

– Oto i nasze miasto bohater. Taki tytuł nadał mu prezydent w 2008 roku w uznaniu wojennych zasług. Napawaj się jego bohaterstwem do woli – mówi mój przewodnik, ściskając mi rękę na pożegnanie.

Na granicę zawozi mnie Rusłan. W trakcie jazdy podłącza do odtwarzacza swoją empetrójkę i odpala muzykę. „My budiem wmiestie, wsiegda. Ou, je! Skaży tolko: da". „Będziemy razem, zawsze! Powiedz tylko: tak". Do muzyki z piosenki Sweet Harmony jakiś domorosły piosenkarz w rzewno-kiczowaty sposób ułożył słowa o miłości do tej jednej jedynej. Rusłan przeskakuje kolejne popowe kawałki i w końcu zatrzymuje się na utworze śpiewanym mocnym męskim głosem. Proste brzmienie kilku akordów gitary akustycznej. Pieśń opowiada o Abchazach. Tytuł: Abchaskim wojownikom, autor: Lew Lubczenko. Legendarny bard wojny o niepodległość. Jego nadawanych przez radio pieśni słuchali wszyscy abchascy żołnierze od Tkwarczeli na wschodzie, po Gagrę na zachodzie. Kierowca podkręca maksymalnie głośność. Poeta opowiada, że Abchazów jest mało, ale nie straszno im iść z kindżałami na czołgi, gdy są razem jak bracia. O tym, że nie oni dla żądzy podboju rozpoczęli tę wojnę, najeżdżając sąsiednie państwo i biorąc pieniądze za trupy przeciwników. Nagle Rusłan zatrzymuje muzykę i zaczyna opowiadać. Jego dobrotliwa twarz jest spokojna. Jakby relacjonował przeczytany w gazecie tekst, a nie przywoływał mroczne wspomnienia z przeszłości.

– W naszym oddziale był młody chłopak z mieszanej rodziny. Ojciec Abchaz, matka Gruzinka. Takie małżeństwa nie były czymś szczególnie dziwnym. Przecież mieszkaliśmy obok siebie. Pracowaliśmy w tych samych zakładach, chodziliśmy do tych samych knajpek, razem świętowaliśmy i odpoczywaliśmy. Jak wybuchła wojna, to rodzina się poróżniła. Młodszy z braci, ten, który walczył ze mną, wstąpił do abchaskiej samoobrony, ale starszy wybrał Gruzinów. Znaleźli się po dwóch stronach frontu. Któregoś dnia pojmaliśmy kilku gruzińskich żołnierzy. Oni podobno zabijali cywilów, gwałcili kobiety. Dla takich nie było litości. Wojna to wojna.

Zapada cisza, mężczyzna kładzie palec na przycisku „play", ale po chwili cofa dłoń i kontynuuje opowieść:

– W tej grupie znalazł się starszy brat naszego towarzysza. Dowódca wydał rozkaz: „Rozstrzelać!". Ustawiliśmy ich pod ścianą. Chłopak nie wziął karabinu do ręki. Odszedł tylko kilka kroków, popatrzył na swojego trzęsącego się ze strachu brata, a jak padła komenda „ognia", to odwrócił wzrok i pędem pobiegł przed siebie. Wrócił dopiero po kilku godzinach. A potem właściwie przestał mówić.

Włącza powtórnie muzykę i podkręca głośność.

Na abchasko-gruzińskiej granicy rosyjski pogranicznik uważnie ogląda nasze paszporty i w końcu pokazuje ręką, że możemy iść dalej, przez most, tam gdzie na gruzińskim brzegu rzeki Inguri powiewają obok siebie flagi Gruzji i Unii Europejskiej. Za budkami celników po dziurawym moście kursują bryczki wypełnione w większości starszymi kobietami ubranymi w czarne stroje. Ich piersi przyozdabiają naszyjniki ze zdjęciami mężczyzn. Megrelki często ciągle hołdują starodawnej tradycji nakazującej przez całe życie nosić żałobę po zmarłym synu lub mężu. Tylko one przekraczają to przejście graniczne. Abchazowie boją się jeździć do Gruzji, a Gruzini do Abchazji. Za plecami słyszę jeszcze muzykę wydobywającą się z samochodu Rusłana. Ostatnia zwrotka Abchaskim wojownikom przypomina, że są oni sprawiedliwymi, kochającymi wolność ludźmi.

„Abchazy, Abchazy, Abchazy, Wy swobodolubiwyj narod”. Lubczenko wlewa swoim rodakom nadzieję do serc. Po rosyjsku.

Mieszkanie Aleksieja jest przestronne i pachnące świeżością. Osiedle nowoczesnych bloków wybudowano kilka lat temu przy wsparciu niemieckich funduszy rozwojowych. Mieszkają w nim uchodźcy. W sumie kilkaset gruzińskich rodzin, które na początku lat dziewięćdziesiątych uciekły z terenów Abchazji i zamieszkały w przygranicznym mieście Zugdidi. Kilka kilometrów stąd za rzeką Inguri rozciągają się ich rodzinne ziemie.

Aleksiej wyciąga z tekturowej teczki fotografię przedstawiającą grupę żołnierzy pozujących na tle wojskowego helikoptera i zaczyna opowiadać:

– To wąwóz Kodori w Abchazji. Walczyłem tam podczas wojny gruzińsko-rosyjskiej w 2008 roku. A to rok 1992. Jeszcze zanim przepędzono nas z Suchumi. – Z pożółkłego zdjęcia spoglądają mężczyźni uzbrojeni w automaty. Prezentują się mało groźnie. Jeden w kraciastej koszuli, inny w babcinym swetrze, kolejny w śmiesznym kapeluszu na tyrolską modłę. Stoją przed bramą prowadzącą do jednorodzinnego domku i na coś czekają. Wyglądają jak grupa kumpli z koła łowieckiego, którzy zmówili się na polowanie zakończone pieczeniem na rożnie ustrzelonego dzika i wesołym popijaniem piwka. – Walczyłem całe dwa lata. A potem razem z resztą wojska wycofałem się do Zugdidi i od ponad dwudziestu lat tutaj mieszkam. Szkoda, że nie mam zdjęć z Afganstanu, bo też bym ci pokazał.

Aleksiej niezdarnie nakłada na talerzyki kawałki upieczonego przez żonę ciasta. Domowej roboty krem ląduje na pokrywających stół archiwalnych dokumentach. Irina przykazała mężowi, że ma zadbać o gości, więc ten dwoi się i troi, próbując wejść w rolę gospodyni domowej.

– Wszystko pięknie, tylko szkoda, że nie zawsze jest co do garnka włożyć. Emerytura wojskowa? Żartujesz? Ja to nawet renty nie dostałem, mimo że byłem ranny i ciągle mam w ciele odłamki. Życie

spędziłem na wojnach. Afganistan w latach osiemdziesiątych, Abchazja na początku lat dziewięćdziesiątych i na koniec jeszcze Osetia Południowa w 2008 roku.

Podciąga nogawkę, pokazując blizny po kulach. Służył w zwiadzie. Twardzi, dobrze wyszkoleni faceci. Elita. Kiedyś kilku ludzi z jego oddziału trafiło do niewoli. Jednemu z jeńców oprawcy odcięli głowę i zaczęli grać nią w piłkę.

– Widziałem to wszystko przez lunetę mojego karabinu snajperskiego. Po kolei skurwysynów zdejmowałem – mówi, spokojnie dolewając czarnej mocnej kawy do naszych filiżanek. – A teraz co? Pracy nie ma, perspektywy żadne. Dziadostwo nami rządzi. Tak sobie Gruzini ten swój kraj urządzili – zżyma się.

Jak poszedł na budowę, to mu szef zarzucił, że nie zrobił jakichś tam certyfikatów.

– Na wojnie nikt mnie nie pytał, czy mam papiery na strzelanie z kałasznikowa. A teraz żądają uprawnienia do obsługi łopaty. – Wybucha śmiechem. Koledzy pieszczotliwie mówią na niego Alexas. Z nazwiskiem mają problem. Łamią swoje gruzińskie języki na litewskim Karbauskas. Aleksiej jest rodowitym Litwinem. Rodzinę zostawił nad Bałtykiem. Jak skończył służbę w Afganistanie, to próbował dostać się do brata służącego we Flocie Północnej w bazie Polarnyj w okolicach Murmańska, ale armia odmówiła pozwolenia na wjazd. Pojechał do Samary, a w końcu kumple namówili go, żeby zamiast wracać w rodzinne strony, pojechał z nimi na porośnięte palmami wybrzeża Morza Czarnego. Prosto do Suchumi, stolicy Abchazji. Spodobało mu się. Miał dom, pracę jako kierowca i całkiem niezłe perspektywy. Aż tu nagle Radziecję szlag trafił, a Gruzini skoczyli Abchazom do gardeł (albo na odwrót: Abchazowie Gruzinom – zależy, kogo pytać).

Po dwóch latach toczonej ze zmiennym szczęściem wojny pokonani Gruzini uciekli, a wraz z nimi i Aleksiej. Tego samego wieczoru, gdy na wojskowym łaziku dotarł do Zugdidi, poznał Irinę. Zakochali się i w ciągu tygodnia wzięli ślub. I tak Litwin został abchaskim weterano-

uchodźcą w Gruzji. Irina też jest uciekinierką. Braci i rodziców zostawiła po drugiej stronie Inguri w megrelskiej części Abchazji.

– Kontakt z rodziną urwał mi się zaraz po wojnie. Ich numer telefonu nie działał, listy nie dochodziły. Brat siedział w Murmańsku na łodziach podwodnych. Nie mam pojęcia, co się z nim potem działo. Podobnie jak z ojcem i drugim bratem – opowiada Aleksiej. Próbował odnaleźć ich przez internet, ale się nie udało. Wie tylko, że na początku lat dziewięćdziesiątych wciąż mieszkali w rejonie niemanskim w dzisiejszym obwodzie kaliningradzkim. To strefa przygraniczna. Chałupy wybudowane nad spokojnymi wodami Niemna spoglądają na położoną po drugiej stronie rzeki litewską ziemię.

– Walczyłem o Związek Radziecki, a potem o Gruzję, ale jestem Litwinem. Mimo że nie widziałem mojego kraju od ponad trzydziestu lat, to tam są moje korzenie.

Aleksiej zaciąga się mocnymi papierosami bez filtra. Jego usta i oczy nie pasują do zniszczonej zmarszczkami twarzy. Ma pięćdziesiąt kilka lat, ale wygląda na siedemdziesiąt. Kiedy się uśmiecha, przypomina dziecko. Takie, które jeszcze nie wie, czy ma się roześmiać, czy rozpłakać.

– Litwa, Litwa? – zastanawia się. Gruzja go drażni. Bo władza jest bandycka, bo wszystko opiera się na układach, bo w dupie ma swoich obywateli. Bo jego ma w dupie, mimo że większą część życia tłukł się za gruzińską sprawę. Po gruzińsku nie nauczył się mówić, za to litewskiego nie zapomniał. – Córki wydałem za mąż, nic mnie tutaj nie trzyma. Chciałbym wrócić do domu, ale nie mam pieniędzy, żeby pojechać do Europy – wzdycha. – Z Polski masz w moje rodzinne strony rzut kamieniem. Może tobie uda się odnaleźć matkę albo któregoś z moich braci? Tak bardzo chciałbym ich zobaczyć albo chociaż z nimi porozmawiać.

– Moi bracia mieszkają zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd. – Irina wychodzi na balkon, opiera się o barierkę i wbija wzrok w zbliżające się do linii horyzontu słońce. – Ostatni raz spotkałam ich latem ubiegłego roku, kiedy zmarła moja mama. Granicę

przekroczyłam nielegalnie, przedzierając się przez bród na rzece Inguri, lasy i podmokłe łąki. Przewodnicy za pieniądze prowadzali tak ludzi, wystarczająco zdeterminowanych, żeby zaryzykować wolność, a może i życie. Ale ja musiałam pożegnać moją mamę. W 2014 roku w taki sam sposób dotarłam na pogrzeb ojca, lecz to już przeszłość.

Irina wraca do mieszkania. Nerwowym ruchem gładzi pofałdowany obrus. Lekko opiera się na ramieniu Aleksieja zaciągającego się kolejnym papierosem. Jej oczy są wilgotne.

– Teraz Rosjanie postawili na granicy kamery, płoty, jeszcze więcej żołnierzy. Nigdy więcej nie przejdę już na drugą stronę, nie zobaczę moich braci, nie pójdę na groby rodziców i dziadków, nie ujrzę rodzinnej wioski z dziecinnych wspomnień. Wojna wszystko podzieliła. Abchazja jest dla nas na zawsze zamknięta.

# Samotna góra

Od dziecka słyszę głos moich dziadków:
„Jakby nasze dzieci wciąż płakały”.
Dlaczego moje serce ciągle jest w smutku,
Kiedy zostaję sam w moim cierpieniu?

Mój ród został rozbity,
Brat z siostrą stali się obcy dla siebie.
Wygnani daleko od swoich domów i ojczystej ziemi,
Miliony Ormian stało się ofiarami.

Złożyłem obietnicę w moim sercu
Poświęciłem temu swoje życie
I dotrzymam tego!
Muszę zachować ziemię i wodę
Naszych świętych ojców i wszystkich ofiar.
Muszę obronić!

Nersik Ispiryan, Arabo Ispiryan, Muszę obronić, przeł. Sona Udziela-Hayrapetyan

Szczelina jest niepozorna. W zasadzie zupełnie niewidoczna w przytłaczającej szaroburowatości okolicznych wzgórz. Ginie w porytym wąwozami krajobrazie wschodnich rubieży Anatolii. Nad nią łopocze turecka flaga. Biały półksiężyc przyozdabia zadbany budynek szkoły w miasteczku Çüngüş. Mężczyzna o siwych włosach i czarnych krzaczastych wąsach ostrożnie stąpa po obłych, kruszących się kamieniach prowadzących w dół parowu. Jego ręki uczepił się młody chłopczyk w kolorowym, wełnianym bezrękawniku. Dziecko ciągnie dłoń opiekuna, próbując zmusić go do biegu.

– Szybciej, dziadku, szybciej. – Malec wyrywa się do przodu.

– Powoli, powoli, kochanie. Tam jest bardzo niebezpiecznie. Można wpaść do środka i się zabić. – Recai Altay pozostaje nieugięty, mocno przytrzymuje niesfornego wnuczka.

Na dnie jaru nagle szczelina się otwiera i prowadzi do wnętrza ziemi. Ma kilkadziesiąt metrów długości i raptem kilka metrów

szerokości. Jej dno ginie w ciemnościach. Ściany są nierówne, pełne wystających półek i ostrych garbów. Mężczyzna wrzuca kamień do środka. Uważnie nasłuchujemy odgłosu uderzenia, ale nic takiego nie następuje.

– Nikt nie wie, jak głęboka jest rozpadlina. Podobno jakiś czas temu grupa speleologów zorganizowała ekspedycję do jej wnętrza. Zeszli na kilkadziesiąt metrów, ale zaczęło brakować tlenu, a może pojawiły się jakieś trujące gazy. Musieli zawrócić – zaczyna opowiadać. – Nie wiem, po co to robić, skoro i tak doskonale wiadomo, co znajdziemy na dnie. Setki, tysiące kości. Rozpadlina Dudan to jeden wielki grobowiec.

Wiosna 1915 roku. Początek ludobójstwa Ormian. Tureckie wojsko w planowy i systematyczny sposób przeprowadza akcję eksterminacji chrześcijańskich mieszkańców imperium osmańskiego. Żołnierze nie działają jednak sami. Do wykonania zbrodniczego planu wykorzystują miejscową ludność żyjącą od wieków drzwi w drzwi z mordowanymi. Kurdów.

– Jestem Kurdem i wiem, że moi przodkowie mieli ręce unurzane we krwi. – Mój przewodnik zakrywa rękami uszy dziecka. – Na początku zebrali w centrum Çüngüş Ormian z okolicznych wiosek. Mieli ich wywieźć transportem na południe w stronę Pustyni Syryjskiej. Ale potem zmieniono plany, zaprowadzono przerażonych ludzi do tego wąwozu i zabijano. Podrzynano gardła, a trupy wrzucano do czeluści. Niektórych strącano, kiedy jeszcze żyli, inni w przypływie szaleństwa sami skakali w otchłań. I tak po kolei wymordowano dziesięć tysięcy istnień. Nikt nie powinien tam schodzić. Tam są tylko umarli.

Mężczyzna odwraca się plecami do rozpadliny i powoli wspina w stronę krawędzi jaru. Ze smutnym uśmiechem bierze na ręce wnuczka ślizgającego się na stromych kamieniach. Po chwili wspólnie docierają na łąkę pokrytą zwiędłą jesienną trawą. Wyprostowany patrzy na mnie i czeka, aż dołączę.

– Nikt nie chce mówić o tym, co się tutaj wydarzyło. W Turcji rzeź Ormian to temat tabu. Za nazywanie jej ludobójstwem można trafić

przed sąd. Mnie spotykają szykany za to, że próbuję przypominać o masakrze w Çüngüş. Miałem warsztat, ale zaczęto rozpuszczać różne plotki na mój temat, zniechęcać do korzystania z moich usług. Zbankrutowałem. Jestem na podwójnym celowniku. Nie dość, że Kurd, to jeszcze zajmujący się ormiańską przeszłością. A ona spadła na mnie przypadkiem. Moja żona jest wnuczką kobiety ocalałej z pogromu. Sofija przeżyła tylko dlatego, że była wyjątkowo piękna i któryś z siepaczy wziął ją dla siebie. Podobno ze szczeliny wydostała się jedna osoba, która uderzyła o stos trupów leżących na skalnej półeczce. Ale na górze oprawcy zostawili wartowników i oni natychmiast ją dobili.

Recai kręci głową. Wokół nas przepychają się dolmusze, tureckie minibusy. Stoimy już na tętniącej życiem ulicy, gdzie malutki dworzec autobusowy miękko splata się z targowiskiem. Kurd wolał nie spotykać się w domu.

– Oni… My wiemy, że jesteśmy przeklęci. Wpychani do przepaści nieszczęśnicy przed śmiercią rzucili klątwę na naszych pradziadów i ta klątwa ciągnie się przez pokolenia aż do naszych czasów. Nasi przodkowie bestialsko mordowali z najniższych pobudek. Chciwości albo religijnego zaślepienia. Ormianie zawsze tworzyli zamożniejszą warstwę społeczną. Byli kupcami i rzemieślnikami, bogatymi rolnikami. A Kurdowie paśli owce, klepali biedę. Kiedy padło hasło do rzezi, to było jasne, że mordercy się obłowią. Przejmą ich kosztowności, ziemię, domy. Zabiorą im żony i córki. Tylko te młode i ładne, bo brzydkie i stare były zarzynane tak samo jak mężczyźni. Imamowie obiecywali w meczetach, że za jednego zabitego chrześcijanina trafi się z miejsca do nieba. Podsycili w nas nienawiść, a my zaślepieni chciwością i ułudą raju, jak skończeni głupcy, poszliśmy zabijać. Niedługo potem Turcy sami zaczęli nas mordować i mordują do dzisiaj – wzdycha ciężko.

W nieformalnej stolicy tureckiego Kurdystanu, mieście Diyarbakır, Ormianin Gafur Türker uśmiecha się pogodnie, spoglądając na szare

kamienne bloki formujące portal nad głównym wejściem do kościoła Świętego Grzegorza. Mężczyzna jest sekretarzem fundacji opiekującej się tą świątynią. W środku panuje przyjemny chłód. Ta jedna z największych chrześcijańskich świątyń na Bliskim Wschodzie pachnie świeżością i porządkiem. Równe rzędy błyszczących od grubej warstwy lakieru ław zwracają się w stronę zdobionego ołtarza z obrazem Maryi trzymającej na rękach Dzieciątko. Podłoga jest solidnie zamieciona, a wsparty na łukach drewniany strop trzyma się w doskonałym stanie.

– W 2009 roku były tutaj tylko te kolumny. – Gafur opiera się o ścianę. – Kościół znajdował się w całkowitej ruinie. Dach nie tyle nawet dziurawy, ile całkowicie zniszczony, ściany i ołtarz brudne, obłupane, posadzka zasypana śmieciami. Dramat. Postanowiliśmy, że trzeba przywrócić mu dawny blask. Po kilku latach dopięliśmy swego.

Kościół leży w dzielnicy Sur, starym mieście Diyarbakır otoczonym potężnymi bazaltowymi murami obronnymi pamiętającymi czasy rzymskiego cesarza Konstancjusza II. Z blanków rozciąga się wspaniały widok na niebieską wstęgę Tygrysu użyźniającego surowe ziemie południowej Anatolii. Od bramy Dağ Kapısı szeroki deptak wdziera się w ich obręb, porzucając nowoczesną turecką metropolię, i powoli zamienia w labirynt wąskich uliczek. Z jednej strony wyrastają ekskluzywne kawiarenki urządzone w dawnym karawanseraju. Na ustawionym przy wejściu straganie handlarz pamiątek próbuje za wszelką cenę sprzedać magnesy z wizerunkiem miasta, plakaty z Che Guevarą albo arafatki w zielono-żółto-czerwonych barwach Kurdystanu. Interes idzie mu kiepsko. W tym roku turystów jest jak na lekarstwo, i to mimo że naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, pyszni się jedno z najświętszych miejsc islamu, Wielki Meczet inspirowany meczetem Umajjadów w Damaszku. Skomplikowaną historię tego regionu widać choćby w nazwach geograficznych. O tym mieście Turcy mówią Diyarbakır, Kurdowie Amed, a z kolei Ormianie używają określenie Tigranakert od imienia panującego w pierwszym stuleciu

przed Chrystusem króla Tigranesa II Wielkiego, który w tych okolicach założył stolicę swojego imperium.

– Nie możemy się nawet porozumieć, w jakiej krainie żyjemy. Dla Turków jesteśmy we wschodniej Turcji, dla Kurdów w tureckim Kurdystanie, a dla Ormian w Armenii Zachodniej – wzdycha Türker.

Przez deptak powoli toczy się silnie opancerzony policyjny samochód terenowy. Z malutkiego okienka w wieżyczce wystaje obiektyw kamery rejestrującej wszystko, co dzieje się dokoła. Ludzie odsuwają się na boki. Niektórzy patrzą złowrogo, większość pochyla głowy, przemykając w milczeniu. Pojazd przejeżdża przez pasaż, ale nie zagłębia się w odchodzący od niego labirynt uliczek. Kilkaset metrów dalej, obok zarządzanego przez Gafura kościoła, wąską alejkę przecina barykada zbudowana z worków z piaskiem i wyrwanej kostki brukowej. Przez wąski otwór wychyla się lufa amerykańskiego karabinu M16. Nad zaporą umieszczono charakterystyczną białą maskę Guya Fawkesa z czarną spiczastą bródką i zawiniętym do góry wąsikiem. Kurdyjscy Anonymous. Za fortyfikacją rozciąga się strefa zajmowana przez jednostki samoobrony. Ściany kamienic pokrywają napisane sprayem napisy. „PKK” – walcząca z Turkami od lat siedemdziesiątych Partia Pracujących Kurdystanu. „APO”, czyli „wujek”, jak potocznie nazywa się Abdullaha Öcalana, legendarnego przywódcę PKK od lat przetrzymywanego w tureckim więzieniu. „YDG-H” – Ruch Patriotycznej Młodzieży Rewolucyjnej, powstała w 2006 roku miejska partyzantka współpracująca z PKK. Niektóre z haseł próbowano zamalować, ale litery przebijają spod warstw nowej farby.

– Nie jesteśmy partyzantami, tylko zwykłymi mieszkańcami tego miasta. Chwyciliśmy za broń, bo tylko tak możemy bronić swoich domów i bliskich przed turecką policją oraz wojskiem – opowiada młody chłopak ukrywający twarz za szczelnie naciągniętą chustą. Studiował na wydziale lekarskim, ale rzucił naukę po tym, jak jego przyjaciela zamordowano przed wejściem do jego własnego domu. Nerwowym ruchem pokazuje plamy zaschniętej krwi na ścianie klatki schodowej prowadzącej w głąb kamienicy. – Został ciężko

postrzelony, ale próbował jeszcze schować się w rodzinnym mieszkaniu – cedzi przez zęby.

Chłopak mówi dużo o braterstwie, walce o wolność, równości płci. Tak samo myślą jego koledzy. Żadni z nich zaprawieni w bojach partyzanci. Zwykli młodzi ludzie. Jeden z tatuażami, a drugi przystojniak, który zostawił niedawno pracę w hotelu, ale ciągle lubi słuchać techno. Ich koleżanki też potrafią strzelać. Równouprawnienie kobiet to jeden z głównych postulatów kurdyjskiej opozycji i dlatego wśród bojowników nie brakuje dziewcząt.

– One walczą, a ich matki wspólnie przygotowują jedzenie dla nas wszystkich. Jesteśmy jednością. Model solidaryzmu społecznego sprawdza się właśnie na naszych oczach w syryjskiej Rożawie – przekonuje z entuzjazmem w oczach niedoszły student medycyny.

Domy otaczające kościół poorane są dziurami po karabinowych kulach. Latem 2015 roku na ulicy doszło do potężnej eksplozji i świątynia została tymczasowo zamknięta. W połowie listopada 2015 roku Sur dopiero przygotowywało się do tureckiej ofensywy mającej przynieść zniszczenia na ogromną skalę.

– W 1900 roku 60 procent mieszkańców miasta stanowili chrześcijanie, z czego około 90 procent było Ormianami. Oczywiście wszystko zmieniło ludobójstwo – mówi Gafur, gdy wspinamy się na wewnętrzny balkon, z którego można objąć wzrokiem całą świątynię. – Dopiero w 1920 roku powróciło tutaj mniej więcej czterysta rodzin „ukrytych Ormian", jak nazywamy naszych rodaków ocalałych z ludobójstwa, którzy musieli przejść na islam, żeby ratować swoje życie. Ale w październiku 1955 roku połowa z nich uciekła za granicę. Wtedy doszło do pogromu w Stambule skierowanego przeciwko ludności niemuzułmańskiej. Fala przemocy była wymierzona w pierwszej kolejności w Greków, ale rykoszetem uderzyła również w Ormian w różnych tureckich miastach. Potem przyszedł rok 1974 i konflikt o Cypr Północny. Podobnie jak w latach pięćdziesiątych, znowu staliśmy się ubocznymi ofiarami animozji grecko-tureckich. A koniec ubiegłego stulecia to regularne starcia zbrojne pomiędzy

turecką armią a PKK. I tym razem cierpieliśmy w nie swojej wojnie. Jesteśmy tylko trawą, którą mogą zdeptać i władze w Ankarze, i planowana kurdyjska autonomia. Nikt się z nami nie liczy. Choć z punktu widzenia przede wszystkim tureckich nacjonalistów to właśnie Ormianie są najgorszymi wrogami. Często powtarzana przez Turków opinia brzmi mniej więcej tak: Kurdowie to w zasadzie nasi pobratymcy i bracia w wierze, a za tym całym ich ruchem narodowowyzwoleńczym stoją ci demoniczni Ormianie. To oni chcą nas skłócić. Takie stwierdzenia są absurdalne, bo przecież Kurdów jest ponad dwadzieścia milionów i to problem ich podmiotowości należy rozwiązać w pierwszej kolejności. Ale niestety my jesteśmy zawsze na cenzurowanym. Zdarzało mi się, że w zachodniej Turcji nie chciano ze mną rozmawiać tylko dlatego, że jestem Ormianinem. Muszę jednak rzetelnie przyznać, że moi rodacy faktycznie działają w PKK i uchodzą tam za najbardziej bitnych partyzantów. – Mężczyzna przeciera okulary. – Tutaj nie chodzi o religię, tylko o etniczne prawo do istnienia. Ja sam w zasadzie czuję się ateistą, który zajmuje się odnawianiem kościołów – wybucha śmiechem. – Oczywiście mówię to pół żartem, pół serio.

Fundacja, której Gafur jest sekretarzem, pozyskała pieniądze od ormiańskiej diaspory i przy wsparciu władz miejskich kontrolowanych przez prokurdyjską Ludową Partię Demokratyczną (HDP) rozpoczęła remont świątyni. Magistrat pokrył około 30 procent kosztów renowacji. Kościół Świętego Grzegorza stał się namacalnym przykładem pojednania i współpracy między Kurdami i Ormianami przy przywracaniu wieloetnicznego dziedzictwa tych ziem. Teraz rocznie przyjeżdżają tutaj tysiące zwiedzających z całego świata. To pierwsze miejsce w Turcji, w którym regularnie odprawiane są ormiańskie nabożeństwa.

– Ale tak zupełnie poważnie: dla mnie najważniejsza jest tożsamość ormiańska, a nie religia. Przez wiele lat, podobnie jak praktycznie wszyscy moi bliscy, byłem „ukrytym Ormianinem”. Zgodnie z naszymi szacunkami takich ludzi jest na terytorium Turcji od czterech do pięciu

milionów. Część z nich ma bardzo ograniczoną świadomość swoich korzeni, ale właśnie dlatego musimy to zmieniać żmudną pracą. Chciałbym, żeby idea powrotu do ormiańskości przez chrześcijaństwo promieniowała na wszystkich moich rodaków. Moja rodzina pochodzi z wioski koło miasta Batman. Prawie wszystkich moich przodków zamordowano, przeżyły tylko trzy osoby. Jedna z nich uciekła do Syrii, a pozostałe dwie, w tym mój dziadek, zmieniły wiarę. Ojciec również był muzułmaninem. Oni wprawdzie żyli jak wyznawcy islamu, ale wiedzieli, że są Ormianami. Pamiętam, jak bardzo mój dziadek nienawidził tego, że został muzułmaninem. Tutaj nie chodzi o konkretną religię, ale o utraconą tożsamość. Zabrano nam wszystko. Religię, język, kulturę. Teraz chcę to odzyskać.

Za kościelną furtą przemyka mężczyzna w kominiarce trzymający w ręku kałasznikowa.

– Od czasów powstania HDP Kurdowie zaczęli spoglądać na Ormian jak na przyjaciół. Politycy prokurdyjskiej partii podkreślają, że walczą nie tylko o prawa Kurdów, ale szerzej, o interesy wszystkich uciskanych w Turcji mniejszości. Wierzę, że potencjalna kurdyjska autonomia przyznałaby również prawa Ormianom. Kurdyjskie elity polityczne dojrzewają do uznania zbrodni dokonanych w okresie ludobójstwa, i uważam, że dzisiaj jest właśnie szansa na pojednanie między naszymi narodami. Wielonarodowa oraz wieloreligijna Turcja jest moim marzeniem. Niestety to tylko odruch serca, bo rozum podpowiada, że to wizja utopijna. Obecny konflikt o kurdyjską autonomię może przynieść represje gorsze niż w najmroczniejszych latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Boję się, że wtedy my, Ormianie, ponownie będziemy cierpieć.

Gafur się nie myli. W trakcie toczących się na przełomie 2015 i 2016 roku walk świątynia zostanie ponownie uszkodzona, a wiosną 2016 roku na mocy specjalnego zarządzenia tureckich władz większość budynków w Sur, w tym również kościół Świętego Grzegorza, tymczasowo odebrane właścicielom i znacjonalizowane. Co w tym wypadku oznacza zwrot „tymczasowo”, dokładnie nie wiadomo.

– „Türkiye milleti" oznacza po turecku „naród Turcji", a „Türk milleti" to „naród turecki". To różnica tylko trzech liter, ale pokazuje ona, jak głęboko podzielony jest ten kraj i mieszkający tutaj ludzie – mówi poznana w Diyarbakır Ceylan, działaczka HDP, która zdecydowała się wyruszyć ze mną w dalszą podróż po Kurdystanie. Określenia „Türkiye milleti" użyła kilka dni wcześniej deputowana tej partii Leyla Zana, składając przysięgę na pierwszym posiedzeniu nowego parlamentu. Kłopot w tym, że zgodnie z turecką konstytucją w ślubowaniu znajduje się wyrażenie „Türk milleti". Z formalnego punktu widzenia jej oświadczenie jest zatem nieważne i posłanka nie może objąć stanowiska. Polityk uparcie twierdzi jednak, że reprezentuje nie tylko etnicznych Turków, ale wszystkich obywateli Turcji bez względu na ich przynależność narodowościową. Zana jest jedną z najbardziej znanych na świecie kurdyjskich dysydentek politycznych. Spędziła w więzieniu dziesięć lat, Amnesty International uznało ją za więźnia sumienia, a Parlament Europejski odznaczył Nagrodą Sacharowa.

Daleko na północ od Diyarbakır tafla jeziora Wan odcina się turkusem od okalających ją pokrytych śniegiem szczytów. Razem z leżącym w Iranie jeziorem Urmia oraz położonym w samej Armenii jeziorem Sewan, Wan tworzy trójcę świętych jezior Ormian. Wyznaczają one serce ich dawno upadłego i zaginionego ormiańskiego imperium. W jednej z pobliskich wiosek setki ludzi zgromadziło się wokół zielonej trumny okrytej flagą PKK. Ktoś wrzucił na nią kurdyjską chustę. Grupa nastolatków wskoczyła na cmentarny murek, rozpościerając zdjęcie młodego chłopaka w krótko przystrzyżonych czarnych włosach. Devrim Tendürek został szahidem – męczennikiem. Identyczne fotografie przyczepione są do piersi żałobników.

– To jego partyzancki pseudonim. Devrim oznacza „rewolucję", a jeden z pobliskich szczytów nazywa się Tendürek. Jego prawdziwe imię brzmi Vefa Kayanas – tłumaczy mi Ceylan, gdy pytam, dlaczego

pod zdjęciem znalazły się dwa napisy. – Ale on zginął jako Devrim i tak go zapamiętamy.

Imam usunął się w cień. To uroczystość nie religijna, ale patriotyczna. Devrima zastrzelono nie za Allaha, lecz za Kurdystan. Kilka osób rozwija plakat uśmiechniętego Kurda o bujnych wąsach. Öcalan. Z gardeł zgromadzonych wyrywa się głośne zawołanie: „Apo, Apo”, „PKK, PKK”. Rozpostarte w charakterystycznym znaku zwycięstwa palce unoszą się w górę. Trumna powoli osuwa się do świeżo wykopanego grobu. Okutane w białe chusty kobiety płaczą przeraźliwie. Łapią drewnianą skrzynię, jakby jeszcze próbowały ją zatrzymać. Tłum krzyczy coraz głośniej. Skandują wszyscy. Starsi mężczyźni w czarnych płaszczach i nasuniętych na oczy kaszkietach. Młodzieńcy w skórzanych kurtkach ukrywający oczy za okularami przeciwsłonecznymi. Młodziutkie dziewczyny o ślicznych twarzach i włosach zakrytych kurdyjskimi arafatkami. Jedna założyła czerwono-żółto-zielone kolczyki z liściem marihuany. Tak się składa, że kolory reggae pokrywają się z narodowymi barwami Kurdystanu.

– Władze mogą zabronić używania naszych flag, ale Boba Marleya i muzyki reggae chyba nie zakażą – śmieje się Kurdyjka.

– W każdej kurdyjskiej rodzinie są szahidzi. – Jeden z żałobników odwraca się w moją stronę. – Miałem pięć lat, jak moi dwaj bracia dołączyli do PKK. Potem do partyzantki wstąpił także mój ojciec. To było w 1992 roku i od tego czasu widziałem go tylko dwa razy. A pierwsze nasze spotkanie było zupełnie przypadkowe. Ma teraz siedemdziesiąt lat, ale i tak rozpoznałem go w tłumie na bazarze w irackim Irbilu. Obaj bracia zostali zabici. Odzyskaliśmy ciało tylko jednego z nich. Było w kawałkach. Z wściekłości też chciałem pójść walczyć, ale dowódca powiedział, że mnie nie przyjmą, bo w mojej rodzinie zginęło już zbyt wielu. Dlatego robię to, co mogę, i angażuję się w działalność pokojową. Tylko że tego pokoju nie ma i nie wiem, czy kiedykolwiek nadejdzie.

Koła ślizgają się na śnieżno-błotnistej mazi, ale kierowca pewnie prowadzi samochód po krętej drodze wspinającej się na jeden z okalających jezioro Wan szczytów. W nocy mocno sypnęło śniegiem i pobliskie wierzchołki pokrywa gruba warstwa miękkiego puchu.

– To tutaj. Klasztor Waragawank.

Ceylan każe zatrzymać auto obok domu jednorodzinnego przyklejonego do niskich ruin przypominających stertę kamieni. Tylko dwa łukowate portale nad drzwiami wejściowymi świadczą o tym, że kiedyś była tutaj świątynia. Waragawank nazywany po turecku Yedi Kilise, czyli „siedem kościołów", był w XIX wieku jednym z najważniejszych centrów monastycznych w regionie. Urzędował tu arcybiskup Wan. Wedle tradycji monastyr założył ostatni król ormiańskiego królestwa Waspurakan w miejscu, gdzie w VII wieku odnaleziono ukryte szczątki Krzyża Pańskiego. Klasztor był na przestrzeni dziejów wielokrotnie plądrowany i niszczony. Mongołowie, Persowie, Kurdowie, Osmanowie, trzęsienia ziemi jak biblijne plagi spadały na mnichów, którzy po każdej z katastrof odbudowywali swoje sanktuarium. Ostateczny cios przyszedł dopiero wraz z XX-wiecznym ludobójstwem. W leżącym kilkanaście kilometrów stąd Wan wybuchło powstanie i miasto przez miesiąc broniło się przed nacierającymi tureckimi wojskami. Jego upadek oznaczał wymordowanie kilkudziesięciu tysięcy ormiańskich mieszkańców. Rzeź nie ominęła również Waragawanku. Obiekty sakralne zostały splądrowane, a klasztorna biblioteka spalona. Wraz z nią ogień strawił tysiące bezcennych manuskryptów. Dzieła zniszczenia dopełnił upływ czasu i wyjątkowo silne trzęsienie ziemi z 2011 roku, które niemalże obróciło w perzynę również samo Wan. Drzwi są zamknięte na głucho, ale po chwili zjawia się starszy mężczyzna z pękiem kluczy w dłoni.

– Jestem nieformalnym opiekunem tego miejsca – mówi. – Mój ojciec był imamem i uważał, że obowiązkiem dobrego muzułmanina jest zachować dla potomnych dorobek minionych pokoleń. Nie ma znaczenia, że to kościół, a nie meczet. Jego życzeniem było, abym przejął po nim tę funkcję – stwierdza z powagą, zapraszając do środka

i pokazując zachowane w głównej nawie resztki fresków, płaskorzeźb oraz kolekcję poprzyklejanych do ścian archiwalnych fotografii kompleksu. Daje do podpisania księgę pamiątkową i opowiada o turystach odwiedzających świątynię. Jeden z wpisów jest autorstwa Piotra z Poznania: „Przyjechałem tutaj zbierać materiały do pracy magisterskiej. Po odwiedzeniu dziesiątek ormiańskich klasztorów w Turcji mogę powiedzieć tylko, że po pierwsze nigdzie nie widziałem tak przepięknej architektury, a po drugie to wielki wstyd, że są one tak bezmyślnie niszczone. Mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni".

Mimo starań lokalnych aktywistów na razie projekt odbudowy monastyru nie wyszedł poza fazę planowania. Klucznik pozostaje osamotniony.

– Ludzie z wioski już ostrzyli sobie zęby, żeby zrobić tutaj magazyn. Powiedziałem im, że po moim trupie. Chciałbym, żeby mój najstarszy syn kontynuował moją misję i również trzymał pieczę nad świątynią. Ale boję się, że podobnie jak jego młodsi bracia będzie chciał wyjechać w poszukiwaniu lepszego życia. Wtedy nikt nie ochroni tych murów.

Nad wyspą Ahtamar łopocze turecka flaga. Widać ją już z daleka, kiedy wypchany tureckimi turystami prom zbliża się do skrawka lądu wyrastającego z wód jeziora Wan. W jego sięgających 450 metrów głębinach w zasadzie nie ma życia. Zasolenie trzykrotnie większe niż na bałtyckim wybrzeżu i skrajnie zasadowy odczyn wytrzymuje tylko jeden endemiczny gatunek ryb. Jezioro jest martwe. W cieniu białego półksiężyca na wysokim skalistym brzegu uczepiony skały trzyma się kościółek z pomarańczowego piaskowca. Kopułę wieńczy żelazny krzyż.

– Masz ochotę na kąpiel w solance z dodatkiem tysięcy ton proszku do prania, to wskocz do Wan – śmieje się Ceylan.

Statek przybija do pomostu. Turyści pędzą zwiedzać zabytek. Ormiański król Gagik I tysiąc lat temu wybudował tutaj swoją rezydencję, której główną ozdobą stał się kościół Świętego Krzyża.

Przez setki lat aż do końca XIX wieku była ona siedzibą jednego z katolikosów, zwierzchników Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego. Wnętrze jest mroczne. Przez wąziutkie okienka wpadają wąskie smugi światła. Żadnego przepychu, żadnych wyrafinowanych zdobień. Wyblakłe freski okutanych w długie szaty brodatych mężczyzn o głowach przyobleczonych w aureole. Dyskretne znaki świętości. Zewnętrzne ściany pokryte biblijnymi płaskorzeźbami. Jonasz połknięty przez wieloryba, Dawid walczący z Goliatem, Jan Chrzciciel, prorok Eliasz, Ewangeliści. Staro- i nowotestamentowa historia świata ze wszystkich czterech stron oplata samotną świątynię.

– W latach 2005–2006 władze gruntownie odremontowały kościół. To miał być ukłon w stronę Armenii. Gest pojednania turecko-ormiańskiego. Ale nie obeszło się bez kontrowersji. Niby świątynia jest tak odnowiona, że palce lizać. Malowidła odrestaurowane, płaskorzeźby wyczyszczone i zakonserwowane, sklepienie naprawione. Tylko że po całej operacji kościół stał się świeckim muzeum, a nie obiektem sakralnym. Krzyż na kopule zamontowano dopiero w 2010 roku i wtedy pozwolono również odprawiać tutaj raz do roku mszę. Jedni uznali, że to ze strony Ankary cyniczny PR. Pokażemy światu, jacy to my jesteśmy otwarci i tolerancyjni, chroniąc ormiańskie dziedzictwo kulturowe. Drudzy oponowali, że na drodze do pojednania trzeba doceniać każde, nawet lekko pokrętne, kroki – tłumaczy Ceylan, zadzierając głowę, żeby dojrzeć freski pokrywające zwieńczenie nawy bocznej.

Turyści jak na komendę wyciągają smartfony. Dziewczyna wskakuje na podwyższenie z ołtarzem, wyginając zalotnie szczupłe ciało. Trzaska lampa błyskowa. Zimne światło na sekundę rozświetla mrok. Jeszcze raz i jeszcze raz. Uśmiechnięty od ucha do ucha chłopak robi swojej wybrance sesję zdjęciową.

– Wyłącz to! Nie widzisz, że jest zakaz używania fleszów? – Jego kolega pokazuje palcem tabliczkę z przekreśloną lampą błyskową. Chwilę później sam zaczyna robić zdjęcia. Ręce do góry, wzrok wbity w kopułę. Anielskie uniesienie. Poza mistyczno-

-refleksyjna. Na chwilę przed Wniebowstąpieniem. Było na poważnie, to teraz coś na wesoło. Stanie na lewej nodze. Potem na prawej. Z rękami przed siebie i za siebie, i w bok.

– Cyrk jakiś, a nie kościół – wzdycha Ceylan.

Pod flagą Turcji też trwa fotograficzny maraton.

Setki kilometrów na północ od jeziora Wan z monotonnej szaroburej wyżyny wyrastają kamienne budowle. Cyklopowe mury obronne, kościoły, domostwa, cytadela na wzgórzu. Tuż obok stoją współczesne wieżyczki strażnicze obsadzone przez żołnierzy z karabinami. Zamknięta dla jakiegokolwiek ruchu granica turecko-armeńska przebiega dokładnie wzdłuż pozostałości średniowiecznego miasta Ani zwanego miastem 1001 kościołów. Na przełomie I i II wieku naszej ery znajdowała się tutaj stolica królestwa rządzonego przez możny ród Bagratydów, którym podlegało również otaczające Wan państwo Waspurakan. Tysiąc lat temu po raz ostatni w historii Armenia była potęgą. Otoczona przez imperialnych wrogów z Bizancjum i Kalifatu Abbasydów, ale jednak całkowicie niezależna. Państwo Ormian rozciągało się od obecnego zachodniego Iranu aż po Anatolię. Liczba mieszkańców Ani dochodziła do stu tysięcy, czyniąc z niego jedno z największych ośrodków miejskich ówczesnego świata. Kres świetności bagratydzkiego królestwa położyła najpierw inwazja Bizantyńczyków, a potem Turków seldżuckich. W kolejnych wiekach miasto padało ofiarą coraz to nowych najeźdźców. Gruzini pod wodzą królowej Tamary Wielkiej, Mongołowie, osławiony Tamerlan, wreszcie imperium osmańskie. Po wiekach podbojów metropolia obróciła się w opustoszałą ruinę, nad którą dumnie powiewa bijąca czerwienią turecka flaga.

To strefa przygraniczna, ale na wjazd nie jest potrzebne żadne szczególne zezwolenie. Do położonego godzinę jazdy od głównej drogi miasta docierają jednak nieliczni turyści.

– Mało kto tutaj przyjeżdża, a przecież Ani to kolebka cywilizacji! – mówi z przejęciem mężczyzna w kasie, trzymając w dłoni ledwo

napoczęty plik biletów. – Archeolodzy odnajdują tutaj symbole nawiązujące do najbardziej pierwotnych wierzeń i przesądów. Choćby swastykę! – Palcem wskazuje czteroramienny znak ułożony z ciemnych kamieni na fasadzie głównej baszty. Za najdawniejsze przedstawienie swastyki uchodzą ryty naskalne datowane na dziesięć tysięcy lat przed Chrystusem, odnalezione nieopodal stąd w dolinie Araratu. W tej części świata wszystko musi być stare, bardzo stare, najstarsze. Najlepiej przedpotopowe. Dzieje liczy się nie w setkach, ale w tysiącach lat. Fakty historyczne z łatwością przeplatają się z mitami. Dla mieszkających tutaj ludzi wyobrażenie o przeszłości jest zdecydowanie ważniejsze od samej prawdy o niej.

Katedra w Ani została poważnie uszkodzona podczas trzęsień ziemi regularnie nawiedzających ten region, ale kościół wciąż onieśmiela potężnymi rozmiarami. Snop światła wpada przez okrągły otwór zwieńczony niegdyś kopułą. Strzeliste kolumnady otaczające główny ołtarz pną się ku łukowatym podporom podtrzymującym sklepienie. Świątynię wybudowano dokładnie w pierwszym roku drugiego tysiąclecia. W tym czasie w Europie swój rozkwit przeżywały przysadziste, skromne w środku, mroczne budowle w stylu romańskim. Zdaniem niektórych badaczy korzeni monumentalnego gotyku europejskiego trzeba szukać w tej katedrze.

– We Francji czy w Niemczech nikomu nawet nie śniły się wspaniałe gotyckie wieże, kiedy architekci z Ani już rozmyślali o tym, jak sięgnąć niebios – stwierdza Saffet Akkuş, doświadczony przewodnik górski, który dołączył do mnie i Ceylan. Z drogi prowadzającej w stronę zaginionego miasta widać dwa wulkaniczne stożki.

Liczący sobie trochę ponad 4000 metrów Aragac jest najwyższym szczytem dzisiejszej Armenii. Wierzchołek maluje się daleko na horyzoncie. Rozmywa się w delikatnej mgiełce przysłaniającej horyzont. Jest smukły, ale jednocześnie bardzo odległy. Mniej rzeczywisty niż twarde kamienne mury Ani.

Druga góra zapiera dech w piersiach. Przytłacza cały widnokrąg. Można jechać dziesiątki kilometrów, a ona ciągle pojawia się przed oczami. Wyłania się na wschodzie, zachodzie, północy i południu. Jest w każdym miejscu Wyżyny Armeńskiej. Nie sposób przed nią uciec.

„W oddali, z głową ukrytą w postrzępionym obłoku, wznosiła się Góra! Jej najbliższego otoczenia na północno-wschodzie i zaklęsłej niziny między nią a rzeką nie było stąd widać. Tylko ona patrzyła z wysokości poprzez moczary ku lasom. Samotna Góra!” Tolkien byłby zachwycony, widząc tę górę. A może on też tutaj był i wtedy narodziła się w jego głowie wyprawa „tam i z powrotem”.

– Nienawidzę tej góry. Widzę ją codziennie. Rano, kiedy myję w łazience zęby, w moim gabinecie, kiedy przerzucamy stosy papierów, nawet kiedy zapada zmrok, a ja jem z żoną i dziećmi kolację, to wiem, że ona tam jest. Jak sędzia, który codziennie ocenia, czy dobrze żyję. Jak pieprzony wyrzut sumienia, że ja siedzę tutaj, a ona została tam na obcej tureckiej ziemi, gdzie od stu lat nie ma już Ormian – wyznał mi pewnego dnia profesor historii sztuki w Erywaniu.

Biblijna góra gór. Ararat. Przybywają tutaj zwykli turyści, zaprawieni alpiniści i wreszcie ci, których Ararat prześladuje. Nie pozwala im spokojnie zasnąć. Niestrudzeni poszukiwacze wierzący, że to właśnie oni dokonają przełomowego odkrycia. Łowcy arki. Na zboczach Araratu zgodnie z biblijną tradycją miał osiąść statek z jedynymi ocalałymi z wielkiego potopu. Tutaj Noe po raz pierwszy postawił stopę na oczyszczonej z nieprawości ziemi.

Z ruin Ani docieramy do wioski Sağliksuyu położonej u samego podnóża mitycznej góry. Saffet kładzie dłoń na masywnej skale z dziurą przypominającą ucho igielne.

– Takich głazów jest więcej. Mówi się, że to starożytne kotwice. Niektórzy wierzą, że jeśli wytyczy się linie proste pomiędzy nimi a wierzchołkiem, to ich punkt przecięcia wskaże miejsce na zboczu, gdzie spoczywają skamieniałe pozostałości najsłynniejszego okrętu w historii ludzkości – mówi Saffet lekko ironicznie. – Mogą jej szukać

całymi wiekami i pewnie nic nie znajdą. Ararat jest wielki, wszyscy i wszystko może się na nim ukryć.

Na stokach wulkanu znajdują się bazy PKK. Od czasu do czasu władze z iście imperialnym rozmachem zamykają górę i przeprowadzają operacje wojskowe przeciwko bojownikom.

Domniemane kotwice otaczają dziesiątki prostokątnych płyt z wyrytymi krzyżami. Małe i duże. Szare, białe, pokryte rdzawymi porostami. Niektóre przewrócone. Chaczkary. Kamienie krzyżowe od 2010 roku chronione przez UNESCO jako unikalny wkład ormiańskiej sztuki zdobniczej w światowe dziedzictwo kulturowe. Ustawiane w miejscach o doniosłym znaczeniu religijnym albo historycznym.

Kiedyś w tej wiosce mieszkali praktycznie sami Ormianie. Wtedy nosiła nazwę Asztachan. Potem przyjęła kurdyjskie miano Ardzab, aby wreszcie stać się tureckim Sağliksuyu. Pomiędzy chaczkarami chodzi stado owiec zżerających rachityczne kępki trawy wyrastającej z kamienistej gleby. Staruszka niemrawo popędza zwierzęta w stronę bardziej urodzajnego pastwiska.

– Ormianie? Jacy znowu Ormianie? – ożywia się na krótką chwilę na dźwięk ormiańskiej nazwy swojej wioski. – Nie, żadnych Ormian nie ma i nikt już ich od bardzo dawna tutaj nie widział. – Odwraca się plecami i z werwą wali kijem po grzbiecie najbardziej niemrawą owieczkę.

Daleko stąd na południu dawnego ormiańskiego imperium, w Çüngüş, Recai ciężko wzdycha.

– Kiedyś żyliśmy obok siebie. Turcy, Kurdowie i Ormianie. Ale teraz naszych braci chrześcijan już nie ma. Czasami pojawiają się w mętnych przebłyskach wspomnień starców i baśniowych opowieściach o skarbach. Po okolicznych wioskach krążą niestworzone historie o wielkich bogactwach ukrytych w zapieczętowanych grotach gdzieś głęboko w górach. Tylko Ormianie znali ich położenie i mieli klucze otwierające kamienne wrota. Nikt obcy nie wedrze się do górskich trzewi, żeby napchać kieszenie złotem, szlachetnymi

kamieniami i drogocennymi ozdobami. Ormianie byli tutaj przez setki lat, a co po nich pozostało? Legendy i ludowe opowieści. Jak o jakimś przedpotopowym ludzie z dalekich krain. Boję się, że z nami będzie to samo. Że my, Kurdowie, też staniemy się kiedyś tylko bajką opowiadaną dzieciom na dobranoc.

Gwałtownym ruchem ściska mi na pożegnanie dłoń i wskakuje do przejeżdżającego dolmusza.

Jego słowa okażą się prorocze. Jesienią 2016 roku zostanie aresztowany za działalność w kurdyjskiej organizacji politycznej Demokratyczna Partia Regionów. W kilka dni po zatrzymaniu nieznani sprawcy dokonają zamachu na posterunek policji, w którym jest przetrzymywany. Recai zginie pod jego gruzami.

# Ziemia święta

Wolny i niepodległy Arcah,
Wznieśliśmy nasz dom-fortecę,
Historię naszego kraju
Ochroniliśmy naszą krwią.

Jesteś niezdobytą twierdzą,
Świętym szczytem, szlachetnym imieniem,
Błogosławionym bóstwem,
przez które stajemy się nieśmiertelni.

Ty, nasza niosąca światło ziemio ojczysta,
Ziemio, bramo miłości do ojczyzny,
Żyj zawsze w pokoju
Nasz stary, nasz nowy Karabachu.

Wolny i niepodległy Arcach, hymn Republiki Górskiego Karabachu

Twarze. Setki, tysiące twarzy. Młode i starsze. Z brodami i gładko ogolone. Przystojne i szpetne. Wszystkie czarno-białe i prawie wszystkie męskie. Pokrywają ściany od podłogi aż po sufit.

– Jest tutaj około trzech i pół tysiąca zdjęć, ale będziemy musieli dołożyć dziesiątki kolejnych. Już zbieramy od rodzin fotografie ich zabitych bliskich – mówi Artur Arustamjan, poprawiając jedną z ramek. Jest dyrektorem Muzeum Poległych Żołnierzy w stolicy Górskiego Karabachu, Stepanakercie. – Boję się, że nasze muzeum zacznie się wkrótce powiększać – dodaje, a jego oczy robią się nagle bardzo poważne.

W wysokiej, przypominającej trumnę witrynie na bezgłowych manekinach wisi śnieżnobiała suknia ślubna i elegancki czarny garnitur. Na szklanej tafli przyklejono dwa splecione okręgi imitujące obrączki. W pleksiglasowej gablotce poniżej lalka panny młodej stoi nad zabitą lalką żołnierzem. Welon i blond włosy zasłaniają jej oczy.

W plastikowej dłoni trzyma wisiorek zrobiony z naboju do kałasznikowa.

– W Armenii mamy zwyczaj, że na samochodzie nowożeńców ustawia się kukiełki pary młodej. Kamo Petrosjan zginął niedługo przed swoim ślubem i jego rodzice oddali do muzeum lalki symbolizujące ich syna oraz jego wybrankę. A suknia i garnitur to weselny strój mojego brata Grigorija i jego narzeczonej. Planowali się pobrać z początkiem 1993 roku, ale w listopadzie 1992 roku Grigorij został trafiony pociskiem moździerzowym. Jechał z odsieczą swoim kolegom, którzy znaleźli się w okrążeniu. Oni przeżyli, a on zginął – opowiada Arustamjan, po czym zwraca się do siwiuteńkiej staruszki w milczeniu wpatrującej się w ślubno-pogrzebowe pamiątki: – Jak się pani czuje?

– Jak zawsze – mamrocze kobieta, robiąc znak krzyża.

– Arfika straciła na wojnie dwóch synów. Razem z moją mamą Galją zakładała to muzeum i prawie codziennie tutaj przychodzi – szepcze Artur, zapraszając na kawę, która okazuje się butelką koniaku.

Jeden z pierwszych toastów wznosi za mamę, która stworzyła też związek rodzin poległych żołnierzy. Zmarła dwa lata temu, ale przed śmiercią mówiła, że tak naprawdę odeszła już na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy zabito Grigorija.

– Wybacz, ale trochę ciepły ten koniak. – Artur jest lekko strapiony. Butelka, którą przyniósł z zaparkowanego w pełnym słońcu żiguli, ma temperaturę świeżo zaparzonej herbaty. – Zawsze lubiłem lekko pożyć. Czego to ja w życiu nie robiłem. Miałem dryg do muzyki, więc grałem na gitarze. Wpadłem na pomysł, że zrobię karierę w Azji Centralnej i pojechałem do ciotki mieszkającej w Turkmenistanie. Za Sojuza to były czasy. Byliśmy jednym państwem, mogliśmy wszędzie jeździć. Zamarzył mi się Aszchabad, to jechałem do Aszchabadu. Grałem po knajpach, bawiłem się, podrywałem dziewczyny. Król życia! I tak trwała ta moja idylla, aż w końcu wzięli mnie w kamasze, jak to ZSRR miał w zwyczaju, i skończyły się szczenięce lata. – Nalewa pełną

szklankę koniaku. – Moja mama miała bunt we krwi, choć długo potrafiła pokornie milczeć. Taka cicha woda. Ale gdy stało się jasne, że ZSRR się wali, rzuciła się w wir walki o niepodległość. Kiedy armeńska delegacja w Moskwie rozpoczęła strajk głodowy, Galja zebrała kilka koleżanek z zakładu pracy, wsiadły w samolot i poleciały do rosyjskiej stolicy wspierać protestujących. Grigorij był taki sam, też się stawiał. Już w 1988 roku został przez Rosjan aresztowany za udział w nielegalnej demonstracji i przekazany Azerom. Tamci trzy dni bili go w areszcie śledczym w Sumgaicie. Żądali, żeby podał nazwiska innych aktywistów. Szczęście w nieszczęściu, że mieliśmy wpływowych rosyjskich przyjaciół, którzy doprowadzili do jego uwolnienia. W zamian za uniknięcie więzienia trafił do armii i służył w Penzie w środkowej Rosji. Kiedy w 1991 roku w Karabachu trwała już regularna wojna, jego dowódca napisał list do naszych rodziców. Stwierdził, że może zwolnić Grigorija, bo i tak nie ma z niego żadnego pożytku. Armia sowiecka już nie istnieje, a on nie myśli o niczym innym, tylko jak dostać się na front i walczyć za ojczyznę. Wtedy wszyscy siedzieliśmy w górach. Nie tylko mieszkańcy Karabachu, ale również Ormianie z diaspory, którzy przyjechali nam pomóc. Nazywaliśmy ich ormiańskimi fedainami. Grigorij, jak tylko dotarł do domu, to z miejsca zaciągnął się do naszej armii. Miał doświadczenie jako kierowca, więc obsadzili go na pozycji mechanika w załodze bojowego wozu piechoty BMP. To było w sierpniu 1991 roku, a po kilkunastu miesiącach już nie żył. Nie doczekał wolnego Karabachu. Został odznaczony krzyżem bojowym drugiego stopnia.

Na obrazie wiszącym nad głową Artura pomarańczowe słońce chowa się powoli za szczytami. Grupka pochylonych partyzantów żmudnie maszeruje po wąskiej ścieżce. Zza wzgórza wyjeżdża na nich rozpędzony czołg.

– Rosyjscy żołnierze to były dopiero skurwysyny. Od razu zwęszyli, jak zrobić biznes na tej wojnie. I nam, i Azerom brakowało ciężkiego sprzętu. A oni mieli pełno czołgów, transporterów opancerzonych. To zaczęli je wynajmować obu stronom konfliktu. Byli tak cwani, że

wprowadzili rozliczenie godzinowe. Rano my waliliśmy z T-72 do Azerów, a po południu oni z tego samego czołgu strzelali do nas. – Artur nalewa kolejną szklaneczkę, wznosząc toast za poległych.

Wojna w Górskim Karabachu była najkrwawszym z konfliktów toczących się na Kaukazie w latach dziewięćdziesiątych. Wedle szacunków amerykańskiego Departamentu Stanu życie straciło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, a około miliona zostało uchodźcami. Azerowie mieli przewagę liczebną, więcej ciężkiego sprzętu, helikopterów i samolotów, ale Ormianie na wylot znali karabaskie góry i od początku rozpoczęli wyjątkowo skuteczną w takich warunkach walkę partyzancką.

– To było w trakcie jakiegoś rutynowego patrolu – kontynuuje Artur. – Szliśmy we trzech przez góry i zatrzymaliśmy się na krótki postój na polanie otoczonej gęstymi krzewami. Kolega wdrapał się na drzewo, żeby z góry sprawdzić okolicę, a drugi poszedł na stronę za potrzebą. Było gorąco, żar lał się z nieba. Oparłem się o pień, chcąc chociaż przez chwilę odetchnąć w przyjemnym cieniu. Miałem karabin maszynowy PKM na dwójnogu. Cholernie ciężki kawał żelastwa. Normalnie odłożyłbym broń na bok. Ale wtedy tego nie zrobiłem. Nie wiem dlaczego, ale po prostu cały czas trzymałem ją w dłoniach. I wtedy zarośla się poruszyły. Gałązki załopotały i z gęstwiny wylazł azerski żołnierz. Chłopak stanął jak wryty może ze cztery metry ode mnie. Przez ułamek sekundy myślałem, że ich zwiad wpadł na nasz trop i zaraz nas wszystkich wystrzelają. Ale nie, to nie była zasadzka! Na twarzy chłopaka malowało się bezgraniczne zdumienie przemieszane ze strachem. Idiotycznym zrządzeniem losu wałęsający się po górach Azer wpadł dokładnie na nas. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu i wtedy on zrobił ruch, jakby chciał wycelować we mnie kałasznikowa. A może mi się tylko wydawało? Może on chciał podnieść ręce, żeby się poddać. Nie wiem. Ale wystarczyło, że lekko uniosłem lufę PKM i nacisnąłem spust. Bezwiednie, odruchowo, nie myśląc, czy robię dobrze, czy źle. Wystrzelona z tak bliskiej odległości seria dosłownie go rozerwała. Wypruła wnętrzności, rozszarpała klatkę

piersiową. Malutkie kawałki mięsa latały w powietrzu. Potem nastała ciemność. Kiedy odzyskałem świadomość, moi przyjaciele pochylali się nade mną, mówili coś, szarpali za ramię. A ja nie mogłem z siebie wydusić słowa. Ale przeżyłem. Mój brat i wielu innych nie miało tyle szczęścia – kończy, i tym razem unosi szklankę za tych, którzy wrócili.

– Na początku listopada 1992 roku znaleźliśmy się w kotle. Azerowie zamknęli wszystkie drogi ucieczki. W naszym oddziale był młody chłopak. Ochotnik z Erywania. Miał piętnaście, może szesnaście lat. Dzieciak, i na dodatek takie chucherko, że wołaliśmy na niego Kurczaczek. Nawet nie znałem jego prawdziwego imienia. Trzeciego dnia okrążenia z samego rana Kurczaczek przybiega do dowódcy i mówi, że musi natychmiast wracać do domu, do rodziców. Tłumaczyliśmy, że to niemożliwe, bo zostaliśmy odcięci i czekamy na wsparcie. Wreszcie załamany chłopak opowiedział o strasznym śnie, jaki przydarzył mu się tej nocy. Ujrzał samego siebie, jak azerska kula przebija mu gardło i wychodzi po drugiej stronie. Próbowaliśmy go uspokoić, wymyślaliśmy, że takie majaki należy odczytywać na odwrót, jako dobrą wróżbę. Tego samego dnia zaczęły się ciężkie walki. Pocisk z czołgu trafił w drzewo, pod którym leżał Kurczaczek, i urwał mu głowę. Odłamek trafił dokładnie w to miejsce, które widział we śnie. Owinęliśmy jego ciało w koc, zapakowali do KAMAZ-a, a ja poszedłem szukać tej głowy. Znalazłem ją w krzakach trzydzieści metrów dalej. Na czole miał czarną opaskę, w której zawsze chodził. Nie wiem dlaczego, ale odruchowo zabrałem ją i schowałem do kieszeni buszłata. Wojna się skończyła, lata mijały, zupełnie zapomniałem o tym wydarzeniu. Aż któregoś dnia 1998 roku moja mama zorganizowała kolację dla weteranów z Armenii. Przy stole siedziało kilkanaście osób. Jeden z nich, Razmik, od lat szukał kogoś, kto mógłby mu powiedzieć, jak zginął jego syn Ajk. Pokręciłem przecząco głową, bo nigdy żadnego Ajka nie znałem. Wtedy starszy mężczyzna wyciągnął fotografię. Od razu go rozpoznałem. To był Kurczaczek. Pobiegłem do szafy, poszukałem starej wojskowej kurtki i sięgnąłem do kieszeni. Czarna przepaska cały czas tam była.

Oddałem ją ojcu. A on powiedział, że dla niego dopiero teraz wojna się skończyła. Wreszcie może spać, bo wie, co się dokładnie stało z jego synem w karabaskich górach. Wypijmy więc za to, żeby dla nas wszystkich ta wojna dobiegła końca. A potem pojedziemy po gitarę i pośpiewamy. Nie można się smucić, trzeba żyć.

– Zanim przejdziemy do historii najnowszej, trzeba spojrzeć głębiej w przeszłość – tłumaczy Dawit Babajan, brodaty rzecznik prezydenta Górskiego Karabachu Bako Sahakjana.

Dawit jest nie tylko urzędnikiem państwowym, ale przede wszystkim doktorem historii i ekspertem od spraw międzynarodowych. Z naukowo-publicystycznym zacięciem snuje opowieść o pełnych przemocy relacjach pomiędzy Ankarą, Erywaniem i Baku, które doprowadziły do powstania jego widmowej ojczyzny. Po placu przed Pałacem Prezydenckim w Stepanakercie, gdzie mieści się jego gabinet, przemykają nieliczni przechodnie. Jest późna jesień i pogoda nie zachęca do dłuższych spacerów.

– To moja najnowsza publikacja. Koniecznie ją przeczytaj, bo pomaga zrozumieć dzisiejszy konflikt wokół Karabachu! – Wyciąga z szuflady małą książeczkę wydaną w trzech językach: ormiańskim, rosyjskim i angielskim. Na okładce ukochana ormiańska góra gór Ararat i rysunek brodatego herosa mierzącego z łuku. Tytuł: The Role and Place of the Armenian Plateau in Biblical Geopolitics, czyli „jak biblijna geopolityka ukształtowała dzisiejsze konflikty narodowościowe na Zakaukaziu”.

Zgodnie z tradycją pierwszymi władcami karabaskich dolin mieli być potomkowie Hajka, praprawnuka Noego i protoplasty wszystkich Ormian. W języku armeńskim Armenia to właśnie Hajastan, czyli kraina Hajka. Mniejsza o to, że było to (albo i nie było) tysiące lat temu. W Karabachu, podobnie jak u podnóża Araratu, zamierzchła przeszłość bywa ważniejsza niż teraźniejszość. To ona decyduje o świętym prawie do panowania nad tą ziemią. Dlatego wielu ormiańskich historyków z prawdziwą nonszalancją dowodzi, że korzeni

armeńskiego państwa należy szukać w starożytnym królestwie Urartu istniejącym na tych terenach od XIII do VI wieku przed Chrystusem. Jako dowód niech posłuży fakt, że na obrzeżach Erywania znajdują się ruiny urartyjskiego miasta-twierdzy Erebuni założonego w 782 roku przed naszą erą. Wnioski nasuwają się same. Armeńska stolica jest starsza od Rzymu, a sama współczesna Armenia to prawdopodobnie najstarsze państwo świata. Przynajmniej dopóki Egipt nie zacznie rościć sobie bezpośrednich praw politycznych do spuścizny faraonów.

– W starożytności ziemie te stanowiły dziesiątą prowincję istniejącego przynajmniej od IV wieku przed naszą erą królestwa Wielkiej Armenii, choć wtedy nikt nie zwał ich Karabachem. Karabach to słowo z języków tureckich oznaczające „czarny ogród". Pojawiający się w angielskiej wersji nazwy i rozpowszechniony w zachodniej literaturze przymiotnik „nagorno" to po prostu kalka z rosyjskiego słowa „górski". Prawdziwe imię naszej ojczyzny brzmi Arcach!

Na początku V wieku naszej ery w karabaskim klasztorze Amaras uczony mnich Mesrop Masztoc rozpoczął nauczanie stworzonego przez siebie unikalnego alfabetu, który stał się fundamentalny dla ormiańskiej tożsamości narodowej. Przez następne tysiąc lat w Karabachu kwitła ormiańska kultura. Powstały słynne klasztory Gandzasar (przez wieki siedziba Kościoła Albanii Kaukaskiej, zjednoczonego z Apostolskim Kościołem Ormiańskim) i Dadiwank. Mimo napierającego od południa żywiołu muzułmańskiego Arcach pozostawał bastionem chrześcijaństwa. Ośnieżone szczyty skutecznie chroniły górali przed próbami narzucenia im siłą wiary Mahometa.

– Dlaczego Serbowie nigdy nie zgodzą się na secesję Kosowa? – Dawit zawiesza na chwilę głos. – Bo to kolebka ich cywilizacji. Serbia bez Kosowa nie jest Serbią. Tak samo jest z Karabachem i Armenią. Tutaj rodziła się nasza kultura i zabrać Ormianom Arcach, to jakby wyrwać część ich tożsamości. To nie jest zwykła rywalizacja o ziemię czy zasoby. To wojna o dziedzictwo.

Wielowiekowe, doprowadzone niejednokrotnie do absurdu antagonizmy pomiędzy kaukaskimi narodami sprytnie wykorzystało

Imperium Rosyjskie po przyłączeniu Kaukazu Południowego. Terytorium Karabachu weszło w skład guberni jelizawietpolskiej leżącej na terenach dzisiejszego Azerbejdżanu. W ten sposób stworzono precedens azerbejdżańskiej przynależności Arcachu, który z całą mocą dał o sobie znać w dwudziestym stuleciu.

W zawierusze I wojny światowej i bolszewickiej rewolucji wszystkie strony konfliktu handlowały próbującymi wybić się na niepodległość Ormianami. W 1920 roku całe Zakaukazie zajęli bolszewicy. Wśród historyków trwają spory, dlaczego ostatecznie Kreml zdecydował się przyłączyć Karabach nie do Armeńskiej, ale do Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki. Zdaniem Thomasa de Waala, autora książki Black Garden [Czarny ogród], za tą decyzją stała komunistyczna myśl ekonomiczna zakładająca tworzenie nowych regionów w oparciu o ich maksymalną wydajność gospodarczą bez względu na wszelkie inne uwarunkowania. W ten sposób odporni na kolektywizację karabascy górale mieli wtopić się w nowe socjalistyczne społeczeństwo poprzez szersze kontakty z mieszkańcami nizinnego Azerbejdżanu. Kwestie etniczne, religijne i kulturowe nie miały z tej perspektywy żadnego znaczenia. Lecz podobnie jak w wypadku Abchazji oraz Osetii Południowej licznik bomby z opóźnionym zapłonem zaczął tykać.

– Komuniści komunistami, ale kluczowa jest Turcja – argumentuje Babajan. – U podstaw rozwijającego się na przełomie XIX i XX wieku ruchu młodotureckiego legła idea panturkijska. Wielki projekt etniczno-geopolityczny zakładający zjednoczenie wszystkich ludów tureckich od cieśniny Bosfor aż po chińską prowincję Sinciang zamieszkaną przez Ujgurów. Za ludobójstwem Ormian nie stały żadne demoniczne intencje tureckich liderów. Przy takiej tragedii zawsze istnieje pokusa poszukiwania niemalże metafizycznego wyjaśnienia ogromu dokonanych zbrodni. Nienawiść religijna, etniczne waśnie, psychopatyczne skłonności przywódców. A tymczasem prawda jest znacznie bardziej prozaiczna. Żeby zrozumieć, dlaczego doszło do tej masakry, wystarczy spojrzeć na mapę. Wszystko wyjaśnia geografia. – Na monitorze Dawita wyświetlają się kontury państw pokrywających

Eurazję. – Etnos turecki jest wszędzie. W Azji Mniejszej, na azerskim wybrzeżu Morza Kaspijskiego, pośród środkowoazjatyckich pustyń i pasm górskich. Ten piękny pas turecczyzny zostaje przerwany tylko w jednym miejscu: we wschodniej Anatolii, czyli dawnej Armenii Zachodniej, oraz na Kaukazie Południowym. Mój naród stał się przeszkodą na drodze do historycznej unifikacji Turków osmańskich ze swoimi braćmi na Wschodzie. I dlatego musieliśmy zostać poddani fizycznej eksterminacji. To naprawdę proste.

Historyk wyłącza komputer.

– Wie o tym każdy Ormianin. Świadomie albo podświadomie, ale rozumie, że jesteśmy jak las, który trzeba wyciąć, bo przeszkadza w budowie drogi. Z tego powodu konflikt o Karabach jest tak istotny. Nie oszukujmy się, z naszej perspektywy Azerowie to po prostu Turcy zamieszkujący terytorium Azerbejdżanu. Zwycięstwo w konflikcie z początku lat dziewięćdziesiątych okazało się przełomowym wydarzeniem na płaszczyźnie psychologicznej i tożsamościowej. Karabach to nasza święta ziemia. I to nie tylko dlatego, że znajdują się tutaj klasztory Gandzasar i Dadiwank. Zdecydowanie ważniejsze jest to, że stoczyliśmy o niego wygraną wojnę, i to na dodatek z Turkami. Nasz naród od setek lat był podbijany, upokarzany, aż wreszcie wymordowany w szale ludobójstwa. To zwycięstwo jest nam potrzebne jak tlen, żeby zachować godność i szacunek do samych siebie – mówi Babajan.

Kumulowany i tłumiony przez lata konflikt etniczny między Ormianami a Azerbejdżanami eksplodował pod koniec lat osiemdziesiątych. W 1987 roku w Karabachu wybuchły pierwsze antyazerskie zamieszki. Komitet Karabach otwarcie domagał się przyłączenia terenów autonomii do Armenii i wysiedlenia wszystkich azerskich mieszkańców. W końcu padły strzały. Zginęło dwóch Azerów. W odpowiedzi w leżącym niedaleko od Baku mieście Sumgaicie doszło do pogromu. Zginęły trzydzieści dwie osoby, setki kolejnych zostały ranne (dokładnych danych nigdy nie ujawniono).

Ruszyła lawina przemocy, której nikt ani nie chciał, ani nie mógł zatrzymać.

W małym pokoju w centrum Stepanakertu tłoczy się kilka osób. Starszy mężczyzna zaciągający się głęboko papierosem bez filtra, uśmiechnięta staruszka, młoda kobieta próbująca uspokoić biegające dzieci i jej mąż w T-shircie z imperialnym orłem, od niechcenia przerzucający telewizyjne kanały. W końcu wybiera Rossija 1, pierwszy państwowy kanał rosyjskiej telewizji. Nad całą rodziną pieczę trzyma postawna kobieta o zdecydowanych ruchach i pewnym głosie.

– Jestem rodowitą bakijką. Urodziłam się tam w 1947 roku i mój świat to było Baku. Co to było za miasto! Kosmopolityczne, otwarte, tętniące radością. Wychodziłeś na ulicę i czułeś, że możesz oddychać. Smakować życie. Troje moich dzieci też przyszło na świat nad Morzem Kaspijskim. To były piękne czasy. Mieliśmy wielki apartament. Przez dziewięć lat piastowałam funkcję przewodniczącej rady miasta. My, bakijczycy, zawsze byliśmy tolerancyjni. Szanowaliśmy się nawzajem. Ja Ormianin, ty Azer, a tamten sąsiad Dagestańczyk. I co z tego? Jakie to ma znaczenie? W Baku jesteś obywatelem świata. A potem się zaczęły te etniczne nienawiści. Przyjechali do nas uciekinierzy z karabaskiej wsi. Ciemny motłoch. I nagle, z dnia na dzień, moje Baku przestało istnieć.

Kobieta zagląda do zagraconego przedpokoju, żeby skarcić najbardziej rozwydrzonego z malców.

– Któregoś poranka w styczniu 1990 roku usłyszałam z dworu straszne wrzaski – kontynuuje. – Pod naszym oknem szła azerska demonstracja. Gówniarze wymachiwali pałkami, sztachetami, wykrzykiwali rasistowskie hasła. Chcieli bić, wypędzać Ormian. Zachowywali się jak jacyś opętani. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Ale w Sumgaicie już dwa lata wcześniej doszło do masakry – wtrącam.

– Sumgait to prowincjonalne miasteczko. W takich miejscach tępe nacjonalistyczne hasła mogą trafić na podatny grunt. Ale nie w Baku.

W całych Sowietach nie było drugiego tak wielonarodowego miasta. Nikomu z nas do głowy nie przyszło, że może wydarzyć się coś złego. Aż do tego strasznego poranka. Byłam przerażona. Mąż wyszedł już do pracy. W mieszkaniu zostały tylko córki. Wyciągnęłam z szafki kuchennej szpikulce do szaszłyków przypominające szpady i szybko zaprowadziłam moje dziewczynki do piwnicy. Dałam każdej zaostrzony pręt, pokazałam, jak można się nimi obronić. Powiedziałam do nich: „Jeśli ktokolwiek wejdzie do środka i będzie chciał wam zrobić krzywdę, to macie bez zastanowienia kłuć go w twarz albo w brzuch". Sama poleciałam na górę, dzwonić po męża. Na szczęście te dzikusy minęły naszą kamienicę i nikomu nic się nie stało. Jeszcze w tym samym tygodniu spakowaliśmy najpotrzebniejsze rzeczy. Przez Dagestan, Czeczenię i Gruzję dotarliśmy do Armenii. Pomagał nam przyjaciel rodziny. Azer. Normalny bakijski Azer, który sam łapał się za głowę, widząc, co wyczyniają jego rodacy. Teraz nie mamy żadnego kontaktu. Ciekawe, co się z nim stało. A co się stało ze mną, z nami, z całą moją rodziną? Od dwudziestu lat mieszkamy w siedem osób w dwupokojowym mieszkaniu. Toalety są na korytarzu, wspólne dla kilku kwater. To nie życie, tylko wegetacja. Tyle pracy, tyle poświęcenia i wszystko na marne. Nie ma już ani mojego Baku, ani mojego dawnego świata. – Milknie, zwieszając głowę. W trakcie trwającego tydzień pogromu w stolicy Azerbejdżanu zamordowano dziewięćdziesięciu Ormian.

W odrapanym bloku służącym kiedyś za akademik pobliskiego państwowego uniwersytetu mieszkają dziesiątki podobnych rodzin. Wszyscy są uciekinierami z Azerbejdżanu. Nie przysługuje im status uchodźcy, a co najwyżej status tak zwanego wewnętrznego przesiedleńca, bo przecież z punktu widzenia prawa międzynarodowego Górski Karabach pozostaje pod jurysdykcją Baku. W wyniku poprzedzających wojnę pogromów, a następnie samego konfliktu, uchodźcami zostało trzysta sześćdziesiąt tysięcy Ormian z azerskich terytoriów. Z kolei z Górskiego Karabachu musiało uciekać około sześciuset tysięcy Azerów, z których część jeszcze do niedawna

żyła w obozach dla uchodźców zlokalizowanych na terytorium Azerbejdżanu.

Wiera delikatnie gładzi złożoną w kostkę brązową koszulę i zaprasowane w kant materiałowe spodnie. Odzież jest szczelnie zapakowana w plastikową folię. Wygląda jak pachnące świeżością eleganckie ubrania na półce modnego sklepu. Tyle że obok niej leży rewolwer z samodzielnie wykonaną metalową rękojeścią.

– Ponad dwadzieścia lat czekam na mojego syna. Spartak zniknął kilka miesięcy po swoim ślubie. Tylko to mi po nim zostało.

Kobieta ma beznamiętny ton głosu. Jakby od tego czasu powtarzała tę samą sentencję, zmieniając tylko liczbę spędzonych samotnie lat. Ze zdjęcia spogląda na mnie przystojny młody mężczyzna prowadzący pod ramię dziewczynę w białej sukni. Spartak to jeden z około sześciuset Ormian i prawie pięciu tysięcy Azerów zaginionych bez wieści podczas wojny. Wiera jest założycielką, dyrektorem, kustoszem i przewodnikiem po Muzeum Zaginionych Żołnierzy w Stepankercie. Zna na wskroś każdy ze zgromadzonych tutaj eksponatów, napisała kilka książek i nie może przestać wspominać.

– To pomnik ich i nas. – Pokazuje palcem mozaikę czarno-białych portretowych fotografii układających się w kontur matki trzymającej za rękę dziecko.

Otwiera drzwi prowadzące z dyrektorskiego gabinetu do jej prywatnego świata. Sala Spartaka. Wszędzie wiszą zdjęcia młodego mężczyzny. Jej syn jako nastolatek, student, funkcjonariusz milicji drogowej GAI, żołnierz, pan młody. Na biurku stoją kobieca toaletka z półokrągłym lustrem i różami w wazonach, solidny kredens, okrągły stół, dwa łóżka, a pomiędzy nimi kołyska. Pachną świeżą politurą, drewnem, ciepłem. Są malutkie, ale wykonane z dbałością o szczegóły. Jak prawdziwe mieszkanie pomniejszone do lilipuciego rozmiaru. Zmieściłby się w nim mały Spartak ze swoją małą ukochaną i ich dzieckiem.

– Tak miał wyglądać ich wymarzony dom. Nie doczekali się dziecka, ale bardzo go pragnęli. Wszystko dokładnie odtworzyłam. Jest nawet żelazko, którym prasowałam jego koszulę ślubną. – Wiera delikatnie, żeby niczego nie połamać, podnosi dziecięce łóżeczko. Dotyka mikroskopijnego urządzenia. – To makieta jego życia. Tak by ono wyglądało, gdyby nie zaginął. Ale wierzę, że on jeszcze do nas wróci i wtedy nie będzie już potrzebna. Spartak zamieszka w prawdziwym domu. Spotka dobrą dziewczynę, zakochają się, a ona da mu potomka. Tamta znalazła nowego męża. Nie winię jej za to. Była młoda, pragnęła przeżyć swoje życie. Miała do tego prawo. Utrzymujemy kontakt, czasami się widujemy. Ale ja jestem matką i moim obowiązkiem jest czekać na syna.

Nad biurkiem Wiery wisi pamiątkowy kalendarz wydany przez Muzeum. Dwie namalowane akwarelami zapłakane kobiety pochylają smutno głowy. Zamiast serc mają zwoje drutu kolczastego. Czarne chmury zakrywają słońce. Róże wsadzone za więzienne kraty więdną.

– To my, matki zaginionych. Jedna ma włosy odkryte, a druga osłonięte chustą. Azerka i Ormianka. Nasze państwa, nasi przywódcy, nasze narody podobno się nienawidzą. A my spotkałyśmy się i wspólnie wspominałyśmy dzieci, których od dwudziestu lat z nami nie ma. Góry nie znają narodowości.

Przy wjeździe do Stepanakertu na zielonym kopcu stoi sobie rzeźba „Tatik-Papik”, czyli „babcia-dziadek”. Dziadziuś jest wyższy, dobrze zbudowany, z policzkami porośniętymi gęstą, ale równo przystrzyżoną brodą. Babuleńka niższa, krępa, o zaczesanych na boki włosach układających się w kształt piramidy. Zimą, kiedy wszędzie wokół zalegają zaspy, dziadkowie są zawsze elegancko odśnieżeni. Latem porastająca wzniesienie trawa jest króciutko przycięta, a pod czujnym okiem staruszków biegają dzieciaki przyprowadzane na patriotyczne wycieczki przez swoich wychowawców. Tatik i Papik są pomarańczowo-czerwoni jak wulkaniczny tuf, z którego zbudowano ich poważne, a nawet lekko groźne twarze. Może nawet wolą, żeby

nie określać ich pieszczotliwym zdrobnieniem „Tatik-Papik”, ale oficjalną nazwą „My i nasze góry”. Babcia z dziadkiem stoją tutaj od 1967 roku, ale dopiero w trakcie wojny stali się symbolem niezależnego, ormiańskiego, a nie azerskiego Arcachu. Monument pojawia się dzisiaj wszędzie tam, gdzie Karabach. Na godle państwowym, okładkach książek historycznych, plakatach reklamujących wydarzenia kulturalne. Tatik i Papik codziennie towarzyszą mieszkańcom górskiego Karabachu. Czasami są weseli, ale częściej zawzięci w obronie „czarnego ogrodu”. Przypominają, że ta ziemia musi pozostać ormiańska, że obowiązkiem każdego syna i każdej córki tych gór jest wytrwać na posterunku i bronić Arcachu przed najeźdźcami ze wschodu.

– Poznaj madame Kim! – Garen Garibjan, dyrektor szkoły muzycznej w Szuszi, kłania się lekko, przedstawiając uśmiechniętą staruszkę, która z werwą podaje mi rękę. – Kim to prawdziwy diament, klejnot naszej szkoły – opowiada, kiedy idziemy korytarzem w stronę klasy, gdzie za chwilę nauczycielka poprowadzi lekcję gry na skrzypcach. – Ma osiemdziesiąt sześć lat, ale energii mógłby jej pozazdrościć niejeden młodzieniaszek. Przyjechała do Karabachu, porzucając spokojne życie na emeryturze w Erywaniu. Uznała, że w biednym, zniszczonym przez wojnę kraju trzeba dać dzieciom radość płynącą z muzyki.

Garen też jest imigrantem. Ukończył konserwatorium w estońskim Tallinnie, a potem jako śpiewak barytonowy przez wiele lat występował w Stanach Zjednoczonych. Z amerykańskimi orkiestrami zjeździł pół świata, występował na deskach najbardziej prestiżowych oper i sal koncertowych. Po angielsku mówi lepiej niż po rosyjsku, dostał paszport USA. Człowiek sukcesu.

– Moim obowiązkiem jest podzielić się tym sukcesem z ojczyzną. Dlatego postanowiłem otworzyć w Szuszi tę szkołę. Nasi uczniowie odnoszą międzynarodowe sukcesy. Ośmioletni trębacz Arsen Safarjan już gra z orkiestrą. Kiedyś będzie światowej sławy artystą. Musisz

posłuchać uwertury z opery Wilhelm Tell Rossiniego w jego wykonaniu. – Garen gładzi się po łysiejącej głowie.

– Ale dlaczego otworzyłeś szkołę akurat tutaj, a nie w Stepanakercie? – pytam.

– Bo to serce Arcachu.

Rozłożone na górskim zboczu miasto dumnie spogląda na położony w dolinie Stepanakert. Na początku XX wieku to Szuszi było stolicą Karabachu i pierwszym świadkiem ormiańsko-azerskiej nienawiści. W 1920 roku doszło do masakry Ormian, w której mogło zginąć od pięciuset do nawet trzydziestu tysięcy ludzi. W ciągu trzech dni zniknęła większość chrześcijańskich mieszkańców miasta. Prominentny gruziński komunista Sergo Ordżonikidze tak opisywał te wydarzenia: „Nawet dzisiaj z przerażeniem wspominam to, co zobaczyłem w Szuszi w 1920 roku. Najpiękniejsze armeńskie miasto zostało całkowicie zniszczone, w studniach leżały zwłoki kobiet i dzieci". W 1988 roku z uwagi na strategiczne położenie miasta Azerowie prowadzili stąd permanentny ostrzał artyleryjski karabaskiej stolicy. Zdobycie miasta w 1992 roku uznawane jest za jeden z przełomowych momentów tej wojny, choć jego mieszkańcy zapłacili wysoką cenę za to zwycięstwo.

– Mój syn w latach dziewięćdziesiątych spędził na froncie wiele miesięcy. Przeżył, ale został bardzo poważnie ranny. W wyniku komplikacji ciężko zachorował i po kilku latach umarł. Zgodnie z jego życzeniem został pogrzebany w Karabachu – mówi nagle Kim, zatrzymując się przed drzwiami do sali lekcyjnej. – Jako Ormianka mam obowiązek być tutaj i robić, co mogę, żeby odbudować ten kraj. A jako matka mam do spłacenia dług wobec mojego syna. Wiem, że już nigdy nie wrócę do domu. Chcę spocząć w tej ziemi obok niego. – Jej twarz jest pogodna, gdy o tym opowiada, wpuszczając do środka czekającą na nią uczennicę drugiej klasy.

Ubrana w różowy sweterek Hello Kity dziewczynka ostrożnie otwiera leżący na pianinie futerał i bierze do rączek skrzypce. Kilka pierwszych pociągnięć smyczkiem wydobywa nieprzyjemny dźwięk. Kim marszczy się i delikatnie karci dziewczynkę.

– Nie, nie, musisz inaczej złapać gryf. – Bierze jej dłoń i prawidłowo układa palce na strunach. – Teraz spróbuj jeszcze raz.

Klasę wypełnia przyjemna muzyka. Nauczycielka z zadowoleniem kiwa głową. Jej podopieczna w lot zrozumiała wszystkie wskazówki.

– To ormiańska melodia, a my nigdy nie oddamy tej ziemi, rozumiesz? Gdybyśmy to zrobili, stracilibyśmy samych siebie – mówi, uśmiechając się do dziewczynki, która ponownie trąca smyczkiem struny skrzypiec.

Schody są strome i tak kręte, że z łatwością można dostać zawrotów głowy. W ciasnym korytarzu brakuje świeżego powietrza, światło tylko czasami wpada przez wąskie szczeliny okien. Wreszcie wspinaczka się kończy. Mrok zamienia się w błękit nieba. Ze szczytu minaretu meczetu Aşağı Gövhər ağa jak na dłoni widać całe miasto. Zarośnięte chaszczami ruiny świątyni, dwa smukłe minarety częściowo odbudowanego meczetu Yuxarı Gövhar ağa, przepięknie odnowioną katedrę Ghazanczecoc o ścianach tak białych, jakby wybudowano ją z kości słoniowej. A wokół nich bloki wybałuszające przez pozbawione szyb okna czarne, spalone i opustoszałe mieszkania. Ormianie długo czekali na odwet za rok 1920. W 1988 roku z piętnastu tysięcy mieszkańców Szuszi 98 procent było Azerami. W 2015 roku nikt spośród czterech i pół tysiąca żyjących tutaj ludzi nie przyznawał się do azerskiego pochodzenia. Po dwukulturowej przeszłości pozostały tylko minarety.

Ormianie mają wśród narodów Kaukazu opinię włóczęgów. Gruzin, Czeczen czy Abchaz w obliczu zagrożenia będzie do upadłego bronił swojej ziemi, a Ormianin weźmie swój kij wędrowca i pójdzie szukać szczęścia gdzieś hen daleko. Ormiańskość to raczej przywiązanie do tożsamości kulturowej, języka i religii niż do ziemi. Może dlatego ormiańska diaspora liczy sobie jedenaście milionów ludzi, podczas gdy w Armenii jest niecałe trzy miliony mieszkańców, których z roku na

rok ubywa. Ale z mieszkańcami Karabachu jest inaczej. To ich ziemia święta.

– Już niedługo znowu do niego pojadę! Będziemy razem przez kilka tygodni. – Młoda dziewczyna, którą poznałem w redakcji jednej ze stepanakerckich gazet, cieszy się na samą myśl o spotkaniu ze swoim chłopakiem. Czeka ją daleka podróż, bo ukochany mieszka aż w Australii. On: Ormianin z diaspory na antypodach, ona: dziennikarka ze Stepanakertu. Poznali się, kiedy jej wybranek przyjechał do Karabachu na koncert Karniga Sarkiseana, słynnego piosenkarza tworzącego muzykę patriotyczną. Widują się co kilka miesięcy. Raz na Kaukazie, raz w Sydney. Ale to rozwiązanie tymczasowe. – Kocham go i będę musiała podjąć jakąś decyzję. – Przestaje się uśmiechać. Ta decyzja oznacza przeprowadzkę za ocean. Jego przyjazd tutaj nie wchodzi w rachubę. Zdobyć pracę w tych stronach nie jest łatwo, szczególnie gdy ma się tak egzotyczny fach jak restaurowanie starych samochodów. Zresztą, jak porównać życie w zniszczonym przez wojnę i izolację państwie widmie do mlekiem i miodem płynącej Australii? Dziewczyna nie chce jednak wyjeżdżać. – Mój ojciec był dowódcą czołgu. Zostało mi po nim jedno wspomnienie. Ostatni raz, gdy nas odwiedził, miał dziwnie smutną twarz. Zwykle powtarzał, że wszystko dobrze się skończy, a wtedy tego nie powiedział. Tylko wychodząc, spojrzał na mnie i mamę takim pełnym żalu wzrokiem. Wkrótce potem zginął. – Dziewczyna mówi bardzo powoli. Jej braciszek był wtedy niemowlakiem. Kilka lat po wojnie znaleziony na polu obok domu niewybuch rozerwał go na strzępy. Głupia dziecięca zabawa. Mama nigdy więcej nie wyszła za mąż. Nie ma innych dzieci. Została jej tylko córka. – Kocham mojego chłopaka, ale jak miałabym porzucić kraj, za który zginął mój tata i brat? Ziemię, w którą wsiąkła krew moich najbliższych? – pyta.

Z prawej strony szosy wiodącej na północ Karabachu wyrastają resztki domów. Na początku pojedyncze budynki, potem grupki zabudowań, wreszcie całe miasto widmo. Ağdam. Ruiny ciągną się po horyzont.

Martwe kamienno-ceglane szkielety upiornymi kikutami pokrywają jałową równinę przedgórza Karabachu. W oddali widać wspinającą się do nieba wąziutką kreskę. To minaret ağdamskiego meczetu, jedynego budynku, który cudem uniknął zniszczenia. Przed wojną miasto liczyło trzydzieści tysięcy ludzi. Prawie wszyscy byli Azerami. Dzisiaj jest opustoszałe. Wszyscy mieszkańcy uciekli po zajęciu Ağdamu przez wojska ormiańskie.

Po przeciwnej stronie szosy majaczą zabudowania wioski Iwanian.

– Czy ta miejscowość nie nazywała się kiedyś Chodżały? – zagaduję mojego kierowcę Armena.

– Nazywała, nazywała. – Mężczyzna błyskawicznie ucina rozmowę.

Xocalı, znane bardziej pod rosyjską nazwą Chodżały, to temat niezręczny. Paskudna plama na biografii starej jak świat Armenii i młodziutkiego Karabachu. Grzech wnuków „tatika i papika", na który oka nie mogą przymknąć nawet wyrozumiali, rozpieszczający swoje dzieci dziadkowie. Nocą z 25 na 26 lutego 1992 roku przed nacierającymi ormiańskimi wojskami uciekały do Azerbejdżanu tysiące cywilów. Już zbliżały się do azerskiej granicy, kiedy nagle Ormianie rozpoczęli ostrzał. Do rzezi przyłączyli się niektórzy żołnierze rosyjskiego 366 pułku piechoty zmechanizowanej. Od kul i pocisków artyleryjskich zginęło od 485 do 613 osób, w tym dziesiątki kobiet i dzieci. Podobnie jak w wypadku innych danych dotyczących wojny oraz pogromów ustalenie dokładnej liczby ofiar jest w zasadzie niemożliwe. Każda ze stron podaje swoje własne wyliczenia mające wymiar nie tyle faktograficzny, ile ściśle propagandowy. Masakrę potępiła społeczność międzynarodowa. Pomniki ofiar stanęły w Ankarze, Berlinie, Sarajewie, a nawet Hadze. Rocznica rzezi legła u źródeł azerskiej martyrologii. Stała się dramatycznym znakiem nienawiści Ormian, którzy chcą nie tylko zagarnąć Karabach, ale w ogóle wymazać Azerbejdżan z mapy świata.

– Jak wypijesz, to powróżę ci z fusów. – Ludmiła przechyla miedziany tygielek, nalewając do malutkich filiżanek gorzki, czarny

napój. Powoli sączy ormiańską kawę. Jej otoczony morelowymi i morwowymi drzewami dom w wiosce Togh resztkami sił trzyma się stromego górskiego zbocza. – Podobno w Europie mówi się „kawa po turecku”, ale tak naprawdę to kawa po ormiańsku. – Po chwili przynosi talerz pełen świeżych miękkich owoców hurma, nazywanych czasami czerwonymi pomidorami. – Na ulicach Baku wisiały plakaty ze zdjęciami kurczaków z oderżniętymi głowami, a pod nimi hasło: „Jeśli nie wyjedziecie, to skończycie tak samo”. Kiedy mój synek powiedział w szkole, że nie będzie się uczył azerskiego, to nauczyciel tak go szarpał, że prawie urwał mu ucho. Nie wiem, skąd wzięła się ta nienawiść. Ona przyszła nagle. Miałam znajomych Azerów, Rosjan, Żydów, i nikt się nie zastanawiał, kto jest jakiej narodowości. A potem coś w ludziach pękło. Uciekłam już w 1988 roku po masakrze w Sumgaicie. Wiedziałam, że to dopiero początek. Mój azerski przyjaciel powiedział mi kiedyś, że jest takie tureckie przysłowie: „złe psy są w każdym lesie”, a w naszym lesie właśnie nastał ich czas. Razem z mężem i dziećmi uciekliśmy do moich rodziców mieszkających w Karabachu. Do tego domu. – Kreśli w powietrzu krąg, jakby chciała objąć i przycisnąć do piersi pokój, w którym siedzimy. – To moje gniazdo. Szkoda, że nie mogę dobrze o nie zadbać. Dach jest dziurawy jak sito. Wystarczy, że mocniej popada, i leje mi się na głowę. Wszędzie włazi wilgoć. Władze nie dają żadnych pieniędzy, utrzymuję się tylko z tego, co wyhoduję w ogródku.

W sypialni obok ściany pokrywają zielono-pomarańczowe grzybicze plamy.

– Urodziłam się i wychowałam w zupełnie innym Togh. Wioski mojego dzieciństwa od dawna już nie ma. Zniknęła wraz z wybuchem wojny. W 1988 roku jeszcze wszystko było po staremu. Nawet nie czułam się uchodźczynią, wróciłam przecież w swoje rodzinne strony. Dyrektor szkoły podstawowej był Azerem. Nosiłam jego dzieci na rękach. Przyjaźniliśmy się. Większość sąsiadów też miała azerbejdżańskie pochodzenie. Połowa wioski to byli Azerowie. A potem się zaczęło.

Wychodzimy na przeszkloną werandę. Jeden zrujnowany dom, za nim kolejny. Dalej jeden zamieszkany i następna ruina. Togh to w połowie miasteczko widmo.

– Tam mieszkali moi sąsiedzi, a tam dyrektor, dalej moja dobra przyjaciółka. Też Azerka. – Ludmiła wskazuje kolejne szkielety kamiennych murów. – Wszyscy uciekli, jak nasze wojska weszły do wioski. Wtedy już się nienawidziliśmy, bo najpierw oni nas wypędzili. Któregoś dnia sąsiedzi z tamtego domu przyszli z karabinami i tak pobili mojego brata, że nie mógł wstać o własnych siłach. Podobno dlatego, że sprzyjał ormiańskim „terrorystom", jak nazywali naszych partyzantów. Mojego kilkunastoletniego syna postrzelono w głowę. Tylko cudem przeżył. A potem w nocy pojawiło się wojsko. Tak o nich mówili nasi miejscowi Azerowie. Że to ich azerscy żołnierze. Ale to nie byli żadni żołnierze, tylko zwykłe powypuszczane z więzień bandziory, które chciały nas wymordować. Cztery rodziny spalili żywcem w domach. Z innej przeżyły tylko dzieci, bo rodzice zdążyli je ukryć pod łóżkiem. Znowu musieliśmy uciekać. A kiedy powróciliśmy, mojego Togh już nie było i nigdy nie będzie. Tak samo jak nie istnieje już moje Baku. Teraz bałabym się tam wrócić i tak samo moi azerscy sąsiedzi nie wejdą ponownie do swoich karabaskich domów. Pewnych rzeczy nie da się odwrócić. Wypiłeś kawę? To daj filiżankę, zobaczę, co powiedzą twoje fusy.

Ludmiła bierze filiżankę, przykrywa spodeczkiem, odwraca do góry dnem, a potem spogląda w zakrzepłe na dnie rozmazane kształty.

– Czeka cię długa droga, ale być może osiągniesz kiedyś swój cel. To zależy tylko od twojej wytrwałości – wygłasza wyświechtaną sentencję. – W twoim życiu są dwie kobiety. Oddziela je morze. Będziesz musiał podjąć decyzję, którą z nich wybrać.

– Ludmiła, a co mówią fusy o twoim życiu? – pytam rozczarowany oczywistością przepowiedni.

– Ja nigdy sama sobie nie wróżę.

– Dlaczego?

– Bo dawno temu nie potrafiłam przewidzieć tego, co spotka mnie i moją rodziną. Nie dojrzałam wojny i śmierci. Dlatego więcej nie spojrzałam w swoją przyszłość. Ale innym potrafię czasami coś powiedzieć.

Wójt wioski Talisz położonej na północnym krańcu Karabachu, bezpośrednio przy granicy z Azerbejdżanem, w odróżnieniu od młodej dziennikarki ze Stepanakertu nie tylko nie rozważa opuszczenia swojej ojczyzny, ale nie chce się nawet przenieść do innej, bezpieczniejszej miejscowości. Miejscowość leży w pasie przygranicznym, nazywanym oficjalnie linią kontaktu. Kontakt sprowadza się przeważnie do wymiany ognia z użyciem karabinów maszynowych, granatników, a czasami artylerii. To najbardziej zmilitaryzowany region na całym Kaukazie.

– Kwestia przyzwyczajenia. – Urzędnik lekceważąco macha ręką. – Strzelają z karabinów, granatników, moździerzy. Z okien sypialni czasami widzę świetliste smugi na nocnym niebie. Takie nasze spadające gwiazdy. Ale to bez znaczenia. My musimy odbudować naszą małą ojczyznę – mówi stanowczym głosem.

Jego gabinet mieści się w nieogrzewanej siedzibie administracji. Ciepło bije tylko od ustawionego w rogu opalanego drewnem piecyka. Na ścianie wisi plansza z wizualizacją nowego centrum miejscowości. Zadbane budynki, zielona trawa, szerokie chodniki. To wizja przyszłości. Na razie na błotnistej drodze ślizgają się koła samochodów terenowych, a panorama miasteczka naznaczona jest zrujnowanymi kamiennymi domami.

– Największy problem to dostęp do wody. Siłą rzeczy jesteśmy odcięci od zasobów po azerskiej stronie, a nasze własne są ograniczone. Ludzie muszą się nauczyć ją oszczędzać – opowiada wójt z wyraźnym przejęciem.

– Ręce opadają! – zżyma się później mój kierowca Armen, wskazując palcem przydrożny kranik wypluwający wartki strumień. –

Tyle gadał o niedoborach wody, a za rogiem takie marnotrawstwo!

Energia buzująca w mężczyźnie jest odwrotnie proporcjonalna do jego niewielkiej postury. Urodził się w Marsylii, ale przed kilku laty zdecydował się na powrót do krainy przodków. Ma zdecydowane poglądy i nie boi się ich wygłaszać. Właśnie pokłócił się o rolę diaspory w życiu Ormian.

– Jak ktoś jest patriotą, to powinien przyjechać do Karabachu i tutaj ciężką pracą pomóc krajowi stanąć na nogi. A te całe pieniądze z zagranicy tylko nas demoralizują – peroruje, nawiązując do ogromnych kwot płynących do Karabachu od Ormian mieszkających na obczyźnie. Mimo że od zakończenia konfliktu minęły ponad dwie dekady (zawieszenie broni podpisano 12 maja 1994 roku), w wielu miejscach można odnieść wrażenie, że jeszcze wczoraj trwały tam walki. Dziurawe drogi, zerwane linie energetyczne, zniszczone domostwa.

– Potrzebujemy więcej solidarności, więcej codziennej odpowiedzialności za wspólne dobro. Jesteśmy sami i musimy liczyć wyłącznie na własne siły. Na pięknych hasłach i wielkich ideach daleko nie zajedziemy – opowiada z zapałem, kiedy wspinamy się do szkoły podstawowej położonej w górnej części wioski Talisz. W tym miejscu zbocze wypłaszcza się, przechodząc w biegnącą aż po horyzont równinę. Na płaskiej przestrzeni stoją dwa samotne domki. Ostatnie ormiańskie przyczółki. Dalej jest już tylko linia frontu i Azerbejdżan.

– Oni strzelają nawet do krów, które nieopatrznie wlezą na linię frontu. Co im te biedne zwierzęta zawiniły? – żali się starsza pani pracująca jako woźna w szkole podstawowej.

– Słyszałam kiedyś taką anegdotę – włącza się nauczycielka. – Płynący przez ocean żaglowiec zaskoczyła nagle straszna burza. Sztorm był tak potworny, że zniszczył wszystkie przyrządy nawigacyjne, zmiótł z pokładu zapasy słodkiej wody i zepchnął statek daleko od uczęszczanych szlaków. Marynarze byli przerażeni. Jak okiem sięgnąć tylko morze, a oni bez busoli, bez map, nie wiedzieli, gdzie się znajdują. Byli przekonani, że czeka ich pewna śmierć. Ale

wtem pojawiła się mewa. Usiadła na szczycie masztu, chwilę popatrzyła na statek, po czym odleciała. I tak kilka razy z rzędu. Zaintrygowany kapitan rozkazał płynąć za nią, mewa przylatywała i odlatywała, aż wreszcie doprowadziła rozbitków do bezpiecznego portu. Kiedy statek przybił do pomostu, nagle jeden z marynarzy wyciągnął karabin i zastrzelił ptaka, który uratował im życie. Dlaczego?

– Może z radości chciał strzelić na wiwat i akurat pechowo trafił w mewę – odpowiadam głupkowato.

– Nie, nie. Odpowiedź jest banalnie prosta. Bo mógł.

– Bo mógł?

– Tak, bo mógł. Ptak nie był już mu potrzebny, a nikt go nie powstrzymał. Zło siedzące w człowieku wyłazi wtedy, kiedy mu na to pozwolisz. Gdy nie ma norm i zasad. A u nas na Kaukazie już od dawna wszystko można. Dlatego oni zabijają nasze krowy. Bo mogą.

# Jonasze

Matka rodziła mnie w strasznych warunkach,
W czasie ostrzału, gdy spadały pociski,
Wybuchały ściany, ludzie padali na ziemię.

Ale została w nich wiara.
Rodziny w piwnicach nie mogły oddychać,
Ojcowie na górze.

Naszego ducha nie można złamać.
Dzieci brały do rąk broń,
Odważne jak prawdziwi żołnierze.

Kula w pierś, stój, synku, poczekaj,
Za wcześnie umierać. Podnieś się!
Musimy walczyć dalej,
Nie możemy się poddawać.

Bez tytułu, Aleksiej „Arcach" Hajrijan

Młody chłopak wpatruje się w migający na ekranie komputera teledysk. Z głośników dobiega ukraiński popowy hip-hop. Piosenkarz występujący pod pseudonimem Arcach czule obejmuje dziewczynę, śpiewając o – jakżeby inaczej – nieszczęśliwej miłości.

– Najstarszy syn został w Kijowie. Jest muzykiem. Tam ma pracę, przyjaciół i jakoś zaczął układać sobie życie. Nie chciał wyjeżdżać z nami – mówi Aszot Hajrijan. Jego żona Nune smutno kiwa głową. Ustawia na stole przekąski i karafkę wypełnioną samogonem. Trzeba się rozgrzać, bo właśnie spadł pierwszy tego roku śnieg, a w piecu jeszcze nie napalono. Nagle muzyka milknie, pokój pogrąża się w ciemnościach. Gospodyni po omacku odpala lampę naftową.

– To normalne. Codziennie mamy tutaj przerwy w dostawach prądu – stwierdza. Za oknami wzmaga się zamieć. Wyjący wiatr schodzi ze szczytów otaczających wioskę Mataghis kilkanaście kilometrów od Talisza. – Mam nadzieję, że syn odwiedzi nas na święta

Bożego Narodzenia. To przecież jego ojczyzna – mówi z nadzieją w głosie Nune. Powietrze wypełnia zapach palonej nafty.

– Arcach to jego pseudonim artystyczny, naprawdę nazywa się Aleksiej. Nie zapomniał o korzeniach – uśmiecha się jej mąż.

Aszot urodził się w Karabachu, w wiosce, w której teraz mieszka, i z dumą podkreśla przywiązanie pierworodnego do ojczyzny. Nune jest Ormianką wychowaną w azerbejdżańskim mieście Mingeczaur. Po ślubie młoda para zamieszkała w rodzinnych górach Aszota. Ich sielanka nie trwała jednak długo. W Sumgaicie doszło do antyormiańskich pogromów. Mężczyźni byli mordowani, a kobiety gwałcone. Zginęło ponad trzydzieści osób, a setki zostało rannych. Fala etnicznej nienawiści przetoczyła się przez całą ówczesną Azerbejdżańską Socjalistyczną Republikę Sowiecką. ZSRR zaczynał drżeć w posadach. Na gruzach komunizmu rozwijały skrzydła ruchy narodowowyzwoleńcze, domagające się uznania niepodległości ich ojczyzn. Żądali i Ormianie, i Azerowie.

– Sądziliśmy, że tutaj w Karabachu, pośród naszych rodaków, będziemy bezpieczni – wzdycha gospodarz, napełniając kieliszki.

Pomylił się. Wkrótce wybuchła wojna ormiańsko-azerska.

– Nie minął rok, a nasza ojczyzna stanęła w płomieniach. Zdecydowaliśmy się na kolejną ucieczkę – opowiada Nune.

– Tak, uciekliśmy. Musiałem chronić moją rodzinę – dodaje jej mąż, zaciskając zęby. W przeciwieństwie do wielu innych uchodźców wybrali jednak nie Erywań, ale właśnie wybijającą się na niezawisłość Ukrainę. Mieli tam rodzinę, która zapewniła im schronienie.

– Chyba ciąży nad nami jakieś przekleństwo. Bo jak inaczej nazwać to, że ze wszystkich miejsc w byłym Sojuzie wybraliśmy akurat Donieck! – Nune ni to się śmieje, ni to smuci. – Ponad dwadzieścia lat tam mieszkaliśmy. Młodszy syn tam się urodził. Mieliśmy piękne mieszkanie. Pracę. Europę pełną gębą w 2012 roku. Kto by tam myślał o wojnie. I nagle znowu wszystko straciliśmy.

Gdy miasto na dobre stanęło w ogniu, spakowali się, zamknęli dom na cztery spusty i po raz kolejny uciekli. A może nie tyle uciekli, ile

wrócili do Mataghisu, skąd wyjechali ponad dwie dekady wcześniej. Ich blok na osiedlu w okolicy donieckiego lotniska został w wyniku ostrzału zmieciony do połowy, a mieszkanie było na jednym z wyższych pięter. Podobno nie zostały z niego nawet ściany. Z dawnymi ukraińskimi sąsiadami i przyjaciółmi nie utrzymują już kontaktu.

– Przeżyłem już dwie wojny i razem z rodziną jestem podwójnym uchodźcą. Niezły wynik jak na pięćdziesięciolatka. Niektórzy musieli pożyć z osiemdziesiąt lat, żeby tyle osiągnąć. – Aszota nie opuszcza ponure poczucie humoru.

Jest listopad 2015 roku.

– Jedną jedyną piosenkę o wojnie napisałem w wieku czternastu lat. Jak w Doniecku zaczęli strzelać, to kumple mówili, że wykrakałem. Że wszystko, o czym śpiewałem, dzieje się na ich oczach. Rozwalone domy mieszkalne, porozrywani żołnierze, zakrwawione dzieci. Cały ten wojenny rozpierdol.

Arcach idzie ulicami Kijowa i co chwila pozdrawia facetów w pomarańczowych odblaskowych kamizelkach. Jest nadzorcą kontrolerów parkingowych. Jeździ po całej ukraińskiej stolicy i sprawdza, czy dobrze ściągają opłaty. Z czegoś żyć trzeba, bo przecież muzyką się na chleb nie zarobi.

– Mama rodziła mnie na stole w jakiejś piwnicy. Dookoła spadały bomby. Trwała wojna o Górski Karabach – wzdycha nerwowo, drapiąc się po przedramieniu. Ma na nim wytatuowany chaczkar. Symbol Ormian i Armenii. A potem było dwadzieścia kilka lat spokoju. Mieszkał w Doniecku i Odessie. Dostał ukraiński paszport. Z donieckimi chłopakami chodził do szkoły, przesiadywał na przyblokowych ławkach, palił papierosy. Umiał śpiewać, więc został raperem. Muzyka akurat pasująca do ciężkiego, przemysłowo-blokowego klimatu Donbasu. Jakoś to wszystko szło do przodu. Kończył studia, żeby w kraju bez szczególnych perspektyw mieć jednak jakieś perspektywy. Dyplomu uniwersytetu w Ługańsku nie zdążył odebrać. Zaczęły się

walki. Razem z bratem i rodzicami wyjechał do Karabachu. Chciał tam zamieszkać, ale chciał też wrócić na Ukrainę. Miotał się.

– W Doniecku zostawiłem ukochaną – mówi nieśmiało.

Dziewczyna uciekła do Połtawy i słała do chłopaka wiadomości z prośbą o przyjazd. Że go kocha, że tęskni, że pragnie, aby byli razem. Arcach nie wytrzymał, spakował manatki i dotarł do Kijowa. Próbowali ułożyć sobie wspólnie życie. Nie wyszło. Po jakimś czasie się rozstali.

– Ona wróciła do Doniecka. Jej matka jest Rosjanką. Jak się trochę uspokoiło, to uznała, że lepiej jej tam niż tutaj pośród banderowców. – Puszcza oko. – I zostałem sam.

Czasami rozmawia ze starymi przyjaciółmi mieszkającymi teraz już nie na Ukrainie, ale w Donieckiej i Ługańskiej Republice Ludowej. Podobno jest tam nieciekawie. Bandyterka, bezprawie, syf straszny.

Przy placu Niepodległości ciągną się zdjęcia, znicze, kwiaty upamiętniające demonstrantów pomordowanych przez siepaczy Janukowycza. Codziennie przychodzą tutaj ludzie. Modlą się, zapalają świeczki, patrzą na fotografie. A obok obściskują się pary, ktoś się kłóci, ktoś je hamburgera.

– Dwóch moich kumpli z ławki zginęło w Donbasie. Walczyli po stronie separatystów.

Arcach trochę się zacina. Może nie wypada mu tak tutaj mówić. Na Nowy Rok 2016 pojechał do rodziców. Miał być kilkanaście dni, a został kilka miesięcy. Chodził po górach, polował, łowił ryby. Jadł szaszłyki, pił samogon i zastanawiał się, co zrobić ze swoją przyszłością. Aż tu nagle o czwartej nad ranem w nocy z 1 na 2 kwietnia jego rodzinną wioską Mataghis wstrząsnął huk wybuchów. Nad wzgórzami pojawiła się łuna. Tam, gdzie był Talisz, ostatnia miejscowość przed linią frontu z Azerbejdżanem. Początkowo ludzie myśleli, że to ćwiczenia. Ale wraz ze wstającym świtem również na Mataghis spadły pociski artyleryjskie.

– Jeden uderzył w ogródek sąsiada. U nas powypadały wszystkie szyby z okien. Uciekaliśmy z domu w samych skarpetkach. Byle do

samochodu i jak najdalej od wybuchów.

Arcach od czasu do czasu koncertuje. Ze sceny rapuje o tym, o czym rapują raperzy na całym świecie. Biedzie, ziomkach, jaraniu blantów, psach w mundurach, państwie, które zamiast ci pomóc, gnoi cię na potęgę. Tylko o wojnie nie śpiewa.

– Nie chcę, nie potrafię. Mam dosyć wojen. Chcę, żeby przynajmniej moja muzyka była od nich wolna. Czuję się związany z Ukrainą, bo to moje państwo. Spędziłem tutaj całą młodość. Ale to nie jest moja prawdziwa ojczyzna. Nie wiem, czy potrafiłbym za nią oddać życie. Nie chcę mieszkać w Doniecku, ale nie chcę też ginąć za całe to gówno – mówi.

Jest podenerwowany. Cały czas się uśmiecha, ale jakoś tak za często i za mocno.

– Chciałbym wrócić na front, ale ojciec zabronił. Podobno lepiej przydam się tutaj, pracując i zarabiając pieniądze. Jego słowo to świętość. Trudno. Ale jak znowu będzie wojna w Karabachu, to nie będę się zastanawiał.

Słońce niemiłosiernie pali jałowe szczyty okalające Mataghis. Wieje gorący wiatr. Pył wchodzi we włosy i zęby. Ulice są puste. Na niektórych domach widać dziury po odłamkach i podziurawione jak sito anteny satelitarne. Wszystko brązowo-brunatne. W sepii. Jak w westernach z lat sześćdziesiątych. Cholerny Dziki Zachód. Za rewolwerowców robią żołnierze. Tylko zamiast coltów mają kałasznikowy z postawionymi na sztorc bagnetami. Ale na razie ich nie używają, bo skupiają się na machaniu łopatami przy rowie melioracyjnym. Od końca kwietnia na granicy raczej nie strzelają. Do Mataghisu powoli wracają mieszkańcy. Na razie głównie mężczyźni, którzy boją się o swoje żony i dzieci.

W wyniku kwietniowej azerskiej ofensywy, nazywanej tu powszechnie drugą wojną z Azerbejdżanem, Talisz został zniszczony i nie nadaje się do zamieszkania. W budynku administracji, gdzie pół roku wcześniej

wójt żalił się na problemy z wodą pitną i snuł ambitne plany odbudowy wioski, pocisk moździerzowy dużego kalibru przebił betonowy strop, pokrywając pierwsze piętro grubą warstwą gruzu. Na parterze w pokojach urzędników stoją niezasłane wojskowe łóżka. Resztki konserwy mięsnej gniją na stole. Na ziemi walają się puste ampułki po lekach, bandaże, plastikowo-papierowe opakowania od strzykawek. Pobliska sala ślubów eksplodowała. Potężny wybuch zerwał dach, zarzucając podłogę deskami i kłującymi kłębami waty szklanej. Połamane krzesła leżą w bezładzie.

Działania wojenne w latach dziewięćdziesiątych oficjalnie zakończyły się rozejmem podpisanym w 1994 roku w Biszkeku, którego sygnatariuszami były Armenia, Azerbejdżan i Republika Górskiego Karabachu. Na arenie międzynarodowej pojawiło się nowe państwo – nieuznawane przez nikogo na świecie, nawet przez Armenię – Górski Karabach, przynależący de facto do Armenii, a de iure do Azerbejdżanu. Zanim na porozumieniu pokojowym wysechł atrament, okazało się, że biszkecki świstek papieru nijak ma się do rzeczywistości. Na karabasko-azerbejdżańskiej granicy od prawie ćwierć wieku dochodziło do utarczek. Nikt jednak nie przewidział tego, co wydarzyło się w nocy z 1 na 2 kwietnia 2016 roku.

Zza nieruchomych strzępów firanek wiszących w pozbawionych szyb oknach domu w Taliszu wyglądają Artak, Wahan i Zareh. Dziewiętnastoletni armeńscy poborowi. Pod gałęziami uginającymi się od ciężaru słodkich owoców morwy stoi stolik przykryty serwetką, na nim wazon pełen sztucznych kwiatów. Namiastka domowego zacisza. Sielankowego krajobrazu dopełnia śpiew ptaków. Nic nie przypomina wojny. Nic, prócz tych trzech młodzieńców z kałasznikowami, powybijanych szyb, oderwanego tynku i śmierdzącego mokrą, zgniłą ziemią okopu przy domu.

– Niczego się nie spodziewaliśmy. Były co prawda wzmożone działania po azerbejdżańskiej stronie, ale myśleliśmy, że to ćwiczenia.

Nie oczekiwaliśmy ataku. A oni wyłonili się zza tamtego wzgórza. – Adżik pokazuje porośnięte pożółkłą trawą wzniesienie.

– To był oddział specnazu. Pierwsze uderzenie odparliśmy sami. Pomoc przyszła potem… – mówi Wahan, mocno zaciągając się papierosem. – A strach? Oczywiście. Baliśmy się. Nawet bardzo.

– Tylku dwóch ludzi na świecie zestrzeliło helikopter z ręcznego granatnika. Wiesz kto??? – pyta Artak.

– Nie mam bladego pojęcia – kręcę przecząco głową.

– Sylvester Stallone jako Rambo i nasz ormiański chłopak. Dziewiętnastoletni Narek Malchasjan wziął kałacha, odpalił granat i posłał prosto do piekła azerski śmigłowiec – wszyscy trzej wybuchają śmiechem.

– A drugi, Marat Petrosjan, sam rozwalił pięć czołgów i jeden transporter opancerzony BMP – dodaje Zareh.

– Azerowie mają całą tę nowoczesną technikę, i co? I nic. Ich superdrona zwiadowczego zestrzelił z gwintówki prosty pastuch, jak zobaczył, że coś mu nad domem lata – ekscytuje się Wahan.

– Robert Abadżian nie chciał zostawić w okopie ciężko rannego dowódcy. Skończyła mu się amunicja i jak tamci do nich przyszli, to wysadził się granatem – mówi Walha, a jego koledzy przestają się uśmiechać.

Chłopaki odliczają dni. Opowieści o bohaterskich czynach kolegów dodają im otuchy. Mniejsza o to, ile jest w nich legendy, a ile prawdy. Ważne, że dają nadzieję na przeżycie. Do końca służby zostało tylko kilka miesięcy.

– Karabaskie władze za wszelką cenę chcą udowodnić, że sytuacja jest opanowana. Obiecują nam złote góry, tylko żebyśmy wrócili. Z pracy wzięłam urlop, ale nie wiem, co będzie, kiedy się skończy. Straszą nas, że nas zwolnią. Boję się tam wracać, boję się głównie o dzieci. Przecież w każdej chwili może wszystko zacząć się na nowo… – mówi Anna, dwudziestosiedmioletnia nauczycielka gry w szachy z Matagishu. Jej synek bawi się na łóżku, mąż wyszedł

załatwić jakieś formalności. Rodzina mieszka w jednym ze stepanakerckich hoteli przeznaczonym dla uchodźców z Talisza i Mataghisu.

– My naprawdę przywykliśmy do tego, że codziennie strzelają. Bywało, że ranili albo zabili naszych chłopców w okopach, ale w samej wiosce było spokojnie. Nikt nie spodziewał się wojny. Zaskoczyli nas o czwartej rano. Wszyscy spali. Nasz dom stał w dole, tuż naprzeciwko przedszkola. Wydawałoby się, że to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w całej wsi. Ale jednak nie. Na nasz dom spadły dwa pociski artyleryjskie. Na szczęście nikt nie zginął, choć pierwsze uderzenie trafiło w sypialnię mojego syna i jego żony – opowiada mieszkająca po drugiej stronie korytarza mieszkanka Talisza.

Piętro wyżej siedząca na tapczanie młoda dziewczyna nie może przestać płakać. Łzy same napływają jej do oczu. Troje dzieci w milczeniu przycupnęło obok mamy. Nie odzywają się, nie szlochają. Otępiałe tkwią w milczeniu, wbijając przestraszony wzrok w żółto-białą ścianę. Najmłodszy, kilkuletni chłopczyk, wdrapał się na mamine kolana. W pokoju stoi ołtarzyk, taki jaki kiedyś w pogańskich czasach ustawiano na cześć duchów zmarłych przodków, którzy mieli opiekować się domowym ogniskiem. Jego centralnym punktem jest oprawiony w pozłacaną ramkę portret en face młodego, krótko ostrzyżonego mężczyzny. Za fotografię zatknięto dwa sztuczne czerwone goździki. Pod obrazkiem leżą ordery, medale i dyplomy. Wszystkie nadane pułkownikowi Nikołajowi Aranowi Ajszanjanowi w uznaniu wzorowej żołnierskiej służby. Ostatnią posługę dla ojczyzny oddał pod koniec kwietnia 2016 roku.

– Regularna wojna skończyła się trzy tygodnie wcześniej. Wtedy prawie już nie strzelali, ale mojego męża dosięgła zabłąkana kula. To jego ulubiony zegarek. – Kobieta drżącymi rękami otwiera pudełko, pokazując zegarek z namalowaną na cyferblacie malutką karabaską flagą. – Nie wiem, gdzie pójdziemy, i co z nami będzie. Minęło już cztery miesiące, jak nasz świat się skończył.

Wszyscy mieszkańcy hotelu w centrum Stepanakertu są uciekinierami z wiosek zniszczonych w trakcie kwietniowych walk.

– Od państwa dostaliśmy tylko tymczasowe mieszkanie w hotelu, ale mają nas przesiedlić do innego miejsca. Do byłego szpitala polowego. Ale już im nie wierzę. Nikomu nie wierzę – ciężko wzdycha Anna. Z jej okna widać akademik, w którym od ponad dwudziestu lat żyje dawna przewodnicząca rady miejskiej w Baku i dziesiątki innych uchodźców z Azerbejdżanu.

Po głównym placu Stepanakertu spacerują setki ludzi. Pary trzymają się za ręce, matki pilnują biegających dzieci, młodzież porównuje świat rzeczywisty z tym w ich smartfonach. Podświetlone budynki Pałacu Prezydenckiego i parlamentu nadają karabskiej stolicy sznyt wielkomiejskości. Jest przyjemnie chłodno. W ciągu dnia upał był nie do zniesienia i miasto sprawiało wrażenie na poły wymarłego. Teraz mieszkańcy pojawili się na ulicy, by chłonąć schodzący z gór delikatny wiatr. I przede wszystkim napawać się spokojem.

– Urodziłam się dwadzieścia pięć lat temu w piwnicy, był 1991 rok. Trwały walki. Wiemy, że musimy być silni, bo nikt nam nie pomoże, i musimy liczyć tylko na siebie. Nie płakałam przez te pięć dni wojny. Nie mogłam. Trzeba być silnym, inaczej nie przetrwamy. Erywań jest daleko, a my żyjemy na linii frontu. Armenia i Karabach to nie do końca to samo. Kwiecień w moim życiu zmienił wszystko. Już nic nie będzie takie samo. Z dzieciństwa pamiętam wojenne zniszczenia, ale mimo to byłam szczęśliwa. Miałam kochających rodziców, ciepło rodzinnego domu. A potem, kiedy dorastałam, cały czas nad nami ciążyło widmo konfliktu, ale moje pokolenie nie doświadczyło go na własnej skórze. To trochę jak z wypadkiem samochodowym albo rakiem płuc u palaczy. Wszyscy dookoła mówią ci, że to się może przytrafić, że musisz być czujny. I ty masz tego świadomość, ale tak naprawdę nie wierzysz, że spotka cię coś złego. Chodzisz spokojnie po ulicach, palisz papierosy. I nagle bach. Potrąca cię samochód albo lekarz diagnozuje nowotwór. I twoje dawne życie obraca się w gruzy.

Wiosną tego roku cały mój naród został potrącony przez rozpędzone czołgi – mówi Mali, młoda dziewczyna pracująca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Górskiego Karabachu. Jej brat jest lekarzem wojskowym i kwiecień 2016 roku spędził na froncie, ratując rannych w walkach określonych przez europejskie media jako „nagła eskalacja zamrożonego konfliktu". – Widzisz, po kwietniu my już niczego nie jesteśmy pewni. Może poza jednym. Że będzie następna wojna. A poza tym to nie ma żadnego jutra, jest tylko dziś.

Dokładna liczba ofiar kwietniowych walk jest bardzo trudna do oszacowania, bo Stepanakert i Baku przedstawiają całkowicie odmienne dane. Można jednak założyć, że w sumie zginęło kilkuset żołnierzy, zniszczono wiele czołgów oraz wozów pancernych, zestrzelono co najmniej dwa helikoptery bojowe. I to zaledwie w ciągu kilku dni.

– Nienawidzę Ruskich. Od dwudziestu lat gadali, że są naszymi sojusznikami. A co tam sojusznikami! Przyjaciółmi! – W młodym chłopaku czekającym na marszrutkę do Szuszi wzbiera fala złości. – I przez ten cały czas sprzedawali broń Azerom. Rozumiesz?!? Nas zabijały ruskie grady i pociski artyleryjskie. A Putin, zamiast przyjść z pomocą, zwyczajnie nas zostawił. Zdradził!

Jego wściekłość podziela coraz więcej mieszkańców Karabachu. Jeszcze do niedawna wydawało się, że południowokaukaska układanka jest jasna i klarowna. Armenia i Górski Karabach jako rosyjska forpoczta w regionie. Azerbejdżan jako sprzymierzeniec USA i najbliższy sojusznik Tucji.

Osaczona przez wrogów Armenia postawiła na ścisły sojusz z Kremlem. Rosja sprzedaje Ormianom uzbrojenie, posiada bazę wojskową w Giumri, a rosyjscy pogranicznicy strzegą ormiańskich granic. Ale nie ma nic za darmo. W 2013 roku Moskwa zmusiła Erywań do rezygnacji z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską i wstąpienia rok później do Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej. Polityczna przyjaźń ormiańsko-rosyjska wydawała się

niezachwiana i niezmienna niczym Ararat. A potem przyszedł kwiecień 2016 roku. Rosja nie tylko nie pomogła wtedy Armenii, ale od lat sprzedawała broń obu stronom konfliktu. Z tą drobną różnicą, że Baku kupowało za gotówkę, a Armenia na dobrze oprocentowany kredyt. Business is business. Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew to człowiek, który korzeniami tkwi w strukturach Związku Radzieckiego. Jego ojciec, trzeci prezydent niepodległego Azerbejdżanu Hejdar Alijew, był generałem majorem KGB, szefem azerskiej bezpieki, przewodniczącym Komunistycznej Partii Azerbejdżańskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, wreszcie członkiem Politbiura i wicepremierem całego ZSRR. Hejdar sprawował swój urząd od 1993 roku do śmierci w 2003 roku i uchodzi za twórcę silnego, nowoczesnego, a jednocześnie rządzonego w autorytarny sposób azerskiego państwa. Z kolei sam Ilham jest absolwentem słynnego Państwowego Moskiewskiego Uniwersytetu Stosunków Międzynarodowych MGIMO, czyli rosyjskiej dyplomatycznej kuźni talentów.

Kiedy jednak w kwietniu wybuchła wojna, to niespodziewanie Kreml wykazał daleko idącą powściągliwość, występując w roli bezstronnego arbitra i ograniczając się do wezwania zwaśnionych stron do zawieszenia broni. Tymczasem turecki prezydent Recep Erdoğan bez wahania poparł Azerów, oświadczając: „Modlimy się, aby nasi bracia z Azerbejdżanu zatriumfowali przy najmniejszych możliwych stratach. Będziemy do końca wspierać Azerbejdżan”. Na początku lat dziewięćdziesiątych Alijew ojciec podjął strategiczną decyzję o sojuszu z USA, ale dzisiaj – w dobie spadających cen ropy naftowej i chwiejącego się ładu międzynarodowego – niewykluczone, że to Moskwa jest pewniejszym sojusznikiem niż leżący za oceanem Waszyngton.

Prezydent Alijew przechwalał się, że wydaje na armię dwa razy tyle, ile wynosi cały roczny budżet Armenii. Azerski prezydent, zdaniem mieszkańców Karabachu i Armenii, decyzji o ataku nie podjął sam.

– To oczywiste, że Putin, sprzedając mu broń, dał ciche przyzwolenie na atak. Nie możemy też zapominać o roli Erdoğana, który oficjalnie popiera swoich braci Azerbejdżan. Na dodatek Rosja bardzo chce odzyskać wpływy w Azerbejdżanie i wciągnąć go do Unii Euroazjatyckiej – mówi jeden z pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Górskiego Karabachu. Trudno stwierdzić, jaki jest prawdziwy rezultat kwietniowej ofensywy, bo obie strony podają sprzeczne dane. Ormianie twierdzą, że utracili 800 hektarów terytorium, natomiast Azerowie mówią o zajęciu dwóch tysięcy hektarów karabaskiej ziemi. Tak czy inaczej – demonstracja siły opłaciła się Alijewowi, który wzmocnił swój reżim. A jakby wojny było mało, to w prasie rosyjskiej pojawiły się pogłoski o tak zwanym planie Ławrowa zakładającym wycofanie sił ormiańskich z terytoriów wokół Górskiego Karabachu uznawanych za okupowane, wprowadzenie tam rosyjskich sił pokojowych oraz przyznanie Górskiemu Karabachowi tymczasowego statusu. Szok wywołany tymi wydarzeniami spowodował, że po raz pierwszy od lat w posadach zadrżał oligarchiczno-polityczny układ rządzący Armenią. W połowie lipca bojownicy z nacjonalistycznej organizacji Bohaterowie Sasunu zaatakowali posterunek policji w Erywaniu i przez kilkanaście dni przetrzymywali zakładników, żądając dymisji prezydenta Sarkisjana. Ich narracja była prosta: mafijny układ rządzący naszym krajem dogaduje się z Rosją, żeby dla utrzymania władzy sprzedać Azerom świętą karabaską ziemię. Erywańska ulica zareagowała nieśmiałym, ale rosnącym poparciem dla napastników. Czyżby w Armenii dojrzewała rewolucyjna atmosfera?

– Tak naprawdę weterani pierwszej wojny wiedzieli, że Rosja nam nie pomoże, ale ludzie w to nie wierzyli. Oni zawsze powtarzali, że możemy liczyć tylko na siebie. I mieli rację… Ta wojna zmieniła wszystko. Już nie boimy się krytykować, nie boimy się głośno wyrażać swojej opinii. My już nie mamy nic do stracenia – mówi Armine, dziennikarka ze Stepanakertu. – Nie ma żadnego konfliktu interesów pomiędzy Kremlem i Ankarą. To propagandowy mit obmyślony na

potrzeby światowej opinii publicznej – dodaje, nawiązując do szeroko rozpowszechnionej w zachodnich mediach opinii o napiętych, a nawet wrogich relacjach pomiędzy dwoma państwami. Zestrzelenie jesienią 2015 roku rosyjskiego bombowca, który podczas wykonywania misji nad Syrią naruszył turecką przestrzeń powietrzną, doprowadziło do nałożenia przez Moskwę sankcji i w zasadzie zamrożenia dwustronnych kontaktów. – Sami zobaczycie, że oni się jeszcze dogadają, a Unia Europejska i USA wyjdą na niezłych naiwniaków.

W sierpniu 2016 roku doszło do rosyjsko-tureckiego spotkania na szczycie. Prezydenci Putin i Erdoğan ogłosili nowe otwarcie we wzajemnych stosunkach, wręcz możliwość zawarcia strategicznego partnerstwa. W październiku podpisano zaś umowę o budowie podmorskiego gazociągu Turkish Stream łączącego oba kraje.

– Nie sądziłam, że jesteśmy aż tak zdeterminowani. To, co wydarzyło się w kwietniu, było nieprawdopodobne. Nie mieliśmy potrzeby przeprowadzania powszechnej mobilizacji, bo ludzie dosłownie sami pchali się na front. Mieliśmy nadmiar rąk do strzelania. Tutaj nikt nie zastanawiał się: zostać w domu czy uciekać jak najdalej od wybuchów. Dochodziło do absurdalnych sytuacji, kiedy ochotnicy próbowali przekupić oficerów, żeby zawieźli ich na pole bitwy. Jeden staruszek płakał rzewnymi łzami, że nie wzięli go do oddziału, bo ma za słaby wzrok. Oburzony żalił się, że wszystko doskonale widzi, a poza tym skoro biorą okularników, to dlaczego jemu odmówili – opowiada dziennikarka. – Zapasów od diaspory dostaliśmy tyle, że nasi dzielni chłopcy jedli lepiej niż w rodzinnych domach i palili amerykańskie marlboro. Jestem dumna z bohaterstwa moich rodaków, ale przeraża mnie, że żyjemy z dnia na dzień. Niczego nie planujemy, niczego nie budujemy. Jest taki dowcip, że Ormianie robią odwrotnie niż wszystkie inne narody. Wracają do swojej ojczyzny w czasie wojny, a wyjeżdżają z niej po wojnie. I niestety jest w tym sporo prawdy. Wiesz, kto jest największym pracodawcą w Karabachu? – pyta. – Armia – sama błyskawicznie odpowiada na swoje pytanie. – Jako dziennikarka zarabiam miesięcznie dwieście, czasami dwieście

czterdzieści dolarów, i to jak na nasze warunki świetna zapłata. Emerytura wynosi mniej więcej osiemdziesiąt dolarów. Wystarczy na prąd, wodę, telefon, i tyle. Dalej trzeba kombinować, żeby jakoś przetrwać. Walczymy za widmo naszej ojczyzny. Kto tutaj jada i popija espresso? – Rozgląda się po ekskluzywnej kawiarni hotelu Armenia na centralnym placu Stepanakertu. – Elita. Promil naszego społeczeństwa. A normalni ludzie żyją w zagubionych w górach wioskach i nawet do Stepanakertu rzadko kiedy przyjeżdżają. Nasza sąsiadka 7 kwietnia urodziła pierwsze dziecko. Bardzo chciała dziewczynkę, ale okazało się, że to chłopczyk. I wszyscy byli bardzo szczęśliwi, bo w trakcie wojny potrzebni są mężczyźni. – Armine się zasmuca. – Tak się u nas myśli. Lepiej chłopak niż dziewczyna, bo bardziej przyda się na froncie. To przerażające. Mojemu siostrzeńcowi do końca służby pozostały trzy miesiące. Drugiego dnia walk zginął jego przyjaciel z klasy. Jak rozmawialiśmy przez telefon, to płakał, że umarł mu na rękach. A kilkanaście godzin później sam już nie żył. Dlatego my nie mamy prawa marzyć o przyszłości.

Laczin (po ormiańsku Berdzor) to beznadziejnie senne miasteczko z jednym głównym skrzyżowaniem, wokół którego wyrosły sklepy i bary z szaszłykami. Na początku lat dziewięćdziesiątych było to miejsce o strategicznym znaczeniu, bo korytarz laczyński stanowił jedyne lądowe połączenie pomiędzy Karabachem a Armenią. Kto trzymał przesmyk, ten rządził „czarnym ogrodem". Miejscowy policjant najwyraźniej odrobił lekcję z historii, bo na widok aparatu fotograficznego natychmiast wzywa oficera służby bezpieczeństwa. Funkcjonariusz w miły, acz dosadny sposób informuje, że nie wolno mi tutaj przebywać i mam natychmiast wracać do Stepanakertu. W przypływie dobroci pozwala chociaż dopić zimne piwo. Ten moment wykorzystuje tęgawy Ormianin ze stolika obok.

– Z Polski jesteś? Super! Mieszkałem dziesięć lat pod Ostrowem – wypala płynną polszczyzną. – Ale wróciłem do Karabachu i już stąd nie wyjadę. A jak te skurwysyny Azerbejdżanie przyjdą, to najpierw

ich wystrzelamy, a potem pójdziemy na Baku. Będzie Armenia od morza do morza. – Aż mu się oczy rozświetlają na myśl o nadchodzących zwycięstwach.

– Nikogo podbijać nie będziemy, ale naszej ojczyzny nie oddamy – barman włącza się do rozmowy, studząc zapał swojego kolegi i jednocześnie kładąc na stole wyczarowany spod lady plik zdjęć. – Zobaczcie, to ja w kwietniu tego roku. – Pokazuje palcem mężczyznę z kałasznikowem w dłoni na tle łagodnie opadających wzgórz. – Jak tylko Azerowie zaatakowali, to pojechałem się bić. A wiecie, kto to? – Tym razem palec ląduje na obejmującym go młodzieniaszku też zaciskającym dłonie na kałachu. – To jest mój syn! Urodził się w czasie pierwszej wojny, a na drugiej biliśmy się już ramię w ramię. Krew z krwi, ciało z ciała. Teraz rozumiesz, dlaczego oni nigdy nas nie podbiją?

W wiosce Mataghis Aszot wyszedł z roboty i popija kawę w cieniu drzewa morwowego na zapleczu jedynego otwartego w wiosce sklepu. Obok niego Martin, weteran wojny, obecnie dorabiający jako taksówkarz, bawi się karabinkiem półautomatycznym.

– Zatrudnili mnie w tej małej elektrowni wodnej – opowiada Aszot. – Pierwsze bomby spadły na nią. A tam pracował mój kuzyn. Polecieliśmy z Arcachiem go ratować. Wszystko płonęło. Szczęście, że nic mu się nie stało. U nas szyby poleciały z okien. Drzwi prawie wyrwało z framugi.

Aszot bawi się filiżanką od kawy. Nie chce pić koniaku. Za gorąco. I dla niego, i dla mnie. Uratowali wujka, rodzinę wsadzili na samochód i wywieźli pod Erywań. A potem wrócili do Mataghisu bić się za swój dom. Żeby tamci nie przyszli i ich nie pozabijali. Jak jego kolegi. Dziewięćdziesięcioletniego staruszka, którego podobno zastrzelili razem z żoną, a potem obcięli im uszy.

Aszot patrzy na czyszczącego karabin Martina.

– Nie mogę już znieść tego podróżowania. Jak zaatakują, to nigdzie się stąd nie ruszymy. Mam karabin, umiem strzelać. Poradzimy

sobie. – Teraz już się nie uśmiecha. Jest zawzięty. – To moja ojczyzna. Nikt mi jej nie odbierze. Ani Azerowie, ani cała ta cholerna zgraja na górze. Siedzą po swoich gabinetach i grają nami jak pionkami. Raz już opuściłem Karabach, ale nigdy więcej nie będę uciekał.

– Jak Jonasz. – W Muzeum Poległych Żołnierzy Artur kiwa w zamyśleniu głową, słysząc historię Aszota i jego rodziny. – To stary morski przesąd zaczerpnięty ze Starego Testamentu. Wszyscy wiedzą, że Jonasza połknęła wielka ryba, ale mało kto pamięta o tym, co się wydarzyło wcześniej. Przyszły prorok pojął, że to przez niego Najwyższy zsyła sztormy na statek, którym płynął, i chcąc ocalić załogę, poprosił marynarzy, aby wyrzucili go do morza. W czasach wielkich żaglowców bywało, że płynący przez ocean statek dopadał niewytłumaczalny pech. Wszystko szło jak po maśle, a tu ni stąd, ni zowąd nastaje wielodniowa flauta, potem pojawia się potężna burza, po której morze zaciąga się mgłami, i wreszcie niefortunny szkuner rozbija się o podwodne, niezaznaczone na mapach skały. Zdesperowani marynarze w przypływie rozpaczy zaczynają wierzyć, że ktoś spośród nich jest przeklęty. Że na pokładzie ukrywa się Jonasz i jest tylko jeden sposób, żeby ocalić załogę przed zagładą. Trzeba tego nieszczęśnika wypchnąć za burtę. Złożyć go falom w ofierze. Bo klątwa podąża za Jonaszem, dokądkolwiek pójdzie. Może uciekać na koniec świata, ale i tak będzie naznaczony, ściągając na siebie i na swoich towarzyszy gniew Boga. Aszot jest jak ten biblijno-marynarski przeklęty marynarz. Nie może uciec przed swoim losem. A może nie tylko on, ale my wszyscy jesteśmy Jonaszami – mówi, wieszając na ścianie zdjęcia żołnierzy poległych w wojnie kwietniowej.

– Kiedyś kula snajpera trafiła w szczelinę, odbiła się i rykoszetem zabiła naszego chłopaka. – Następnego dnia dowódca oddziału na linii frontu w okolicy położonego na wschodnich rubieżach Karabachu miasta Martuni przejeżdża palcem po podłużnym wyżłobieniu

w nachylonym pod kątem wycięciu w betonowym schronie. Jasny pasek światła, z którego rozciąga się panoramiczny widok na paloną słońcem równinę. Połacie wysuszonej, żółtej trawy przerywane wykonanymi ludzką ręką wzniesieniami. Przez szkła lornetki można dostrzec bunkry, okopy i zasieki z drutu kolczastego. Tam są oni. Azerowie. W tym samym momencie stamtąd ktoś pewnie spogląda na nas. I widzi dokładnie to samo. Umocnienia, drut kolczasty, czerwone tabliczki z wymalowaną białą farbą trupią czaszką i napisem „Miny". Od ponad dwudziestu lat tylko w ten sposób patrzą na siebie dwie zwaśnione strony. Przez wąskie wycięcie w zbrojonym betonie.

# Osetia Południowa Spółka z o.o.

Ukochana Osetio!
Dla chwały twojego imienia
Stoimy wyprostowani jak świeca.
Tyś jest odwieczną kolebką naszej miłości,
Tyś naszą radością i smutkiem.

Wielki Boże! Twoja łaska, twoje błogosławieństwo,
Daj szczęście Osetii.

Ciężka była twoja przeszłość, osetyjska ziemio.
Podążało za tobą czarne zło,
Ale przez prawdę farry
wszelkie trudności zostały zapomniane.
Ku światłu życia ty zawsze szłaś,
W ciężkich czasach nie załamała się twoja nadzieja,
Zawsze z wysoko uniesioną głową
Otwarcie podążasz naprzód.

Ukochana Osetia, hymn Republiki Osetii Południowej

– Jeszcze dwa tygodnie temu byłem ministrem! – Sosłan jest zrozpaczony. Zupełnie rozbity psychicznie. A przed chwilą sprawiał wrażenie zdecydowanego, twardego mężczyzny, który pewnie kieruje swoim życiem. Teraz zaczyna się rozklejać. – Jak oni mogli mi to zrobić? To niebywałe. Usunąć ze stanowiska takiego profesjonalistę. Dwadzieścia lat przepracowałem, najpierw jako wiceminister, a potem minister do spraw narodowych Osetii Północnej-Alanii – tłumaczy, z trudem gramoląc się za kierownicę swojej limuzyny audi A6 quattro. Zza przyciemnianych szyb widać migający nad rzeką Terek napis „Władykaukaz” ustawiony na wprost kwadratowej bryły miejskiej administracji. – Sam zobaczysz, jak wielkim szacunkiem i wdzięcznością darzą mnie ci ludzie! – Sosłan z racji pełnionej funkcji sprawował opiekę nad osetyjskimi uchodźcami z Gruzji, którzy przybyli

tutaj na początku lat dziewięćdziesiątych oraz w trakcie wojny gruzińsko-rosyjskiej z 2008 roku.

– To wszystko dzięki Sosłanowi! – zapewnia lojalnie Wiera, pokazując odnowione mieszkanie. Ściany pomalowane na ciepłe kolory, szczelne okna z PCV, nowe grzejniki. Kobieta od ćwierćwiecza żyje w stolicy Osetii Północnej. – Ten budynek należał do armii. Kiedy tutaj przybyliśmy, był w opłakanym stanie. Bez prądu, bez wody, bez ogrzewania. Ale takie były czasy. Związek Radziecki się rozpadał, trwał konflikt z Inguszami. Nie mogliśmy narzekać. To i tak wielkoduszność ze strony Rosji, że zdecydowała się nas przygarnąć. Gdyby nie Moskwa, Gruzini by nas wszystkich wymordowali! – dodaje, przy okazji informując, że wprawdzie ona sama przyjechała z Tadżykistanu, ale pozostałe kobiety są prawdziwymi uchodźczyniami z tej strasznej Gruzji. Jej koleżanki pospiesznie przytakują, kiwając głowami. Wszystkie uciekły ze znanego z wyśmienitej wody mineralnej gruzińskiego regionu Bordżomi.

20 września 1990 roku władze utworzonego w latach dwudziestych ubiegłego wieku Południowoosetyjskiego Obwodu Autonomicznego funkcjonującego w ramach Gruzińskiej SRR ogłosiły suwerenność w celu podniesienia swojego statusu do równorzędnej z gruzińską republiki związkowej i połączenia z Osetią Północną. Od początku było jasne, że w przeciwieństwie do wyrywającej się ku niepodległości Gruzji Osetyjczycy chcą zostać w składzie Sowietów. W odpowiedzi na te działania w grudniu 1990 roku gruzińska Rada Najwyższa podjęła decyzję o likwidacji autonomii i wprowadzeniu w regionie stanu wyjątkowego. Zapachniało wojną, szczególnie że do władzy w Gruzji dochodził już kontrowersyjny polityk Zwiad Gamsachurdia głoszący nacjonalistyczne hasła „Gruzji dla Gruzinów”. Przyszły pierwszy prezydent niepodległej Gruzji mówił wprost: „przedstawiciele innych narodów są zaledwie gośćmi na gruzińskiej ziemi, którym gospodarze w każdej chwili mogą wskazać drzwi”. W styczniu 1991 roku doszło do regularnych walk, które z różnym nasileniem trwały do czerwca 1992

roku. W konflikcie zginęło kilka tysięcy osób, a wsparta przez Rosję Osetia została drugą obok Abchazji gruzińską zbuntowaną prowincją o enigmatycznym statusie państwa nieuznawanego. Wprawdzie walki toczyły się tylko na terenie Osetii Południowej, ale w pozostałych gruzińskich prowincjach dochodziło do antyosetyjskich wystąpień. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi takich jak Wiera zdecydowało się porzucić swoje góry i uciec na drugą stronę kaukaskich szczytów do rosyjskiej Osetii Północnej.

– Mieszkaliśmy w strasznych warunkach, ale Sosłan się nami zaopiekował – kontynuuje kobieta, spoglądając nieśmiało na byłego już ministra, który uśmiecha się szeroko. – Pomógł zdobyć pieniądze na remont i teraz możemy normalnie żyć.

– Tak to wyglądało wcześniej. – Oficjel otwiera album fotograficzny i pokazuje zdjęcia zrujnowanych pomieszczeń. – Zobaczcie, kto nas odwiedził! – Wbija paluch w pozującą z uchodźcami hollywoodzką piękność w postaci Angeliny Jolie.

– A ona skąd się tutaj wzięła? – pytam zdumiony.

– W akcję zbiórki funduszy były zaangażowane międzynarodowe organizacje – wyjaśnia, nadal podekscytowany nieprzeciętnej urody aktorką.

– To pieniądze pochodziły z zagranicy?

– Wtedy częściowo tak, ale teraz sami już sobie doskonale radzimy. Nie potrzebujemy żadnego zewnętrznego finansowania. – Sosłan ucina temat, czując, że nieopatrznie wdepnął na grząski grunt.

Pospiesznie żegnamy się z gospodynią i wychodzimy na zewnętrz.

– Teraz rozumiecie, ile dla nich zrobiłem! Jak oni sobie beze mnie poradzą? A oni mnie tak po prostu wyrzucili. Od trzech tygodni słyszę, że dostanę nowe ważne stanowisko, ale nic się w tej sprawie nie dzieje. Katastrofa, katastrofa – powtarza, odpalając audi i włączając czterostrefową klimatyzację.

– Sosłan? A tak, kojarzę go, taki grubasek. Pamiętam, jak przeprowadzał restrukturyzację w swoim urzędzie. Z dwudziestu

urzędników zrobiło się nagle dwudziestu ośmiu, ale jedno się nie zmieniło. Nadal nic nie robią. Taka u nas tradycja – śmieje się Rita, lokalna aktywistka społeczna. – Chcesz zobaczyć, jak mieszkają uchodźcy? To jedziemy! – Pakuje mnie do swojego rozklekotanego auta i wiezie do prestiżowej dzielnicy Władykaukazu mieszczącej się w zatieriecznym rejonie. Miejscowi nazywają ją Rublowką, robiąc aluzję do słynnego przedmieścia Moskwy, gdzie mieszkają najbogatsi Rosjanie. Wzdłuż ulicy ciągną się wille bronione przez kamienne mury i żelazne bramy. – Tutaj urządzili się najbardziej obrotni z nich. Oczywiście są również tacy, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, żyjąc w warunkach urągających ludzkiej godności. Jednym z takich skupisk jest podstołeczna wieś Zawodskoj, ale to są uchodźcy z pierwszej wojny.

Starcia z początku lat dziewięćdziesiątych okazały się zdecydowanie mniej brzemienne w skutki niż rozpoczęta kilka miesięcy później wojna Abchazji. W zbuntowanej prowincji nie doszło do wymierzonych w Gruzinów czystek etnicznych, a zamieszkaną w przeważającej większości przez Osetyjczyków stolicę Cchinwali otaczały gruzińskie wioski. Oficjalnie zwaśnione strony trwały w stanie zamrożonego konfliktu, ale zwykli ludzie swobodnie podróżowali pomiędzy państwem widmem a Gruzją. W miejscowości Ergneti powstało jedno z największych na Kaukazie targowisk, na którym handlowano wszystkim, co tylko miało jakąkolwiek wartość. Wbrew wielkiej polityce sytuacja wracała do normalności. Nikt nie miał szczególnej ochoty do siebie strzelać. Były niezabliźnione rany, ale nie było nienawiści. A potem w wyniku prodemokratycznej rewolucji do władzy w Tbilisi doszedł Micheil Saakaszwili, który uparł się, że Gruzja będzie suwerennym państwem, a nie rosyjską bliską zagranicą. Mijały lata i miesiące, a uparty prezydent krok po kroku realizował plan wielkiego zwrotu swojej ojczyzny na Zachód. Plecami do rosyjskiego niedźwiedzia. Zgodnie z imperialną logiką stref wpływów Kreml nie mógł sobie pozwolić na taką kaukaską samowolę. W nocy z 7 na 8 sierpnia 2008 roku wybuchła druga wojna. Według raportu niezależnej

komisji eksperckiej działającej pod auspicjami Unii Europejskiej: „Ostrzał artyleryjski Cchinwali [stolicy Osetii Południowej] przez gruzińskie siły wojskowe nocą z 7 na 8 sierpnia 2008 stał się początkiem zbrojnego konfliktu na dużą skalę”. Z technicznego punktu widzenia wojnę zaczęli Gruzini. Sęk w tym, że wcześniej ze strony Osetii wielokrotnie dochodziło do militarnych prowokacji, w tym ostrzeliwania gruzińskich wiosek. Saakaszwili wpadł w sidła zastawione przez Kreml albo – jak uważają niektórzy – sam się w nie wepchnął, wierząc w jankesko-europejskich rycerzy na białych koniach zbawiających Gruzję. W ciągu kilkunastu godzin ofensywy gruzińskie wojska zajęły Cchinwali. Radość Tbilisi nie trwała jednak długo. Na żołnierzy Miszy czekały już bowiem zawczasu przerzucone do Osetii jednostki regularnej armii rosyjskiej. W ciągu doby Gruzini znaleźli się w głębokiej defensywie. Rosjanie nie tylko wyparli ich z osetyjskich terytoriów i zbombardowali port w Poti, ale też przekroczyli linię graniczą, zajmując miasto Gori. Nagle w bezpośrednim zagrożeniu znalazło się samo Tbilisi.

– To gdzie są w takim razie te tysiące osetyjskich uchodźców, którzy uciekali przed Gruzinami? – pytam Ritę.

– Trudno w tym wypadku w ogóle mówić o uchodźcach. Kto chciał, to przecież wrócił za góry. Ale większość po prostu mieszka po obu stronach tej iluzorycznej granicy. Właśnie przy Rublowce albo w blokach i kamienicach w centrum miasta. Sama tam mieszkam i czasami żartuję, że niedługo będę musiała się wyprowadzić do Cchinwali, bo nie wytrzymam konkurencji ze strony południowych Osetyjczyków. Najbogatsi pokupowali apartamenty w Moskwie. Przybysze z południa słyną z tego, że potrafią się ustawić. Obsadzili stanowiska w policji oraz różnych innych służbach mundurowych. Opanowali taksówki i marszrutki. Przejęli handel na naszym rynku. Traktują Władykaukaz jak swoje miasto – wzdycha moja przewodniczka.

Na targowisku stragany uginają się od walcowatych brył białego słonego sera, świeżych owoców i słojów wypełnionych przyprawami. Na oddzielnych stoiskach handlarki sprzedają mieszaniny ziół górskich.

– Jak spróbujesz aromatu kaukaskich zboczy, to już nigdy nawet nie spojrzysz na zwykłą czarną herbatę. – Młoda dziewczyna zachwala oryginalną recepturę z dziurawca, tymianku, różnych gatunków mięty, płatków róży, akacji oraz lipy. Mówi po rosyjsku, ale z twardym gruzińskim akcentem. Z kramu obok dochodzi płynny gruziński. – Tak, przyjechaliśmy tutaj z Cchinwali – mówi zielarka, pokazując na swojego sąsiada.

– Proszę, oto efekty pomocy humanitarnej – ironizuje współpracujący z Ritą Nikołaj, gwałtownie zatrzymując samochód przed lśniącym nowoczesnością centrum handlowym. – Wybudowano je już po wojnie, żeby cchinwalczycy mieli gdzie robić zakupy. U nich przecież nic nie ma, więc muszą przyjeżdżać na shopping do nas.

– A Sosłan jest taki zrozpaczony, bo jako minister do spraw narodowych był udziałowcem. A teraz nagle przestał nim być. To boli – dodaje Rita.

– Udziałowcem? – pytam skonsternowany.

– Tak, udziałowcem – puszcza oko.

Przed kawiarnią Vincenzo w centrum Władykaukazu nieopodal prospektu Mira stoi rząd luksusowych samochodów. W większości to zwaliste białe SUV-y o lśniących felgach i dyskretnie przyciemnianych szybach. Najnowsze audi Q8, bmw X5, mercedesy G, toyoty land cruiser. Pordzewiałe łady taryfiarzy nie mają tutaj wstępu. Vincenzo serwuje kuchnię międzynarodowo-ekskluzywną. Miniaturowe porcje na wielkich talerzach. Liczba kelnerek przekracza liczbę gości.

– Osetia Południowa to świetnie prosperujący biznes. – Swietłana jest niezależną dziennikarką. Jej ciemnoszara sukienka nie pasuje do otaczających nas pachnących drogimi perfumami pań w ciężkich futrach narzuconych na garsonki i dżentelmenów pod krawatem

w dobrze skrojonych garniturach. – Po 2008 roku do Cchinwali szerokim strumieniem popłynęły moskiewskie pieniądze przeznaczone na odbudowę wojennych zniszczeń. I faktycznie wiele zrujnowanych budynków udało się wyremontować. Zainwestowano w nowy szpital, kinoteatr, szkoły i przedszkola, muzeum narodowe i teatr dramatyczny wystawiający sztuki w języku osetyjskim. Doprowadzono do porządku główną trasę do Władykaukazu i niektóre z dróg krajowych. W planach jest wybudowanie muzeum trzykrotnego ludobójstwa.

– Trzykrotnego? Osetyjczycy mieli być aż trzy razy poddani całkowitej eksterminacji??? – pytam zdziwiony.

– Oni jakoś tak to liczą. Pierwsze w 1920 roku, jeszcze za czasów Demokratycznej Republiki Gruzji, kiedy stłumiono wspierane przez Rosję Radziecką powstanie w Cchinwali. Zginęło wtedy od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. Kolejne dwa miały mieć miejsce w trakcie wojny z początku lat dziewięćdziesiątych i rzecz jasna w 2008 roku. Za wszystkie odpowiedzialność ponoszą Gruzini. Taka jest przynajmniej oficjalna południowoosetyjska narracja historyczna.

Znamienne, że przez większą część wspólnej historii relacje pomiędzy Osetyjczykami a Gruzinami układały się więcej niż poprawnie. Osetyjczycy wywodzą swoje korzenie od starożytnych Alanów będących jednym z ludów sarmackich, które u progu naszej ery wędrowały po nadwołżańskich stepach. Dlatego pełna nazwa Osetii Północnej to właśnie Osetia Północna-Alania. Jednak Alanowie aż do średniowiecza nigdy nie zapuszczali się na Zakaukazie. Granicą ich królestwa była grań Wielkiego Kaukazu. Historycy spierają się, kiedy Osetyjczycy zaczęli osiedlać się na terenach historycznej gruzińskiej prowincji Szida Kartli, czyli Wewnętrzna Kartlia. Prawdopodobnie proces ten rozpoczął się w XIII wieku, ale bardziej masowego charakteru nabrał dopiero w XVI–XVII stuleciu. Bez względu na zawiłości chronologiczne pewne jest, że osetyjscy chłopi przybywali do Królestwa Kartli za przyzwoleniem, a może nawet na zaproszenie gruzińskich możnowładców, którzy potrzebowali na swoich włościach rąk do pracy. Przy czym nie byli oni przywiązani do

ziemi i mogli zerwać umowę wiążącą ich z panem feudalnym. W tamtym okresie mieszkający w Gruzji Osetyjczycy nie mieli żadnych aspiracji państwowotwórczych. Ich ojczyzna leżała po drugiej stronie gór w Alanii, tutaj byli tylko, mówiąc językiem współczesności, najemnymi pracownikami. Sytuację zmieniło dopiero pojawienie się Imperium Rosyjskiego i utworzenie w 1846 roku oddzielnego okręgu osetyjskiego. Ale również wtedy nie było mowy o etnicznych niesnaskach między dwoma narodami. Według historyków świadomość narodowościowa Osetyjczyków nigdy nie stanowiła zagrożenia dla Gruzji. Nawet powstanie w Cchinwali w 1920 roku, o którym wspomina Swietłana, miało swoje źródła raczej w sporach politycznych niż narodowościowych. Demokratyczną Republiką Gruzińską rządzili wówczas socjaldemokratyczni mienszewicy, podczas gdy Osetyjczycy w ślad za swoimi północnymi rodakami zdecydowanie poparli bolszewików. Konflikt etniczny, który zaowocował ostatnimi wojnami, to spuścizna imperialnej polityki Sowietów.

– Ale wracając do biznesu… – Swietłana pociąga solidny łyk czarnej kawy americano. – Pewne inwestycje zostały zrealizowane, większość pieniędzy rozpłynęła się jednak i nadal rozpływa w kieszeniach cchinwalskich prominentów. Co trzy miesiące Osetię Południową wizytuje minister do spraw Północnego Kaukazu generał Lew Kuzniecow, który sprawdza, czy rosyjskie fundusze są wydawane zgodnie z przeznaczeniem. I co? I nic! Osetia działa na zasadzie firmy rodzinnej, choć oczywiście jej udziałowców nie łączą więzy krwi, tylko wspólny interes. Utrzymanie się przy władzy i czerpanie jak największych korzyści z tego oficjalnie państwowego, a w praktyce biznesowego przedsięwzięcia. Oczywiście z punktu widzenia Cchinwali, bo my, czyli Rosja, realizujemy tam cele jak najbardziej polityczne.

Osetia Południowa mierzy z północy na południe 40 kilometrów, ze wschodu na zachód – 90 kilometrów, łącznie zajmuje powierzchnię 3900 kilometrów kwadratowych. Dla porównania województwo mazowieckie liczy sobie ponad 35 000 kilometrów kwadratowych. Kiedy spojrzymy na mapę, zobaczymy, że mieści się praktycznie

w samym centrum Gruzji, która otacza ją z trzech stron. Z Cchinwali do Tbilisi jest raptem 120 kilometrów, a osetyjska granica nazywana oficjalnie Graniczną Linią Administracyjną (ABL) w niektórych miejscach przebiega zaledwie kilkanaście kilometrów od głównej drogi łączącej gruzińską stolicę z całą zachodnią częścią kraju. Wymarzona lokalizacja do błyskawicznej ofensywy, co zresztą udowodniły rosyjskie wojska w 2008 roku. Z militarno-strategicznej perspektywy Osetia jest dla Kremla zdecydowanie cenniejszym nabytkiem niż położona na rubieżach Gruzji Abchazja.

– Identyczną kawiarnię otworzono ostatnio w Cchinwali. – Swietłana komentuje przysypany cukrem pudrem mikroskopijnych rozmiarów sernik w gorącej malinowej polewie, który właśnie wjechał na nasz stół. – Udziałowcy wreszcie nie będą musieli przyjeżdżać do Rosji, żeby normalnie zjeść – dodaje z przekąsem. – Żeby porozmawiać z Osetyjczykami, wcale nie musisz fatygować się do Osetii. Wystarczy, że pokręcicie się po Władykaukazie. Nikt tak naprawdę nie chce tam mieszkać. Jeśli jeszcze nie wyjechałeś, to znaczy, że albo jesteś za biedny i za stary na przeprowadzkę, albo masz interesy, których musisz doglądać. W tym drugim wypadku i tak prowadzisz życie po obu stronach granicy. Nie wierzysz? – Swietłana zauważyła moją skonsternowaną minę. – To spójrz na tablice rejestracyjne samochodów zaparkowanych przed wejściem do tej skądinąd przemiłej knajpki.

Wychodzę na zewnętrz i robię dyskretny przegląd wypasionych terenówek. Na prawie wszystkich tablicach umieszczono biało-czerwono-żółtą osetyjską flagę i trzy litery: „RSO”. Skrót od angielskiego „Republic of South Ossetia”, czyli Republika Osetii Południowej. W państwie nieuznawanym oficjalnie mieszka 120 000 obywateli, nieoficjalnie liczba ta kształtuje się na poziomie od 30 000 do 70 000.

– A teraz rozejrzyj się po tych wszystkich ważnych ludziach, którzy obok nas siedzą – dodaje szeptem. – To są właśnie udziałowcy. Dlatego też Osetia ma zupełnie odmienny od Abchazji model działania

na arenie międzynarodowej. Suchumi szuka innych niż Rosja zewnętrznych partnerów. Mają swoje przedstawicielstwo w Turcji, weszli w kontakty z włoską Ligą Północną. Cchinwali dopiero od niedawna wykonuje takie ruchy, ale coś niemrawo im to idzie. Jakiś czas temu odwołali ambasadora z Moskwy, który służył tam przez dziesięć lat i przez pół roku był wakat. Im po prostu niespecjalnie zależy na jakichkolwiek kontaktach zagranicznych, o uznaniu międzynarodowym nie wspominając. Jak powszechnie wiadomo, biznes lubi ciszę. – Wybucha śmiechem.

– Ciszej jedziesz, dalej dojedziesz – dodaję.

– Tak. Widzę, że w lot łapiesz nasze reguły gry. Może spróbujesz zostać udziałowcem. – Nie przestaje się śmiać. – Co jakiś czas osetyjscy politycy odgrażają się, że zorganizują referendum w sprawie przyłączenia do Rosji. Ostatnio takie deklaracje padły na wiosnę 2016 roku. Ale to tylko zasłona dymna obliczona na potrzeby wewnętrznych rozgrywek politycznych. Wojna z 2008 roku jednoznacznie nastawiła Osetyjczyków przeciwko Gruzinom. Przeciętny osetyjski obywatel chciałby, żeby jego ojczyzna stała się częścią Federacji, bo to zagwarantuje im bezpieczeństwo. A przede wszystkim Osetyjczycy mają nadzieję, że uwolni ich od biedy, korupcji i bezprawia. W tej firmie, jeśli jesteś nie udziałowcem, ale robotnikiem, to nie masz żadnych praw pracowniczych. Mieszkańcy Osetii skargi na niesprawiedliwe traktowanie częściej niż do swojego prezydenta Tibiłowa ślą do Putina. Ale cchinwalscy decydenci doskonale wiedzą, że wejście do Rosji to na chwilę obecną mrzonka. Nawet jeśli taki plebiscyt przeprowadzą, to nie wywoła on żadnych realnych skutków, bo Moskwa nie ma najmniejszej ochoty przyjmować kolejnego podmiotu. Ona już zabezpieczyła swoje wpływy. W Osetii Południowej znajdują się nasze bazy wojskowe, armia osetyjska liczy około 1800 żołnierzy, a rosyjski kontyngent wojskowy około 4500. Do niedawna szefem sztabu wojsk Osetii był Rosjanin. Nawet wojskową piekarnię pobudowała Moskwa. Osetyjscy wojacy jedzą rosyjski chleb. Zresztą tak na zdrowy rozum to niby po co ich politycy mieliby przeć do

zjednoczenia z rosyjską macierzą? Teraz są ministrami, deputowanymi, premierami, a w ramach Federacji kim by byli? Urzędnikami jednej z wielu naszych prowincji, których można utrącić z taką łatwością, jak utrącono kolegę Sosłana. Poza tym pensję prezydentowi niepodległej Osetii Południowej i tak wypłaca Kreml. Taka to osetyjska niezależność!

Dopijamy kawę, dojadamy serniki i wychodzimy na mroźno-wilgotne jesienne powietrze. Pod Vincenzo zajeżdża kolejny samochód. Terenowy mercedes na południowoosetyjskich blachach.

– Ach, Cchinwali, moje Cchinwali. – Irina aż cmoka, rozpływając się w marzeniach o osetyjskiej stolicy. – Miasto artystów, miasto sztuki. Nazywano je małym Paryżem i wkrótce znowu odzyska utracony blask. U nas nigdy nie podano by w restauracji takiego octu! – Wykrzywia się, próbując czerwonego wina i sztorcując speszoną kelnerkę. Irina Janowska, obrotna dziennikarka z Cchinwali, wykazała się poczuciem humoru, zapraszając mnie we Władykaukazie do gruzińskiej restauracji przy ulicy Dymitra Pożarskiego, który zasłynął wypędzeniem Polaków z Kremla w 1612 roku. Kilka dni przed naszym spotkaniem, 4 listopada, prospektem Mira przeszedł marsz na cześć tego wydarzenia. W 2004 roku zdecydowano, że zużytą rocznicę wybuchu rewolucji październikowej zastąpi nowe święto państwowe, przypadający na 4 listopada Dzień Jedności Narodowej upamiętniający pogonienie Lachów z rosyjskiej stolicy.

Irina ma pięćdziesiąt kilka lat i tryska optymizmem połączonym z niespożytą energią witalną. Zna kilka angielskich słów i zwrotów, była na wymianie w USA, realizuje w Osetii projekty społeczno-kulturalne we współpracy z enigmatycznie brzmiącymi międzynarodowymi organizacjami. Światowa kobieta.

– Ukończyłam studia dziennikarskie na uniwersytecie w Tbilisi, ale od 2006 roku mam zakaz wjazdu do Gruzji. Administracja Miszy uznała mnie za persona non grata. Sama nie wiem dlaczego. Może sądzili, że jestem szpiegiem. Kto by tam za nimi nadążył. Nie ma co

się przejmować, wypijmy za prawdę! – Przy trzecim podejściu wreszcie doniesiono wino nietrącące kwasem i teraz dziennikarka wznosi toast za toastem. – Nie tęsknię jakoś szczególnie za Gruzją. U siebie w Osetii mam wszystko, czego mi potrzeba. Żałuję tylko trzech mieszkań w Tbilisi, które mi zabrano. Jak wybuchła wojna, byłam we Władykaukazie. Na szczęście z moich bliskich nikt nie zginął. Tylko w domu szyby z okien powypadały.

– Jesteś Osetyjką, ale Janowska to polskie nazwisko.

– Tak, po mężu. On ma polskie korzenie i jest Polakiem. To znaczy bywa Polakiem. – Irina mruży oczy, patrząc, jak uzupełniam jej kieliszek czerwonym trunkiem.

– Bywa?

– Żyjąc na Kaukazie, szczególnie w tak newralgicznym miejscu jak Osetia, trzeba opanować sztukę rozsądnego dobierania sojuszników. Dzisiaj wy, Polacy, jesteście na cenzurowanym. Popieracie ukraińskich banderowców, niszczycie pomniki i cmentarze Armii Czerwonej, ciągle o coś się Rosjan czepiacie. Ale czasy mogą się zmienić. A poza tym polskie organizacje humanitarne również u nas działają. Tak że tak, Polakiem można bywać.

– A Osetyjczykiem też się bywa?

– Wypijmy za przyjaźń polsko-osetyjską. – Irina ignoruje pytanie i zdecydowanym ruchem podnosi kieliszek, tym razem rezygnując z wygłoszenia zwyczajowego na Kaukazie długiego toastu. Duszkiem wypija wytrawne wino prosto z gruzińskiej Kachetii. Córka Iriny studiuje w Moskwie, a druga została niedawno rzecznikiem prasowym samego prezydenta Leonida Tibiłowa. – Nie chcemy wyjeżdżać między innymi dlatego, że mój mąż był tak zwanym likwidatorem. Pracował przy usuwaniu skutków awarii w czarnobylskiej elektrowni jądrowej i osetyjskie górskie powietrze bardzo dobrze mu służy. A poza tym nam się w Cchinwali dobrze żyje. Oczywiście są pewne reguły, do których musimy się stosować. Na przykład kiedy wyjeżdżam gdzieś z wykładem, zawsze daję referat do przeczytania urzędnikom z MSZ-etu, żeby wiedzieli, o czym będę mówić i czy na przykład nie

poruszam tematów wrażliwych z punktu widzenia bezpieczeństwa naszego kraju. Wam może się to wydawać dziwne, ale my żyjemy jak w oblężonej twierdzy. Konflikt nie jest zakończony i musimy być wyjątkowo czujni.

– Naprawdę boicie się Gruzinów? Przecież przed wojną z 2008 roku mieliście może nie przyjacielskie, ale przynajmniej poprawne relacje.

– A jak się mamy nie bać? – Irina jest poirytowana, bo do przyniesionej na rozgrzanej patelni mieszaniny baraniny i warzyw dodano jej zdaniem za mało bakłażanów. Kelnerka w podskokach poleciała do kucharza wymienić potrawę na bardziej pasującą podniebieniu dziennikarki. – To Saakaszwili na nas napadł, a nie my na niego. Poza tym już przed inwazją próbował nas okrążyć. Na północ od Cchinwali istniały gruzińskie wioski Tamaraszeni, Aczabeti i Kurta. Misza wymyślił sobie, że stworzy z nich tbiliską piątą kolumnę. Konkurencyjny wobec legalnych osetyjskich władz podmiot reprezentujący interesy Gruzinów. Dziwny twór rozsadzający od wewnątrz moją ojczyznę.

W 2007 roku gruziński parlament przyjął ustawę powołującą do życia Tymczasową Administrację Osetii Południowej ze stolicą w Kurcie. Na jej czele stanął rodowity Osetyjczyk Dmitrij Sanakojew pełniący wcześniej krótko funkcję ministra obrony oraz premiera quasi-państwa.

– Saakaszwili zakazał Osetyjczykom przejazdu przez gruzińskie enklawy, a tamtędy biegnie główna szosa łącząca Cchinwali z Dżawą, drugim co do wielkości miastem kraju, i dalej przez tunel Rokijski z Władykaukazem. Musieliśmy jeździć naokoło bardzo niebezpieczną, szczególnie zimą, biegnącą przez wysokogórskie przełęcze drogą dzarijską. Osetyjczycy, którzy zdecydowali się przedostać przez gruzińskie enklawy, często ginęli w niejasnych okolicznościach. To miała być przyjaźń? – Irina rozkłada ręce, zawieszając głos na retorycznym pytaniu. Przy okazji zapomina jednak dodać, że to prorosyjska propaganda opowiadała o rzekomym zakazie

i okropnościach czekających na nieroztropnych Osetyjczyków, którzy ośmielili się go złamać.

– Dlatego musieliście spalić te wioski?

– Znowu przynieśli kwaśne wino. – Irina się krzywi. – Tego się pić nie da! Jak przyjedziecie do Cchinwali, to ugoszczę was osetyjskimi domowymi trunkami! Zaśpiewajmy coś na osłodę. – Dziennikarka w wolnych chwilach śpiewa w cerkiewnym chórze. Bierze głęboki wdech i wypuszczając powietrze, intonuje przepięknym altem przechodzącym w sopran utwór sławiący Boga Stwórcę, pokój i miłosierdzie.

– Nie wiem, czy musieli, ale na pewno Osetyjczycy byli na Gruzinów wściekli. Ty byś nie był, gdyby próbowano przemocą wyrwać skrawek Polski? – Murat Elbrusowicz Tchostow, szef wydziału Federalnej Służby Migracyjnej Osetii Północnej-Alanii ma kwadratową łysą czaszkę, kwadratową szczękę i świdrujące spojrzenie. – Może to jakaś forma historycznej sprawiedliwości. Jeśli sądzisz, że patriotyzm Osetyjczyków był na pokaz i wszystko załatwili rosyjscy żołnierze, to głęboko się mylisz. Oni naprawdę w 2008 roku chcieli walczyć i naprawdę świętowali swoje osetyjskie, a nie rosyjskie, zwycięstwo. Sam jestem Osetyjczykiem, wprawdzie z północy, ale zależy mi na niezależności naszych południowych rodaków. Chcę, żeby nad Cchinwali powiewała osetyjska flaga, ale zrozumiem też rosyjską, jeśli zajdzie taka konieczność. Osetyjczycy zawsze byli sojusznikami Kremla, w przeciwieństwie do innych kaukaskich ludów nigdy nie walczyli z Moskwą. Dobrowolnie weszliśmy w skład Imperium. Najważniejsze, żeby nie było tam Gruzinów.

– A czy Osetia jest naprawdę niezależna?

– A czy Polska jest niezależna? Czy poradzicie sobie bez unijnych pieniędzy, zewnętrznych dostaw gazu, amerykańskiego wsparcia, chińskich produktów? Na świecie są tylko dwa samodzielne państwa. USA i Korea Północna – stwierdza Murat, a przytakuje mu Aleksiej Czibirow specjalizujący się w dziejach Sarmatów profesor historii na

władykaukaskim uniwersytecie imienia osetyjskiego pisarza Kosty Chetagurowa. Prywatnie syn pierwszego prezydenta niepodległej Osetii Południowej Ludwiga Czibirowa. – Więc jeśli w ten sposób rozumiesz niezależność, to tak, Osetia zdecydowanie jest niezależna. Sam się przekonasz, jeśli dostaniesz pozwolenie na wjazd i odwiedzisz moją ojczyznę.

– Wiesz chociaż, dlaczego cię nie wpuścili? – trapi się zaprzyjaźniony prawnik z Władykaukazu, słysząc złe wieści. Mimo wsparcia oficjeli z Władykaukazu, dziesiątków wysłanych wiadomości, skrupulatnie wypełnionych aplikacji wizowych Osetyjczycy odmówili mi prawa wjazdu na teren ich państwa. Powodów negatywnej decyzji rzecz jasna nie podano. Na nic zdały się kolejne telefony, maile i rekomendacje. Po prawie trzech tygodniach rozmyślań władze w Cchinwali dały jasną i zdecydowaną odpowiedź: niet. Granica z Osetią była dla mnie zamknięta.

– Podobno nad sprawą pochylił się sam prezydent, ale niestety uraziłem go jednym niefortunnym stwierdzeniem zawartym we wniosku: „państwo nieuznawane”. A przecież Osetia została uznana przez Rosję, Wenezuelę, Nikaraguę oraz Nauru. Tak że jest to państwo nie tyle nieuznawane, ile częściowo uznawane. No i Tibiłow się obraził, że sugeruję, jakoby był nieuznawanym prezydentem, podczas gdy jest prezydentem częściowo uznawanym.

– Dobre! – Prawnik wybucha szczerym śmiechem. – A tak poważnie, to wiesz: biznes lubi ciszę i nie lubi wścibskich dziennikarzy.

Porośnięty wyschniętą żółtą trawą pagórek jest poorany głębokimi lejami po bombach. Rozpostarty na betonowych słupach płot z drutu kolczastego położył się na ziemi. Na szczycie wzgórza stoi zniszczony bunkier, z którego wystawił łeb bezpański kundel o fantazyjnie zawiniętym w górę ogonie. Pies z ciekawością obserwuje przybyszów w niebieskich kamizelkach ozdobionych unijnymi gwiazdkami. Głośnym szczekaniem zwołuje swoich towarzyszy. Po chwili grupkę

ludzi otacza ujadająca sfora. Szczerzą kły, ale boją się podejść blisko. Jeden z mężczyzn wyciąga lornetkę i przez szkła obserwuje położone w dolinie miasto. Nie słychać zgiełku ruchu ulicznego, nie widać ludzi załatwiających codzienne sprawunki. Okoliczne zbocza straszą szkieletami opuszczonych domów. Zbite w kupę niskie, najwyżej kilkupiętrowe budynki ponakrywano dachami z czerwonej blachodachówki. Wszystkie są identyczne, jakby wyszły z tej samej fabryki i w jednym momencie zostały narzucone na Cchinwali. Z tej czerwono-blachodachówkowej monotonii osetyjskiej stolicy wybijają się dwa wieżowce z wielkiej płyty. W większości okien brakuje szyb, w bocznych ścianach widnieją osmolone wyrwy po pociskach dużego kalibru.

– Postaraj się jak najmniej mówić. Od tego momentu jesteśmy cały czas filmowani, fotografowani oraz nagrywani. Oni słyszą wszystkie nasze rozmowy – ostrzega mężczyzna, odsuwając lornetkę od twarzy.

Złowrodzy „oni" to funkcjonariusze podległej Federalnej Służbie Bezpieczeństwa straży granicznej zazdrośnie strzegący osetyjsko-gruzińskiej linii rozgraniczenia. Rosjanie od kilku lat systematycznie fortyfikują granicę. Ustawiają metalowe szpalery albo rozciągają zwoje concertiny – żyletkowego drutu kolczastego. „Mur" nafaszerowany jest najnowocześniejszym sprzętem podsłuchowym i kamerami termowizyjnymi.

– Mysz się nie prześlizgnie. Zaraz po wojnie było inaczej. Podchodziliśmy do rosyjskich żołnierzy. Wymienialiśmy uprzejmości i rozmawialiśmy jak normalni ludzie. Niektórzy z nich twierdzili, że mają polskie korzenie, próbowali powiedzieć coś po polsku. Byli bardzo życzliwi. Potem pogawędki się skończyły. Teraz pogranicznicy mają absolutny zakaz komunikowania się z obserwatorami, a na nasz widok wkładają kominiarki – tłumaczy dowódca polskiego kontyngentu w ramach Misji Obserwacyjnej Unii Europejskiej w Gruzji. – Pałacu Prezydenckiego stąd nie dojrzycie, ale tam jest ich posterunek. – Pokazuje przykryty siatką maskującą transporter opancerzony, obok którego znudzonym krokiem przechadza się jakiś żołnierz. Zdejmuje

tielniaszkę i wypręża klatkę piersiową w stronę piekącego słońca. Mimo bliskości ośnieżonych szczytów żar jest nie do zniesienia. Do jednostki wojskowej mamy może ze sto pięćdziesiąt metrów. Przez lornetkę wydaje się dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Trochę dalej przed rozprutym wybuchami budynkiem wciągnięta na wysoki maszt powiewa osetyjska flaga. Przed nim ustawiono biały prawosławny krzyż, a na zburzonym bunkrze zamocowano wieżyczki od wozów bojowych BMP. Dookoła leżą bukiety i wieńce.

– To pomnik ofiar ostatniej wojny. Miejsce wybrano nieprzypadkowo. On nie jest dla Osetyjczyków, tylko dla Gruzinów – tłumaczy drugi oficer. – Gruzińscy żołnierze patrolujący linię codziennie go oglądają. Przypomina im o przegranej wojnie i o tym, że to nie jest i nie będzie gruzińska ziemia. Jedźmy dalej, to pokażę wam coś jeszcze. – Otwiera drzwi do terenówki, zamaszystym gestem zapraszając do środka.

Gwałtowny podmuch wiatru trzaska umieszczoną w ogrodzeniu furtką. Kamienistą, burą i gdzieniegdzie tylko upstrzoną krzakami równinę przecina ciągnący się po horyzont metalowy płot. Przez niedomkniętą bramkę przechodzić mogą tylko rosyjscy żołnierze. Czarna koza smętnie snująca się wzdłuż metalowej zapory musiała pozostać po drugiej stronie.

– Stój! – Jeden z obserwatorów gwałtownie łapie mnie za ramię. – Nie odchodź od samochodu, dopóki dokładnie nie sprawdzimy naszego położenia – dodaje, wyjmując z plecaka odbiornik GPS i wpatrując się w migającą na ekranie mapę topograficzną. – Ogrodzenie ustawiono jakieś dwadzieścia metrów od Granicznej Linii Administracyjnej w głąb terytorium Osetii Południowej. Z punktu widzenia Rosjan i Osetyjczyków ta ziemia nie należy do Gruzji, tylko do władz osetyjskich. Jeżeli podejdziemy bliżej, to mogą nas zaaresztować za nielegalne przekroczenie granicy.

Taki los spotyka co jakiś czas mieszkańców okolicznych wiosek. To, co na papierze jest niewinną kreską, w rzeczywistości dzieli na dwie

połowy wsie, lasy i pastwiska. Ludzie, którzy od zawsze swobodnie wypasali swoje stada i prowadzili wyrąb drewna, nagle znaleźli się w niedookreślonej strefie buforowej. Co rusz kogoś zatrzymują za nielegalne wtargnięcie na obszar Osetii. Na ogół pechowiec spędza trochę czasu w areszcie, zanim po zapłaceniu grzywny zostanie wypuszczony na wolność.

Dwóch mężczyzn siedzących na ławeczce w centrum przygranicznej wioski Ditsi nie ma ochoty na dłuższą rozmowę. Sprawiają wrażenie zmęczonych i obojętnych.

– A o czym tu gadać. Wcześniej chodziliśmy swobodnie po naszej ziemi, a teraz ustawili płot. Odgrodzili nas – ucinają dyskusję.

– Lepiej trzymać się z dala od granicy. Rosyjski niedźwiedź potrafi pokąsać nawet przez siatkę – dodaje kolejny, naciągając na oczy kapelusz. W tym miesiącu Rosjanie wspólnie z Osetyjczykami zaczęli budować kolejne fragmenty ogrodzenia, zdaniem Gruzinów nielegalnie przesuwając granicę. – Żebyśmy tylko którego pięknego poranka nie obudzili się wewnątrz tego osetyjskiego stalowego balonika. Po niewłaściwej stronie płotu.

– Nie mam nawet jednego zdjęcia moich dziadków, fotografii z dzieciństwa, moich ulubionych książek albo dziewczęcych zabawek. Nic. Wszystko pozostało w Eredwi. Nie mogę nawet pojechać na grób dziadka – opowiada Ekaterine Beruashwili, siedząc w zasypanym śniegiem pensjonacie w bieszczadzkiej Cisnej. Dziewczyna studiuje w Polsce, a teraz pomaga przy organizacji szkoleń „Bliżej demokracji" zorganizowanych dla jej gruzińskich rówieśników. – Miałam trzynaście lat, kiedy wybuchła wojna. Nasza wioska była położona po stronie gruzińskiej, zaraz przy linii rozgraniczenia. W 2008 roku dużo strzelali. Przyzwyczailiśmy się do odgłosów wybuchów. Ale nikt nie spodziewał się, że może dojść do prawdziwego konfliktu. Akurat tego roku lato było wyjątkowo piękne. Sierpień to czas zbiorów. Ludzie pracowali na polach. Mieszkaliśmy obok siebie, Gruzini i Osetyjczycy. Osetyjki

kochały się w gruzińskich chłopcach, a nasi dżygici podrywali osetyjskie piękności. Nie było żadnej nienawiści. I nagle się zaczęło. Pojawiła się armia gruzińska. Młodziutcy chłopcy, pewnie nawet nie dwudziestoletni. A następnego dnia już uciekali. I to byli inni ludzie. Brudni, wykończeni, z przerażeniem w oczach. Niektórzy we krwi, ranni. – Gruzinka lekko przymyka oczy. –Wtedy już wiedzieliśmy, że nadciąga rosyjska armia. To trochę śmieszne, ale wyobraź sobie, że oni byli głodni. Kuzyn mieszkający w gruzińskiej enklawie na południe od stolicy opowiadał, że przyszli do ich domu i prosili o jedzenie, a przy okazji wódkę. Superpotęga wojskowa, czołgi, samoloty, ale z aprowizacją mieli kłopot. Jednocześnie pojawiły się plotki, że przed regularnymi wojskowymi idzie czeczeński spec-oddział. Później krążyły przerażające historie o grabieżach, mordowaniu kobiet i dzieci, gwałtach dokonywanych przez Czeczenów.

Ekaterina opowiada o okrytym złą sławą batalionie Wostok dowodzonym przez słynącego z odwagi, ale i okrucieństwa Sulima Jamadajewa. Jamadajew w pierwszej wojnie czeczeńskiej walczył przeciwko Rosjanom, ale potem przeszedł na stronę Moskwy. Parasol ochronny roztoczył nad nim rosyjski wywiad wojskowy, a jego zastępcą był oficer GRU.

– Na szczęście nie widziałam ani Rosjan, ani Czeczenów, bo jeszcze tego samego dnia uciekliśmy. Nie mieliśmy samochodu, ale przybiegł do nas sąsiad, krzycząc, żebyśmy wsiadali do jego auta. Wyjechałam tak, jak stałam. W klapkach i szortach. Nikomu z nas do głowy nie przyszło, że już nigdy tam nie wrócimy. Myślałam, że za kilka dni, może tygodni, wojna się skończy i znowu zobaczę swój pokój. Najpierw trafiliśmy do Gori, bo tam mieszkała moja ciotka. To bardzo blisko granicy, ale już na terenach Gruzji niezajętych przez separatystów. Wydawało się, że tam jest bezpiecznie. Przecież nie ośmielą się zaatakować współpracującego z NATO państwa. Dzień po naszym przyjeździe spadły pierwsze bomby. Byłam wtedy na balkonie i nagle nastąpiła eksplozja. W okolicznych domach szyby wyleciały

z okien. Stałam jak wryta. Przy drugim wybuchu mama rzuciła mnie na podłogę i nakryła własnym ciałem.

Dziewczyna na chwilę przerywa opowieść. Za oknem szaleje śnieżna zamieć.

– Znowu zobaczyłam gruzińskich żołnierzy. Jeszcze bardziej umęczonych, brudnych, poranionych, wiozących trupy poległych towarzyszy. W bloku mojej ciotki było wewnętrzne podwórko ze stolikiem, krzesłami i ławkami. Na co dzień przesiadywali przy nim staruszkowie. Tego dnia zatrzymało się tam kilku naszych chłopaków. Usiedli, wyciągnęli prowiant i zaczęli jeść. Wyglądali na wykończonych. Wtedy zaczęło się kolejne bombardowanie. W jednej sekundzie żołnierze zerwali się na równe nogi i uciekli do budynku. Na stole zostały pokrojone kromki chleba, nóż, otworzone konserwy z wbitymi w mięso widelcami. Widziałam to z okna i do dzisiaj mam ten obraz przed oczami. Pusty stół z porzuconym w panicznym strachu jedzeniem. Z tym kojarzy mi się wojna. Wiedzieliśmy, że zbliżają się Rosjanie i musimy znowu uciekać. Gori było już wtedy praktycznie wyludnione. Szosą do Tbilisi jechały setki aut, szły tysiące ludzi. Co jakiś czas słyszeliśmy helikoptery. Ze strachem patrzyliśmy w niebo, czy gdzieś nie pojawi się śmigłowiec, który zacznie nas ostrzeliwać. W Tbilisi uderzyło mnie, że niektórzy Gruzini tak naprawdę nie czuli wojny. Dosłownie kilkadziesiąt kilometrów dalej umierali ich rodacy, a w stolicy życie toczyło się swoim normalnym, codziennym rytmem. Tak jakby ludzie, szczególnie młodzi, nie chcieli przyjąć do wiadomości, że zostaliśmy zaatakowani. Że na ich miasto pędzą czołgi. Oni nic z tego nie rozumieli, bo nie zrozumiesz wojny, dopóki jej nie poczujesz. Brat mojej koleżanki głupio marzył, żeby szkoła, w której się uczył, spłonęła. Nastolatek jak to nastolatek, miał serdecznie dosyć prac domowych, zakuwania i klasówek. Nic nadzwyczajnego. Z tą tylko różnicą, że na jego szkołę naprawdę spadły bomby. Ale wielu mieszkańców stolicy pomagało uchodźcom. Nie miał znaczenia wiek, wykształcenie czy status społeczny. Poczuliśmy wtedy, że tworzymy wspólnotę. Naszą ojczyznę napadnięto, a my wszyscy jesteśmy przede

wszystkim Gruzinami. Przez jakiś czas mieszkaliśmy u rodziny, ale potem przenieśliśmy się do dawnego akademika uniwersytetu medycznego zamienionego na mieszkania dla uciekinierów. Na górnych piętrach żyli uchodźcy z wojny abchaskiej z początku lat dziewięćdziesiątych, a na dolnych my, bezdomni z Osetii Południowej.

To, co wydarzyło się latem 2008 roku, było dla gruzińskiego społeczeństwa szokiem. Jeszcze 8 sierpnia rano prezydent Saakaszwili chwalił się, że praktycznie wyzwolono całą zbuntowaną republikę, a już trzy dni później ponad sto tysięcy Gruzinów z Osetii i przyległych prowincji uciekało przed rosyjskimi bombami. Po zakończeniu wojny większość z nich wróciła do domów, ale ponad dwadzieścia tysięcy osób wciąż pozostaje wewnętrznymi uchodźcami. Okazało się, że w niespełna tydzień Moskwa jest w stanie podbić swojego południowego sąsiada, a szumne zapowiedzi siłowego rozwiązania abchasko-osetyjskiego problemu to śmiertelnie niebezpieczne mrzonki.

– Nie mieliśmy prądu, wody, łazienek, toalety – kontynuuje Ekaterine. – To był kolejny wstrząs. W Eredwi zostawiliśmy przepiękny dwupiętrowy dom wybudowany przez dziadka. Z balkonami, werandą, na której latem przesiadywaliśmy. Razem z nami mieszkało tam mnóstwo małych dzieci z innych rodzin. Wszystkie miały smutne twarze, płakały. Nie potrafiły zrozumieć, dlaczego nie są u siebie, co stało się z ich zabawkami, dlaczego nie kładą się spać w swoich łóżeczkach. Ciągle pytały rodziców, kiedy wracają do domu. Mama z tatą próbowali jakoś odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości, a ja pojechałam do Polski. Poseł Małgorzata Gosiewska zorganizowała kolonie dla dzieci uchodźców. Pojechało w sumie kilkaset osób. Na początku miałam opory, czy wyjeżdżać. Bo jak to tak zostawić rodziców w dramatycznych chwilach. My, Gruzini, jesteśmy bardzo rodzinni. Ale mama powiedziała stanowczo: masz jechać! Wiedziała, co jest dla mnie dobre. Możesz nie wierzyć, ale dla nas to było coś niesamowitego. Wyrwać się z tego wojennego koszmaru i spędzić dwa tygodnie w pięknym kraju otoczeni dobrymi ludźmi. Ani ja, ani większość moich kolegów i koleżanek nigdy nie byliśmy za granicą. Te

dwa tygodnie to było okno na świat, przez które zobaczyliśmy, że istnieje inne życie. Wyjeżdżaliśmy smutni i przerażeni, a wróciliśmy z uśmiechami na twarzach. W jakimś stopniu zmyliśmy z siebie tę traumę. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ten wyjazd uratuje mi życie. W trakcie rutynowych badań młody lekarz wykrył u mnie poważną wrodzoną wadę serca. Rokowania były fatalne. Powiedział, że mogę nie dożyć dwudziestu jeden lat. A tymczasem w kwietniu obchodziłam dwudzieste pierwsze urodziny i czuję się świetnie.

Dziewczyna śmieje się serdecznie. Ma w sobie mnóstwo energii i pogody ducha. Jakby wydarzenia sprzed niespełna dekady były zamierzchłą przeszłością.

– Po konsultacjach z moją rodziną lekarze podjęli decyzję o jak najszybszej operacji. Zabieg był bardzo kosztowny, ale pani poseł zorganizowała akcję charytatywną. Polacy mają wielkie serca. Błyskawicznie udało się zebrać potrzebne środki i w ten sposób dostałam od was drugie życie. Spędziłam w Polsce kilka miesięcy. Zainteresowałam się polską kulturą, językiem, historią. Jak wróciłam do Gruzji, to zaczęłam naukę polskiego i w końcu zdecydowałam się na studia w Warszawie. Polska została moją drugą ojczyzną, a pani poseł moją drugą polską mamą. – Ekaterine uśmiecha się ciepło. – Rodzice jakoś urządzili się w Tbilisi. Mama zawsze powtarza, że wprawdzie straciliśmy wszystko, ale Bóg ocalił nasze życie i dlatego już nie myśli o niczym innym. Podobno nasz dom w Eredwi został całkowicie zburzony. Nie pozostał po nim kamień na kamieniu. Ale tata ciągle wierzy, że któregoś dnia tam wrócimy. Narysował nawet plan nowego domu i marzy o tym, jak będzie go budował. Żeby coś po nim pozostało. W trakcie pobytu w szpitalu dostałam od pani poseł długopis należący do Lecha Kaczyńskiego i tym długopisem wpisałam się do księgi kondolencyjnej w polskiej ambasadzie w kwietniu 2010 roku. Dwa lata później pojechałam do Polski, żeby złożyć kwiaty na grobie pary prezydenckiej. Teraz też nie wyobrażam sobie być w Krakowie i chociaż na chwilę nie wstąpić na Wawel. Gdyby nie Lech Kaczyński, rosyjskie wojska rozjechałyby nas w Tbilisi. On uratował

moją rodzinę i całą Gruzję. Jest naszym bohaterem i nigdy mu tego nie zapomnimy.

W skalistym wąwozie niedaleko Władykaukazu urządzono minizoo. W jednej klatce miota się otumaniona niewolą pantera perska (symbol Osetii Północnej), w drugiej siedzą dwa smętne niedźwiedzie. Wyglądają, jakby już zapadły w sen zimowy.

Nagle pojawia się dozorca i klepie mnie po plecach, mówiąc:

– Nie wkładaj rąk do środka! One tylko sprawiają wrażenie niemrawych. W zeszłym roku jakiś turysta chciał się z nimi pobawić i miś odgryzł mu całą dłoń. Z rosyjskimi niedźwiedziami nie ma żartów.

Imiona oraz funkcje niektórych z bohaterów występujących w tym rozdziale zostały na ich prośbę zmienione w celu ochrony prywatności oraz uniemożliwienia identyfikacji.

# Marzenia

– Panie przewodniczący, szanowny komitecie, panie i panowie, olimpijskie marzenie połączyło miliony Rosjan – mówił prezydent Putin w 2007 roku podczas 119 sesji Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Gwatemali, na której zdecydowano o przyznaniu Soczi organizacji zimowej olimpiady. W przededniu wybuchu wojny na Ukrainie to marzenie Władimira Władmirowicza oraz milionów jego rodaków stało się faktem. Świat zaniemówił, oglądając Zimowe Igrzyska Olimpijskie zorganizowane po raz pierwszy w historii w… klimacie podzwrotnikowym.

– Jak oni tutaj kradli! Pochodzę z Armenii i tam złodziejstwo jest na porządku dziennym, ale czegoś takiego jak w Soczi to w życiu nie widziałem. – Przypadkowo spotkany spacerowicz spogląda z niedowierzaniem na monumentalne obiekty olimpijskie. Pałac Lodowy, Pałac Sportów Zimowych, smukłe estakady wrzynające się w niską, senną zabudowę nadmorskiego kurortu Adler. Dobudowany już po zakończeniu igrzysk okalający cały kompleks tor Formuły 1, na którym ścigali się Lewis Hamilton i Sebastian Vettel. Stadion Olimpijski „Fiszt", na którym ma być rozgrywany mundial 2018. Największe światowe gwiazdy mogły podziwiać cud zmartwychwstania. W ćwierć wieku po śmierci ZSRR imperium rosyjskie wróciło z zaświatów.

Przypominający lotniskowy terminal dworzec kolejowy góruje nad miasteczkiem. Gargantuiczne wodospady szkła i stali zalewają promenadę. Konstrukcja rozdarła na dwie części główną arterię imienia Lenina, zmuszając mieszkańców do przechodzenia przez labirynt bramek, rentgenowskich skanerów i policyjnych kontroli.

– Taka to u nas tradycja, że musi być dużo płotów i zasieków – śmieje się mężczyzna o umęczonej życiem w sowiecko-rosyjskim imperium twarzy, z którym czekam na autobus. – I uważaj na myśliwych. To znaczy policjantów. O, już tutaj idą. – Zza winkla

wyłania się dwóch funkcjonariuszy w wielkich czapach mających dodawać powagi ich marsowym twarzom. – Oni specjalizują się w polowaniach na frajerów, którzy sobie papierosa na dworcach albo przystankach zapalą. I wtedy trzeba płacić. Taka u nas kultura.

Olimpiada narosła na czarnomorskie wybrzeże, pochłaniając kolejne fragmenty ziemi. Tory kolejowe i szosa biegną dalej w góry aż do Krasnej Polany przekształconej z sennego górskiego miasteczka w narciarski superkurort. Ekskluzywne hotele, restauracje, deptaki, wyciągi narciarskie, kilometry tras zjazdowych. Wszystko wybudowane od zera. Rzucone tutaj stalową wolą Kremla. Jak w Sankt Moritz albo Davos. Ale powstanie alpejskich kurortów zajęło całe dekady mrówczej pracy. A tutaj w zaledwie siedem lat narodził się pomnik nowej Rosji. Bogatej, monumentalnej i nieznoszącej żadnego sprzeciwu. Łamiącej góry i ludzi. Nowego Imperium.

– Macie świadomość, że jedna anycha znajduje się pod Soczi? Dokładnie na Krasnej Polanie – stwierdził kiedyś wysoki rangą urzędnik w jednym z abchaskich ministerstw. Anycha to wedle pogańskich wierzeń Abchazów święte miejsce zamieszkane przez duchy i bóstwa. – Rosjanie przeorali ją koparkami i spychaczami. Rozjeździli ciężarówkami, zalali betonem. A od kiedy zaczęły się kłopoty Kremla? Cały ten ukraiński Majdan, wojna w Donbasie, problemy finansowe, spadek cen ropy. Dokładnie od olimpiady zimowej! – Urzędnik jest śmiertelnie poważny. – Oni bardzo źle postąpili. To się może źle skończyć i dla Rosji, i dla nas, i dla całego świata.

* * *

Żółto-niebieska ściana, żółto-niebieskie beczki, żółto-niebieski plac zabaw, nawet stojący przed budynkiem kiosk z gazetami i papierosami pomalowano na żółto-niebiesko. Z tej fali żołtoniebieskości wyłania się potężnie zbudowany Kozak. Pręży nagi, umięśniony tors, ma długie wąsy i osełedec powiewający na wietrze, w ręku dumnie łopocze

ukraińska flaga. Za nim podąża drugi wojownik. Równie imponująco umięśniony, trzymający w ręku wielki topór bitewny otoczony ognistą poświatą. Pod malunkiem herosów przysiadł malutki chłopiec i rozmawia o czymś ze swoją koleżanką.

– To nasza ukraińska twierdza – mówi Siergiej Poliwko. – Kilkadziesiąt kilometrów stąd toczy się prawdziwa wojna, ale my tutaj też walczymy. Nie karabinami, ale kulturą, edukacją. Uczymy nasze dzieci, kim są i jaka jest ich prawdziwa ojczyzna. Że Donbas to nie russkij mir, tylko Ukraina.

W kilkupokojowym domu z ogrodem w miejscowości Rodynśke Siergiej otworzył samozwańczy dom kultury ukraińskiej. Miejscowe dzieciaki przychodzą tutaj po szkole. Malują, czytają, przygotowują krótkie przedstawienia teatralne, bawią się na świeżym powietrzu. W którąkolwiek stronę spojrzą, widzą żołtoniebieskość.

– To żmudna praca u podstaw, ale bez niej nie zbudujemy Ukrainy. W naszym miasteczku wszyscy są prorosyjscy. A co myślałeś? – Siergiej zaciska pięści. – Majdan? Banderowsko-amerykańska hucpa! Wojna? To wszystko wina Ukraińców, bo ostrzeliwują separatystów! Rosja? Wielki, dobry brat, który obroni nas przed faszystami z Zachodu. Jakie to proste. Tak myślą przede wszystkim ludzie dorośli i starsi, ale z dziećmi jest, o dziwo, inaczej. One chcą być Ukraińcami. Przychodzą tutaj bez wiedzy, a czasami nawet wbrew woli swoich rodziców. Miałem już kilka awantur zrobionych przez rozzłoszczonych opiekunów, którzy oskarżali mnie o sianie propagandy i fundowanie ich pociechom prania mózgów. I co? Dzieciaki jak przychodziły, tak przychodzą – uśmiecha się triumfalnie. – Dla części moich podopiecznych to też odskocznia od smutnego świata, w którym żyją na co dzień. Nędzy, alkoholizmu. Chodzi nie tylko o patriotyczne, ale też o obywatelskie wychowanie. Bo nam tego najbardziej na Ukrainie brakuje. Świadomych obywateli. Bez nich zawsze będziemy wasalem Rosji.

Jedna z dziewczynek wychodzi na środek sali i poważnym głosem recytuje wiersz.

Idę do domu i widzę
Że mama moja płacze!
Byłam jak sparaliżowana…
Wojna nam ojca zabrała.
Powstrzymajcie wojnę,
Wiele dzieci straciło swe rodziny!
To przez ciebie, Rosjo,
Ginie nasza Ukraina!
Och, moja ziemia, mój kraj ukochany!
Kocham pola mojej Ukrainy!
Nie porzucajcie swojej ojczyzny!
Musimy wierzyć w Boga
I w naszą Ukrainę!

– Sama go napisałam dla mojej mamy i dla Ukrainy. – Uśmiecha się nieśmiało.

Kilka przecznic dalej na wersalce w sypialnio-salonie malutkiego mieszkania w rozsypującym się bloku siedzi młoda kobieta. Ubrana jest w śliczną pomarańczową sukienkę. Dookoła niej biegają dzieci. Najstarsze ma kilkanaście lat, najmłodsze dopiero zaczęło chodzić. W łazience mąż mocuje się z przeciekającą rurą. Marija nigdzie nie może się ruszyć. Z fałdów sukienki wystaje tylko jedna noga. Druga została urwana, kiedy pocisk artyleryjski trafił w ich mieszkanie na przedmieściach Doniecka. Marija była wtedy w kuchni i przygotowywała dzieciom śniadanie do szkoły. Eksplozja wyrwała prawie całą zewnętrzną ścianę.

– W jednej chwili znalazłam się na podłodze pokryta pyłem i gruzem. Nie mogłam się ruszyć. Nie wiedziałam, co się dzieje. Krzyczałam tylko do dzieci, czy żyją. To cud, że żadne nie było wtedy przy mnie, tylko w swoim pokoju. – Kobieta mówi spokojnie, prawie beznamiętnie. – Operowano mnie na Ukrainie. Okazało się, że noga jest całkowicie zmiażdżona na wysokości uda. Musieli ją amputować. Potem zostaliśmy tutaj, ale może trzeba było wyjechać do Rosji. Dziwisz się? – Świdruje mnie oczami. – A czyj pocisk zrobił ze mnie kalekę i prawie zabił moje maleństwa? Rosyjski, separatystyczny? Nie! Ukraiński. To ukraińska armia zbombardowała zwykłe osiedle. U nas

nie było żadnych bojowników. Żyliśmy sobie spokojnie, dopóki oni nie zaczęli do nas strzelać. Teraz państwo też nam nie pomaga. Nie wiem, jak byśmy przeżyli, gdyby nie pomoc organizacji charytatywnych. To nie jest i nie będzie już nigdy mój kraj!

Łzy lecą jej po policzkach. Pastor i dwóch wolontariuszy z kościoła protestanckiego, z którymi tutaj przyjechałem, dali jej paczkę z jedzeniem. Mąż zabiera worki z ryżem i zanosi do kuchni.

– Dostaniecie dzisiaj podwójną porcję. – Dobiega z kuchni ucieszony głos babci.

Na postumencie w centrum Krasnohoriwki w miejscu ponurego Włodzimierza Iljicza Lenina powiewa ukraińska flaga. Kilka tygodni temu na Ukrainie przeprowadzono dekomunizację, usuwając komunistyczne nazwy miast, wsi, ulic i obiektów publicznych. Największe miasto regionu w jedną noc przemieniło się z Krasnoarmijśka (od Armii Czerwonej) w Pokrowśk.

– Wielu ludzi się burzy, że po co to zmieniać! Szkoda pieniędzy, czasu, robienia zamętu. Co to niby komu przeszkadza jakiś Łenińsk albo Illicziwśk? A ja uważam, że bez dekomunizacji nie będzie wolnej Ukrainy. Z ludźmi w Poradziecji jest jak z Żydami wyprowadzonymi przez Mojżesza z Egiptu. Oni na pustyni chcieli wracać w niewolę, bo tam wprawdzie byli poniżani, ale chociaż michę żarcia mieli. I dopiero młode pokolenie Żydów zrozumiało, że liczy się wolność. Ona jest najważniejsza. I tak samo tutaj homo sovieticusa trzeba tępić w głowach, wymazywać tę zbrodniczą ideologię budowaną właśnie w sferze symboli. Tak jak wy w Polsce to zrobiliście – wzdycha pastor, kiedy zbliżamy się do strefy działań wojennych.

W Marjince na przedmieściach Doniecka panuje nerwowa atmosfera. Minionej nocy na centrum miasta spadły pociski. Na samej linii frontu strzelają codziennie, ale już od dawna nie zdarzyło się, żeby ostrzelano dzielnice mieszkalne. Kierowniczka prowadzonej przez protestantów piekarni podnosi leżący na podłodze kawałek żelastwa. Odłamek przebił szybę i wylądował na środku korytarza.

– Dobrze, że w nocy nie pracujemy, bo mogłoby dojść do tragedii – wzdycha.

W Marjince, podobnie jak w Piskach, po zapadnięciu zmroku życie zamiera. Wtedy toczą się najcięższe walki. Wszyscy chowają się po domach i starają się nie wyściubiać nosów na zewnątrz.

– Siadaj z nami, napijemy się zimnego piwka i poobserwujemy fajerwerki. – Podchmielony facet zrywa się z ustawionego przed spożywczakiem plastikowego krzesła. – Nie bój się, będzie fajnie. O, patrz, jak wczoraj walnęło! – Podbiega do leja wyrwanego w asfalcie przez pocisk moździerzowy.

– Dajcie spokój. Niedługo będzie ciemno. Idziemy do domu – pracujący w piekarni Dima odciąga mnie na bok i szybkim krokiem prowadzi przez opustoszałe uliczki. Jeden z bloków jest całkowicie spalony, w innym brakuje części dachu. Przez podziurawione karabinowymi kulami płoty migają promienie zachodzącego słońca. Wszystkie domy mają okna szczelnie zabite deskami. Niektóre zostały zamurowane. Mężczyzna mieszka na samych obrzeżach miasta. Do wojskowego punktu kontrolnego zwanego blokpostem ma raptem kilkaset metrów. Jego pies skacze i szaleńczo macha ogonem uradowany powrotem swojego pana. Na podwórku walają się mniejsze i większe odłamki. Eternitowe dachówki są poobłupywane. W oddali słychać długie serie z karabinów maszynowych przerywane wybuchami granatów.

– Spokojnie, to nic nadzwyczajnego. Tutaj co noc tak jest. Jakby zrobiło się wyjątkowo gorąco, to schowamy się w piwnicy. Prysznic jest na zewnątrz, jeśli chcesz się wykąpać, to zrób to migiem, bo po nocy lepiej nie łazić po dworze. Aha, i palenie też jest zabronione. – Krzywi się, widząc, jak wyciągam z kieszeni paczkę papierosów. – Szansa, że snajper zauważy żar, jest minimalna, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Naszą rozmowę przerywa telefon. Po krótkiej wymianie zdań Dima nerwowo wskakuje na rower i każe czekać na swój powrót. Jest już

prawie ciemno, kiedy w drzwiach domu staje gospodarz z jakimś obcym mężczyzną.

– Przepraszam, ale mamy sytuację awaryjną. To mój kuzyn, który mieszka w Doniecku, ale dzisiaj nie może wrócić do siebie.

– Całkowita paranoja! – Przybysz z trudem łapie oddech, pot cieknie mu po skroniach. – W ciągu jednego dnia wygasło moje wydane przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy pozwolenie na przekroczenie linii rozgraniczenia z Doniecką Republiką Ludową. Jeszcze rano normalnie wpuścili mnie na ukraińskie terytorium, a już kilka godzin później oznajmili, że moje papiery są nieważne. A skoro nieważne, to oni mnie nie przepuszczą. I nie obchodzi ich, że mam tam dom, rodzinę. Szczęście, że Dima mieszka pod bokiem, bo nie wiem, co by się ze mną stało.

Zmęczony zdejmuje koszulę, wypija szklankę wody i ciężko opada na łóżko.

– Ty podobno dziennikarz jesteś. Tak? A obiecujesz napisać prawdę o tym, jak żyje się tam, po drugiej stronie? – Pokazuje ręką w stronę Doniecka. – To są zwykli złodzieje i bandyci.

Widząc, że kiwam głową, zaczyna mówić tak szybko, jakby bał się, że zaraz straci tę jedną jedyną szansę opowiedzenia o wszystkim, co widział. Jakby po długich miesiącach milczenia mógł się wreszcie szczerze wyspowiadać.

– Od pierwszego dnia całej tej donieckiej niepodległości ich interesowało tylko rabowanie wszystkiego, co się da. Pełniłem kierowniczą funkcję w jednym z miejskich przedsiębiorstw. Przyszli do mojego gabinetu z kałasznikowami i powiedzieli, że teraz oni tutaj rządzą. Wymachiwali mi przed nosem tą ich flagą z dwugłowym orłem, krzyczeli, że teraz to już nie jest Ukraina, tylko Doniecka Republika Ludowa, i mam ich słuchać. Próbowałem się postawić, to zaczęli mi grozić karabinami. Jak jacyś rekieterzy. Wszystkie ważne stołki obsadziły różne szumowiny.

Zza zabitych pilśniowymi płytami okien dochodzi kanonada. Nerwowo spoglądam na Dimę, czy aby nie da sygnału do ucieczki pod

ziemię.

– Spokojnie, to tylko granatniki. Nie ma strachu. Przez ostatnie półtora roku nauczyłem się po huku rozpoznawać, z czego strzelają. Mieszkamy z rodziną w zachodniej dzielnicy wychodzącej na linię frontu. Jak zaczynają walić z większego kalibru, to wybiegamy na klatkę schodową i kucamy przy ścianach nośnych. Tam jest najbezpieczniej. Na początku to był szok, ale potem się przyzwyczailiśmy. Wyrobiły się w nas nawyki, jak u wojennych psów Pawłowa. Ale najgorsze jest tam to, że nie wolno po swojemu myśleć, nie wolno po swojemu mówić. – Kuzyn Dimy bierze głęboki oddech. – Powiesz coś nie po linii donieckiej władzy i możesz zniknąć w kazamatach KGB. Myślisz, że tam ktoś chce mieszkać? Że to jakieś państwo? Wolne żarty. Ci, co mogli, już dawno pouciekali. Prozachodni na Ukrainę, a promoskiewscy do Rosji. Zostali albo bandyci, albo tacy, co z różnych przyczyn nie mogli się spakować i wyjechać. Jest kilku takich u mnie w zakładzie. Oni chyba nawet wierzą w te bzdury, które wpaja im propaganda.

– To dlaczego ty z rodziną tam mieszkacie?

– Bo to moje miasto! Nie dam się z niego wypędzić. Jeszcze wygramy tę wojnę i znowu będę żył na Ukrainie. Codziennie o tym marzę. Chociaż krew mnie momentami zalewa, jak przyjeżdżam na tę stronę linii frontu. Jak słyszę, co ludzie gadają. Że Ukraina zła, a w Donieckiej i Ługańskiej Republice to raj na ziemi. Że nami się Moskwa opiekuje i mamy jak pączki w maśle. A russkij mir to w ogóle ach i och. Oni tak gadają, bo nigdy kremlowskiego buta nie poczuli. Dopiero jak ich zdepcze, to zrozumieją, czym jest rosyjskie panowanie. – Z mężczyzny nagle jakby zeszła cała energia. W milczeniu skupia się na sączeniu herbaty. Na zewnętrz porządnie coś walnęło.

– Chodźcie spać do drugiego pokoju. Tam są mocniejsze ściany. – Dima gasi światło i prowadzi nas do łóżka. – Niech sobie oni karabinami robią tę swoją republikę, a my się chwilę prześpijmy.

Drzwi do małego domku w mieście Gusiew w obwodzie kaliningradzkim otwiera starsza kobieta.

– Przyjechałeś od Aleksieja? To niemożliwe. On od dawna nie żyje. – Jego siostra Eugenia patrzy na mnie długo, nie wiedząc, co zrobić.

– Wpuść go, mamo. Niech wejdzie – mówi stojąca w głębi przedsionka młoda dziewczyna.

Gospodyni niepewnie zaprasza do skromnie urządzonej kuchni. Przy piecu dwa króliki pałaszują zielone liście sałaty.

– Co pan mówi? Jak to mieszka w Gruzji? – Kobiecie łamie się głos. – Ile to lat minęło, byłam wtedy małą dziewczynką. Pamiętam, jak się bawiliśmy i jak mama płakała, kiedy wyjeżdżał do Afganistanu. Potem słuch o nim zaginął. Ale tak, to on! Mój brat Aleks! Poznajesz, córcia? Jak na zdjęciach z dzieciństwa, tylko starszy. – Eugenia Karbauskas, wpatruje się w fotografię swojego brata Aleksandra siedzącego na kanapie w mieszkaniu w gruzińskim Zugdidi. – Długo go szukaliśmy. Nie poddaliśmy się nawet, gdy w armii powiedziano nam, że zaginął bez wieści gdzieś w Abchazji – wzdycha.

– On też próbował was odnaleźć. – Przypominam sobie upalne popołudnie spędzone z Aleksandrem.

– Po rozpadzie Związku Radzieckiego wszystko się zmieniło. Stary świat przestał istnieć. Bracia porozjeżdżali się po Rosji, ojciec umarł, ja wyszłam za mąż, zmieniłam nazwisko i wyprowadziłam się z rodzinnego miasteczka. Pewnie dlatego nie mógł natrafić na mój ślad. – Eugenia drżącymi rękami stawia na stole kubek z herbatą. – A ty właściwie jak nas odnalazłeś?

– Zatrzymała mnie wasza, rosyjska, policja. Czego tu szukam i takie tam, że w Rossiji interesować się nie nada. Powiedziałem im o Aleksieju, o Afganistanie, że szukam jego rodziny. I od razu pomogli.

– Mama, wbrew wszystkiemu i wszystkim, prawie do samego końca czekała na swojego najmłodszego syna. Marzyła, że kiedyś stanie w drzwiach rodzinnego domu. A teraz ty tutaj przychodzisz. – Łzy

zaczynają płynąć Eugenii po policzkach. – Mój brat powrócił do nas z martwych. Jak Łazarz. Ona musiała o tym wiedzieć. Zmarła kilka lat temu we śnie. Bardzo cicho i spokojnie. Pogodzona z losem.

# Podziękowania

Napisanie tej książki było możliwe tylko dzięki życzliwości ludzi, którzy bezinteresownie pomagali mi w pracy dziennikarskiej i którym chciałbym w tym miejscu serdecznie podziękować.

Przede wszystkim bardzo dziękuję mojemu redaktorowi Tomaszowi Zającowi za zaangażowanie i ogrom wysiłku włożonego w pracę nad moim tekstem. To dzięki jego uwagom i poprawkom surowy rękopis nabrał cech dojrzałej opowieści.

Dziękuję towarzyszom moich podróży:

Monice Andruszewskiej za pomoc w dotarciu na front ukraiński oraz opiekę podczas pobytu tam.

Dawidowi Wildsteinowi za zaufanie, jakim mnie obdarzył, oraz wspólną reporterską pracę w Donbasie i tureckim Kurdystanie.

Doktorowi Tomaszowi Lachowskiemu oraz fotografowi Piotrowi Trybalskiemu za wspólną wędrówkę przez Naddniestrze i Abchazję.

Witoldowi Repetowiczowi za wprowadzenie mnie w zawiłości polityki Ankary w tureckim Kurdystanie.

Stanisławie Budzisz-Cysewskiej za objaśnianie mi kaukaskiego świata podczas wyjazdów do Górskiego Karabachu i Osetii Północnej.

Szczególnie dziękuję Wojciechowi Góreckiemu za podzielenie się ze mną wiedzą oraz kontaktami, które okazały się bezcenne podczas podróży po Kaukazie.

Kamilowi Całusowi, specjaliście do spraw Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia w Warszawie, dziękuję za pomoc w skontaktowaniu z rozmówcami w Mołdawii i Naddniestrzu oraz pomoc w merytorycznym opracowaniu rozdziałów poświęconych Naddniestrzu.

Katarzynie Kwiatkowskiej-Moskalewicz pragnę podziękować za umożliwienie mi kontaktu z działającą w Odessie Grupą 2 Maja.

Za pomoc przy zdobywaniu kontaktów w Abchazji oraz Górskim Karabachu serdecznie dziękuję również Zbigniewowi Rokicie z redakcji „Nowej Europy Wschodniej”.

Nikolajowi Miedwienskiemu dziękuję za pomoc w faktograficznym przygotowaniu rodziałów poświęconych Abchazji.

Dziękuję księdzu Arturowi Garbeckiemu oraz księdzu Jerzemu Pilusiowi, którzy wspaniale ugościli mnie podczas pobytu w Suchumi.

Księdzu Marcinowi Janusiowi, Markowi Pantule, honorowemu członkowi Towarzystwa Polonijnego „Jasna Góra”, oraz prezes Towarzystwa Natalii Siniawskiej dziękuję za gościnność i pomoc w zorganizowaniu podróży do „Polski naddniestrzańskiej” w Słobodzie Raszkowie.

Księdzu Janowi Dargiewiczowi dziękuję za gościnę w Odessie.

Agnieszce i Saffetowi Akkuş dziękuję za pokazanie mi ormiańskiej przeszłości rejonu Araratu.

Weronice Zielińskiej, prezes Związku Polaków Osetii Północnej „Dom Polski” we Władykaukazie, oraz Igorowi Koszlakowskiemu pragnę podziękować za przyjęcie mnie z otwartymi ramionami podczas pobytu w Osetii Północnej.

I wreszcie na koniec z całego serca pragnę podziękować wszystkim mieszkańcom Ukrainy Naddniestrza, Abchazji, Górskiego Karabachu, Gruzji, Turcji wraz z tureckim Kurdystanem, Osetii Południowej oraz obwodu kaliningradzkiego, którzy okazali mi wielką otwartość i pomogli nie tylko zebrać materiały reporterskie, ale również bezpiecznie wrócić do domu.

Polacy w Naddniestrzu czekają na naszą pomoc. Wystarczy sobie uzmysłowić, że już sama Mołdawia jest najbiedniejszym krajem w Europie, a co dopiero jej nieuznana część. Naszych rodaków można wesprzeć, przekazując dary lub wpłacając pieniądze na konto Towarzystwa Polonijnego „Jasna Góra”. Zebrane środki są przeznaczane na pomoc dla najuboższych polskich rodzin, wspieranie edukacji najzdolniejszych uczniów oraz remonty, organizowanie

wydarzeń kulturalnych i utrzymanie wielokulturowego Domu Polskiego „Wołodyjowski" w Raszkowie.

Środki można wpłacać na konto:
BANK PKO BP SA O/1 W PRZEMYŚLU
Nr rachunku: 07 1020 4274 0000 1102 0056 3643
Towarzystwo Polskiej Kultury „Jasna Góra"
Więcej informacji na stronie dompolskiwraszkowie.cba.pl

# Bibliografia


Adamczewski Przemysław, Górski Karabach w polityce niepodległego Azerbejdżanu, Warszawa: Wydawnictwo Akademickie Dialog, 2012

Asmus Ronald D., Mała wojna, która wstrząsnęła światem. Gruzja, Rosja i przyszłość Zachodu, przeł. Jan Tokarski, Warszawa: Fundacja Res Publica im. Henryka Krzeczkowskiego, 2010

Babiłunga Nikołaj Wadimowicz, Powtorienije projdiennogo: fieodalizm kak swietłoje buduszczeje Riespubliki Mołdowa, Tiraspol–Biendiery: bez wydawcy, 2012

Brzeziecki Andrzej, Małgorzata Nocuń, Armenia. Karawany śmierci, Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2016

Bullough Olivier, Kaukaz. Niech świat rozbrzmiewa naszą chwałą, przeł. Jacek Spólny, Poznań: Zysk i S-ka, 2013

Całus Kamil, Expectations and Reality Collide in Tiraspol, transl. Agnieszka Rubka, „New Eastern Europe Issue" 2013, no. 2 (Painful Past, Fragile Future)

—, Naddniestrze: kryzys gospodarczy zapowiada zmianę władzy, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/5JzmMr, dostęp: 19.11.2017

Całus Kamil, Marcin Kosienkowski, Piotr Oleksy, Jakub Pieńkowski, Robert Rajczyk, Naddniestrze. Historia – Polityka – Gospodarka, Poznań: EastWest Analytics, 2014

Chirikba Viacheslav A., A Dictionary of Common Abkhaz, Leiden: bez wydawcy, 1996

—, Abkhaz, „Languages of the World/Materials" 119, Muenchen: LINCOM GmbH, 2003

Cornell Svante E., The Nagorno-Karabakh Conflict, Report no. 46, Department of East European Studies, Uppsala: Uppsala University, 1999

Czachor Rafał, Abchazja, Osetia Południowa, Górski Karabach. Geneza i funkcjonowanie systemów politycznych, Wrocław: Instytut Polsko-Rosyjski, 2014

Dale Catherine, The Dynamic and Challenges of Ethnic Cleansing: The Georgia-Abkhazia Case, „Refugee Survey Quarterly" 1997, vol. 16, issue 3

de Wall Thomas, Black Garden: Armenia and Azerbaijan Through Peace and War, New York: New York University Press, 2003

—, The Caucasus: An Introduction, Oxford, New York: Oxford University Press, 2010

Falkowski Maciej, Jan Strzelecki, Rosja wchłania Osetię Południową, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/7m3YCT, dostęp: 19.11.2017

—, Krótka historia Osetii, Kaukaz.net, kaukaz.net, goo.gl/pmjJu2, dostęp: 19.11.2017

Felsztinski Jurij, Michaił Stanczew, Trzecia wojna światowa? Bitwa o Ukrainę, przeł. Jerzy Redlich, Poznań: Dom Wydawniczy Rebis, 2015

Francis Céline, Conflict Resolution and Status. The Case of Georgia and Abkhazia (1989–2008), Brusseles: VUBPRESS Brussels University Press, 2011

Genko A. N., Abchasko-Russkij Słowar, Suchum: Izdatielstwo „Alaszara", 1998

Georgian patriarchy refuses to recognize Abkhaz Orthodox Church, sputniknews.com, goo.gl/6vXax6, dostęp: 19.11.2017

GÓR [Górecki Wojciech?], Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/ZhMQCr, dostęp: 19.11.2017

Górecki Wojciech, Abchazja, Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2013

—, Górski Karabach – w co gra Rosja?, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/QJuZXN, dostęp: 19.11.2017

—, Koniec abchaskiego złudzenia, „Nowa Europa Wschodnia" 2015, nr 5

—, Pełzająca inkorporacja Abchazji. Koniec eksperymentu separatystycznej demokracji, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/1HusoT, dostęp: 19.11.2017

Górny Grzegorz, Armenia. Między rajem a piekłem, Kraków: Wydawnictwo AA, 2015

Hille Charlotte, State Building and Conflict Resolution in the Caucasus, Leiden: Brill, 2010

Hunt David, Legends of the Caucasus, London: Saqi Books, 2012

Jarosiewicz Aleksandra, Maciej Falkowski, Wojna czterodniowa w Górskim Karabachu, Ośrodek Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, osw.waw.pl, goo.gl/bzsWgL, dostęp: 19.11.2017

Jones Seth G., Martin C. Libicki, How Terrorist Groups End. Lessons for Countering al Qa'ida, Santa Monica–Arlington–Pittsburgh: RAND Corporation, 2008

Jundo-Kaliszewska Barbara, Armenia: wyrwani z apatii, obserwatormiedzynarodowy.pl, goo.gl/Mt4uSm, dostęp: 19.11.2017

Karanian Matthew, Historic Armenia After 100 Years: Ani, Kars and the Six Provinces of Western Armenia, Northridge: Stone Garden Press, 2015

Kolstø Pål, Andrei Edemsky, Natalya Kalashnikova, The Dniester Conflict: Between Irredentism and Separatism, „Europe-Asia Studies" 1993, vol. 45, no. 6

Kosienkowski Marcin, Federacja Rosyjska wobec Naddniestrza, Lublin: Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, 2008

—, Naddniestrzańska Republika Mołdawska. Determinanty przetrwania, Toruń: Wydawnictwo Adam Marszałek, 2010

Kucharczyk Grzegorz, Pierwszy Holocaust XX wieku, Warszawa: Fronda, 2012

Kurczab-Redlich Krystyna, Wowa, Wołodia, Władimir. Tajemnice Rosji Putina, Warszawa: W.A.B., 2016

Lew Lubczenko, Abchazy, Abchazy, wy prawy…, Gagra: bez wydawcy, 1993

Maclean Rory, Nick Danziger (photos), Back in the USSR. Heroic Adventures in Transnistria, bez miejsca: Unbound, 2014

Montefiore Simon Sebag, Stalin. Dwór czerwonego cara, przeł. Maciej Antosiewicz, Warszawa: Wydawnictwo Magnum, 2013

Nart Sagas from the Caucasus: Myths and Legends from the Circassians, Abazas, Abkhaz and Ubykhs, assembled, transl., annotated by John Colarruso, Princeton: Princeton University Press, 2002

Nußberger Angelika, The War between Russia and Georgia – Consequences and Unresolved Questions, „Göttingen Journal of International Law" 2009, vol. 1, no. 2

Oleksy Piotr, Wspólnota z przypadku. Studium tożsamości mieszkańców Naddniestrza, „Gnieźnieńskie Prace Humanistyczne”, t. 11, Gniezno: Instytut Kultury Europejskiej UAM, 2016

Pietrow Nikita, Psy Stalina, przeł. Justyna Prus-Wojciechowska, Katarzyna Syska, Warszawa: Demart, 2012

Richmond Walter, The Circassian Genocide, New Brunswick: Rutgers University Press, 2013

Saparov Arsène, From Conflict to Autonomy in the Caucasus. The Soviet Union and the Making of Abkhazia, South Ossetia and Nagorno Karabakh, London–New York: Routledge, 2015

Tekushev Islam, Sergey Markedonov, Kirill Shevchenko (eds.), Abkhazia: Between the Past and the Future, Prague: Medium Orient, 2013

Trier Tom, Hedvig Lohm, David Szakonyi, Under Siege: Inter-Ethnic Relations in Abkhazia, London: Hurst, 2010

Van Herpen Marcel H., Putin’s Wars: The Rise of Russia’s New Imperialism, Lanham: Rowman & Littlefield, 2015

Walter Christian, Antje von Ungern-Sternberg, Kavus Abushov (eds.), Self-Determination and Secession in International Law, Oxford: Oxford University Press, 2014

Wirowska Anna, Konflikt o Górski Karabach – problem azerskich przesiedleńców, „Doctrina. Studia Społeczno-Polityczne” 2012, nr 9

Źródła nienawiści. Konflikty etniczne w krajach postkomunistycznych, red. Kamil Janicki, Warszawa: Instytut Wydawniczy Erica, Histmag.org, 2009

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl
edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: lukasz.sobolewski@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2018
Wydanie I